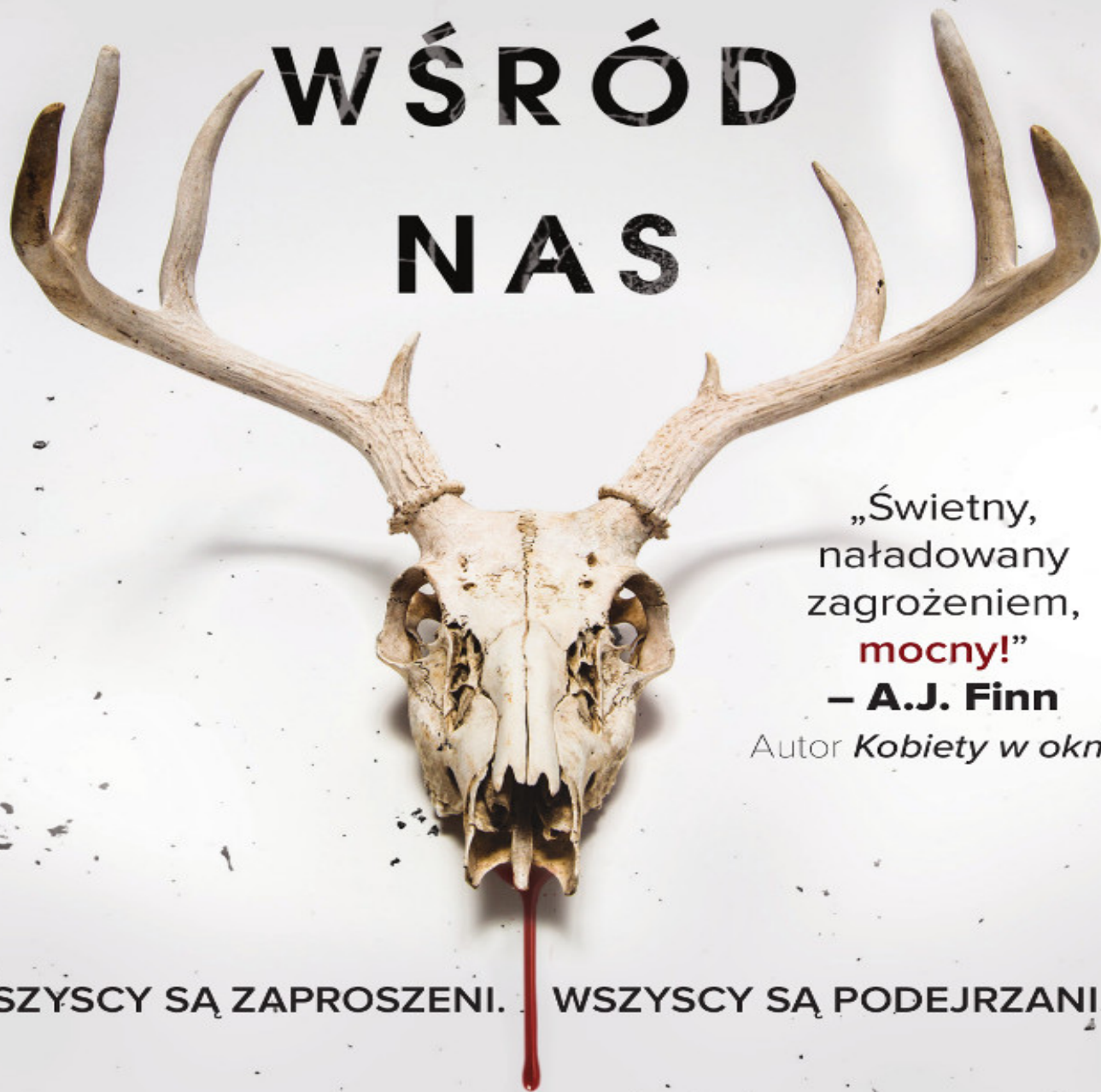


LUCY FOLEY
MORDERCA

**JEST
WŚRÓD
NAS**



„Świetny,
naładowany
zagrożeniem,
mocny!”

– **A.J. Finn**

Autor *Kobiety w oknie*

WSZYSCY SĄ ZAPROSZENI. WSZYSCY SĄ PODEJRZANI.

FILIA

LUCY FOLEY

**MORDERCA
JEST
WŚRÓD
NAS**

Przełożyła
Joanna Dziubińska

FILIA

Dla AC, mojego współnika zbrodni

*Czy przyjaciela z dawnych lat
W niepamięć puścić mam? [\[1\]](#)*

[\[1\]](#) Fragment tradycyjnej szkockiej pieśni ludowej, *Auld Lang Syne*, którą w krajach anglosaskich śpiewa się w sylwestra. Autorem słów jest poeta Robert Burns (wszystkie przypisy, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Widzę mężczyznę, który w śnieżnej zawierusze idzie w moją stronę. Z oddali, przez zasłonę bieli, nie wygląda jak człowiek, a jak cień.

Gdy podchodzi bliżej, poznaję, że to Doug, nasz łowczy.

Śpieszy się do chaty myśliwskiej, próbuje biec. Ale śnieg na ziemi i w powietrzu mu to utrudniają. Potyka się z każdym krokiem. Coś złego się stało. Wiem, nie musząc nawet patrzeć na jego twarz.

Kiedy podchodzi bliżej, widzę malujący się na jego obliczu szok. Znam tę minę. Widziałam ją już wcześniej. Taką minę ma ktoś, kto zobaczył coś przerażającego, co wykracza ponad normalne ludzkie doświadczenia.

Otwieram przed nim drzwi chaty myśliwskiej i wpuszczam go do środka. Wraz z nim do wnętrza dostaje się podmuch lodowatego powietrza i śniegu.

– Co się stało? – pytam.

Następuje chwila – długa chwila – w której próbuje złapać oddech. Ale już wtedy jego oczy bez słów wyrażają zgrozę.

W końcu się odzywa.

– Znalazłem zaginionego gościa.

– To świetnie – odpowiadam. – Gdzie...

Kręci głową, a ja czuję zamierające na moich ustach pytanie.

– Znalazłem zwłoki.

TRZY DNI WCZEŚNIEJ
30 GRUDNIA 2018 ROKU

EMMA

Nowy Rok. Wszyscy razem po raz pierwszy od wieków. Ja i Mark, Miranda i Julien, Nick i Bo, Samira i Giles oraz ich sześciomiesięczna córeczka Priya. I Katie.

Cztery dni w zaśnieżonej dziczy szkockich Highlandów. W Loch Corrin. Bardzo ekskluzywne miejsce: przyjmują tylko cztery grupy gości na rok, a przez resztę czasu jest do dyspozycji właścicieli. Ta pora roku, jak nietrudno się domyślić, cieszy się największym powodzeniem. Musiałam zarezerwować pobyt właściwie tuż po sylwestrze poprzedniego roku, kiedy tylko zaczęto przyjmować nowe zgłoszenia. Kobieta, z którą rozmawiałam, zapewniła mnie, że ponieważ nasza grupa zajmie większość miejsc sypialnych, będziemy mieć posiadłość tylko dla siebie.

Raz jeszcze wyciągam z torby broszurę reklamową. Gruby karton, drogi druk. Przedstawia otoczone świerkami jezioro, z czerwonymi od wrzosów wzgórzami w tle. Teraz będą pewnie pokryte śniegiem. Zgodnie z tym, co widać na zdjęciach i co jest tam napisane, chata myśliwska, nazwana nową chatą myśliwską, jest wysoce nowoczesną konstrukcją ze szkła, zaprojektowaną przez znakomitego architekta, który niedawno zbudował pawilon letni przy Serpentine Gallery[2]. Wydaje mi się, że w zamyśle twórcy dom miał się gładko stapiać ze spokojnymi wodami jeziora i odbijać otoczenie oraz ostre krawędzie Munro[3] w tle.

W pobliżu chaty myśliwskiej dostrzec można małe domki zdominowane rozmiarem górującego nad nimi szczytu, które wyglądają tak, jakby tuliły się do siebie, by się ogrzać. To nasze kwatery – jedna na parę – ale na

posiłki będziemy się zbierać w przestronnym, położonym w samym centrum głównym budynku. Nie licząc „highlandzkiej kolacji” pierwszego wieczoru – prezentacji lokalnych produktów sezonowych – będziemy sami dla siebie gotować. Zobowiązali się zrobić dla nas zakupy. Z wyprzedzeniem wysłałam im długą listę produktów – świeże trufle, foie gras, ostrygi. Mam w planach prawdziwą sylwestrową ucztę, na którą bardzo się cieszę. Jedzenie jednoczy ludzi, prawda?

Ta część podróży jest wyjątkowo spektakularna. Po jednej stronie mamy morze i co jakiś czas pociąg gwałtownie zmienia kierunek, przez co można odnieść wrażenie, że wystarczy jeden fałszywy ruch, byśmy wypadli z torów wprost do wody. Woda jest stalowoszara i groźna. Owce na polu na klifie tulą się do siebie dla ciepła. Słychać wiatr: od czasu do czasu odbija się od szyb, potrząsając pociągiem.

Wszyscy chyba śpią, nawet małą Priya. Giles wręcz chrapie.

„Patrzcie – mam ochotę wołać – patrzcie, jak pięknie!” Zaplanowałam tę wycieczkę, więc w pewnym sensie czuję się za nią odpowiedzialna i martwię się, czy wszyscy będą się dobrze bawić, czy wszystko się uda. Ale towarzyszy temu także poczucie dumy z małych sukcesów tego wyjazdu – na przykład dzikiego piękna przyrody za szybą.

Nie dziwi mnie, że śpią. Wstaliśmy bladym świtem, żeby zdążyć na pociąg – Miranda była z tego szczególnie niezadowolona. A potem wszyscy zaczęli pić. Mark, Giles i Julien zrobili zakupy w pociągowym barku z alkoholem w okolicach Doncaster, mimo że była dopiero jedenasta. Upili się na wesoło, zrobili czuli i głośni (pasażerowie siedzący obok nas nie wyglądali na szczęśliwych). Jakimś sposobem, bez względu na to, ile czasu minęło, odkąd ostatnio się widzieli, łatwo odżywa w nich dawna swoboda i przyjaźń, zwłaszcza jeśli mogą sobie pomóc kilkoma piwami.

Nick i jego amerykański chłopak imieniem Bo nie należą do tego męskiego klubu, ponieważ Nick nie był jego częścią w Oksfordzie... choć Katie kiedyś wspominała, że jest w tym coś więcej, jakies

niewypowiedziane, homofobiczne uprzedzenia. Nick jest przede wszystkim przyjacielem Katie. Czasem mam wyraźne wrażenie, że nieszczególnie za nami przepada i że toleruje nas tylko i wyłącznie ze względu na nią. Zawsze wyczuwałam pewien chłód pomiędzy Nickiem i Mirandą, pewnie dlatego, że oboje mają takie silne charaktery. A mimo to dziś rano zachowywali się jak para najbliższych przyjaciół i ramię w ramię przemaszerowali przez halę dworca, aby kupić „prowiant” na podróż. Okazało się, że była nim doskonale schłodzona butelka Sancerre, którą Nick wyciągnął z torby termicznej, wzbudzając tym nieco zazdrosne spojrzenia pijących piwo.

– Chciał kupić kilka puszek gotowego ginu z tonikiem, ale mu na to nie pozwoliłam – oznajmiła nam Miranda. – Musimy zacząć z klasą, jeśli tak mamy skończyć.

Miranda, Nick, Bo i ja napiliśmy się trochę wina. Nawet Samira postanowiła się skusić:

– Istnieją nowe badania, dowodzące, że jednak w trakcie karmienia można pić.

Katie na początku pokręciła głową – miała ze sobą butelkę wody gazowanej.

– Daj spokój, Katie – prosiła ją Miranda, uśmiechając się ujmująco i podając jej kieliszek. – Mamy wolne! – Trudno czegokolwiek odmówić Mirandzie, kiedy próbuje cię do czegoś przekonać, więc Katie oczywiście wzięła wino i upiła niewielki łyczek.

Alkohol pomógł nieco rozluźnić atmosferę. Kiedy wsiedliśmy do pociągu, wynikło małe zamieszanie z biletami. Wszyscy byli zmęczeni, zdenerwowani i choć starali się zaradzić sytuacji, słabo im to wychodziło. Okazało się, że jedno z dziewięciu miejsc na zrobionej przeze mnie rezerwacji w jakiś sposób znalazło się w innym wagonie. Pociąg, jak to przed sylwestrem, był wypełniony po ostatni fotel i nie mieliśmy możliwości dokonać żadnej zamiany.

– Wiadomo, że to pojedyncze jest moje – powiedziała Katie. Jest w naszej grupie tak zwanym piątym kołem u wozu, bo nie ma partnera. Można by wręcz powiedzieć, że ostatnimi czasy stała się większym intruzem niż ja.

– Och, Katie – powiedziałam. – Bardzo cię przepraszam. Jestem idiotką. Nie wiem, jak to się stało. Byłam przekonana, że zarezerwowałam wszystkie miejsca właśnie po to, żeby nas nie rozdzielono. To musiał być jakiś błąd w systemie. Chodź, usiądź ze wszystkimi, a ja się przeniosę.

– Nie – odpowiedziała, niezręcznie ściągając swoją walizkę z półki nad głowami pasażerów usadowionych na swoich miejscach. – To przecież bez sensu. Nie przeszkadza mi to.

Ton jej głosu sugerował co innego. *Na litość boską, pomyślałam, przecież to tylko podróż pociągami. Czy to ma aż takie znaczenie?*

Pozostałe osiem siedzeń, zwróconych do siebie, znajdowało się wokół dwóch stoliczków w środkowej części wagonu. Zaraz za nami siedziała starsza kobieta oraz nastolatek z licznymi kolczykami na twarzy. Podróżowali oddzielnie. Już myślałam, że nie uda się nam nic zrobić, gdy Miranda nachyliła się do kobiety, zarzucając kurtynę swoich złotych blond włosów, i włączyła swój powalający urok. Widziałam, że staruszka jest nią oczarowana: urodą, wyrazistym, arystokratycznym akcentem. Miranda, kiedy zechce, potrafi roztoczyć wokół siebie prawdziwie magiczną aurę. Każdy, kto ją zna, kiedyś tego doświadczył.

Oczywiście pasażerka przesiadła się bez słowa sprzeciwu, mówiąc nawet, że w sąsiednim wagonie na pewno będzie ciszej.

– Bawcie się, młodzi. – Choć żadne z nas nie jest już takie młode. – Zresztą i tak wolę siedzieć przodem do kierunku jazdy.

– Dzięki, Mando – powiedziała Katie, przelotnie się uśmiechając. (Ton jej głosu zdradzał wdzięczność, ale mina mówiła co innego). Katie i Miranda są najlepszymi przyjaciółkami sprzed lat. Wiem, że ostatnimi czasy nie widywały się tak często: Miranda mówi, że Katie ma dużo pracy. A ponieważ życie Samiry i Gilesa kręci się teraz wokół dziecka, Miranda i ja spędzamy ze sobą zdecydowanie więcej czasu. Chodzimy na zakupy i na drinka. Umawiamy się na plotki. Zaczęłam nabierać poczucia, że

wreszcie mnie postrzega jako prawdziwą przyjaciółkę, a nie tylko dziewczynę Marka, która pojawiła się w ich grupie niemal dekadę później niż pozostali.

Katie zawsze stała wyżej niż ja. Ona i Miranda są ze sobą bardzo zżyte. Do tego stopnia, że bardziej traktują się jak siostry niż przyjaciółki. W przeszłości czułam się wykluczona przez tę bliskość i historię. Nie pozostawiały miejsca na żadną nową więź. W głębi ducha jestem więc z tego wszystkiego bardzo zadowolona.

Bardzo chcę, żeby przez najbliższych kilka dni wszyscy dobrze się bawili i żeby wspólny wypad okazał się wielkim sukcesem. Sylwestrowy wyjazd to w tym gronie poważna sprawa. Wyjeżdżali razem co roku, na długo zanim się wśród nich pojawiłam. I chyba w pewnym sensie organizacja tego wyjazdu jest desperacką próbą udowodnienia, że naprawdę jestem jedną z nich. Próbą powiedzenia im, że w końcu powinni mnie uznać za pełnoprawną członkinię ich paczki. Ktoś mógłby pomyśleć, że trzy lata – bo tyle właśnie minęło, odkąd Mark i ja zaczęliśmy się spotykać – by na to wystarczyły. Ale nie. Ich przyjaźń sięga zamierzchłych czasów – studiów na Oksfordzie.

To nie takie proste – każdy, kto kiedykolwiek znalazł się w podobnej sytuacji, na pewno wie, jak to jest na samym końcu dołączyć do grupy starych znajomych. Mam wrażenie, że zawsze już będę tą nową, bez względu na to, ile upłynie lat. Zawsze będę tą ostatnią, intruzem.

Raz jeszcze spoglądam na broszurę, którą mam na kolanach. Może ten tak starannie zaplanowany wyjazd coś zmieni. Udowodni, że jestem jedną z nich. Nie mogę się doczekać.

[2] Wielofunkcyjny pawilon letni w ogrodach Serpentine Gallery w Londynie, służący jako scena i kawiarnia, zmienia się co roku i za każdym razem projektowany jest przez innego

światowej klasy architekta. Propozycja konstrukcji pawilonu jest wielkim wyróżnieniem dla twórcy.

[3] Munro – jeden z 283 szczytów w Szkocji, przekraczających wysokość 3000 stóp (914,4 metra). Ich listę sporządził w 1891 roku sir Thomas Munro.

KATIE

W końcu dojechaliśmy na miejsce. A mimo to czuję nagłą tęsknotę za miastem. Mogłabym być nawet przy swoim biurku w pracy. Stacyjka w Loch Corrin jest wręcz śmiesznie mała. To właściwie sam peron, za którym znajduje się pokryte stalową szarością zbocze góry, której szczyt niknie w chmurach. Znak z logo kolei państwowych wygląda jak żart. Peron pokrywa cienka warstwa białego śniegu, na którym nie ma ani jednego odcisku buta. Myślę o śniegu w Londynie – o tym, jak robi się brudny niemal zaraz po tym, jak spadnie na ziemię, zdeptany przez tysiące stóp. To doskonały dowód na to, jak daleko od miasta się zapuściliśmy – nikt tędy nie chodzi i nikt tu nie odśnieża. Chyba nie jesteśmy już w Kansas, Toto[4]. Pokonaliśmy pociągiem nieskończone kilometry dzikich krajobrazów. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem mijaliśmy jakieś zabudowania, nim tu dojechaliśmy, o człowieku nie wspominając.

Energicznym krokiem idziemy po zamrożonym peronie – spod warstwy śniegu przebija lód – za maleńki budynek stacji. Wygląda na całkowicie opuszczony. Zastanawiam się, jak często używana jest poczekalnia, oznaczona szyldem, w której środku widać półki z książkami. Mijamy małe pomieszczenie za brudną szybą – to kasa biletowa albo maleńkie biuro. Zaglądam do środka zafascynowana pomysłem posiadania biura pośrodku niczego i podskakuję złęknioma, gdy zdaję sobie sprawę, że w środku ktoś siedzi. Widzę tylko jego sylwetkę: zgarbione, szerokie ramiona, a potem przelotny błysk obserwujących nas oczu.

– O co chodzi? – Giles, który idzie przede mną, odwraca się. Pewnie jęknęłam z zaskoczenia.

– Ktoś tam siedzi – szepczę. – Zawiadowca czy ktoś. Przestraszyłam się. Giles zerka przez szybę.

– Masz rację. – Udaje, że ściąga kapelusz ze swojej łysej głowy. – Uszanowanko! – mówi z szerokim uśmiechem i nietutejszym akcentem. Giles to największy śmieszek z naszej grupy – uroczy, ale czasem do przesady dziecinny.

– Zamieniłeś się w Irlandczyka, durniu? – komentuje Samira z czułością. Tych dwoje wszystko robi z czułością. Bycie singielką nigdy nie przeszkadza mi tak bardzo jak w ich towarzystwie.

Mężczyzna w kasie początkowo nie odpowiada. A potem powoli podnosi rękę jakby na powitanie.

Czeka na nas land rover. Jest ochlapany błotem, to jeden ze starszych modeli. Widzę, jak otwierają się drzwi i wysiada z niego wysoki mężczyzna.

– To pewnie łowczy – mówi Emma. – W mailu było napisane, że nas odbierze.

Na oko nie wygląda na łowczego. Choć właściwie nie wiem, co sobie wyobrażałam. Chyba przede wszystkim myślałam, że będzie stary. A ten jest prawdopodobnie w naszym wieku. Jest też dobrze zbudowany – jego wzrost i muskularne ramiona pasują do kogoś, kto spędza dużo czasu wśród przyrody – i ma nieokiełznane ciemne włosy. Kiedy wita nas niskim, burkliwym głosem, wyłapuję w nim coś niepewnego, jakby rzadko rozmawiał z ludźmi.

Widzę, jak mierzy nas wzrokiem. Chyba nie podoba mu się to, co widzi. Czy widzę na jego ustach zarozumiały uśmieszek, gdy zauważy nienagannie czystą kurtkę od Barbour, którą ma na sobie Nick, huntery Samiry i kołnierz ze sztucznego futra Mirandy? Jeśli tak, to kto wie, co pomyśli o moich miastowych ciuchach i walizce na kółkach. Byłam taka rozkojarzona, że kompletnie nie myślałam o tym, co pakuję.

Widzę, jak Julien, Bo i Mark próbują pomóc mu z bagażami, ale łowczy każe się im odsunąć. Obok niego wyglądają jak pierwszoklasiści na

rozpoczęciu roku szkolnego. Założę się, że wiedzą, jak wypadają w porównaniu.

– Chyba trzeba będzie obrócić dwa razy – mówi Giles. – Nie zabierzemy się wszyscy razem.

Łowczy unosi brwi.

– Jak chcecie.

– Niech dziewczyny jadą pierwsze – mówi Mark, zgrywając rycerza. – My zostaniemy. – Czekam, kuląc się w sobie z zażenowania już na samą myśl, aż puści jakiś żart, że Nick i Bo to też dziewczyny. Na szczęście albo nie przyszło mu to do głowy, albo zdołał utrzymać język za zębami. Wszyscy staramy się wzorowo zachowywać.

Już od dawna nigdzie razem nie wyjechaliśmy – chyba od poprzedniego sylwestra. Zawsze zapominam, jak to jest. Tak szybko i z taką łatwością wpadamy w nasze stare role, te, które zawsze w tej grupie odgrywaliśmy. Przy Mirandzie i Samirze, moich dawnych współlokatorkach, dwóch ekstrawertyczkach w grupie, ja jestem tą cichą. Cofam się. Wszyscy to robimy. Jestem pewna, że Giles, ordynator, nie jest aż takim śmieszkiem na oddziale ratunkowym. Wsiadamy do land rovera. Czuję tu zapach mokrej sierści i ziemi. Wyobrażam sobie, że tak właśnie pachniałby łowczy, gdybym się do niego zbliżyła. Miranda siada z przodu, obok niego. Od czasu do czasu dolatuje mnie woń jej perfum, ciężka i dymna, która dziwnie miesza się z ziemistością. Tylko jej coś takiego może ująć na sucho. Odwracam się, żeby wciągnąć w płuca świeże powietrze wpadające do środka przez okno.

Po jednej stronie strome zbocze góry wpada do jeziora. Po drugiej, choć nie jest jeszcze całkiem ciemno, znajduje się nieprzenikniony czarny las. Droga to tak naprawdę pełna dziur, szutrowa ścieżka, więc jeden fałszywy ruch i stoczmy się do wody lub rozbijemy o pnie. Jedziemy przed siebie, podskakując na nierównościach, aż nagle ostro hamujemy. Rzuca nami do przodu i z powrotem na oparcia.

– Kurwa! – krzyczy Miranda, a Priya, która była taka spokojna przez całą podróż pociągiem, zaczyna płakać w objęciach Samiry.

Na drodze, w światłach auta, stoi jeleni. Musiał wyłonić się z cienia drzew, zanim ktorekolwiek z nas go zauważyło. Pokażna głowa wydaje się niemal za duża jak na smukłe, rudawe ciało i zwieńczona jest rozległym porożem, które jednocześnie wygląda majestatycznie i śmiertelnie niebezpiecznie. W światłach samochodu jego oczy błyszczą dziwną zielenią, jak nie z tej planety. W końcu przestaje na nas patrzeć i chowa się z niespieszną gracją pomiędzy drzewami. Kładę dłoń na piersi, czując, jak szybko łomocze mi serce.

– O rany – mówi Miranda na bezdechu. – Co to było?

Łowczy odwraca się do nas i z kamienną twarzą mówi:

– Jeleni.

– Ale... – odzywa się nieco zdezorientowana Miranda, co jest dla niej nietypowe – jakiego rodzaju jeleni?

– Szlachetny – odpowiada łowczy. – Jeleni szlachetny. – Znow rusza. Rozmowa skończona.

Miranda odwraca się do nas i bezgłośnie mówi:

– Ciacho, nie? – Samira i Emma kiwają głowami. Po chwili na głos Miranda pyta: – Nie sądzisz, Katie? – Nachyla się i odrobinę za mocno szturcha mnie w ramię.

– Nie wiem – odpowiadam. Patrzę na beznamiętną minę łowczego w lusterku wstecznym. Czy się domyślił, że o nim rozmawiamy? Jeśli tak, to w żaden sposób nie daje tego po sobie poznać, ale mimo to czuję się zażenowana.

– Ale zawsze miałaś dziwny gust co do facetów, Katie – dorzuca Miranda, śmiejąc się.

Miranda nigdy nie lubiła moich chłopaków. Co zabawne, zwykle z wzajemnością – często musiałam ją przed nimi bronić.

– Mam wrażenie, że specjalnie wybierasz sobie takich aniołków, żeby ci mówili, że mam diabła za skórą – powiedziała kiedyś. Ale Miranda jest moją najstarszą przyjaciółką. A nasza przyjaźń zawsze trwała dłużej niż jakiegokolwiek związku – przynajmniej w moim wypadku. Miranda i Julien są ze sobą od studiów.

Nie wiedziałam, co myśleć o Julienie, kiedy pojawił się w naszym gronie pod koniec pierwszego roku. Miranda też nie. Był inny od chłopaków, z którymi spotykała się wcześniej. Fakt, miała tylko dwóch do porównania – obu wiele brakowało do ideału, nie dorównywali jej urodą i nie byli aż tacy towarzyscy. Sprawiali wrażenie, jakby tkwili w stanie permanentnego niedowierzania, że zostali przez nią wybrani. Ale Miranda zawsze lubiła życiowe sierotki, którymi mogłaby się zająć.

Julien wydawał się więc zbyt oczywisty, jeśli wziąć pod uwagę jej miłość do cherlaków i przybłąd. Był zbyt arogancko przystojny, zbyt pewny siebie. Sama tak powiedziała, nie ja.

– Jest taki arogancki. Nie mogę się doczekać, kiedy znów spuszczę go po brzytwie. – Zastanawiałam się, czy naprawdę nie dostrzega tego, jak idealnie się dobrali pod względem pewności siebie i arogancji.

Julien próbował dalej. A ona za każdym razem go odrzucała. Podchodził, żeby z nami – z nią – porozmawiać w pubie. Albo „przez przypadek” wpadał na nią po wykładzie. Albo jak gdyby nigdy nic wpadał do baru w świetlicy pierwszego rocznika, niby żeby spotkać się ze znajomymi, ale większość czasu spędzał przy naszym stoliku i zalecał się do Mirandy z żenującą bezpośredniością.

Później przekonałam się, że kiedy Julien bardzo czegoś pragnie, to nie pozwoli, by cokolwiek stanęło mu na drodze. A pragnął Mirandy. Bardzo.

Ostateczne pogodziła się z rzeczywistością: ona też go pragnęła. Czy można się jej dziwić? Był wtedy piękny, zresztą nadal jest, może nawet bardziej, bo życie odarło go nieco z tej idealności, gładkości. Zastanawiam się, czy jest biologicznie możliwe, by nie pragnąć kogoś takiego jak Julien, a przynajmniej w sensie fizycznym.

Pamiętam, jak Miranda przedstawiła nas sobie na letnim balu uniwersyteckim – kiedy w końcu zostali parą. Oczywiście doskonale wiedziałam, kim on jest. Byłam świadkiem całej tej telenoweli: tego, jak uganiał się za Mirandą, jak ona go odrzucała, jak on cały czas się starał – aż w końcu ona poddała się temu, co nieuniknione. Wiedziałam o nim tyle rzeczy. Na jakim był wydziale, jaki kierunek studiował, to, że jest jednym

z najlepszych zawodników rugby w uczelnianej drużynie. Wiedziałam o nim tyle, że niemal zapomniałam, że on nie będzie miał pojęcia, kim jestem. Więc kiedy pocałował mnie w policzek i powiedział z powagą „Miło cię poznać, Katie” (bardzo grzecznie, mimo że był pijany), miałam wrażenie, że to jeden wielki żart.

Kiedy pierwszy raz został u nas na noc – na drugim roku Miranda, Samira i ja mieszkaliśmy razem – wpadłam na niego, kiedy wychodził z naszej łazienki przepasany ręcznikiem. Tak bardzo się starałam zachowywać normalnie i nie patrzeć na nagą płaszczyznę jego torsu ani jego szerokie, dobrze umięśnione ramiona lśniąca od wody, że wypaliłam:

– Cześć, Julien.

Miałam wrażenie, że nieco mocniej zaciska ręcznik wokół talii.

– Cześć. – Ściągnął brwi. – O rany... strasznie mi głupio, ale nie pamiętam, jak masz na imię.

Dostrzegłam swój błąd. On kompletnie zapomniał, kim jestem, i pewnie w ogóle nie pamiętał, że się poznaliśmy.

– Aha – odparłam, wyciągając do niego rękę. – Jestem Katie.

Nie podał mi ręki i zdałam sobie sprawę, że znów zachowałam się nie tak – zbyt formalnie, zbyt dziwnie. Ale jego zachowanie mogło też wynikać z faktu, że jedną ręką przytrzymał ręcznik, a w drugiej miał szczoteczkę.

– Przepraszam. – Po chwili uśmiechnął się do mnie czarująco, litując się nade mną. – No to co zrobiłaś, Katie?

Utkwiłam w nim wzrok.

– To znaczy?

Roześmiał się.

– Jak w tej książce – odparł. – *Co zrobiła Katie*. Zawsze ją lubiłem. Choć chłopcy chyba nie powinni. – Po raz drugi rzucił mi ten swój uśmiech i nagle pomyślałam sobie, że chyba wiem, co widzi w nim Miranda.

W tym właśnie sęk, jeśli chodzi o ludzi takich jak Julien. W amerykańskiej komedii romantycznej ktoś tak przystojny jak on zostałby

przedstawiony jako drań, który później idzie po rozum do głowy i pokutuje za grzechy. Miranda byłaby wredną szkolną królową z „mrocznym sekretem”. A ja, myszowata panna nikt – byłabym tą życzliwą, bystrą, godną politowania bohaterką, która ostatecznie uratowałaby sytuację. Ale prawdziwe życie tak nie wygląda. Ludzie tacy jak oni nie muszą być niemili. Dlaczego mieliby utrudniać sobie życie? Mogą sobie pozwolić na to, by okazać swoją czarującą osobowość. A osoby takie jak ja, myszowate panny nikt, nie zawsze okazują się pozytywnymi postaciami. Czasem mamy swoje własne mroczne sekrety.

Światła dnia zostało już bardzo niewiele. Jedyne, co widać, to czarna otchłań drzew po obu stronach drogi. Ciemność sprawia, że wydają się gęstsze i bliższe, prawie jakby na nas napierały. Jeśli nie liczyć warkotu silnika land rovera, nie słycać żadnych odgłosów. Może drzewa tłumią też dźwięki.

Siedząca na przednim siedzeniu Miranda wypytuje łowczego o dostęp do posiadłości. Miejsce jest naprawdę odosobnione.

– Znajdujemy się o godzinę jazdy od głównej drogi – informuje mężczyzna. – Przy dobrej pogodzie.

– *Godzinę?* – powtarza Samira. Rzuca nerwowe spojrzenia na Priyę, która wpatruje się w szarzejący krajobraz, a w jej wielkich oczach odbija się błysk mającego między drzewami księżyca.

Wyglądam przez tylną szybę. Widzę jedynie tunel drzew zawężający się do czarnego punktu w oddali.

– Ale jeśli widoczność jest kiepska, a warunki złe, to ponad godzinę – mówi łowczy. Czy jemu to sprawia przyjemność?

Potrzebuję godzinę, żeby dojechać do mojej mamy w Surrey. To jakieś dziewięćdziesiąt pięć kilometrów od Londynu. Niewiarygodne, że miejsce takie jak to w ogóle znajduje się w Zjednoczonym Królestwie. Zawsze wydawało mi się, że ta mała wysepka, którą nazywamy domem, jest znacznie przeludniona. A sądząc po tym, co mój ojczym wygaduje

o imigrantach, wkrótce zatoniemy pod ciężarem wszystkich ciał, które się tu znajdują.

– Czasem o tej porze roku w ogóle nie da się korzystać z dróg – mówi łowczy. – Na przykład, kiedy napada śniegu. Heather na pewno napisała o tym w mailu.

Emma kiwa głową.

– Zgadza się.

– To znaczy? – W głosie Samiry pobrzmiewa teraz wyraźna obawa. – Nie będziemy w stanie wyjechać?

– Jest taka możliwość – odpowiada łowczy. – Jeśli spadnie dużo śniegu, szutrówka staje się nieprzejezdna. Nawet na zimowych oponach. Zazwyczaj Corrin jest odcięte od świata przez kilka tygodni w roku.

– Może być całkiem miło – szybko mówi Emma, może po to, żeby powstrzymać kolejne, zaniepokojone pytania Samiry. – Ekscytująco. A zamówiłam tyle jedzenia...

– I wina – wtrąca się Miranda.

– I wina – zgadza się z nią Emma – że jeśli zajdzie taka potrzeba, wystarczy nam na kilka tygodni. Naprawdę zaszalałam. Zaplanowałam dla nas wielką sylwestrową ucztę.

Nikt jej właściwie nie słucha. Wszystkie chyba rozmyślały o miejscu, w którym spędzimy kolejnych kilka dni, z zupełnie nowej perspektywy. Bo w izolacji i w świadomości, że jesteśmy daleko od wszystkiego, naprawdę jest coś niepokojącego.

– A stacja kolejowa? – pyta triumfalnym tonem Miranda, jakby wpadła na coś, co nikomu nie przyszło do głowy. – Pociąg na pewno się tu zatrzymuje.

Łowczy rzuca jej szybkie spojrzenie. Rzeczywiście, jest całkiem atrakcyjny. A raczej mógłby być, gdyby nie udręczony wyraz jego oczu.

– Pociągi nie jeżdżą przy metrze śniegu. Nie zatrzymają się tu.

I ot tak krajobraz wokół nas, choć tak przepastny, nagle zdaje się kurczyć.

[4] Słowa Dorotki z *Czarnoksiężnika z krainy Oz* – przyp. red.

DOUG

Gdyby nie goście, to miejsce byłoby idealne. Ale bez nich nie miałyby pracy.

Starął się jak mógł, by nie patrzeć na nich pogardliwie, gdy odbierał ich ze stacji. Ta zgraja śmierdzi pieniędzmi – jak wszyscy, którzy tu przyjeżdżają. Gdy zaczęli zbliżać się do chaty myśliwskiej, niższy, ciemnowłosy mężczyzna – Jethro? Joshua? – odwrócił się do niego jak to facet do faceta, pokazując swój lśniący srebrny telefon.

– Szukam Wi-Fi – powiedział. – Ale nie mogę niczego złapać. Wiem, że 3G jest nieosiągalne. Do tego trzeba mieć sygnał... Ale powinienem już łapać jakąś sieć. A może trzeba być bliżej chaty myśliwskiej?

Powiedział mężczyźnie, że nie włączają Wi-Fi, chyba że ktoś wyraźnie o to poprosi.

– Czasem można złapać sygnał, ale trzeba wspiąć się tam. – Pokazał na zbocze Munro.

Mężczyzna zrobił rozczarowaną minę. Przez moment wyglądał niemal na przerażonego.

– Na pewno przetrwasz kilka dni bez internetu, skarbie – szybko powiedziała jego żona. Wszelkie dalsze protesty stłumiła pocałunkiem z języczkiem. Doug odwrócił wzrok.

Ta sama kobieta, Miranda – ta piękna – siedziała z nim z przodu land rovera, kierując kolana w jego stronę. Bez powodu położyła dłoń na jego ramieniu, kiedy wsiadała do samochodu. Czuł zapach jej intensywnych, dymnych perfum za każdym razem, gdy odwracała się, by coś do niego powiedzieć. Prawie zapomniał o istnieniu takich kobiet: zawiłych,

zalotnych, takich, które muszą uwieść każdego, kto stanie im na drodze. Niebezpiecznych w bardzo konkretny sposób. Heather jest zupełnie inna. Czy ona w ogóle używa perfum? Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek je poczuł. Ale z pewnością nie nosi makijażu. Ma typ urody, który wygląda lepiej bez żadnych upiększeń. Doug lubi jej twarz w kształcie serca i ciemne oczy elegancko obramowane brwiami. Ktoś, kto nie spędził czasu z Heather, mógłby pomyśleć, że jest nieskomplikowaną kobietą, on jednak uważa inaczej – w jej wypadku cicha woda brzegi rwie. Słyszał, że mieszkała wcześniej w Edynburgu i że miała tam porządną pracę, choć nie zna szczegółów. Nie próbował dowiedzieć się więcej. Możliwe, że musiałyby wtedy wyjawić więcej o sobie.

Heather jest dobrym człowiekiem, on nie. Zanim się tu znalazł, zrobił coś strasznego. Właściwie to więcej niż raz. Osobę taką jak ona należy chronić przed kimś takim jak on.

Goście znajdują się teraz pod opieką Heather i dla Douga to ulga. Nie było mu łatwo ukryć, jak bardzo ich nie lubi. Ciemnowłosa mężczyzna – Julien, tak miał właśnie na imię – to typowy przykład ludzi, którzy przyjeżdżają tu na wypoczynek. Śpiących na pieniądzach, rozpuszczonych, pragnących dziczy, ale jednocześnie oczekujących hotelowych luksusów. Uświadomienie sobie, na co tak naprawdę się zgodzili – odosobnienie, prostotę, bezcenne piękno otoczenia – zawsze zajmuje im trochę czasu. Często przechodzą pewne nawrócenie, dają się uwieść temu miejscu i nie można się im dziwić. Ale on wie, że go nie rozumieją, nie we właściwy sposób. Myślą, że żyją wśród natury w swoich pięknych domkach, w łóżkach z kolumnami, z kominkami, ogrzewaniem podłogowym i pieprzoną *sauną*, do której mogą się udać, jeśli naprawdę chcą się wysilić. A ci, których zabiera na polowanie na jelenie, nagle zaczynają się zachowywać jak DiCaprio w *Zjawie* i chcą walczyć z naturą na śmierć i życie. Nie zdają sobie sprawy, jak bardzo im wszystko ułatwił, wykonując najtrudniejszą pracę samodzielnie: obserwując zachowania stada, tropiąc je

i śledząc... żeby jedyną rzeczą, jaką muszą zrobić, było naciśnięcie przeklętego spustu.

Czasem nie umieją nawet oddać samego strzału. Jeśli strzelą nie tak, jak trzeba, mogą sprawić, że zwierzę przez wiele dni będzie przechodzić potworne męczarnie. Na przykład nieprecyzyjny strzał w głowę (zawsze celują w głowę, mimo że Doug mówi im, żeby *nigdy* tego nie robili, za łatwo spudłować) może złamać zwierzęciu szczękę i spowodować, że będzie konać w bólu, nie mogąc jeść i powoli wykrwawiając się na śmierć. Doug jest więc po to, by dokończyć sprawę celnym strzałem, prosto w mostek, by mieszcuchy mogły wrócić do domu jako myśliwi i bohaterowie. Szczycić się odebraniem życia. Chrztem krwi. Czymś, co można zamieścić na Facebooku lub Instagramie – selfie, na których wymazani są posoką i uśmiechają się jak obłąkani.

Zabił – w dodatku nie raz. I nie tylko zwierzęta. Wie doskonale, że nie jest to rzecz, którą należy się chwalić. To mroczne miejsce, z którego nie da się właściwie wrócić. Za pierwszym razem coś to z tobą robi. Gdzieś głęboko w duszy zachodzi poważna zmiana, amputacja czegoś ważnego. Pierwszy raz jest najgorszy, ale z każdą następną ofiarą duszy zadawane są kolejne rany. Po jakimś czasie zostają już tylko same blizny.

Jest tu na tyle długo, by umieć określić wszystkie typy gości, i zna się teraz na nich równie dobrze, co na dzikiej zwierzynie. Nie wie, którego rodzaju nienawidzi bardziej: tych spragnionych dzikiej przyrody, którzy myślą, że w ciągu kilku krótkich dni spędzonych w luksusie staną się jednym z naturą; czy drugiego rodzaju – tych, którzy tego nie rozumieją, którzy myślą, że zostali oszukani... a nawet gorzej, ograbieni. Zapominają, jakie miejsce wynajęli. Robią problem ze wszystkim, co odbiega od standardu miejsc, do których są przyzwyczajeni, z zamkniętymi basenami i restauracjami wyróżnionymi gwiazdkami Michelina. Zwykle, w opinii Douga, to ci mają ze sobą najwięcej problemów. Wystarczy zabrać im wszystko, czym mogą rozproszyć uwagę, i proszę, w ciszy i samotności doganiają ich demony, które dotąd udawało im się trzymać pod kontrolą.

W przypadku Douga jest inaczej. Jego demony zawsze z nim są, bez względu na to, gdzie przebywa. Przynajmniej teraz ma przestrzeń, którą może przemierzać. To miejsce przyciągnęło go z zupełnie innych powodów niż tutejszych gości. Oni przyjeżdżają, by podziwiać jego piękno – on jest tu dla jego wrogości, czystej brutalności przyrody. Teraz, w środku długiej zimy, jest najbardziej bezwzględna. Kilka tygodni temu zobaczył na górze lisa skradającego się po śniegu z zasuszonymi zwłokami jakiegoś stworzenia w zębach. Jego futro było przerzedzone i szorstkie, wystawały mu żebra. Kiedy lis go zauważył, nie od razu zerwał się do ucieczki. Przez moment patrzył się na niego z wrogością, prowokując go, by spróbował odebrać mu pożywienie. Poczul z nim pewne powinowactwo, silniejsze poczucie utożsamienia niż z jakimkolwiek człowiekiem w ostatnim czasie. Trwanie, istnienie – tylko tyle. Nie „życie”. To słowo jest dla tych, którzy w każdym dniu szukają rozrywek, przyjemności, pocieszenia.

Miał szczęście, że dostał tę pracę, jest tego świadomy. Nie tylko dlatego, że to mu pasuje, że pasuje jego stanowi umysłu, jego pragnieniu, by znaleźć się od reszty ludzkości tak daleko, jak to tylko możliwe. Ale również dlatego, że istniało duże prawdopodobieństwo, że nikt inny by go nie przyjął. Nie z jego przeszłością. Mężczyzna, którego wyznaczono, aby przeprowadził z nim rozmowę wstępną, spojrzawszy na jego dokumenty, wzruszył ramionami i powiedział:

– Przynajmniej nie będziesz miał problemów z radzeniem sobie z kłusownikami. Postaraj się tylko nie zaatakować żadnych gości. – I wtedy uśmiechnął się, żeby pokazać, że żartuje. – Myślę, że doskonale nadajesz się do tej pracy.

To było wszystko. Nie musiał nawet próbować się wytłumaczyć albo usprawiedliwić – choć właściwie usprawiedliwienie nie istniało. Napad gwałtownego szału? Nie do końca: doskonale wiedział, co robi.

Kiedy teraz myśli o tamtej nocy, właściwie nic nie wydaje mu się prawdziwe. Ma poczucie, że widział to w telewizji, jak gdyby oglądał swoje własne czyny z dużej odległości. Pamięta jednak złość, to, jaki ból wywołała w jego piersi, a potem chwilową ulgę. Tę głupią, uśmiechniętą

twarz. A potem dźwięk tego, jak coś roztrzaskuje się na kawałki. Czy to było w jego głowie? Wrażenie, jakby wyzwalał się ze schematów normalnego zachowania i uciekał w sferę zwierzęcą. Jego palce zaciskające się na plastycznym ciele. Mocniej, coraz mocniej, jak gdyby było czymś, co z brutalną siłą próbował uformować w nowy, przyjemniejszy kształt. Uśmiech w końcu zniknął. Na moment ogarnęło go poczucie chorej satysfakcji, nim pojawił się wstyd.

Tak, po czymś takim nie byłoby łatwo dostać jakąkolwiek pracę.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Zwłoki. Wpatruję się w Douga.

Nie, nie. To niemożliwe. Nie tutaj. To mój azyl, moje miejsce ucieczki. Nie mogę mieć z czymś takim do czynienia, nie mogę, po prostu nie mogę... Zbierając wszystkie swoje siły, zatrzymuję zalew myśli. Możesz, Heather. Bo tak naprawdę nie masz wyboru.

Oczywiście dopuszczałam taką możliwość. Była nawet całkiem prawdopodobna, jeśli wziąć pod uwagę czas zaginięcia (minęły ponad dwadzieścia cztery godziny) i tutejsze warunki. Nawet dla kogoś, kto zna okolicę i ma umiejętności survivalowe, byłoby to wyzwaniem. Ale poszukiwana osoba, z tego, co mi wiadomo, ich nie posiadała. A wraz z upływem kolejnych godzin, bez żadnego znaku życia, szanse spadały.

Kiedy tylko dowiedzieliśmy się o zaginięciu, zadzwoniliśmy po pogotowie górskie. Nie na taką odpowiedź liczyłam.

– W tej chwili wygląda na to – powiedziała dyspozytorka – że w ogóle nie będziemy mogli się do was dostać.

– Ale musi być jakiś sposób...

– Warunki są zbyt trudne. Już od dawna nie widzieliśmy takich opadów śniegu. Są rzadko spotykane nawet tutaj. Widoczność jest tak słaba, że nie wylądowalibyśmy helikopterem.

– Czyli musimy sobie radzić sami? – Wypowiadając te słowa, zrozumiałam ich pełne znaczenie. Znikąd pomocy. Poczułam, jak wszystko wywraca mi się w żołądku.

Po drugiej stronie słuchawki nastąpiła długa cisza. Mogłam niemal usłyszeć, jak dyspozytorka zastanawia się nad najważniejszą odpowiedzią.

– Tylko do czasu, aż ustaną opady śniegu – powiedziała w końcu. – Kiedy tylko wróci widoczność, spróbujemy się do was dostać.

– Potrzebujemy czegoś więcej niż „spróbujemy” – odpowiedziałam.

– Rozumiem panią i ruszymy z pomocą tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Mamy inne osoby w podobnej sytuacji: cała grupa wspinaczy utknęła na Ben Nevisie, i kolejne zdarzenie w okolicy Fort William. Proszę powiedzieć dokładnie, na czym polega problem, żebyśmy mieli wszystkie potrzebne szczegóły.

– Zaginiona osoba była widziana po raz ostatni tutaj, w chacie myśliwskiej – wyjaśniłam – wczoraj, około czwartej nad ranem.

– Jak wielki jest otaczający teren?

– Teren posiadłości? – Zaczęłam szukać w myślach liczby, którą przyswoiłam podczas swoich pierwszych tygodni tutaj. – Nieco ponad dwadzieścia tysięcy hektarów.

Kobieta głośno westchnęła do słuchawki. Potem nastąpiło długie milczenie, tak długie, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie zerwało połączenia i czy śnieg nie pozbawił nas ostatniego sposobu komunikacji z zewnętrznym światem.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – Dwadzieścia tysięcy hektarów. Cóż. Wyślemy tam kogoś tak szybko, jak to możliwe. – Jej ton się jednak zmienił: było w nim więcej niepewności. Słyszałam jej pytanie tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedziała je na głos: *Nawet jeśli do was dotrzemy, to jak możemy mieć pewność, że znajdziemy kogoś w takiej głuszy?*

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny staraliśmy się przeszukać jak największy zakres terenu. Nie było łatwo przy tak uporczywych opadach śniegu. Mieszkam tutaj dopiero od roku i po raz pierwszy zostałam tu odcięta przez śnieg. Jesteśmy chyba jednym z nielicznych miejsc na terenie

Zjednoczonego Królestwa – nie licząc kilku niezamieszkanymi wysp – gdzie surowa pogoda może całkowicie wstrzymać dojazd służb ratunkowych. Zawsze ostrzegamy gości, że istnieje możliwość, iż przy niekorzystnych warunkach nie będą w stanie stąd wyjechać. Mamy nawet specjalną klauzulę o rezygnacji z roszczeń, którą muszą podpisać. A mimo to wciąż trudno im przyswoić fakt, że nikt się tu nie dostanie. Ani stąd nie wydobędzie. A w takiej właśnie sytuacji się teraz znajdujemy. Wszystko zapchał śnieg – jazda samochodem jest niemożliwa nawet na zimowych oponach albo z łańcuchami – więc wszelkich poszukiwań dokonywaliśmy pieszo. Robiliśmy to sami z Dougiem. Padam z wyczerpania – zarówno psychicznego, jak i fizycznego. Nie mamy do pomocy Iaina, który przyjeżdża tu prawie codziennie i wykonuje różne prace na terenie posiadłości. Pojechał spędzić sylwestra z rodziną. Kobieta z pogotowia górskiego przynajmniej udzieliła nam kilku przydatnych rad. Zasugerowała, żebyśmy najpierw sprawdzili miejsca, w których można się schronić. Doug i ja przeszukaliśmy każdą możliwą kryjówkę na okolicznym terenie, mimo że mróz szczypał nas w policzki, a śnieg na każdym kroku hamował nasze postępy, aż zrobiłam się taka zmęczona, że poczułam się, jakbym była pijana.

Poszłam przez śnieg na stację kolejową, co zajęło mi całe trzy godziny. Podobno zaginiona osoba planowała złapać pociąg z powrotem do Londynu.

– Zaginął jeden z naszych gości – poinformowałam Aleca, zawiadowcę. To masywny mężczyzna o posępnej minie i nisko spuszczonej brwiach. – Przeszukaliśmy całą posiadłość. – Podałam mu rysopis.

– Niemożliwe, żeby ktoś odjechał stąd pociągiem, prawda? – Wiedziałam, że to nedorzeczne pytanie, ale musiałam je zadać.

Alec roześmiał mi się w twarz.

– Pociąg? Oszalałaś, dziewczyno? Nawet gdyby nie pogoda, w Nowy Rok nic nie jedzie.

– Ale może kogoś widziałeś...

– Żywej duszy – odpowiedział. – Nikogo, odkąd kilka dni temu przyjechała tamta grupka. Zauważyłbym, gdyby ktoś tu się kręcił.

– A mogę się rozejrzeć?

Szeroko rozpostarł ręce w geście sarkastycznego zaproszenia.

– Proszę bardzo.

Miejsc do przeszukania nie było zbyt wiele: poczekalnia, mały schowek woźnego, który najprawdopodobniej był kiedyś toaletą. No i budka biletowa, do której wnętrza mogłam zajrzeć przez szybę: mała, wyłożona papierami klitka, z której przez otwór na pieniądze i bilety wydostawał się słodkawy i nieco zgniły zapach. Róg biurka ozdabiały trzy zgniecione puszki po napojach. Widziałam tu kiedyś Iaina, jak pali razem z Alecem. Iain często jeździł pociągiem po zakupy. Pewnie się zżyli, nawet jeśli tylko z grzeczności.

Za budką biletową znajdowały się drzwi, a za nimi schody.

– Prowadzą do mojego mieszkania – powiedział Alec z wyraźnym lokalnym akcentem. – Prywatnej kwatery – dodał, naciskając na ostatnie słowo.

– Chyba... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Dwa pokoje – powiedział. – I kibelek. Raczej bym wiedział, gdyby ktoś się tam schował. – Nieco podniósł głos i stanął, odgradzając mnie od drzwi. Był zbyt blisko. Czułam od niego zatechły pot.

– Masz rację – odpowiedziałam, nagle bardzo pragnąc stamtąd pójść. – Oczywiście.

Kiedy ruszyłam w drogę powrotną, odwróciłam się tylko raz i zobaczyłam, że Alec odprowadza mnie wzrokiem.

Przez te wszystkie godziny poszukiwań Doug i ja niczego nie znaleźliśmy. Ani jednego śladu buta, ani jednego pasma włosów. Jedyne tropami, na jakie się natknęliśmy, były małe i wyraźne odciski racic pozostawione przez stado jeleni. Wychodziło na to, że gość nie ruszał się, odkąd zaczął padać śnieg.

W jednym miejscu posiadłości, przy bramie wjazdowej, znajduje się kamera monitoringu. Szef kazał ją zamontować, żeby odstraszać i jednocześnie namierzać kłusowników. Czasem, co frustrujące, obraz się urywa. Ale tym razem nic nie przepadło: od poprzedniego wieczoru – sylwestra – po Nowy Rok, kiedy zgłoszono zaginięcie jednego z gości. Przejrzałam ziarniste nagranie, szukając jakiegoś pojazdu. Gdyby nasz gość jakimś cudem odjechał taksówką – a nawet ruszył tędy piechotą – mielibyśmy na to dowody. Ale nic z tego. Na filmie zobaczyłam jedynie, jak zaczyna padać, a widoczna na ekranie droga zostaje zasnuta warstwą bieli.

Nawet jeśli znalezienie zwłok wydawało się możliwe, potwierdzenie, że je znaleziono, jest czymś znacznie gorszym.

Doug przeczesuje dłonią mokre od śniegu włosy, które zaczęły wpadać mu do oczu. Widzę, że jego dłoń – cała jego ręka, on cały – się trzęsie. To dziwne zobaczyć mężczyznę takiego jak on – twardziela o sylwetce zawodnika rugby, w takim stanie. Jest byłym żołnierzem piechoty morskiej, więc na pewno widział niejedną śmierć. Ja, w mojej dawnej pracy, też. Wiem, że to cię nigdy nie opuszcza – ten związany z nią egzystencjalny strach. Zresztą być tym, kto znajduje czyjeś ciało – to zupełnie co innego.

– Powinnaś ze mną pójść i to zobaczyć – mówi. – Zobaczyć ciało.

– Czy to konieczne? – Nie chcę, żeby to było konieczne. Nie chcę widzieć. Przebyłam taką długą drogę, aby uniknąć śmierci. – Może zaczekamy, aż przyjedzie policja?

– Nie – odpowiada. – Nie dotrą tu jeszcze przez jakiś czas. A myślę, że powinnaś to jak najszybciej zobaczyć.

– Po co? – pytam. Słyszę, jak to brzmi. Jakbym była przewrażliwiona.

– Po to.... – Przejeżdża dłonią po twarzy, pociągając dolne powieki i na moment zamieniając ją w makabryczną maskę. – Po to... żebyś zobaczyła, jak wyglądają zwłoki. Nie sądzę, żeby to był wypadek.

Krew zamarza mi w żyłach i nie ma to nic wspólnego z pogodą.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, śnieg nadal pada tak gęsto, że widoczność sięga tylko kilku kroków. Jezioro jest niemal niewidoczne. Włożyłam na siebie ubranie, które w tym miejscu jest właściwie moim plenerowym uniformem: obszerną puchówkę, w której wyglądam jak ludzik Michelin, buty górskie i czerwoną czapkę. Idę za Dougiem, próbując nadążyć za jego długimi krokami, co nie jest proste – on ma sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a jak tylko ciut ponad metr pięćdziesiąt. W którymś momencie się potykam, na co Doug chwyta mnie swoją wielką, odzianą w rękawicę ręką i stawia na nogi, jakbym była dzieckiem. Nawet przez puchowy rękaw kurtki czuję siłę zacisku jego palców.

Myślę o gościach, którzy siedzą w swoich domkach. Bezczyenne czekanie musi być dla nich straszne. Musiałam zabronić im udziału w poszukiwaniach, bo mogłoby się to skończyć kolejnym zaginięciem. W obecnych warunkach nikt nie powinien przebywać na zewnątrz. Ludzie umierają w takiej pogodzie jak ta: „zagrożenie życia”, głosiły komunikaty ostrzegawcze. Problem polega na tym, że dla większości naszych gości miejsce takie jak to jest obce niczym inna planeta. Ci ludzie wiedzą beztroskie życie, w którym czują się niezwyciężeni. Tak bardzo przywykli do tej niewidzialnej sieci bezpieczeństwa, którą otoczona jest ich codzienność – łączności, szybko reagujących służb ratunkowych, wytycznych na temat zdrowia i bezpieczeństwa – że zakładają jej obecność zawsze i wszędzie. Bez problemu podpisują klauzulę o rezygnacji z roszczeń, bo tak naprawdę się nad nią nie zastanawiają. Nie wierzą w nią. Nie spodziewają się, że przydarzy im się najgorsze. Gdyby naprawdę się nad tym wszystkim zastanowili, spróbowali *zrozumieć*, to pewnie w ogóle by tu nie zostali. Za bardzo by się bali. Kiedy dowiadujesz się, do jakiego stopnia odizolowane jest to miejsce, to uświadamiasz sobie, że tylko szaleńcy chcieliby tu mieszkać. Ludzie, którzy próbują od czegoś uciec lub którzy nie mają już nic do stracenia. Ludzie tacy jak ja.

Doug prowadzi mnie teraz na lewy brzeg jeziora, ku drzewom.

– Doug? – Zdaję sobie sprawę, że szepczę. To przez tutejszą ciszę, którą pogłębia śnieg. Ludzki głos wydaje się tu bardzo głośny. Można się poczuć tak, jakby było się pod obserwacją. Jak gdyby za gęstą ścianą drzew lub za tą wszechobecną bielą ktoś mógł cię podsłuchiwać. – Dlaczego uważasz, że to nie był wypadek?

– Zobaczysz, kiedy dotrzemy na miejsce – mówi. Nie odwraca się nawet, żeby na mnie spojrzeć, ani nie przestaje iść. Po chwili dodaje przez ramię: – Ja nie „uważam”, Heather. Ja wiem.

TRZY DNI WCZEŚNIEJ
30 GRUDNIA 2018 ROKU

MIRANDA

Oczywiście, że nawet nie zerknęłam na maila, którego przysłała Emma, z dołączoną broszurą. Nie potrafię z wyprzedzeniem ekscytować się żadnym wyjazdem – oglądanie zdjęć turkusowych mórz albo ośnieżonych szczytów gór mnie nie interesuje. Muszę *być* na miejscu, żeby cokolwiek poczuć, żeby wszystko stało się *prawdziwe*. Kiedy Emma wspomniała o chacie myśliwskiej, wyobrażałam sobie dom z historią, belki stropowe i kamienny fundament. Więc już sam budynek jest dla mnie niezłym zaskoczeniem. O kurczę. To modernistyczna konstrukcja ze szkła i metalu. Jak coś z *Czarnoksiężnika z Oz*. Wylewa się z niej światło. Wygląda w ciemności jak gigantyczna latarnia.

– Chryste! – mówi Julien, kiedy chłopaki w końcu podjeżdżają land roverem. – Szkaradztwo, nie? – To w jego stylu. Mimo całej swojej inteligencji Julien ma zero artystycznej wrażliwości. Należy do ludzi, którzy na wystawie Cy Twombly’ego mówią rzeczy w stylu „pięciolatek by coś takiego namalował”. Lubi mówić, że to dlatego, iż jest nieco „nieokrzesany”, a jego dzieciństwo było zbyt ponure, by rozwijać poczucie estetyki. Kiedyś wydawało mi się to czarujące. Był inny: podobała mi się jego chropawość w zestawieniu z tymi wszystkimi czyściutkimi chłopczykami z prywatnych szkół.

– Mnie się podoba – mówię. Naprawdę tak jest. Wygląda jak statek kosmiczny, który dopiero co dotknął brzegu jeziora.

– Mnie też – mówi Emma. Przewidywalna odpowiedź, nawet gdyby w głębi duszy uważała, że budynek jest paskudny. Czasem ją sprawdzam

i mówię absolutnie niedorzeczne rzeczy, niemal prowokując ją do tego, żeby mi zaprzeczyła. Nigdy tego nie robi – tak strasznie chce być lubiana. Mimo wszystko można na niej polegać – a Katie i Samira są ostatnio nieuchwytnie. Emma zawsze jest chętna na wyjście do kina, na zakupy albo na drinka. Mówię, gdzie się spotkamy albo co chcę robić, a ona zawsze się zgadza. Szczerze mówiąc, to miła odmiana – Katie jest tak zajęta pracą, że zawsze to ja musiałam jeździć do niej, do jakiegoś smutnego baru w dzielnicy finansowej, pełnego miejskich cwaniaczków, żebym mogła zyskać choć trzy minuty jej czasu.

Z Emmą jest trochę tak, jakbym miała młodszą siostrę. Czuję się, jakbym była dla niej wzorem. Daje mi to wręcz *rozkoszne* poczucie władzy. Ostatnim razem poszliśmy kupić nową bieliznę w Myla.

– Wybierzmy coś, na co Markowi opadnie szczęka – powiedziałam jej. Znalazłyśmy idealny zestaw: słodki, ale podniecający stanik, otwarte w kroku figi i pas do pończoch. Nagle wyobraziłam sobie, jak mówi Markowi, że to ja pomogłam jej wybrać ten zestaw. Poczulałam niespodziewane ukłucie podniecenia na myśl, że mógłby się dowiedzieć, że to wszystko moja zasługa. Mark mnie nie interesuje, nigdy nie interesował. To, że mu się podobam, zawsze miło łechtало moje ego – to fakt. Ale nigdy mnie to nie podniecało.

Ponieważ Katie jest wiecznie niedostępna, a Samira cały czas zajmuje się Priyą (ona ma obsesję na punkcie tego dziecka, wrzucanie do sieci aż tylu zdjęć musi świadczyć o jakimś zaburzeniu), dość często muszę zadowolić się towarzystwem Emmy. Ale to mój trzeci wybór.

Czekałam na to – na moment, kiedy nadrobimy zaległości w naszej grupie. Jest w tym pewne bezpieczeństwo – kiedy jesteśmy razem, popadamy w nasze stare role. Możemy nie widywać się miesiącami, a potem, kiedy znów znajdujemy się w swoim towarzystwie, wszystko wraca do tego, jak to było kiedyś, prawie jak gdy studiowaliśmy na Oksfordzie, za starych dobrych czasów. Osobą, z którą chcę spędzić najwięcej czasu, jest oczywiście Katie. Gdy zobaczyłam ją dziś rano na stacji w nowej fryzurze i w ubraniach, których nie rozpoznałam, dotarło do

mnie, ile czasu minęło, odkąd się ostatnio widziałyśmy... i jak bardzo za nią tęskniłam.

Wnętrze chaty myśliwskiej jest piękne, ale cieszę się, że będziemy tu przychodzić tylko na posiłki, a nie spać. Szkło podkreśla kontrast pomiędzy jasną przestrzenią a ciemnością tego, co nas otacza. Nagle zdaję sobie sprawę, jacy widoczni jesteśmy z zewnątrz – jak muchy w słoiku... albo aktorzy na scenie, zalani światłami reflektorów przed podziwiającą nas publicznością. Każdy mógłby się tu chować w ciemności i zaglądać do środka bez naszej wiedzy.

Na moment na powierzchnię wydobywa się stare, mroczne uczucie – wrażenie bycia obserwowaną. Przypominam samej sobie, że dookoła nas nie ma nikogo. Że jesteśmy tu praktycznie całkiem sami, jeśli nie liczyć łowczego i zarządczyni – Heather – która przysłała nas przywitać.

Heather, która wygląda na niewiele po trzydziestce, jest niska, dość ładna, choć wizyta u fryzjera i trochę makijażu całkiem by ją odmieniły. Zastanawiam się, co u licha ktoś taki jak ona robi w miejscu takim jak to. Bo ona tu mieszka i pokazuje nam swój domek położony bliżej drzew. Mieszkając tu na stałe, musi się pewnie czuć potwornie samotna. Ja dostałabym szału, gdybym do towarzystwa miała tylko swoje myśli. Czasem, kiedy jestem w domu, jednocześnie włączam telewizor i radio, żeby zagłuszyć ciszę.

– A wy – zwraca się do nas – zajmujecie wszystkie domki najbliższej chaty myśliwskiej. Pozostali goście zatrzymali się w domku po drugiej stronie jeziora.

– Pozostali goście? – pyta Emma. Zapada pełna napięcia cisza. – Jacy pozostali goście?

Heather kiwa głową.

– Para z Islandii. Przyjechali wczoraj.

Emma marszczy czoło.

– Nie rozumiem. Byłam przekonana, że mamy całe to miejsce dla siebie. Tak mi powiedziałaś, kiedy rozmawiałyśmy przez telefon.

Heather odchrząkuje.

– Obawiam się, że zaszło małe nieporozumienie. Wydawało mi się, że tak właśnie jest, kiedy rozmawiałyśmy. Mamy tu jeszcze kwaterę, zwaną samotnią, którą nie zawsze wynajmujemy. Nie wiedziałam, niestety, że mój kolega przyjął rezerwację, ale nie wprowadził jej do księgi meldunkowej.

Nastrój zdecydowanie się zmienia. Już sama fraza „pozostali goście” ma w swoim brzmieniu coś nieprzyjemnego, jakby ktoś obcy wkroczył na nasz teren. Gdybyśmy byli w hotelu, to co innego – spodziewalibyśmy się, że będą nas otaczać obcy ludzie. Ale myśl, że jacyś ludzie będą z nami na tym pustkowiu, nagle sprawia, że otaczająca nas dzicz wydaje się nieco przeludniona.

– Pojawią się dziś na highlandzkiej kolacji – powiedziała Heather przepraszającym tonem. – Ale samotnia ma swoją własną kuchnię, więc nie będą w ogóle korzystać z chaty myśliwskiej.

– Dzięki Bogu – mówi Giles.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Emma była taka wkurzona, jej dłonie zaciśnięte są w pięści, spuszczone przy bokach, a spod skóry wystają jej białe knykcie.

Za nami rozlega się gwałtowne *bum!* Wszyscy się odwracamy i widzimy, że Julien ma w ręce świeżo otwartą butelkę szampana, z której szyjki wydobywała się lekka mgiełka.

– Postanowiłem ożywić smętną atmosferę – mówi. Alkohol zaczyna się pienić u ujścia butelki i rozbryzguje na dywan u jego stóp. Bo podtyka mu kieliszek, żeby uratować bąbelki. – Może to będą całkiem fajni ludzie. I zechcą spędzić razem z nami sylwestra.

Nie wyobrażam sobie niczego gorszego niż to, że jacyś przypadkowi ludzie popsują naszą imprezę. Jestem przekonana, że Julien też nie, tylko próbuje zgrywać miłego faceta. Zawsze strasznie chce, by wszyscy go lubili, żeby wydawał się zabawny, żeby inni dobrze o nim myśleli. To chyba jedna z tych rzeczy, które sprawiły, że się w nim zakochałam.

Heather pomaga Emmie przynieść kieliszki z kuchni. Pozostali biorą je, znów się uśmiechając, czując podniosłość chwili stworzoną przez szampana. Czuję napływ ciepła. Jak dobrze znów ich wszystkich zobaczyć. Minęło zbyt wiele czasu. Nieczęsto się zdarza, żebyśmy wszyscy byli razem tak jak teraz. Samira i Katie stoją po obu moich stronach. Przytulam je do siebie.

– Trzy muszkietierki – szepczę. Trzon naszej grupy. Nie przeszkadza mi nawet, że Samira po cichu przeklina, bo mój uścisk zakołysał nią tak, że lekko ochlapała się szampanem.

Widzę, że Julien podaje Heather kieliszek, choć ona wyraźnie nie chce. Na litość boską. Wczoraj trochę się pokłóciliśmy, kupując szampana. Dwanaście butelek Dom Pérignon – ponad tysiąc funtów wydanych na alkohol.

– Dlaczego nie kupiłeś Möeta – zapytałam go. – Jak każdy normalny człowiek?

– Bo zaczęłabyś narzekać. Ostatnim razem powiedziałaś mi, że masz po nim bóle głowy, bo do standardowych marek daje się tyle cukru. Miranda Adams zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Przyganiał kocioł garnkowi. W przypadku Julienu zawsze musi być jakiś element przesady. Więcej ekstrawagancji, więcej gotówki. Głód, by mieć więcej, niż mu się należy... a jego praca w tym nie pomaga. W chwilach zwątpienia sypnij ekstra kasą – to dewiza Julienu na każdą sytuację. Dobra... jeśli mam być całkiem szczerą, moja też. Często żartuję, że wydobywamy z siebie nawzajem to, co najgorsze. Ale pewnie jest w tym więcej prawdy, niż mi się zdaje.

Pozwoliłam mu kupić tego przeklętego szampana. Wiem, że bardzo pragnie zapomnieć o tym, jak stresujący był ostatni rok.

Tak jak się spodziewałam, Heather nie pije. Pociągnęła maleńki łycalek z grzeczności i odstawiła kieliszek z powrotem na tacę. Podejrzewam, że jej zdaniem picie z gośćmi to brak profesjonalizmu, i zapewne ma rację. Więc dzięki „hojności” Julienu będziemy mieli jeden zmarnowany kieliszek skażony śliną obcej osoby.

Heather omawia ustalenia na najbliższe dni. Jutro idziemy polować na jelenie.

– Doug was zabierze. Przyjdzie po was wcześniej rano.

Doug. Jestem nim zafascynowana. Widziałam, że nie przypadliśmy mu do gustu. Widziałam także, że czuł się niezręcznie w moim towarzystwie. A taka wiedza to władza.

Giles pyta teraz Heather o jakieś szlaki piesze. Kobieta wyciąga mapę i rozkłada ją na stole.

– Macie wiele możliwości – mówi. – Wszystko zależy od tego, czego szukacie i jaki sprzęt ze sobą zabraliście. Niektórzy przyjeżdżają w pełnym rynsztunku: czekany, raki, karabińczyki.

– Yyy, to raczej nie dla nas – mówi Bo, uśmiechając się. Ma świętą rację

– Cóż, jeśli wolicie coś bardziej umiarkowanego, to wokół jeziora prowadzi ścieżka. Kilka kilometrów po płaskim. Po drodze natkniecie się na kilka wodospadów, nad którymi pociągnięte są mosty, więc szczególnie się nie zmęczycie. Praktycznie można pokonać tę trasę po ciemku. No i jest jeszcze jeden z Munro, który może was zainteresować, jeśli chcecie coś zaliczyć.

– To znaczy? – pyta Julien.

– Oj – odpowiada. – Chodzi mi o zaliczanie szczytów. Tak się mówi, kiedy się na jakiś wespnieasz. Kiedy go zdobędziesz.

– A, tak – odpowiada, szybko się uśmiechając. – Masz rację, wypadło mi z głowy. – Nieprawda. Ale Julien nie lubi wychodzić na głupka. Nawet jeśli nie jest wrażliwy na sztukę, pozory są dla mojego męża bardzo ważne. Twarz, którą prezentuje światu. Co inni ludzie o nim myślą. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

– Albo możecie wybrać kompromisowe rozwiązanie – ciągnie Heather. – Na przykład pójść szlakiem do starej chaty myśliwskiej.

– Starej? – dopytuje Bo.

– Tak. Pierwsza chata myśliwska, który tu stanęła, spłonęła prawie sto lat temu. Została niemal całkowicie zniszczona. Może nie ma czego podziwiać, ale miejsce stanowi dobry cel, a stamtąd roztaczają się piękne widoki na okolicę.

– Czy ktoś przeżył pożar? – pyta Giles.

– Nie – odpowiada Heather. – Pochłonął dwadzieścia cztery osoby. Nie przeżył nikt, prócz dwóch stajennych, którzy spali ze zwierzętami. Jedna ze starych stajni wciąż tam stoi, ale grozi zawaleniem. Nie powinniście się do niej zbliżać.

– I nikt nie wie, jak zaproszono ogień? – ciągnie temat Bo. Wszystkich nas zżera chorobliwa ciekawość, ale on wydaje się szczerze zaniepokojony i przerzuca wzrokiem na drewno płonące w kominku. Straszny z niego mieszcuch. Założę się, że z żywym ogniem ma do czynienia tylko wtedy, gdy pije szoty płonącej sambuki.

– Nie – odpowiada Heather. – Nie wiemy. Może ktoś nie dopilnował kominka. Ale istnieje pewna teoria... – Heather milknie na moment, jak gdyby nie była pewna, czy powinna kontynuować. – Niektórzy mówili, że zatrudniony tam łowczy doznał takiego psychicznego urazu podczas wojny, że podpalił budynek z premedytacją. Morderstwo i samobójstwo. Mówiono, że pożar było widać aż w Fort William. Minął cały dzień, zanim przyjechała pomoc... ale wtedy było już za późno.

– Ale jazda – mówi Mark i uśmiecha się szeroko.

Widzę, że Heather nie jest zachwycona jego uśmiechem. Pewnie zastanawia się, jak to możliwe, że kogoś bawi brutalna śmierć dwudziestu czterech osób. Trzeba dość dobrze znać Marka, żeby zrozumieć, że ma dosyć makabryczne – ale jednocześnie nieszkodliwe – poczucie humoru. Uczysz się mu to przebaczać. Tak jak nauczyliśmy się, że Giles – choć stara się zgrywać wielkiego luzaka – potrafi być dość oporny, gdy przychodzi do kupienia drugiej kolejki... Nie mówiąc już o Bo, który potrzebuje rano przynajmniej dwóch filiżanek kawy, żeby zacząć normalnie funkcjonować. Albo że Samira może się z pozoru wydawać miła i urocza, ale niech no tylko ktoś zajdzie jej za skórę... Tak to właśnie jest ze starymi przyjaciółmi.

Wiesz o nich te różne rzeczy i nauczyłeś się je akceptować. To klej, który trzyma nas razem. Jesteśmy trochę jak rodzina. Mamy tyle wspólnych wspomnień. I wiemy na swój temat wszystko.

Heather wyciąga podkładkę spod pachy, nagle wracając do interesów.

– Która z was to Emma Taylor? To z twojej karty została opłacona zaliczka.

– To ja. – Emma unosi rękę.

– Świetnie. Wszystkie zamówione składniki znajdują się w lodówce. Tu mam listę. Polędwica wołowa, ostrygi w muszlach – Iain przywiózł wszystko z Mallaig dziś rano – wędzony łosoś, wędzona makrela, kawior, cykoria, roquefort, orzechy włoskie, czekolada o stu procentowej zawartości kakao, czekolada o osiemdziesięciopięcioprocentowej zawartości kakao, jaja przepiórcze... – Na moment przerywa, by zrobić wdech. – Śmietana kremówka, ziemniaki, pomidory gałązkowe...

Chryste. Mój wkład w nasz pobyt nagle wydaje się dość skromny. Próbuję pochwycić wzrok Katie, by wymienić rozbawione spojrzenie. Ale nie widziałam jej od tak dawna, że jesteśmy nieco niesynchronizowane. Katie wygląda tylko przez wielkie okna, najwyraźniej pogrążona w swoich myślach.

EMMA

Sprawdzam listę. Mam wrażenie, że nie kupili właściwych pomidorów – nie są koktajlowe – ale pewnie dam sobie radę z tym, co mam. Mogło być gorzej. Jestem bardzo wybredna, jeśli chodzi o gotowanie: zainteresowałam się nim na studiach i od tamtej pory to moja wielka pasja.

– Dziękuję – mówi Heather, kiedy oddaję jej listę.

– Skąd wzięliście te wszystkie rzeczy? – pyta Bo. – W okolicy na pewno nie ma zbyt wielu sklepów.

– To prawda. Iain przywiózł większość produktów pociągiem z Inverness. Tak było łatwiej.

– Po co wam w ogóle stacja kolejowa? – pyta Giles. – Wiem, że tu wysiedliśmy, ale nie wysiada tu pewnie wiele innych osób?

– Masz rację – odpowiada. – Nigdy nie było ich tu zbyt wielu. Zabawna historia. Właściciel ziemski, szkocki *laird* z dziewiętnastego wieku, uparł się, by przedsięwzięcie kolejowe, które przyszło do niego z propozycją położenia torów na jego ziemi, zbudowało tu stację.

– Musiał się czuć, jakby miał swój prywatny peron – powiedział Nick.

Kobieta się uśmiecha.

– Tak i nie. Z powodu pewnych... niezamierzonych konsekwencji. Jesteśmy w regionie whisky. A w tamtym czasie w okolicy istniało wiele nielegalnych destylarni. Często dochodziło też do kradzieży z wielkich destylarni. Na przykład w dość niedalekiej odległości znajduje się rozlewnia Glencorin. Zanim pojawiła się kolej, okoliczni przemytnicy przewozili towar na wozach, które poruszały się powoli i istniało duże prawdopodobieństwo, że podczas podróży na południe zostaną zatrzymani przez władze. Ale gdy pojawiły się pociągi, sytuacja się zmieniła. Nagle byli w stanie przewieźć swoje produkty do Londynu w jeden dzień.

Legenda głosi, że opłacali niektórych zawiadowców, którzy przymykali oko na to i owo. Istnieją też pogłoski... – na moment milknie dla dramatycznego efektu – że sam laird był w to zamieszany i że planował to od dnia, w którym zażądał zbudowania stacji kolejowej. – Heather nachyla się w naszą stronę. – Jeśli jesteście zainteresowani, to na pobliskich terenach znajduje się wiele małych nielegalnych destylarni. Zaznaczyłam je na mapie. Odszukiwanie ich to moje hobby.

Widzę, jak Julien, który stoi za nią, przewraca oczami. Ale Nick jest zaintrygowany.

– Jak to? To znaczy, że nie wszystkie odnaleziono? Ile ich jest?

– Nie jesteśmy pewni. Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że znalazłam ostatnią, natrafiam na kolejną. Do tej pory naliczyliśmy piętnaście. Są sprytnie ukryte i tak naprawdę to kupa kamieni pokryta janowcem i wrzosem. Z daleka trudno je zauważyć. Wtapiają się w zbocze. Mogę wam kilka pokazać, jeśli chcecie.

– Bardzo chętnie – odzywa się Katie w tej samej chwili, w której Julien mówi, że nie ma takiej potrzeby. Następuje po tym niezręczne milczenie.

– Cóż – mówi Heather, grzecznie się uśmiechając, choć rzuca Julienowi spojrzenie ostre jak nóż. – Nie ma żadnego przymusu.

Odnoszę wrażenie, że może wcale nie być taka słodka i potulna, na jaką wygląda. I dobrze. Moim zdaniem Julienowi zbyt wiele uchodzi na sucho. Ludzie na dużo mu pozwalają, bo jest taki przystojny i ujmujący. Często z tego korzysta, zwłaszcza gdy powie coś szczególnie kontrowersyjnego lub okrutnego – tak, żeby natychmiast to złagodzić... sprawić, żeby wszyscy pomyśleli, że na pewno nie mówi poważnie.

Może się wydawać, że jestem zazdrosna. Ostatecznie Mark zawsze paple trzy po trzy i obraża ludzi, nawet gdy nie ma takiej intencji, śmiejąc się niestosownie albo puszczając niesmaczne żarty. Wiem, z kim większość ludzi wolałaby zjeść obiad. Ale Mark jest przynajmniej na swój sposób autentyczny – nawet jeśli czasem oznacza to, że jest autentycznie nudny (nie jestem ślepa na jego wady). Julienowi tak bardzo zależy na *pozorach*. Aż zastanawiam się, co ukrywa pod spodem.

Moje rozmyślania przerywa Bo.

– Niesamowite miejsce – mówi, rozglądając się dookoła. Ma rację. To najlepsza miejscówka ze wszystkich ostatnich sylwestrów. Czuję, jak po raz pierwszy tego dnia naprawdę zaczynam się rozluźniać i pozwalam sobie cieszyć się tym, że tu jestem, i czuć dumę z tego, jak dobrze się spisałam.

Stoimy w salonie: dwie wielkie, puchate sofy i kilka foteli, piękne, stare dywany, rozległy kominek, a przy nim stos świeżo porąbanego drewna.

– Używamy torfu na podpałkę – mówi Heather. – Daje przyjemny aromat.

Na górnych półkach znajdują się rzędy zabytkowych książek o szmaragdowych i czerwonych grzbietach ozdobionych złotem, a na niższych wszystkie kultowe gry: Monopol, Scrabble, Twister, Cluedo.

Na wewnętrznej ścianie – zewnętrzne w całości zrobione są ze szkła – wisi kilka głów jeleni. Cienie rzucone przez ich rogi są ogromne, jak gdyby to były konary starych, obumarłych drzew. Szklane oczy dają ten sam efekt co niektóre obrazy – zdają się za tobą podążać, gdziekolwiek byś poszedł, i nienawistnie mierzą cię wzrokiem. Widzę, jak Katie spogląda na nie i się wzdryga.

Można by pomyśleć, że modernistyczny styl budynku będzie kontrastował z przytulnym wnętrzem, ale jakimś cudem do siebie pasują. Zewnętrzne szkło sprawia wrażenie, jakby topniało, a bariera między nami a otaczającą nas naturą zdaje się znikać. Jakby można było przejść prosto z dywanu do wielkiego, srebrzącego się w wieczornym świetle jeziora, obramowanego czarnym lasem. Wygląda idealnie.

– No dobrze – mówi Heather. – Zostawię was teraz samych, żebyście mogli się rozgościć. Sami zdecydujcie, który domek komu pasuje najlepiej.

Zaczyna wychodzić, ale po chwili zatrzymuje się i odwraca na pięcie. Uderza się dłonią w czoło, robiąc przedstawienie ze swojej zapominalskości.

– To pewnie przez szampana – mówi, choć w ogóle w to nie wierzę. Wychyliła tylko dwa małe łyki. – Obowiązuje tu kilka bardzo istotnych zasad dotyczących bezpieczeństwa, które powinnam wam przekazać. – Jeśli planujecie spacer wykraczający poza naszą bezpośrednią okolicę – na

przykład dalej niż jezioro – musicie nas poinformować. Otoczenie może się wydawać niegroźne, ale o tej porze roku warunki pogodowe z godziny na godzinę, a czasem z minuty na minutę potrafią się diametralnie zmienić.

– W jaki sposób? – pyta Bo. Podobno przez pięć lat mieszkał w Nowym Jorku i tylko raz wybrał się za miasto, bo „nie chciał, żeby coś go ominęło”. Nie wygląda mi na entuzjastę natury.

– Burze śnieżne, nagła mgła, gwałtowny spadek temperatury. Ten krajobraz jest ekscytujący, ale również śmiertelnie niebezpieczny. Gdyby na przykład nagle przyszała burza, to chcemy wiedzieć, gdzie się wybraliście albo czy jesteście bezpieczni w swoich domkach. A poza tym – tu na jej twarzy pojawia się lekki grymas – w przeszłości mieliśmy mały problem z kłusownikami...

– Brzmi trochę wiktoriańsko – kwituje Julien.

Heather unosi brew.

– Nic bardziej mylnego. To nie są dawni, romantyczni bohaterowie z ludowych opowieści, którzy szukają jedzenia po domach. Mają ze sobą sprzęt myśliwski, używają czasem strzelb w ciągu dnia i mają na sobie najlepsze ubrania moro, jakie można dostać. Czasem kłusują nocą. Nie robią tego dla zabawy. Sprzedają mięso restauratorom na czarnym rynku albo rogi na eBayu i za granicą. Niemcy stanowią duży rynek. Mamy teraz przy głównej bramie wjazdowej kamery monitoringu, które bardzo pomogły, ale nie powstrzymały ich całkowicie.

– Powinniśmy się martwić? – pyta Samira.

– Nie – szybko odpowiada Heather, być może po raz pierwszy zdając sobie sprawę, jak to wszystko może brzmieć w uszach gości, którzy przyjechali zaznać nieco ciszy i spokoju szkockich Highlandów. – Absolutnie nie. Nie mieliśmy żadnych zająć z kłusownikami już od... jakiegoś czasu. Doug tego pilnuje. Chciałam tylko, żebyście byli tego świadomi. Jeśli na przyległych terenach zauważycie kogoś, kogo nie poznajecie, dajcie nam znać. I nie podchodźcie do nich.

Czuję, jak całe to ostrzeżenie nieco popsło atmosferę.

– Nie wznieśliśmy toastu za nasz przyjazd – mówię szybko, sięgając po swojego szampana. – Zdrowie! – Stukam w kieliszek Gilesa z nieco za dużą siłą, na co on odskakuje, by się nie ochlapać. Ale po chwili załapuje, co próbuję zrobić, odwraca się do Mirandy i robi to samo. Zdaje się działać – znajomy łańcuszek u wszystkich wywołuje uśmiech. Przypomina nam o tym, że świętujemy. Że dobrze – nie, wspaniale – tu być.

KATIE

Nie ma sensu, żebym zgłaszała jakiekolwiek preferencje co do domku, który chciałabym dostać. Jestem singielką w tej grupie i po cichu wszyscy zadecydowali, że należy mi się najmniejszy domek ze wszystkich. Pozostali negocjują między sobą, kto powinien gdzie się zatrzymać. Jeden z domków jest nieco większy od pozostałych i Samira – całkiem słusznie – uznaje, że ona i Giles powinni go zająć ze względu na Priyę. A Nick i Miranda oboje chcą ten z najlepszym widokiem na jezioro – przez moment podejrzewam, że Nick mówi tak tylko po to, żeby wkurzyć Mirandę, ale ostatecznie łaskawie się wycofuje. Wszyscy starają się wzorowo zachowywać.

– A teraz chodźmy na spacer – mówi Miranda, kiedy już wszystko ustaliliśmy. – Rozejrzyjmy się po okolicy.

– Ale jest całkowicie ciemno – mówi Samira.

– No to jeszcze lepiej. Możemy wziąć szampana nad jezioro.

Klasyczna Miranda. Każdej innej osobie wystarczyłoby siedzenie w salonie chaty myśliwskiej aż do kolacji, ale ona zawsze szuka przygód. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w moim życiu jakieś dwadzieścia lat temu, wszystko natychmiast stało się bardziej ekscytujące.

– Muszę położyć Priyę do łóżeczka – mówi Samira, zerkając na śpiące w nosidełku dziecko. – To już i tak późna dla niej pora.

– Jak chcesz – bezceremonialnie odpowiada Miranda, ledwie zerkając w stronę przyjaciółki.

Nie wiem, czy zauważa jej zranione spojrzenie. Przez znaczną część dzisiejszego dnia Miranda zachowywała się tak, jakby Priya była elementem zbędnego bagażu. Ze dwa lata temu Miranda często zaczynała zdania od „kiedy Julien i ja będziemy mieć dzieci...”. Ostatnio nie widzimy się zbyt często, więc nie jestem pewna, czy jej obojętność jest

szczera, czy to próba zamaskowania prawdziwego, osobistego cierpienia. Miranda zawsze była mistrzynią blefu.

Reszta z nas – w tym Giles – niechętnie wychodzi na zewnątrz. Samira rzuca mu niezadowolone spojrzenie, kierując się w stronę swojego domku – prawdopodobnie miał pomóc przy usypianiu dziecka. Nigdy nie widziałam, żeby się kłócili, ale teraz wyglądają, jakby mogli. Tworzą tak idealną parę – zgraną, szanującą się i kochającą – że aż mdli.

Idziemy, potykając się o nierówną ziemię, w stronę ścieżki prowadzącej nad wodę. Bo, Julien i Emma mają latarki, które znaleźliśmy w chacie myśliwskiej, do oświetlenia drogi. W ciepłym domu zapomniałam, jak surowy jest klimat na zewnątrz. Jest tak zimno, że mam wrażenie, iż skóra kurczy mi się na głowie. Ktoś łapie mnie za rękę, na co podryguję ze strachu, zanim zdaję sobie sprawę, że to Miranda.

– Cześć, nieznajoma – mówi. – Dobrze cię widzieć. Boże, jak ja się za tobą stęskniłam. – Bardzo nietypowe z jej strony, by przyznać coś takiego. I w dodatku mówi to w jakiś dziwny sposób. Zerkam na nią, ale jest za ciemno, żebym mogła zobaczyć jej twarz.

– Ja za tobą też – odpowiadam.

– Obcięłaś włosy, prawda? – Czuję, jak podnosi rękę i zaczyna bawić się pasmami wokół mojej twarzy. Staram się z całych sił, żeby od niej nie odskoczyć. Miranda zawsze lubiła wszystkich obłapiać, ja byłam pod tym względem jej całkowitym przeciwieństwem.

– Tak – odpowiadam. – Poszłam do salonu Daniela Galvina, tak jak mi radziłaś.

– Beze mnie?

– Ojej... nie pomyślałam. Niespodziewanie wykroiłam w ciągu dnia wolne dwie godziny. Wcześniej zamknęliśmy jedną ze spraw.

– No cóż – odpowiada. – Następnym razem daj mi znać. Zrobimy sobie z tego babską randkę. Mam wrażenie, jak gdybyś ostatnio zapadła się pod ziemię. – Obniża ton głosu. – Musiałam zadowolić się Emmą... Boże, Katie, ona jest taka miła, że doprowadza mnie do szału.

– Przepraszam – odpowiadam – ale mam nawał roboty w pracy. Wiesz, że staram się o to, by zostać partnerem w firmie.

– Ale chyba nie zawsze tak będzie, prawda?

– Nie – odpowiadam. – Nie sądzę.

– Ostatnio tak sobie myślałam... pamiętasz, jak kiedyś było? Gdy miałyśmy po dwadzieścia lat? Choćby się waliło i paliło, widywałyśmy się co tydzień. Nawet jeśli tylko po to, żeby pójść się upić w piątkowy wieczór.

Kiwam głową. Nie wiem jednak, czy to widzi.

– Tak – odpowiadam nieco ochrypłym głosem.

– O Boże, a pamiętasz ten nocny autobus? Jak obie zasnęłyśmy i pojechałyśmy aż do zajezdni... Kingston, dobrze pamiętam? Albo jak poszłyśmy do tego całodobowego Tesco, bo po którejś imprezie wymyśliłaś, że musisz zrobić w domu omlet? Upuściłaś karton jajek, które rozbryzgały się po całej podłodze, i zaczęłyśmy uciekać, choć obie byłyśmy w szpilkach. – Śmieje się, ale nagle przestaje. – Tęsknię za tym... za tym wariactwem. – Jej głos robi się sentymentalny. Dobrze, że nie widzę teraz jej miny.

– Ja też – odpowiadam.

– Proszę, proszę. – Julien odwraca się do nas. – Papużki nierozłączki. O czym tak plotkujecie?

– No? – wtóruje mu Giles. – Podzielcie się z resztą grupy!

– Dobra – szybko odpowiada Miranda i nachyla się do mnie. – Cieszę się, że mamy szansę nadrobić zaległości. Bardzo za tobą tęskniłam, Katie. – Lekko ściska mi ramię i po raz kolejny mam wrażenie, że słyszę, jak łamie się jej głos. Czuję przeszywające mnie poczucie winy: byłam złą przyjaciółką.

Ale wtedy szybko się zmienia i Miranda wyciąga spod kurtki nową butelkę szampana.

– Patrzcie, co mam! – krzyczy do pozostałych.

Rozlegają się okrzyki radości. Giles wykonuje zabawny taniec – jest jak mały chłopiec, który daje upust duszonej w środku energii. A to się wydaje strasznie zaraźliwe... nagle wszyscy zaczynają robić mnóstwo hałasu

i rozmawiać z podekscytowaniem, a nasze głosy niosą się echem po pustkowiu.

Wtedy Emma zatrzymuje się przed nami wpół kroku.

– Och! – wydaje z siebie z zaskoczeniem.

Widzę, co ją zatrzymało. Na pomoście, na który zmierzamy, stoi jakaś postać, której sylwetka zarysowuje się w świetle księżyca. Mężczyzna jest dość wysoki i stoi zaskakująco, wręcz nieludzko nieruchomo. Wydaje mi się, że to łowczy. Jest podobnego wzrostu. A może to jeden z gości, o których się przed chwilą dowiedzieliśmy?

Bo kieruje w stronę postaci latarkę i czekamy, aż mężczyzna się odwróci albo przynajmniej poruszy. I wtedy Bo zaczyna się śmiać. Teraz widzimy to, co on. To w ogóle nie jest człowiek. To figura mężczyzny w stylu rzeźby Antony'ego Gormleya, który w zamyśleniu patrzy przed siebie.

Wszyscy siadamy na pomoście i patrzymy na jezioro. Od czasu do czasu coś zaburza jego tafłę, mimo że wiatr jest bardzo słaby. Drobne fale wywoływane są przez coś pod spodem, a szklista powierzchnia strzeże tego sekretu.

Mimo szampana nagle wszyscy stają się nieco przygaszeni. Może to otaczająca nas nieograniczona przestrzeń – przepastne czarne szczyty wznoszące się w oddali, ogromna płaszczyzna nieba nad nami, wszechogarniająca cisza – skłoniły nas do milczenia.

Cisza nie jest jednak absolutna. Siedząc tam przez dłuższy czas, zaczyna się słyszeć inne dźwięki: szelesty i szurania w podszyciu leśnym, tajemnicze pluski z jeziora. Heather powiedziała nam, że żyją w nim wielkie pstrągi, czego dowodem jest monstrualny okaz na jednej ze ścian chaty myśliwskiej. Ogromne szczęki, ostre zęby, jak gdyby był przodkiem prehistorycznego stwora.

Słyszę szum wysokich szkockich sosen nad nami, które kołyszą się na wietrze, a od czasu do czasu ciche, głucho uderzenie, gdy podmuch wiatru strąci czapę zleżającego śniegu. Gdzieś, ale nie tak znów daleko, rozlega się

żałosne nawoływanie sowy. To tak rozpoznawalny, ale dziwny dźwięk, że trudno uwierzyć, że jest prawdziwy.

Giles próbuje mu odpowiedzieć:

– Hu-huuu, hu-huuu.

Wszyscy śmiejemy się posłusznie, ten dźwięk wywołuje lekki niepokój. Wołanie sowy, tak nietypowy dla mieszkańców miasta odgłos, podkreśla jedynie, jakie obca jest dla nas ta okolica.

– Nawet nie wiedziałem, że w Zjednoczonym Królestwie istnieją takie miejsca – mówi Bo, jakby czytał w moich myślach.

– Och, Bo – odpowiada Miranda – straszny z ciebie jankes. Mamy tu więcej niż Londyn i miasteczka jak z opakowań lotniskowych bombonierek.

– Nie wiedziałem, że zapuszczasz się dalej niż do obwodnicy M25, Mirando – mówi Nick.

– Hej! – Daje mu kuksańca w ramię. – Od czasu do czasu. Przed świętami byliśmy w Soho Farmhouse, prawda, Julien? Wiecie, w tym luksusowym kurorcie za miastem. – Wszyscy parskamy śmiechem, Miranda też. Ludzie myślą, że nie potrafi się z siebie śmiać, ale to nieprawda... pod warunkiem, że nie będzie przy tym szczególnie źle wyglądać.

– No, Mirando, otwieraj butelkę – mówi Bo.

– Właśnie... otwieraj, otwieraj – zaczyna krzyczeć Giles i wszyscy się do niego przyłączają... Właściwie nie można inaczej. W tym skandowaniu jest coś dziwnie plemiennego. Mam wrażenie, że przynależę do jakiejś pogańskiej sekty: to pewnie wpływ tajemniczego, pradawnego krajobrazu.

Miranda wstaje i strzela w stronę jeziora korkiem, który wywołuje serię drobnych fal, rozchodzących się po tafli wody szerokimi okręgami. Pijemy prosto z butelki, którą przekazujemy sobie jak grupa harcerzy, a zimny, mocno gazowany napój piecze nas w gardła.

– Jest jak w Oksfordzie – mówi Mark. – Gdy siedzieliśmy nad rzeką i upijaliśmy się po egzaminach końcowych o trzeciej po południu.

– Tylko że wtedy piliśmy cavę – mówi Miranda. – Chryste, wypiliśmy jej hektolitry. Jak to możliwe, że wtedy nie czuliśmy, iż smakuje jak rzygi?

– A pamiętacie tę imprezę, którą zorganizowałyście nad rzeką? – pyta Mark. – Wy dwie – pokazuje na mnie i Mirandę – i Samira.

– Tak – odpowiada Giles. – Jaki był motyw przewodni?

– Piękni i przekłęci – odpowiadam. Wszyscy musieli przyjść ubrani w stroje w stylu lat dwudziestych, żebyśmy mogli udawać, że jesteśmy śmietanką towarzyską z czasów Evelyn Waugh i jego przyjaciół. Boże, jacy my byliśmy pretensjonalni. Samo wspomnienie jest jak czytanie starego wpisu z pamiętnika – aż się wzdrygasz ze wstydu, ale też czujesz pewien sentyment. Bo to był naprawdę wspaniały, wręcz magiczny wieczór. Zapaliłyśmy świece i rozwiesiłyśmy lampiony wzdłuż brzegu. Wszyscy bardzo się postarali co do kostiumów i wszystkim było w nich do twarzy: dziewczyny miały na sobie sukienki à la chłopczyca, a chłopcy byli pod muszką. Miranda zachwycała najbardziej ze wszystkich, w długiej, metalicznej, kolumnowej sukience. Pamiętam chwilę całkowitej euforii, gdy w stanie alkoholowego upojenia rozglądałam się dookoła. Jak to się stało, że dawna ja skończyłam miejscu takim jak to? Mając tylu przyjaciół? A co ważniejsze, z tą dziewczyną – tak olśniewającą, tak promienną – jako swoją najlepszą przyjaciółką?

Kiedy idziemy z powrotem w stronę świateł chaty myśliwskiej i domków, zauważam kolejną rzeźbę, nieco po naszej lewej stronie, oświetloną przez światło dobiegające z sauny. Ta jest odwrócona plecami od jeziora i patrzy w naszą stronę. Wzbudza podobne zaskoczenie, co poprzednia – podejrzewam, że dokładnie taki jest ich cel.

Czuję prawdziwą ulgę, gdy zamykam się w swoim domku. Jak do tej pory spędziliśmy ze sobą nieprzerwanie osiem godzin. Mój domek znajduje się najdalej od chaty myśliwskiej, tuż za sauną z dachem pokrytym mchem. Jest też najmniejszy ze wszystkich. Żadna z tych rzeczy szczególnie mi nie przeszkadza. Zaczynam się rozpakowywać, choć nie wzięłam ze sobą wiele. Czuję na języku kwaśny posmak szampana, a niewielka ilość alkoholu ciąży mi teraz na żołądku. Przepijam go wodą. Następnie biorę

długą, gorącą kąpiel w wolnostojącej wannie, wykorzystując organiczny olejek do kąpieli, który był w łazience, delektując się relaksującym aromatem rozmarynu i geranium. W łazience znajduje się wysokie okno wychodzące na jezioro, choć widok w połowie zasłania dziki bluszcz jak z prerafaelickiego obrazu. Jest na tyle duże, że ktoś mógłby swobodnie zerknąć do środka i przez jakiś czas obserwować mnie w wannie, zanim bym go zauważyła – jeśli w ogóle. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy, zwłaszcza że w pobliżu nie ma właściwie nikogo, kto mógłby mnie podglądać, ale kiedy ta myśl pojawia się w mojej głowie, to nie mogę jej już sobie wybić. Zasłaniam widok kwadratową poszewką. W tym samym momencie zauważam swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Oświetlenie nie jest najlepsze, ale wydaje mi się, że wyglądam okropnie: blado, słabo, z podkrążonymi oczami.

Długo zastanawiałam się, czy w ogóle w tym roku przyjeżdżać. Udać, że nie zauważyłam maila od Emmy w skrzynce odbiorczej do chwili, aż będzie za późno, by załapać się na wspólny wypad. Nagła, buntownicza myśl: może sobie odpuszczyć? Mogłabym po prostu się tu zaszyć na kolejne trzy dni, a pozostali i tak zrobiliby tyle hałasu i zamieszania, że nie zauważyliby, że mnie zabrakło. Nick, Bo i Samira potrafią narobić niezłego rabanu, kiedy się rozkręcą, ale jedna Miranda jest w stanie zagłuszyć całą imprezę.

Oczywiście bardzo by pomogło to, że uchodzę za tę cichą. Obserwatorkę, która wtapia się w otoczenie. Taka była między nami dynamika, kiedy Miranda, Samira i ja mieszkaliśmy razem. One były artystkami, a ja ich publicznością.

Gdyby powiedzieć to wszystko ludziom, z którymi obecnie pracuję, podejrzewam, że byłiby zaskoczeni. Jestem jednym ze starszych prawników w kancelarii. Mam nadzieję, że niedługo zostanę partnerem. Ludzie słuchają tego, co mówię. Robię prezentacje, czuje się całkiem swobodnie, słuchając dźwięku swojego własnego głosu, który rozbrzmiewa w cichej sali konferencyjnej. Nawet lubię to uczucie... widok zwróconych w moją stronę twarzy, wsłuchujących się z uwagą w to, co mam do

powiedzenia. Wymagam szacunku. Zarządzam całym zespołem. I przekonałam się, że lubię przewodzić. Ale pewnie każdy z nas ma w sobie różne wersje siebie.

W tej grupie zawsze byłam na doczepkę. Ludzie z pewnością często się zastanawiali, co ktoś taki jak ja robi z kimś takim jak Miranda. Ale w przyjaźni, podobnie jak w miłości, przeciwieństwa często się przyciągają. Ekstrawertyczka i introwertyczka, jin i jang.

Łatwo byłoby nie polubić Mirandy. Bogowie obdarowali ją urodą i pieniędzmi. Ma niewiarygodną wręcz figurę, którą zwykle określa się jako „zły, nierealistyczny wzór dla młodych dziewczyn”, jak gdyby została obrobiona w Photoshopie. To w sumie niesprawiedliwe, że taki chudzielec ma piersi tego rozmiaru – czy one nie składają się głównie z tłuszczu? I te gęste, wkurzająco błyszczące blond włosy i zielone oczy... ludzie, którzy mają tak zielone oczy jak Miranda, zdają się nie istnieć w prawdziwym świecie. Jest osobą, o której z miejsca można by założyć, że jest suką. I nie ulega wątpliwości, że czasem nią bywa.

Sęk w tym, że choć od czasu do czasu zachowuje się despotycznie, Miranda potrafi być bardzo życzliwa. Kiedy na przykład sypało się małżeństwo moich rodziców i chciałam uciec przed domowymi awanturami, mogłam bez zapowiedzi przyjść spać do jej domu. Albo kiedy mój chłopak z szóstej klasy, Matt, bezceremonialnie rzucił mnie dla ładniejszej i bardziej lubianej Frei, Miranda nie tylko pozwoliła mi się wypłakać na swoim ramieniu, ale także rozpuściła plotkę, że Matt ma chlamydię. Albo kiedy nie było mnie stać na sukienkę na szkolny bal, nie robiąc z tego większej afery, dała mi jedną ze swoich: kolumnową, ze srebrnego jedwabiu.

Kiedy w którymś momencie podczas podróży pociągiem otworzyłam oczy, przyłapałam Mirandę na tym, że mi się przygląda. Te jej zielone oczy. Takie bystre, takie czujne. Lekkie ściągnięcie brwi, jakby ciężko się nad czymś zastanawiała. Udałam szybko, że znów zapadam w sen. Czasem

naprawdę wierzę, że Miranda zna mnie od tak dawna, że gdzieś po drodze nabyła umiejętność czytania mi w myślach, jeśli wystarczająco dobrze mi się przyjrzy.

Znamy się z Mirandą znacznie dłużej niż reszta grupy. Od podstawówki w Sussex. Dwie nowe uczennice. Pierwsza – gwiazda, spowita łuną, jaką dają pieniądze – została przeniesiona z prywatnej szkoły w okolicy, ponieważ jej rodzice chcieli, by „zmagać się z przeciwnościami” (i uważali też, że państwowa edukacja podniesie jej szanse na dostanie się do Oksfordu). Druga dziewczyna – o mysich włosach, za chuda jak na swój mundurek kupiony w przyszkolnym komisie. Gwiazda (która już po pierwszej lekcji osiąga szczyty popularności) lituje się nad nią i upiera się, żeby siedziały razem na szkolnym apelu. Postanawia się nią zająć, sprawić, by poczuła się przyjeta do grupy, mniej samotna.

Nigdy nie wiedziałam, dlaczego wybrała sobie mnie na najlepszą przyjaciółkę. Bo ona naprawdę mnie wybrała – ja miałam z tym niewiele wspólnego. Ale z drugiej strony ona zawsze lubiła nieprzewidywalne rzeczy, zawsze lubiła kwestionować wyobrażenia innych ludzi na swój temat. Nadal pamiętam, jak dziewczyny ustawiały się w kolejce, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Te włosy – takie jasne i lśniące, że wyglądały niemal jak sztuczne. Rzęsy tak długie, że raz dostała burę od nauczycielki za używanie tuszu – co za niesprawiedliwość! Prawdziwe piersi – w wieku dwunastu lat. Była dobra w sportach, bystra, ale nie za bardzo (choć w szkołach dla dziewczyn osiągnięcia akademickie nie są aż takim utrudnieniem jak w koedukacyjnych).

Inne dziewczyny nie mogły tego zrozumieć. Dlaczego zaprzyjaźniła się ze mną, skoro mogła mieć którąkolwiek z nich? Musiało w niej być coś dziwnego, skoro miała taki dziwny gust w kwestii ludzi. Mogła rządzić tą szkołą jak królowa. Ale z tego powodu – przez przyjaźń ze mną – nigdy nie osiągnęła popularności, jaka była w jej zasięgu. Chłopcom na imprezach, na które zaczęliśmy chodzić jako nastolatki, to jednak nie przeszkadzało. *Ja*

nigdy nie dostawałam zaproszeń do domów chłopców chodzących do szkoły na drugim końcu ulicy albo na imprezy na plaży. Miranda mogła mnie olać. Ale zabierała mnie ze sobą.

Kiedy o tym pomyślę, jest mi jeszcze bardziej wstyd. Tak samo czułam się, kiedy zostawałam na noc w jej pięknym edwardiańskim domu i kusił mnie, żeby zabrać sobie z niego jakieś małe trofeum. Coś małego, coś, czego braku nie zauważy: spinkę do włosów albo parę skarpetek obszytych koronką. Żebym miała coś ładnego, na co mogłabym patrzeć w mojej małej beżowej sypialni w naszym czteropokojowym szeregowcu, z plamami na ścianach i zepsutymi roletami.

Okolo dwudziestej słyszę pukanie do drzwi: na szczęście to Nick i Bo. Przez moment bałam się, że to Miranda. Nick i ja poznaliśmy się podczas pierwszego tygodnia studiów i przyjaźnimy się od tamtej pory. Był ze mną podczas wszystkich uniwersyteckich wlotów i upadków.

Wchodzą do środka i oglądają domek.

– Jest taki sam jak nasz – mówi Nick. – Tylko że twój jest trochę mniejszy. I dużo czystszy. Bo zawalił go już swoimi rzeczami.

– Hej – odpowiada na to Bo. – Ja nie podróżuję z trzema wersjami tego samego stroju.

To wcale nie jest przesada. Nick jest jednym z tych ludzi, którzy wymyślili sobie własny mundur: śnieżnobiała koszula, dzinsy z krawką i trzewiki do kostki. Może elegancki blezer i oczywiście zawsze jego charakterystyczne okulary w żółtawych oprawkach od Cutler and Gross. W jakiś sposób wszystko to mu pasuje. Wygląda w tych ciuchach stylowo i stanowczo, podczas gdy na innych prezentowałyby się nieco nudno.

Siadamy razem w miękkich fotelach stojących przy łóżku.

Bo pociąga nosem.

– Ale pięknie pachnie. Co to takiego?

– Wzięłam kąpiel.

– Podejrzywałem, że ten olejek z łazienki będzie niezły. Na niczym tu nie oszczędzają, prawda? Emma naprawdę przebiła wszystkich. To miejsce jest rewelacyjne.

– Tak – odpowiadam. – To prawda. – Nie brzmi to jednak tak entuzjastycznie, jak zamierzałam.

– Wszystko w porządku? – Nick szturcha mnie ramieniem. – Nie gniewaj się, że to powiem, ale wydajesz się trochę... nieswoja. Od samego rana. Wiesz, ta cała sytuacja w pociągu z miejscówką w innym wagonie to na pewno było nieporozumienie. Gdyby zrobiła to Miranda, to zupełnie co innego... – Unosi brew, spoglądając na Bo, który odpowiada skinieniem głowy. – W przypadku Emmy nie doszukiwałbym się drugiego dna. Nie sprawia wrażenia takiej osoby.

– Mimo wszystko wydaje mi się, że ona za mną nie przepada. – Emma jest taka przyzwoita. Wielokrotnie zastanawiałam się w przeszłości, czy może zauważyła we mnie coś, co się jej nie spodobało, i postanowiła się od tego odsunąć.

Bo marszczy czoło.

– Dlaczego tak myślisz?

– To chyba tylko takie przeczucie...

– Naprawdę, nie brałbym tego do siebie – mówi Nick.

– Nie biorę – odpowiadam. – Może chodzi o to, że tak dawno wszystkich nie widziałam. I nie powinnam pić w ciągu dnia, zawsze dziwnie się potem czuję. Zwłaszcza jeśli wcześniej nie zjadłam porządnego posiłku.

– Jasne – zgadza się ze mną Bo. Ale Nick nic nie mówi. Tylko na mnie patrzy.

Po chwili pyta:

– Czy jest coś jeszcze?

– Nie – odpowiadam.

– Na pewno?

Kiwam głową.

– No to chodź – mówi Nick. – Dodajmy ci energii tą kolacją. I mam nadzieję, że będą kobzy, dziczyzna i kilty, bo inaczej będę się domagał

zwrotu pieniędzy.

Nick, Bo i ja idziemy pod ramię do chaty myśliwskiej na highlandzką kolację. Nick pachnie jak zawsze cytrusami i odrobiną kadzidła. To taki znajomy, krzepiący zapach, że mam ochotę zakopać swoją twarz w jego ramieniu i powiedzieć mu, co mnie dręczy.

Na początku studiów nieco podkochiwałam się w Nicku Mansonie. Podobnie jak ponad połowa mojej grupy. Był piękny, ale na pewien nowy, dorosły sposób, który wyróżniał go spośród wszystkich pozostałych studentów pierwszego roku – wielu z nich wciąż obsypanych trądzikiem, niezdarnych, niepotrafiących rozmawiać z dziewczynami. Jego uroda miała w sobie coś wysublimowanego w porównaniu z na przykład wysportowaną sylwetką Juliena. Nick był jakby z innej planety i w sumie naprawdę tak było. Zdał międzynarodową maturę w Paryżu (jego rodzice byli dyplomatami), gdzie nauczył się też płynnie mówić po francusku i pokochał papierosy marki Gitanes. Nick śmieje się teraz z tego, jaki był pretensjonalny – ale większość studentów pierwszych lat studiów była taka w tamtych czasach... tylko że jego wersja wydawała się autentyczna, usprawiedliwiona.

Powiedział, że jest gejem, wybranej grupie przyjaciół w połowie naszego pierwszego roku. Nie było to dla nas szczególnym zaskoczeniem. Nie spotykał się z żadną dziewczyną, choć te rzucały się na niego z każdej strony, co pozostawiało pole do interpretacji. Postanowiłam tego nie dostrzegać, bo miałam własne wytłumaczenie jego pozornego celibatu: czekał na właściwą kobietę.

Nie będę udawać – jego coming out był dla mnie pewnego rodzaju ciosem. Moje zauroczenie posiadało intensywność, jaką zwykle mają żywione w tym wieku platoniczne uczucia. Ale z czasem nauczyłam się kochać go jako przyjaciela.

Kiedy poznał Bo, przepadł jak kamień w wodę. Nagle zaczęliśmy się rzadziej spotykać, rzadziej rozmawiać. Ciężko było nie mieć o to pretensji. O to, że Nick o mnie zapomniał – bo tak to wtedy odbierałam. I że Bo zajął moje miejsce. Bo też miał swoje problemy. Był uzależniony od narkotyków

albo jak sam twierdzi, nadal jest, tylko teraz już ich nie używa. Na kilka lat Nick stał się właściwie jego pełnoetatowym opiekunem. Podejrzewam, że Bo też za mną nie przepadał. Teraz jest chyba bardziej pewny siebie i ich związku... albo wszyscy po prostu trochę dorośliśmy. Ale mimo tego czasem mam poczucie, że za bardzo się staram wobec Bo. Za bardzo się przymilam. Jeśli mam być całkiem szczerą, nawet teraz mam wrażenie, że Bo za bardzo potrzebuje uwagi Nicka – to on jest powodem, dla którego Nick i ja nie jesteśmy już tak dobrymi przyjaciółmi jak kiedyś. Owszem, jesteśmy blisko. Ale nie tak, jak niegdyś.

Teraz jest jeszcze chłodniej, a nasze zmieszane oddechy tworzą chmury w powietrzu. Nad jeziorem wiszą wstęgi mgły, ale wokół nas powietrze jest przejrzyste i gdy spojrzę się w górę, można odnieść wrażenie, że chłód w jakiś sposób wyostrzył światła gwiazd. Gdy tak idziemy po ścieżce do chaty myśliwskiej, zerkam w stronę sauny, gdzie wcześniej widziałam drugą rzeźbę. I choć szukam jej w świetle dobiegającym z budynku, zakładając, że musi być skryta gdzieś w cieniu, nie mogę jej dostrzec. Rzeźba zniknęła.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Kiedy przedzieram się przez śnieg, próbując iść po wielkich śladach zostawionych przez Douga, myślę o pozostałych gościach, siedzących w niepewności w swoich domkach – oni jeszcze nie wiedzą.

Chyba że... odpycham od siebie tę myśl. Nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków. Ale jeśli Doug ma rację, dzieje się tu coś dużo bardziej podejrzanego. Nie ulegało wątpliwości, że między naszymi gośćmi zaszło coś złego. Doszło do jakiejś różnicy zdań – tak to właśnie określili, kiedy przyszli mi powiedzieć o zaginięciu.

Teraz, z perspektywy czasu, łatwo byłoby powiedzieć, że już trzy dni temu miałam co do nich złe przeczucia. Oczywiście nie spodziewałam się takiego obrotu zdarzeń. Ale już wtedy coś mnie tknęło.

Mój Jamie fascynował się teorią „gadziego mózgu”. Może miało to coś wspólnego z jego pracą. Stykał się z ludźmi na krawędzi, działającymi czysto instynktownie: ojciec, który wybiegł z płonącego budynku, zostawiwszy dzieci, lub wręcz przeciwnie, ojciec, który osłonił przed ogniem żonę i dziecko, ale sam doznał rozległych oparzeń trzeciego stopnia. Wszystko sprowadza się do ciała migdałowatego – maleńkiej grudki ukrytej pośród szarych komórek mózgu, która jest przyczyną wszystkich naszych instynktownych reakcji. To ona stoi za samolubnym pragnieniem, by sięgnąć po największe ciasteczko, zająć najwygodniejsze siedzenie. To ona daje ci znać o niebezpieczeństwie, zanim jeszcze staniesz się świadomy zagrożenia. Bez niej laboratoryjna mysz wbiegłaby prosto w paszczę kota.

Jamie uważał, że ludzie to właściwie ucywilizowane zwierzęta. Że podstawowe pragnienia i odruchy są ukryte pod lśniącą warstwą społecznego przystosowania – zduszone i kontrolowane. Ale w chwilach nawet umiarkowanego stresu wewnętrzne zwierzę próbuje się wyzwolić. Pewnego razu, gdy prawie już był w Edynburgu, jego pociąg stanął na cztery godziny z powodu awarii trakcji.

– Od razu było widać, którzy ludzie by cię zjedli – opowiadał później – gdybyśmy znaleźli się w jednej szalupie ratunkowej. Jakiś młody facet już po dwóch minutach walił w drzwi kabiny maszynisty, cały czerwony na twarzy. Był jak zwierzę w klatce. Patrzył na nas, jak gdyby tylko czekał na to, by ktoś kazał mu przestać... wtedy miałby wymówkę, żeby całkowicie stracić nad sobą panowanie.

Na tym to właśnie polega. Niektórzy ludzie, jeśli znajdą się pod odpowiednim ciśnieniem, wyciągnęci ze swojego zwyczajowego, wygodnego otoczenia, nie potrzebują zbyt wiele, by zamienić się w potwory. Czasem masz też silne przeczucie co do jakiejś osoby, którego nie potrafisz wytłumaczyć – po prostu wiesz o czymś gdzieś głęboko w środku. To też sprawka gadziego mózgu.

Dlatego cofam się myślami o trzy dni, kiedy po raz pierwszy się tu pojawili. Do moich zwierzęcych odczuć.

Highlandzka kolacja pierwszego wieczoru to jedna z atrakcji zachwalanych w broszurze reklamowej. Ale za każdym razem, gdy ją podajemy, mam wrażenie, że goście z przyjemnością by ją ominęli. Atmosfera zawsze robi się sztuczna, jak gdyby to była oficjalna kolacja. Jestem przekonana, że ten posiłek to jedynie kolejna metoda na to, by wyciągnąć pieniądze od naszych gości. Cena za jedzenie, nawet jeśli weźmie się pod uwagę, że użyto najlepszych lokalnych składników, jest horrendalna. Zastanawiałam się także, czy to nie sposób, by zjednać sobie miejscową społeczność. Wielu chłopaków i dziewczyn z okolicy zostaje zatrudnionych w roli kelnerów, a we wszystkie składniki zaopatrujemy się lokalnie, u pobliskich sprzedawców i dostawców. Z wyjątkiem dziczyzny, która jest nasza własna.

Czytałam nagłówki gazet z okresu, w którym mój szef kupił to miejsce od rodziny będącej w jego posiadaniu od pokoleń. W artykułach użalano się na „ceny dla wybranych” i „wygnanie miejscowych z ich własnej ziemi” – w Highlandach obowiązuje prawo do swobodnego przemieszczania się, które podtrzymywał stary laird, ale szef postawił płoty i znaki z ostrzeżeniami wobec intruzów. Twierdzi, że chce w ten sposób odstraszyć kłusowników, ale co ciekawe, poprzedni właściciel nie miał z nimi problemu. Może kłusownicy nie byli wtedy zorganizowani, uzbrojeni i nie zdawali sobie sprawy, ile można zarobić na dziczyźnie i głowach jeleni do powieszenia nad kominkiem. Ale wydaje mi się, że istnieje jeszcze jedno możliwe wytłumaczenie ostatniego kłusownictwa. Może to ma być naučka. Odebranie tego, co ci zabrano.

Pewnego razu w naszym najbliższym sklepie w Kinlochlaggan (nadal ponad godzinę drogi stąd) powiedziałam sprzedawczyni, gdzie pracuję.

– Wyglądasz na miłą dziewczynę – odparła. – Ale to nie jest miłe miejsce. Obce pieniądze. – Bo szef to Anglik i większość gości pochodzi z Anglii lub jeszcze odleglejszych miejsc. – Pewnego dnia – dodała – zapłacą za zabieranie ludziom tego, co do nich należy. – Wtedy przypomniałam sobie teorię o starej chacie myśliwskiej, o której nie mówię gościom: że pożar nie został wzniecony przez łowczego, a przez niezadowolonych miejscowych, których znieważył laird.

Jeśli highlandzka kolacja miała załagodzić niechęć lokalnych mieszkańców w stosunku do tego miejsca, to nie wiem, czy to się udało. Jeśli już, to obsługa wraca do domu z opowieściami o przykrym zachowaniu gości. Pamiętam wieczór kawalerski, podczas którego pijany, choć nie aż tak pijany pierwszy drużba chwycił za tyłek bardzo młodą kelnerkę podnoszącą z podłogi upuszczoną serwetkę. Pijani goście zasypiali z twarzą na talerzu, przegrywając walkę ze słodową whisky z destylarni Glencorin. Niektórzy wymiotowali na stół na oczach kelnerów i kelnerek.

Nie miałam wątpliwości, że grupa z Londynu będzie się zachowywała lepiej niż goście z wieczoru kawalerskiego. Przyjechali z dzieckiem, a to musiało o czymś świadczyć, nawet jeśli rodzice mieli do nas nie dołączyć

(matka poprosiła o przyniesienie jedzenia do ich domku). W ten sposób zostało ich siedmioro. Ciemnowłosa mężczyzna i wysoka blondynka. Julien i Miranda. Para doskonała, najpiękniejsza z całej grupy. Nawet ich imiona były najwytworniejsze. Kolejna para – chudy, wysoki mężczyzna o kasztanowych włosach, w okularach architekta, Nick, oraz jego amerykański chłopak, Bo. Trzecia para: Mark i Emma. On byłby nawet przystojny, ale jego oczy są osadzone zbyt blisko siebie, jak u małego drapieżcy, a górna część ciała jest nieproporcjonalnie ciężka, co nadaje mu nienaturalny wygląd komiksowej zabawki. Jeśli chodzi o dziewczynę, to pomyślałam sobie, że jest uboższą wersją wysokiej blondynki – ciemne odrosty, wałeczek ciała wystający nad stan dzinsów tam, gdzie podciągnęła się jej koszulka. Zaskoczyłam tym samą siebie – nie jestem z natury krytyczna. Ale nawet jeśli nie wchodzisz w zbyt dużą interakcję z drugim człowiekiem – jak ja – okazuje się, że instynkt, by oceniać innych, ta podstawowa ludzka cecha, nas nie opuszcza. A podobieństwa między nimi było trudne do przeoczenia. Jej włosy ufarbowane były na ten sam odcień, ubrania były w tym samym stylu, a nawet umalowała oczy w ten sam sposób, z małymi czarnymi kreskami w kącikach. Podczas gdy u przyjaciółki kreska optycznie powiększała oczy i nadawała im kociego charakteru, u niej podkreślała jedynie, jakie są małe.

No i jest jeszcze ta ostatnia, Katie. Bez pary. Na początku prawie jej nie zauważyłam. Stała tak nieruchomo i tak cicho w zacienionym rogu pokoju, prawie jakby chciała się w niego wtopić. W jakiś sposób nie pasowała do reszty. Jej skóra była ziemista, a pod oczami miała wielkie, sine cienie. Jej ubrania były zbyt biurowe, jak gdyby jechała w delegację i trafiła tu przypadkiem.

Zazwyczaj, chociaż muszę nauczyć się imion, wolę myśleć o ludziach, którzy tu przyjeżdżają, jako o „gościach”: gość numer jeden, gość numer dwa i tak dalej. Wolę nie myśleć o nich jako o osobach, które posiadają jakieś życie poza tym miejscem. Może brzmi to dziwnie, ale to chyba pewnego rodzaju taktyka samozachowawcza. Nie angażuj się w ich życie. Nie pozwól, by ich szczęście – lub nieszczęście – cię poruszyło. Nie

porównuj się do tego, co mają – do par przyjeżdżających na romantyczny pobyt, do szczęśliwych rodzin.

Ostatnia doba wymusiła na mnie bliższe poznanie się z tą grupą – intymność, bez której z łatwością mogłabym się obyć. Podejrzewam jednak, jeśli mam być szczerą, że już od początku coś mnie w nich ciekawiło. Może dlatego, że byli mniej więcej w tym samym wieku co ja – pewnie niewiele po trzydziestce, może ciut starsi. Mogłam być taka jak oni, gdybym znalazła dobrze płatną pracę w mieście, jak zrobiło po studiach wielu moich znajomych. Miałam wrażenie, że wszechświat mówi do mnie, że właśnie coś takiego mogłam mieć. Tu właśnie mogłaś być, to właśnie mogłaś robić w tym najsamotniejszym dniu w roku (bo czy nie taki jest właśnie sylwester?).

Możliwe, że byłam zazdrosna, ale tego nie czułam. Nie potrafiłam tego nazwać, ale miałam wrażenie, że otacza ich pewnego rodzaju niepokój, niezadowolenie. Nawet kiedy się śmiali i żartobliwie sobie dokuczali, czułam pod powierzchnią, że coś jest nie tak. Momentami sprawiali wrażenie aktorów, odgrywających przed wszystkimi, jak fantastycznie się bawią. Śmiali się trochę za głośno. Pili zdecydowanie za dużo. I mimo tych wszystkich dowodów wspaniale spędzanego czasu, obserwowali siebie nawzajem. Może w świetle ostatnich wydarzeń to pierwsze wrażenie urasta w moich myślach do czegoś więcej, niż było. Podejrzewam, że w każdej grupie znajomych istnieją jakieś napięcia. Zaświtało mi jednak, że nie czują się całkowicie swobodnie w swoim towarzystwie. Dziwne, bo na samym początku powiedzieli mi, że znają się od bardzo dawna. Ale w tym właśnie sęk, jeśli chodzi o przyjaciół z dawnych lat. Czasem nie zdają sobie nawet sprawy, że nie mają już ze sobą niczego wspólnego. Może nawet w ogóle się już nie lubią.

Islandzka para, goście zakwaterowani w samotni, weszli do środka, kiedy podawano przystawkę – „łososia z okolicznych wód z dzikim ziołami” – od razu napotykając same wrogie spojrzenia.

Iain ich zameldował. Byłam na jednej z moich nieczęstych wypraw na zakupy, gdy odebrał telefon. Tłumaczył mi później, że zobaczył w systemie,

że samotnia jest wolna, i skonsultował się z szefem, który wydał zgodę. Zdenerwowałam się, że nie zapisał ich nazwisk w księdze meldunkowej: gdybym wiedziała, nie obiecałabym drugiej grupie, że będą tu sami.

Nie byłam pewna, jakiego zachowania spodziewać się po tych dwojgu. Nie wyglądali na typowych bogaczy, którzy zwykle się u nas zatrzymują. Oboje mieli wysmagane wiatrem twarze i hardy wygląd osób, które spędzają dużo czasu w otoczeniu nieżyczliwej natury. Mężczyzna miał bladoniebieskie oczy przypominające oczy wilka oraz strąkowate blond włosy związane rzemieniem. Kobieta miała dwustronny ćwiek w przegrodzie nosowej, a swoje ciemne włosy związała w zmierzwionego kucyka.

Pojawili się na stacji z wielkimi plecakami. Wyjaśnili, że udało im się przepłynąć na trawlerze płynącym z Islandii do Mallaig, które znajduje się nieco dalej wzdłuż wybrzeża (piękna blondynka zmarszczyła na to nos). Odebrał ich Iain i przywiózł na teren posiadłości swoją furgonetką. Przyjechali z porządnym wyposażeniem – kurtkami Gore-tex i butami górskimi – przy których ciuchy od Barbour i huntery wyglądały nieco idiotycznie. Nie przebrali się ze swoich górskich ubrań do kolacji, przez co nawet Doug i Iain, w tradycyjnych dla Loch Corrin kiltach, wyglądali na wystrojonych, podobnie jak kelnerzy – dwie dziewczyny i chłopak w białych koszulach i kraciastych fartuszkach. Piękna blondynka patrzyła na dwoje nowo przybyłych, jak gdyby byli stworami, które wyłoniły się z dna jeziora. Na szczęście zostali posadzeni przy mnie, a ona naprzeciwko, obok Douga. Dość szybko postanowiła też, że nie będzie na nich marnować swojej uwagi, i w całości skierowała ją na Douga. Spojrzałam na nią i całą jej powierzchowność: elegancką jedwabną koszulę, błyszczące kolczyki (chyba z diamentami). Patrzyła na łowczego tak, jakby w życiu nie słyszała nic bardziej fascynującego niż to, co mówi, rozciągając usta w delikatnym uśmiechu i podpierając podbródek wnętrzem dłoni. Doug nie wybrałby kogoś takiego jak ona, prawda? Na pewno nie była w jego typie. Ale wtedy przypomniałam sobie, że nie mam bladego pojęcia, jakie są jego upodobania, bo absolutnie nic o nim nie wiem.

Przeniosłam uwagę z powrotem na islandzkich gości, siedzących po moich obu stronach. Niemal perfekcyjnie mówili po angielsku i tylko lekka intonacja zdradzała ich obce pochodzenie.

– Od dawna tu pracujesz? – zapytała mnie kobieta, której na imię było Kristin.

– Niecały rok.

– I mieszkasz tu sama? – O to zapytał mnie mężczyzna, Ingvar.

– Nie do końca. Doug... który siedzi po drugiej stronie, też tu mieszka. Za to Iain mieszka w Fort William razem ze swoją rodziną.

– To ten, który po nas przyjechał?

– Tak.

– Sprawia wrażenie miłego człowieka – odparł.

– To prawda. – Choć tak naprawdę zdziwiła mnie ta uwaga. Iain jest taki małomówny. Przyjeżdża, robi, co do niego należy, zgodnie z poleceniami szefa, i znika. Trzyma się na uboczu. Choć o mnie można by powiedzieć dokładnie to samo.

– A co sprawia, że osoba taka jak ty postanawia zamieszkać w miejscu takim jak to? – zapytał Ingvar niemal w zamyśleniu. Zadał to pytanie z taką przenikliwością, jakby czegoś się domyślił.

– Podoba mi się tu – odpowiedziałam. Nawet w moich uszach brzmiało to tak, jak gdybym próbowała się bronić. – Piękno natury, spokój...

– Ale musisz się tu czuć samotna.

– Nie, nieszczerze – odparłam.

– I nie boisz się? – Uśmiechnął się, wypowiadając te słowa, a ja poczułam przeszywający mnie nagły chłód.

– Nie – odpowiedziałam zdawkowo.

– Pewnie można się do tego przyzwyczaić – skwitował, nie zauważając mojego niegrzecznego zachowania lub ignorując je. – W naszym kraju rozumiemy, co to znaczy być samemu. Choć jeśli straci się czujność, można od tego oszaleć. – Pokręcił palcem przy skroni. – Z powodu całej tej ciemności w zimie i osamotnienia.

To nie do końca prawda, pomyślałam. Czasem samotność to jedyny sposób na to, by odzyskać jasność myślenia. Ale zaczęłam się nad tym zastanawiać. Jeśli mieszkasz na Islandii, gdzie nastają długie zimowe noce, to czy nie warto uciec nieco dalej od chłodu niż Szkocja? Za cenę domku w tym miejscu można by się wybrać w ciepłe rejony południowej Europy. A co więcej, ciekawe, jak dwoje ludzi, którzy dostali się tu na łodzi rybackiej, bo złapali okazję, było w stanie opłacić tutejszy pobyt. Może zrobili to tylko po to, by poczuć zew przygody. Można tu spotkać naprawdę różnych ludzi.

– Mamy się martwić? – brzmiało kolejne pytanie Ingvara. – Doniesieniami?

– Co masz na myśli?

– Nie wiecie? Mówię o Rozpruwaczu z Highlandów.

Oczywiście, że wiedziałam. Miałam nadzieję, że goście nie. Widziałam zdjęcia we wczorajszej gazecie i opublikowane twarze sześciu ofiar. Kobiety, wszystkie dość młode i ładne. Można się natknąć na setkę takich dziewczyn, idąc po Princess Street w Edynburgu – a mimo to twarze ofiar miały w sobie coś mrocznego, jak gdyby jakiś mały drobiazg w każdym z tych uśmiechniętych portretów zdradzał ich przyszły los. Wyglądały tak, jakby w jakiś sposób zostały naznaczone śmiercią.

– Tak – powiedziałam ostrożnie. – Widziałam gazety. Ale Szkocja to duży kraj, więc nie sądzę, żebyście mieli...

– A czy to nie przypadkiem w zachodniej części Highlandów znaleziono ofiary?

– Nawet jeśli – skwitowałam. – To naprawdę spory obszar. Większe szanse, że traficie na potwora z Loch Ness.

Siliłam się na lekceważący ton. Ale rano Iain powiedział mi:

– Powinnaś powiedzieć gościom, żeby nocą nie wychodzili z domków, Heather. W związku z ostatnimi wydarzeniami. – Trochę mną wstrząsnęło, że Iain, który prawie nigdy nie interesuje się przebywającymi tu ludźmi, wyraził obawę o ich bezpieczeństwo.

Nie wydawało mi się, by Ingvar czegokolwiek się obawiał. Wyczułam raczej, że ma ubaw z całej tej sytuacji, bo na jego ustach pojawiał się co chwilę mimowolny uśmiech. Poczułam ulgę, gdy zapytał o polowanie i mogłam uniknąć wnikliwego spojrzenia jego bladoniebieskich oczu. Pamiętam, że pomyślałam, że jest w nich coś, co burzy spokój – coś nieludzkiego.

– Najlepiej zapytaj o to Douga – odpowiedziałam. – To jego działka. Doug?

Spojrzał w naszą stronę. Blondynka też podniosła głowę, wyraźnie zirytowana tym, że im przerwano.

– Polujesz nocą? – zapytał Ingvar. – Z użyciem lamp i psów?

– Nie – Doug odparł szybko i zaskakująco głośno.

– Dlaczego nie? – Padło kolejne pytanie Ingvara, zadane z tym dziwnym uśmiechem. – To bardzo skuteczne.

Doug odpowiedział bez ogródek.

– Bo to niebezpieczne i okrutne. Nigdy nie używam halogenów.

– Halogenów? – zainteresowała się blondynka.

– Reflektorów punktowych – powiedział, ledwie spoglądając w jej stronę – którymi świeci się na jelenie, tak że zamierają. Robią się przez to zdezorientowane i przerażone. Często prowadzi to do tego, że strzela się nie do tej zwierzyny, co trzeba, na przykład do matek z młodymi. Czasem wykorzystuje się też zwierzęta, które rozszarpują jelenia na strzępy. To barbarzyństwo.

Po tych słowach nastąpiła pełna napięcia cisza. Zdałam sobie też sprawę, że była to chyba najdłuższa wypowiedź Douga, jaką w życiu słyszałam.

Goście z Islandii proponowali nam pomoc w poszukiwaniach. Chyba tylko im zaufałabym w tych warunkach: pewnie często mają do czynienia z podobną pogodą. Ale to nadal goście, a ja wciąż jestem odpowiedzialna za ich komfort i bezpieczeństwo. Zresztą nic o nich nie wiem. To dla mnie dwie niewiadome. Tak samo jak pozostali goście. Więc mój gadzi mózg mówi głośno i wyraźnie: *Nie ufaj nikomu.*

Zastanawiam się, co goście myślą sobie o mnie. Jeśli udaje mi się ich nabrać na fasadę, którą dla siebie skonstruowałam, twardą jak skorupa, może widzą kogoś zorganizowanego, nieco nudnego i panującego nad wszystkim. Rzeczywistość wewnątrz tej skorupy jest znacznie inna. Znajduje się tam osoba, którą w kupie trzyma taśma i klej oraz pastylki nasenne na receptę (tylko dzięki nim jestem w stanie się zmusić, by wyjść do ludzi), przepijane czasami dużymi ilościami wina. Nie mówię, że mam problem z piciem, bo nie mam. Ale nigdy nie piję dla przyjemności. To konieczność. Używam alkoholu jako kolejnego środka znieczulającego – aby stępić krawędzie i dać upust chronicznie dręczącym mnie wspomnieniom.

TRZY DNI WCZEŚNIEJ
30 GRUDNIA 2018 ROKU

MIRANDA

Kolacja zostaje podana w wielkiej jadalni w chacie myśliwskiej, rozświetlonej przez setki świec i obsługiwanej przez kilku przyszczatych nastolatków w fartuchach w szkocką kratę. Dwóch osób brakuje: Samira i Giles zjedzą posiłek w swoim domku. Samira powiedziała, że słyszała zbyt wiele historii o tym, jak to rodzice zostawili swoje dzieci „tylko na godzinę”, a potem sprawy przybrały tragiczny obrót. Odpowiedziałam jej na to cierpliwie, że owszem, tak się dzieje, ale nie w szczerym polu. Zresztą Priya, która ma ledwie sześć miesięcy, nigdzie sama nie pójdzie. Mimo to Samira nie dała się przekonać.

Prawie nie mogę uwierzyć, że ta kobieta to Samira, która na jednej z imprez, gdy miałyśmy po dwadzieścia lat, tylko dla zabawy przeskoczyła półmetrową przerwę pomiędzy naszym budynkiem a sąsiednim. Zawsze była dziką, imprezową dziewczyną, na którą można było liczyć, by nadała wieczornemu wyjściu odpowiednie tempo. Z Katie znamy się od stu lat, ale to Samira jest bardziej do mnie podobna, to z nią czułam się najbardziej zżyta. Teraz ledwie ją rozpoznaję. Może to dlatego, że była taka zajęta przy Priyi. Jestem pewna, że prawdziwa Samira gdzieś tam jest. Mam nadzieję, że to będzie nasza szansa na nadrobienie zaległości, na przypomnienie sobie, że jesteśmy jak syjamskie bliźnięta. Choć szczerze mówiąc, kiedy ludziom rodzą się dzieci, to jakby przechodzili przeszczep osobowości. Albo lobotomię. Może powinnam się cieszyć, że nie jestem w stanie zajść w ciążę. Przynajmniej zostanę sobą.

Po jednej mojej stronie siedzi łowczy Doug, a po drugiej Iain, który też tu pracuje. Obaj mają na sobie szablonowe zielone kilty i futrzane sakwy. Żaden z nich nie wygląda na szczególnie szczęśliwego z tego powodu. Jak można sobie wyobrazić, łowczy prezentuje się w tym stroju dużo lepiej. Naprawdę jest bardzo atrakcyjny. Przypominam sobie, że przed Julienem czasem ciągnęło mnie do mężczyzn takich jak on. Małomównych, ponurych, takich, nad którymi trzeba się pomęczyć, by wywabić ich ze skorupy, wzbudzić ich zainteresowanie.

Odwracam się do niego i pytam:

– Zawsze zajmowałeś się zwierzyną?

Marszczy czoło.

– Nie.

– A co robiłeś wcześniej?

– Byłem żołnierzem piechoty morskiej.

Wyobrażam go sobie z podgoloną fryzurą i w mundurze. Przyjemny widok. Dobrze wygląda w czystym ubraniu, choć mam niemal pewność, że jego włosy nie widziały grzebienia od jakichś pięciu lat. Jeśli o mnie chodzi, postarałam się co do stroju: jedwabna bluzka, rozpięta o jeden guzik za nisko, i nowe dżinsy.

– Zabiłeś kogoś kiedyś? – pytam, nachylając się w jego stronę i podpierając podbródek dłonią.

– Tak. – Mówi to z neutralną miną, niezdradzającą żadnych emocji. Przechodzi mnie mały dreszcz, który może oznaczać zaniepokojenie... albo pożądanie.

Julien siedzi dokładnie naprzeciw nas i widzi wszystko jak na dłoni. Nie ma to jak wzbudzić nieco zazdrości, by podkreślić temperaturę związku – zwłaszcza naszego. Wystarczy spoufalający się kelner w restauracji albo facet na leżaku obok, który zdaniem Juliana za bardzo mi się przygląda (pewnie ma rację).

– Chciałabyś, żeby ten gość robił z tobą takie rzeczy? – będzie później dyszał do mojego ucha. – Albo takie?

Jeśli mam być szczerą, ostatnio seks stał się środkiem do osiągnięcia konkretnego celu, a nie przyjemnością. Mam na telefonie aplikację, która poleciła mi Samira, wyliczającą, w którym dniu masz największe szanse na zajście w ciążę. No i oczywiście są pewne pozycje, które sprawdzają się lepiej od innych. Tłumaczyłam to Julienowi już tyle razy, ale on tego nie rozumie. Mam wrażenie, że ostatnio przestał się starać. Więc, owszem, przydałoby się nam trochę pieprzu w związku.

Odwracam się do Douga, kątem oka patrząc na Julię. Rozmawia z tą Islandką, muskam więc dłoń łowczego – dla zabawy. Może wypłam trochę za dużo wina. Czuję, jak jego palce wzdrygają się pod moimi.

– Przepraszam – mówię niewinnym tonem. – Mógłbyś podać mi sos? – To chyba działa. Julien zdecydowanie wygląda na wkurzonego. Innym może się wydawać, że mój mąż świetnie się bawi – pozory to dla niego ważna sprawa – ale ja za dobrze go znam. Poznają to po napięciu z boku jego karku i zaciśniętej szczęce.

Zerkam na drugą stronę stołu, gdzie biedna Katie siedzi obok Islandczyka o dziwnych oczach, który trochę za bardzo się nią interesuje. Fatalnie, że w ogóle tu są. Czy będziemy musieli dzielić z nimi saunę? Oceniając po stanie ich ubrań, będę potem musiała przejść dezynfekcję.

Mężczyzna nachyla się teraz w stronę Katie, jakby nigdy w życiu nie spotkał równie fascynującej i pięknej kobiety. Ale cóż, sądząc po jego partnerce, ma *niekonwencjonalny* gust.

Chociaż... w Katie zdecydowanie jest coś innego. Wygląda na bladą i zmęczoną, ale ma nową fryzurę. A w salonie, do którego zwykle chodziła, obcinali ją „na panią Williams”, naszą szkolną trenerkę hokeja. Przy pensji prawniczki w wielkiej korporacji mogłaby się czasem trochę bardziej postarać. Od dawna jej mówiłam, żeby umówiła się do Daniela Galvina – chodzę do niego na pasemka co sześć tygodni – nie rozumiem więc, dlaczego czuję się taka urażona, że w końcu mnie posłuchała. Może dlatego, że nie podziękowała mi za poradę, a czuję, że na to zasługuję. I chyba wyobraziłam sobie, że pójdziemy tam razem. Spędzimy wspólnie cały poranek.

Wciąż pamiętam dziewczynę, którą kiedyś była: płaską jak deska, choć wszystkim dziewczynom zaczęły się już wypełniać piersi. O cienkich włosach, iksowatych nogach, w kasztanowym mundurku, który podkreślał ziemistość jej cery.

Zawsze lubiłam mieć jakąś sierotkę, którą mogłam się zająć.

A teraz? Trudno być obiektywną, bo znam ją od tak dawna, że jest dla mnie prawie jak siostra, ale widzę, dlaczego niektórym mężczyznom może wydać się atrakcyjna. Jasne, nigdy nie będzie ładna, ale nauczyła się, jak podkreślić swoje największe atuty. Ta nowa fryzura. Wyprostowała i wybieliła zęby. Jej ubrania są świetnie dopasowane i doskonale podkreślają jej drobną sylwetkę (nigdy nie mogłabym założyć takiej bluzki, bo przez mój biust wyglądałabym w niej na większą, niż naprawdę jestem). Kiedy dostała się do obecnej kancelarii, w prezencie zafundowała sobie korekcję uszu. Wygląda niemal... szykownie. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest Francuzką, tak wprawnie podkreśliła swoją niełatwą urodę. Jak na to mówią w Paryżu? *Jolie-laide* – niebrzydka brzydula.

Robotnicy na ulicach nigdy nie gwizdaliby na Katie. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ludziom się wydaje, że to taki komplement. Okej, doskonale wiem, że jestem atrakcyjna. Bardzo atrakcyjna. Nie potrzebuję, żeby potwierdzał to jakiś budowlaniec z piwnym brzuchem, który gwizdnąłby na każdą dziewczynę w krótkiej spódnicy albo opiętej bluzce. Tacy faceci za łatwo rozdają swoje „komplementy”.

Ale Katie nie wzbudziłaby ich zainteresowania. No chyba że krzyknęliby do niej, żeby się uśmiechnęła. Ale na pewno by na nią nie polecili. Nie zrozumieliby jej urody. Prawie jestem o to zazdrosna. Nigdy nie będę tego mieć – subtelności, na którą trzeba spojrzeć dwa razy, by ją dostrzec.

Tak czy inaczej. Może teraz, skoro w końcu znów jesteśmy razem, dowiem się, co u niej nowego i co spowodowało w niej tę tajemniczą zmianę.

EMMA

Mogłabym spędzić cały posiłek, rozglądając się dookoła, by mieć pewność, że wszyscy dobrze się bawią. Bardzo żałuję, że nie zrezygnowałam z tej kolacji, kiedy rezerwowałam pobyt – wtedy wydawało mi się to świetnym pomysłem, ale przez tę parę z Islandii przy stole panuje dziwna atmosfera. A to, jak blisko przebywamy z innymi gośćmi, podkreśla jedynie, że nie mamy całego obiektu dla siebie, jak nam obiecano. Wiem, że powinnam odpuścić, *que sera sera* i tym podobne, ale tak strasznie chciałam, żeby ten pobyt był idealny. Co więcej, fakt, że islandzka para wygląda tak niechlujnie, nie pomaga. Widzę, jak Miranda jest nimi zniesmaczona. Katie siedzi obok tego mężczyzny, Ingvara, który patrzy na nią tak, jakby chciał, żeby leżała przed nim na talerzu zamiast zbyt mocno doprawionego mięsa.

Ja za to siedzę obok Iaina. Nie mówi zbyt wiele, a jeśli już, to trudno cokolwiek zrozumieć przez silny akcent.

– Też tutaj mieszkasz? – pytam.

– Nie – odpowiada. – W Fort William, z żoną i dziećmi.

– Aha – odpowiadam. – Od dawna tu pracujesz?

Kiwa głową.

– Odkąd obecny właściciel kupił to miejsce.

– Czym się zajmujesz?

– Właściwie wszystkim. Robię, co się nawinie – obecnie pracuję nad pompownią przy jeziorze. Przywożę też jedzenie i wyposażenie domków.

– A jaki jest właściciel tego miejsca? – pytam zaintrygowana. Wyobrażam sobie wąsatego, starego szkockiego lairda, nieco zaskakuje mnie więc odpowiedź Iaina: – Jak na Anglika jest w porządku. – Czekam, aż rozwinie temat, ale albo nie ma nic więcej do dodania, albo nie chce więcej mówić.

Skończyły mi się pytania, więc czuję ulgę, kiedy Islandczyk zaczyna go wypytywać o tropienie jeleni i uwaga całego stołu skupia się na tej rozmowie. Jakby pomysł polowania i zabijania podziałał na wszystkich jak magnes.

– Nie polujemy na jelenie dla samego zabijania – mówi łowczy. – Robimy to, by kontrolować populację, bo inaczej wymknęłyby się spod kontroli. To konieczność.

– Moim zdaniem jest to konieczne z jeszcze jednego powodu – mówi Ingvar. – Ludzie to myśliwi, mamy to w DNA. Musimy znaleźć ujście dla tych potrzeb. Dla *żądzy krwi*. – Te dwa ostatnie słowa wypowiada tak, jak gdyby miały w sobie jakiś wyjątkowy smak, a po nich następuje milczenie, którego żadne z nas nie potrafi wypełnić. Widzę, jak Miranda unosi brwi. Może później wszyscy będziemy się z tego śmiać, stanie się to zabawną anegdotą. Każdy wyjazd ma takie momenty, prawda?

– No nie wiem – odpowiada Bo, nabijając na widelec kawałek dziczyzny.
– Ale dziczyzna na pewno jest pyszna.

Nie jestem taka pewna. Mięso nie jest złe, ale ja przyrzędziłabym je dużo lepiej. Dziczyznę zbyt mocno przyprawiono jałowcem, aż prawie nie czuć smaku mięsa, a sosu mięsnego jest zdecydowanie za mało. Warzywa są rozgotowane, a cavolo nero to oślizgła, rozgotowana papka.

Jutro wieczorem wszystkim to wynagrodzę. Zaplanowałam wspaniałą ucztę: bliny z wędzonym łososiem do pierwszych kilku butelek szampana, potem wołowina Wellington z foie gras, a na koniec doskonały suflet czekoladowy. Jak wiadomo, suflet to nic prostego. Do jego przygotowania potrzebna jest obsesyjna natura. Oddzielenie białek od żółtek, ubicie idealnej piany i doskonałe wyczucie czasu pod koniec pieczenia, by podać deser, zanim idealnie wyrośnięta skorupka opadnie. Większości ludzi brakuje do tego cierpliwości. Ale ja właśnie taką kuchnię lubię.

To wręcz ulga, kiedy deser (smutna pavlova z malinami) zostaje w końcu zabrany.

Wszyscy szykują się do rozejścia, ale Julien daje nam znak, żebyśmy z powrotem usiedli. Trochę za dużo wypił i lekko się kołysze, gdy wstaje.

– Skarbie – mówi Miranda jedwabistym tonem. – Co robisz? – Zastanawiam się, czy wspomina ostatniego sylwestra w restauracji Fera at Claridge’s, kiedy wstał, nie oglądając się za siebie, i potracił kelnera, wytrącając mu z rąk tacę pełną talerzy.

– Chcę powiedzieć kilka słów – mówi. – Chcę podziękować Emmie... – unosi kieliszek w moją stronę – za to, że znalazła to fantastyczne miejsce...

– Ojej – mówię na to. – Przecież to nic wielkiego...

– I chcę też powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że jesteśmy tu wszyscy razem. Miło wiedzieć, że niektóre rzeczy się nie zmieniają i że na niektórych przyjaciół zawsze można liczyć. To nie był najłatwiejszy rok...

– Skarbie – powtarza Miranda, śmiejąc się. – Chyba wszyscy rozumieją. Ale w pełni się zgadzam. Wypijmy za starych przyjaciół... – Unosi kieliszek. Wtedy coś sobie przypomina i odwraca się do mnie. – I oczywiście za nowych. Zdrowie!

Wszyscy unoszą kieliszki w odpowiedzi, w tym Ingvar, choć oczywiście Miranda nie miała go na myśli. Ale nawet to nie psuje tej chwili. Toast uratował ten wieczór i dodał posiłkowi podniosłości. A ja znów czuję dumę z siebie.

DOUG

Jakąś godzinę po kolacji słyszy pukanie do drzwi. Psy – Griffin i Volley – zaczynają wariować w nagłej ekscytacji: nikt *nigdy* nie przychodzi do tego domku. Sprawdza zegarek: północ.

– Co jest, do...

To ta piękna – wysoka blondynka, która siedziała koło niego podczas posiłku. Ta, która dotknęła jego dłoń, co nie przydarzyło mu się już od bardzo dawna. Uśmiecha się do niego, stojąc z uniesioną ręką, jakby chciała przypuścić kolejny atak na drzwi. Doug czuje od niej kłopoty.

Griffin przepycha się przed niego i skacze na kobietę, mimo że Doug ryczy:

– Wara!

Kobieta podnosi ręce, przez co podciąga się jej sweter, ukazując kawałek napiętego brzucha i mocno skręcony pęczek jej pępka. Nos psa zostawia na jej skórze wilgotny ślad.

Wydaje się zawstydzona swoją lękliwą reakcją i w akcie brawury schyla się, by pogłaskać Griffin po głowie.

– Śliczna suczka – mówi nieprzekonanym tonem. Spogląda na niego i puszcza mu piękny, śnieżnobiały uśmiech. *Patrz na mnie*, mówi ten uśmiech, *patrz, jaka jestem swobodna*. – Cześć. Mam nadzieję, że nie gniewasz się za to najście.

– O co chodzi?

Jej uśmiech nieco słabnie. Doug przypomina sobie po fakcie, że ona jest tu gościem, a on jest do jej usług, nawet jeśli jest zdecydowanie za późno na jakiegokolwiek prośby. Próbuje się poprawić.

– W czym mógłbym pomóc?

– Czy mógłbyś napalić nam w kominku? – pyta.

Doug gapi się na nią. Nie mieści mu się w głowie, że dziewięć osób nie jest w stanie poradzić sobie ze wznieceniem ognia.

– Próbowaliśmy – tłumaczy kobieta – ale bez powodzenia. – Jedną ręką opiera się o framugę i wypycha biodro. Sweter znów się podciąga. – Jesteśmy bandą mieszcuchów. Na pewno zrobisz to lepiej niż my.

– Dobra – odpowiada zdawkowo, po czym znów upomina się, że rozmawia z klientką. *Gościem*. – Oczywiście.

Wyczuwa, że to jedna z tych kobiet, które przyzwyczyły się, że zawsze dostają to, czego chcą. Widzi, jak próbuje zerknąć do wnętrza domku. Nie jest do tego przyzwyczajony. Blokują jej widok swoim ciałem i zamyka za sobą drzwi z taką prędkością, że tylko fuksem nie przycina nosa Griffin.

Kiwa na niego palcem, zapraszając go, by poszedł za nią. Tylko do chaty myśliwskiej, gdzie ma rozpalić ten przeklęty ogień... ale mimo wszystko. Wie, co ona mu oferuje. Nie sam akt, ale może szept, sugestię, znaczące mrugnięcia.

Ile minęło czasu? Zbyt wiele. Ponad rok, może więcej.

Gdy za nią idzie, znów czuje zapach jej perfum i ich kościelną wręcz dymność. To dla niego zapach kłopotów.

Idzie za nią do chaty myśliwskiej. Gdy przykuca przed paleniskiem, ten nabity gość – Mark? – podchodzi do niego i mówi: – Strata twojego czasu, stary. Uparła się, żeby po ciebie pójść, choć praktycznie było po robocie. Drewno jest nieco wilgotne i tyle.

Spogląda na byle jak ułożone szczapy drewna w palenisku i około dwudziestu spalonych zapalek rozrzuconych dookoła i nic nie mówi.

– Pomóc ci? – pyta mężczyzna.

– Nie trzeba.

– Jak chcesz, stary. – Twarz mężczyzny w ciągu kilku sekund bardzo poczerwieniała – albo ze wstydu, albo, jak podejrzewa Doug, ze złości. Gość ma krótkie nerwy, myśli sobie. Swój pozna swego.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Zazwyczaj woda jeziora odbija krajobraz tak doskonale, jak gdyby góry, drzewa i chata myśliwska przeglądały się w lustrze. Czasem w tym odbiciu z niewiadomych powodów wyglądają wyraźniej, bardziej perfekcyjnie niż w rzeczywistości. Ale dziś powierzchnia jest zasnuta chmurami, ślepa, zablizniona lodem. *Proszę, myślę sobie, idąc za Dougiem po ścieżce prowadzącej wzdłuż jeziora, niech to nie będzie w jeziorze. Niech się okaże, że znalazł ciało gdzie indziej.*

Jezioro to mój azyl, mój kościół.

Kiedy po raz pierwszy weszłam w lodowate głębie jeziora, nie zamierzałam robić tego po raz kolejny. Było to podczas moich pierwszych spędzonych tu dni, w których zdałam sobie sprawę, że nie udało mi się od wszystkiego uciec. Ale coś się wydarzyło, kiedy moje ubrania nasiąkły wodą, a chłód wziął mnie w swój przerażający uścisk. Włączył się we mnie jakiś wrodzony odruch, by kopać, by walczyć, będący zupełnie poza moją kontrolą. Nagle pojawiło się we mnie życie – silne, nie do przewyciężenia. To uczucie było – jest – uzależniające. To jeden z nielicznych momentów, w których nie czuję się tak, jakbym tonęła.

Opanowałam swój rytuał do perfekcji. Wstaję rano i od razu zakładam kostium kąpielowy: prosty, jednoczęściowy, jaki nosiło się na lekcjach pływania w szkole. Nie staram się zrobić tu na nikim wrażenia. A jednocześnie, choć to nie kombinezon do nurkowania, kostium o takim kroju jest możliwie ciepły. Wchodzę do wody każdego ranka. Szczególnie lubię dni, w których temperatura spada poniżej zera, jak teraz, i kiedy

muszę rozkruszyć lód na powierzchni jeziora. Taka lodowata woda ścisła jak imadło i wypycha z głowy wszystkie myśli, a serce zdaje się bić tak szybko, że mogłoby wybuchnąć. Wtedy jestem prawie sobą, bez ciężącego mi bagażu. Jedyna chwila ostatnimi czasy, kiedy naprawdę czuję, że żyję.

Potem wycieram się ręcznikiem i wracam do mojego domku. Na tym etapie każdy nerw mojego ciała przyjemnie mrowi. Można powiedzieć, że to druga najprzyjemniejsza rzecz po seksie.

Raz widziałam Douga, jak pływa w jeziorze. Z mojego domku rozciąga się rozległy widok na wodę. Podszedł do samego brzegu i rozebrał się do bokserek, odsłaniając potężne ramiona i skórę bladą jak mleko. Kiedy płynął – i ani na moment nie zawahał się, wchodząc do zimnej wody – wyglądał tak, jakby jego ciało było specjalnie zaprojektowane do przecinania tafli z największą możliwą prędkością. Gdy znów wyszedł na brzeg, jego twarz była ponura.

Kiedy na niego patrzyłam, czułam silny wstyd, jak gdybym wtargnęła w jakiś osobisty rytuał, nawet jeśli jedyną rzeczą, jaką zrobiłam, było wyjrzenie przez okno. Miałam wrażenie, że to z mojej strony brak lojalności. Bo spojrzałam, patrzyłam dalej i nie byłam obojętna na widok jego ciała. Bo przywołałam ten obraz w pamięci, kiedy później brałam kąpiel i sprawiłam sobie pierwszy orgazm od ponad roku.

Teraz Doug odwraca się, żeby sprawdzić, czy idę za nim, i od razu do policzków napływa mi krew. Mam nadzieję, że mroźne powietrze wystarczy, by to usprawiedliwić.

Za moment wejdziemy w gęstwinę drzew, które od tej strony otaczają jezioro. Obwódka z ciemnych sosen. Niektóre nie pochodzą stąd: to norwescy oszuści, posadzeni tu po wojnie. Drzewa z Norwegii są dużo gęstsze niż lokalne szkockie sosny i kiedy wejdzie się między nie, dźwięki zewnętrznego świata cichną. Nie żeby było ich tu wiele – zwykle to tylko pokrzykiwania ptaków.

Kiedy mam dobry dzień, przekonuję samą siebie, że kocham te drzewa i ich połyskujące igły i szyszki, którymi później dekoruję domek, by czuć ich ciepły, zielony, świąteczny zapach, za każdym razem, gdy wchodzę do środka. Gdy mam gorszy dzień, wyglądają żałobnie, jak złowieszczy, odziani w czarne szaty wartownicy.

Teraz nie widać nas już z chaty myśliwskiej. Jesteśmy całkiem sami. Nagle dopada mnie świadomość, że choć pracuję z tym mężczyzną od roku, właściwie nic o nim nie wiem. Nigdy nie spędziłam z nim więcej czasu niż teraz i całkiem prawdopodobne też, że nigdy aż tyle ze sobą nie rozmawialiśmy.

Nie wiem, czy on w ogóle z *kimkolwiek* rozmawia. Na początku cały czas oczekiwałam, że zapyta mnie, czy może skorzystać z internetu w biurze: żeby wysłać maila albo sprawdzić, co u jego znajomych i przyjaciół na Facebooku. Ale nigdy tego nie zrobił. Nawet ja od czasu do czasu kontaktuję się z bliskimi.

– Mama się o ciebie martwi – powiedział tata, gdy zaczęłam tu pracować.
– Że jesteś sama w takim miejscu, po wszystkim, co przeszłaś. To nie jest w porządku. – Staram się ją odwiedzać co kilka miesięcy, żeby nie dodawać jej zmartwień, choć doświadczenie powrotu do świata zewnętrznego nie należy do moich ulubionych.

Ale Doug nigdy nie opuszcza terenu posiadłości, no chyba że musi: na przykład, żeby zabrać gości do miasta na zakupy. Popęłiłam błąd i pewnego razu opowiedziałam mamie, jakie samotne życie prowadzi.

– Nie wiadomo, kto to może być – powiedziała. – Jaką ma przeszłość? Skąd pochodzi?

Powiedziałam jej jedną rzecz, którą o nim wiedziałam – że był w wojsku. Ale ani trochę jej to nie pocieszyło.

– Musisz go zagugłać – powiedziała.

– Mówi się „wygugłać”, mamo.

– Wszystko jedno. Obiecuj mi, że to zrobisz. Musisz wiedzieć, co to za człowiek... nie mogę spać, tak się o ciebie martwię, Heather. Uciekłaś i zostawiłaś nas wszystkich, kiedy najbardziej potrzebowałam swojej

rodziny. Nie pozwoliłaś nam sobie pomóc tak, jak byśmy chcieli. Nie odzywasz się całymi tygodniami. Muszę przynajmniej wiedzieć, że jesteś bezpieczna i z kim pracujesz. To nie fair, Heaths. – Po chwili nieco się opamiętała. – To okropne, co powiedziałam. Bo najbardziej niesprawiedliwą rzeczą na świecie było to, co przydarzyło się tobie...

– W porządku, mam – odparłam, nie chcąc już dłużej tego słuchać. – Wygugłam go. – Ale nie zrobiłam tego, nie wtedy. Jeśli mam być szczerą, wydawało mi się, że to zdrada.

Kiedy mama zapytała mnie o to, czego się dowiedziałam – byłam w stanie poznać, że to jedna z tych rzeczy, których nie odpuści, jak terier kości – skłamałam w dobrej wierze.

– Wszystko jest w porządku – powiedziałam. – Sprawdziłam i niczego się nie doszukałam. Możesz przestać się martwić.

Przez moment nie odpowiedziała.

– Nigdy nie przestanę się o ciebie martwić. – Odłożyłam słuchawkę.

Ale mama ma rację. Niczego nie wiem o Dougu. Tylko to, co zasugerował szef podczas rozmowy o pracę – że z jego przeszłością świetnie nadaje się do tej pracy, a zwłaszcza rozprawiania się z kłusownikami. Kiedy miał zająć któryś domek, wybrał ten najodleglejszy, u samego zbocza Munro, nieosłonięty przez drzewa i bez widoku na jezioro. Ma bez wątpienia najmniej zalet ze wszystkich domków, co oznacza, że Doug wybrał go wyłącznie ze względu na położenie. Rozumiem potrzebę samotności. Ale chęć jeszcze większej izolacji w takiej głuszy sprawia, że zaczynam się zastanawiać, od czego dokładnie Doug próbuje uciec.

– Gdzie my idziemy? – pytam.

– Już niedaleko – odpowiada i czuję nagły niepokój, silną potrzebę, by się odwrócić i ruszyć w przeciwnym kierunku, z powrotem w stronę chaty myśliwskiej. Ale idę za Dougiem głębiej między drzewa, gdzie słychać tylko chrzęst naszych butów na śniegu.

Przed nami widzę pierwszy z wodospadów i mały, rozpięty nad nim, drewniany mostek, a dalej szopę, w której znajduje się pompownia. Zwykle dostalibyśmy się tu w dziesięć minut. Ale w tych warunkach zajęło nam to dobre pół godziny.

Dostrzegam wielkie ślady butów Douga w śniegu na moście, gdzie najwyraźniej stał już wcześniej i patrzył w dół. Zauważam, że nie ma tu innych śladów. Ale nic w tym dziwnego. Śnieg pada od wielu godzin. Wszelkie inne ślady, łącznie z odciskami butów nieżyjącego gościa – zostały dawno zasypane.

– Tam – mówi, pokazując palcem.

Ostrożnie wchodzę na most. Na początku nic nie widzę. Most wisi wysoko nad wodospadem i jestem świadoma tego, że Doug za mną stoi. Wystarczyłoby małe popchnięcie, żebym spadła. Mocno trzymam się balustrady z łańcuchów, choć nagle wydaje mi się bardzo licha.

Początkowo nie rozumiem, na co patrzę. Widzę tylko śnieg i lód w wąwozie.

– Doug, tu niczego nie ma – mówię.

Ściąga brwi i raz jeszcze pokazuje palcem. Podążam za nim wzrokiem.

Nagle, gdy wpatruję się w skały w dole i wielkie czapy śniegu, coś zaczyna się spomiędzy nich wyłaniać, jak na obrazku „magiczne oko”.

– O Boże – mówię na bezdechu, jakbym dostała pięścią w brzuch. W swojej dawnej pracy widywałam martwe ciała. Częściej niż przeciętny człowiek. Ale towarzyszące temu przerażenie nigdy nie przemija. To zawsze wstrząs – głęboki, egzystencjalny wstrząs – stanąć przed nieożywionym przedmiotem, który kiedyś był człowiekiem. Człowiekiem, który jeszcze niedawno myślał, czuł i patrzył, a teraz pozostały z niego tylko zimne zwłoki. Czuję znajomy przypływ mdłości. Na studiach medycznych mówiono nam, że po jakimś czasie nam przejdzie. „Przyzwyczaicie się”. Ale w moim wypadku to chyba nigdy się nie stało. I jestem nieprzygotowana, mimo że wiedziałam, co idę zobaczyć. Śmierć znów wzięła mnie z zaskoczenia. A myślałam, że zdołałam jej uciec.

Ciało wygląda prawie jak element krajobrazu: chyba właśnie dlatego nie mogłam go dostrzec. Ale teraz, gdy już je widzę, nie jestem w stanie uwierzyć, że wcześniej je przeoczyłam. Martwy człowiek przyciąga teraz mój wzrok, jakby miał jakieś magiczne moce. Nogi skromnie przykrywa śnieg, a górną część osłonił most. Skóra jest szarosina, pozbawiona krwi i ludzkiego kolorytu. Włosy rozsypane wokół głowy wyglądają jak uschłe chwasty, które miejscami uporczywie sterczą spod śniegu.

Widać dużo nagiej skóry. Tak nie wygląda osoba przygotowana na tę pogodę. Mróz wykończyłby ją w godzinę lub mniej, gdyby coś go nie ubiegło. Albo ktoś.

Wyteńczywszy wzrok, widzę wokół głowy aureolę krwi – rdzawą, pokrywającą kamienie niczym wyjątkowy gatunek porostów. Jest jej dużo. Upadek na skały. Już samo to mogło być przyczyną śmierci.

Widzę jednak, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie da się nie zauważyć naszyjnika sińców na szyi. Skóra w tym miejscu, nawet z dużej odległości, wygląda na szczególnie posiniaczoną. Nie znam się na kryminologii – wiem nie więcej niż przeciętna osoba pracująca w służbie zdrowia. Moim dawnym powołaniem było ratowanie życia, a nie analiza śladów pozostawionych po jego utracie.

Twarz... nie, nie chcę myśleć o twarzy.

Odwracam się do Douga. Jego oczy są beznamiętne, jakby nie należały do żywej istoty. Odruchowo robię krok w tył. Ale biorę się w garść.

– Widzę to – mówię. – Widzę, o co ci chodzi. Tak.

Musimy poczekać na policję, zanim zaczniemy ferować wyroki. Ale teraz wiem, dlaczego Doug chciał, żebym przyszła to zobaczyć. To nie wygląda na wypadek.

TRZY DNI WCZEŚNIEJ
30 GRUDNIA 2018

EMMA

Nieco pijani siedzimy w salonie chaty myśliwskiej. Jesteśmy zmęczeni po całym dniu, ale nikt z nas nie chce położyć się spać, bo to coś nowego, być razem tak jak teraz. Samira i Giles do nas dołączyli – Priya w końcu zasnęła, ale Samira trzyma przy uchu elektroniczną nianię, jakby się bała, że przestała działać. Dużo się śmiejemy i wygłupiamy, alkohol nas rozluźnia.

– Co nas ominęło? – pyta Giles.

– Niewiele – odpowiada Nick. – Choć powinienem był zabrać ze sobą kilt. Wygląda na to, że tutaj to strój obowiązkowy.

– Mnie się podoba – mówi Miranda, zerkając w stronę łowczego, który kłęczy przed paleniskiem, żeby rozpaścić ogień. – Poznaliśmy też innych gości... – dodaje tajemniczo.

– I jacy są? – pyta Samira.

Bo zaczyna udawać Ingvara, przedrzeźniając jego akcent.

– Żądza krwi – mówi, gestykułując. – Nie czujesz, jak buzuje w tobie chęć zabijania?

Miranda parska śmiechem.

– Tak, tak! Dokładnie tak!

Bo umie naśladować – nic dziwnego, skoro jest aktorem. Ale mówi trochę niewyraźnie, bardziej pijany niż pozostali. W przeszłości miał podobno problemy z narkotykami, ale najwyraźniej alkohol nie podlega u niego ograniczeniom. Przy kolacji wlewał w siebie kieliszek za kieliszkiem, jakby to była woda.

– Boże – mówi Samira. – To jakiś wariat. Ale nawet jeśli, to... no wiecie... chyba nieszkodliwy?

– Katie wpadła mu w oko! – rzuca Miranda.

– To prawda, Katie? – pyta Giles, uśmiechając się szeroko.

Katie robi się czerwona. Siedzi obok Nicka zwinięta w kłębek na jednej z kanap, podciągnąwszy stopy pod siebie, jak gdyby starała się zajmować jak najmniej miejsca.

– Nie wydaje mi się – odpowiada.

– Właśnie, że tak – mówi na to Mark. – Jak na moje oko miał ochotę zaciągnąć cię do lasu i zrobić z tobą, co mu się podoba.

Raz jeszcze przypominam sobie o obecności łowczego. Ale marne szanse, żeby powiedział innym gościom, co podsłuchał. Przyglądam się, jak stawia piramidkę ze szczap drewna i podpałki. Jest coś budującego w tym, jak sprawnie pracuje. Giles i Mark byli wkurzeni, że Miranda uznała za konieczne, by go wezwać, ale wzniesiony przez nich ogień gasł w ciągu kilku minut. Mężczyzna nie wygląda na szczególnie zadowolonego, że został obarczony tym zadaniem, bo prawdę mówiąc, jest nieco późno. Zastanawiam się też, czy ktoś inny niż Miranda byłby w stanie wyciągnąć go z domu o tej porze.

A skoro mowa o Mirandzie – stoi teraz przy barku z alkoholami i robi nam „boulevardiery”, które są jej specjalnością – to negroni, w którym gin zastępuje się bourbonem. Podawano te drinki nawet na jej ślubie.

– Chcesz? – pyta łowczego.

– Nie – odpowiada, spuszczając wzrok w podłogę. – Muszę wracać.

– Jak chcesz.

Wstaje, wyciera ręce o kurtkę i rusza do drzwi.

– Dobranoc! – woła za nim Miranda.

– Niezły z niego sztywniak, co? – mówi Mark.

– Nie wszyscy mają twój dowcip i urok – odpowiada Miranda, podając nam koktajle, po czym pada na sofę i jednym płynnym ruchem zrzuca ze stóp szpilki. Jej paznokcie pomalowane są na idealny ciemnokrwisty odcień

czerwieni. Piękny kolor, bardzo szycowny. Muszę ją później zapytać, co to za odcień.

– Mam ochotę na papierosa – oznajmia. – Zawsze mam ochotę na papierosa, kiedy piję tego drinka. – Wyciąga paczkę. To vogi light. Wiem, bo palę te same, odkąd sięgnęłam po pierwszego w wieku dziewiętnastu lat.

– Nie wydaje mi się, żebyś mogła tu palić – mówi Nick.

– Jasne, że mogę. Pieprzyć to. Zapłaciliśmy za to miejsce tyle kasy, że mi się to należy, prawda? A zresztą – pokazuje na buchający w kominku ogień, który wzbija chmury pachnącego torfem dymu – stamtąd cuchnie wystarczająco mocno, żeby zamaskować inne zapachy.

Ale ktoś może cię zobaczyć, myślę sobie. Heather albo łowczy Doug. Kiedy teraz patrzy się na szyby, widać w nich przede wszystkim nasze odbicia, ten pokój i ogień. A dalej słabo zarysowuje się nocny krajobraz – głębsza czerń drzew i poblask jeziora. Inne rzeczy przepadają w ciemności.

Pamiętam, że tak było napisane w regulaminie. Zakaz palenia w środku. Jeśli ktoś to zobaczy, będziemy musieli zapłacić karę. Ale nie mam zamiaru się odezwać. Nie mam ochoty zabijać miłego nastroju. Chcę jedynie, żeby wszyscy dobrze się bawili.

– Kurwa – mówi Miranda. – Gdzie jest moja zapalniczka? Myślałam, że zostawiłam ją tu na stoliku. Należała do mojego dziadka. Jest ozdobiona herbem naszej rodziny.

Miranda zawsze znajduje jakiś drobne sposoby na to, by przypomnieć wszystkim o tym, że wywodzi się z bogatego domu. Nie sądzę jednak, by robiła to ze złośliwości. Taka po prostu jest.

Mark sięga do kieszeni i wyciąga swoją zapalniczkę. Miranda nachyla się w stronę płomienia, tak że widzimy malinową koronkę jej stanika.

– Może twój stalker ją zabrał? – droczy się Nick, rozsiadając się wygodnie i upijając łyk whisky (nie chciał drinka).

– O Boże – mówi Miranda, robiąc wielkie oczy. – Przysięgam... za każdym razem, kiedy coś zgubię, zwałam to na niego. Całkiem wygodne.

– Jakiego stalkera? – pytam.

– Ojej – mówi Miranda. – Zawsze zapominam, jaka jesteś nowa w tym gronie, Emmo.

Nie, nieprawda. Jeśli już, Miranda zawsze mi przypomina, jaka jestem tu nowa. Ale to mi nie przeszkadza.

– Manda miała stalkera – mówi Samira. – Zaczęło się w Oksfordzie, a potem ciągnęło jeszcze przez kilka lat w Londynie, prawda, Mando?

– Wiesz – beztrąsko mówi Miranda – momentami byłam nawet w stanie uwierzyć, że on nigdy nie istniał. Że ktoś robił sobie ze mnie żarty.

– Dziwne poczucie humoru – mówi Julien. – I nie przypominam sobie, żeby w tamtym czasie było ci to takie obojętne. Na pewno pamiętasz, jak bardzo się wtedy bałaś.

Miranda ściąga brwi. Pewnie nie podoba się jej sugestia, że czymś się przejmowała. Odgrywanie ofiary nie jest w jej stylu.

– Tak czy inaczej – mówi – podkradał mi różne rzeczy. Głównie drobiazgi, ale często takie, które miały jakąś wartość sentymentalną. Szczerze mówiąc, minęło trochę czasu, zanim domyśliłam się jego istnienia. Jestem taka roztrzepana, że często coś gubię i nie mogę znaleźć.

– Często też je zwracał – mówi Katie, wyglądając zza czytanego czasopisma. Przez ostatnią godzinę siedziała tak cicho, że prawie zapomniałam, że tu jest. – Po jakimś czasie.

– To prawda – potwierdza Miranda. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę przebiegający po jej twarzy cień – jakiś strach albo niepokój – ale jeśli to wspomnienie budzi w niej przykre emocje, to szybko je maskuje. – Na studiach podrzucał mi zwracane rzeczy do mojej przegródki na uczelni. Dodawał do tego wiadomości pisane na maszynie. A potem, gdy przenieśliśmy się do Londynu, dostawałam te rzeczy pocztą, też z liścikiem. To były drobiazgi: kolczyk, sweter, but. Jakby po prostu przez jakiś czas je przechowywał.

– To było okropne – mówi Samira. – Zwłaszcza, kiedy mieszkaliśmy w tym małym, przygnębiającym domu na drugim roku, przy torach kolejowych, pamiętasz? Zawsze sobie myślałam, że musisz być tym

przeżona. Aż mnie przechodziły ciarki na samą myśl, że on się tam gdzieś koło ciebie kręci.

– A mnie się to wydawało zwyczajnie zabawne – odpowiada Miranda.

– Inaczej to wspominam – wtrąca się Katie. – Pamiętam, jak na studiach w środku nocy przychodziłaś do mojego pokoju z kołdrą zarzuconą na ramię i mówiłaś, że masz poczucie, jakby ktoś był w twoim pokoju i ci się przyglądał. Spałaś u mnie na podłodze.

Miranda marszczy brwi. Na tym właśnie polega problem z dawnymi znajomymi – mają długą pamięć. A Katie nie grała zgodnie z zasadami – jej komentarz psuje miłą atmosferę.

– Wiesz – mówi Julien. – Zawsze wydawało mi się, że to był ktoś znajomy. Ktoś, kto zawsze był w pobliżu – na tyle blisko, by móc zabrać te rzeczy.

Widzę, jak Katie spogląda na Marka, ale szybko odwraca wzrok. Wiem, co myśli. Założę się, że według niej to on był stalkerem. Zawsze podkochał się w Mirandzie. Tak, wiem o tym. Nie, nie przeszkadza mi to. To zupełnie nieszkodliwe zauroczenie. Mark jest w głębi serca dość prostym człowiekiem. Ma temperament, to fakt, ale brak w nim wyrachowania, które jest potrzebne do tego typu zachowań.

Widzę, z jakim politowaniem Katie czasem na mnie spogląda. Drażni mnie to. Nie potrzebuję jej litości. Chciałabym móc jej to powiedzieć, jednocześnie nie sprawiając wrażenia, że coś mi się nie podoba.

MIRANDA

Ludzi zawsze interesowały historie o moim stalkerze. Wiem, jak je podkolorować, żeby wzbudzały dreszcze jak historie o duchach. Przecież to taka *przedziwna* historia. Prawdziwy stalker! Każdy myśli, że to się przytrafia tylko sławnym ludziom: aktorkom, piosenkarkom, prowadzącym programy śniadaniowe. Czasem przyłapię osobę, której o tym opowiadam, jak mi się przygląda: przymruża oczy, przechyla głowę na bok, jakby poddawała mnie ocenie. Czy naprawdę na coś takiego zasługuję? Czy naprawdę jestem aż tak interesująca?

Często podnoszę temat mojego stalkera podczas rozmów przy obiedzie. Jest niczym egzotyczne zwierzę domowe albo szczególnie uzdolnione dziecko. Stymuluje rozmowę. Czasem też ją wstrzymuje: myśl o tym, że ktoś nieustannie ci się przygląda i że wszystko o tobie wie. Ale wtedy przechodzę gładko do wyćwiczonego monologu – o tym, że jeśli się nad tym zastanowić, w obecnych czasach wszyscy jesteśmy stalkerami. Tak wiele wiemy o życiu innych osób. Nawet tych, których od lat nie widzieliśmy. Zapomnianych przyjaciół z dzieciństwa, starych kolegach ze szkoły. Mówię o tym, jak wszyscy dajemy przyzwolenie na to, by nas śledzono. Jak się nam wydaje, że mamy kontrolę nad tym, czym się dzielimy, ale tak naprawdę ujawniamy dużo więcej, niż jesteśmy świadomi.

– Więc tak naprawdę – mówię, zamykając przemowę – mój stalker po prostu wyprzedzał swoje czasy. Był pewnego rodzaju trend-setterem. Działał analogowo. Pewnie też studiował na Oksfordzie. – Tu robię małą pauzę, żeby do wszystkich to dotarło, załśniło, na wszystkich zrobiło wrażenie. – Może jest autorem jakiejś aplikacji w mediach społecznościowych. Dzieli się ze światem swoim doświadczeniem!

Gorzki śmiech wybucha jak na komendę. Punkt następny: dyskusja na temat prywatności i tego, na co powinniśmy się godzić, a gdzie stawiać granice... i jak prywatność to prawdziwe pole bitwy dwudziestego pierwszego wieku. Kolejny punkt: dzielenie się swoimi dziwnymi doświadczeniami: prywatnymi wiadomościami od obcych ludzi na Instagramie, trollowaniem na Twitterze i dziwacznymi zaproszeniami do grona znajomych od osób, których nigdy nie poznali. Żadne z tych doświadczeń nie jest jednak równie dziwne i *wyjątkowe* jak moje.

Rozpieram się wtedy na krześle z lekkim poczuciem dumy. Jak gdybym właśnie wykonała jakiś dobrze przećwiczony układ gimnastyczny, ale z dużo większą energią niż wcześniej. Mój przejaw towarzyskiej gimnastyki. Na tym etapie Julien pewnie przewraca oczami. Już to wszystko słyszał – jakieś sto, może tysiąc razy. I nigdy nie był w stanie dostrzec rozrywkowej strony tej historii. Namawiał mnie, żebym zgłosiła sprawę na policję. Kiedyś robił poirytowaną minę, gdy podnosiłam temat stalkera, bo uważał, że nie powinnam bagatelizować czegoś, co jest, jak to określał, „takie popieprzone”. Teraz wydaje mi się, że jest przede wszystkim lekko znudzony słuchaniem tej historii.

Ale prawda, której nikomu nie wyjawiam, jest taka, że bałam się mojego stalkera i wciąż się go boję. Są pewne rzeczy, które on o mnie wie, sekrety, wstydlive sprawy, o których nikomu nie powiedziałam. Nawet Katie w czasach, gdy byłyśmy jak zrosnięte biodrem, nawet Julienowi.

Stalker wiedział na przykład, że od czasu do czasu hobbistycznie dopuszczałam się sklepowych kradzieży w Oksfordzie. Tylko gdy znajdowałam się pod dużym naporem stresu: podczas egzaminów albo przed oddaniem ważnej pracy zaliczeniowej. Moja terapeutka (jedyna, której powiedziałam o tym niewinnym nawyku) uważa, że ma to związek z potrzebą kontroli, tak jak moje odchudzanie się i aktywność fizyczna: coś, nad czym miałam władzę i w czym byłam dobra. Myśli jednak, że to już przeszłość – nie wie, że czasem nadal podprowadzę jakąś szminkę, parę kaszmirowych rękawiczek albo czasopismo. Chodzi też o emocje związane z tym, że coś uchodzi mi na sucho – moja terapeutka do tego nie doszła.

Ukradłam parę kolczyków z Topshopu w Oksfordzie. Złote koła z małą pomalowaną papużką siedzącą na każdym z nich. Kilka dni po tym, jak je ukradłam, zniknęły z mojego pokoju. Zwrócono je kilka tygodni później do mojej przegródki na uczelni z dołączoną wiadomością: „Mirando Adams, mam wobec Ciebie wyższe oczekiwania. Z poważaniem, Życzliwy Przyjaciel. XXX”. Buziaki na koniec były najgorsze.

Ten ktoś musiał być ze mną w sklepie. Z tego, co pamiętam, tłok był spory, a oprócz kobiet byli tam też mężczyźni, którzy towarzyszyli swoim partnerkom lub szli do działu męskiego. Ale żadna twarz nie zwróciła mojej szczególnej uwagi. Nie pamiętałam, żeby ktokolwiek mi się przyglądał – inaczej niż normalnie – albo dziwnie zachowywał.

Pamiętam, jak po pewnym czasie od zniknięcia kolczyków zobaczyłam jakąś dziewczynę w okularach w Bibliotece Bodlejańskiej, która miała na sobie dokładnie taką samą parę – i prawie pobiegłam za nią do działu wypożyczeń krótkoterminowych. Do chwili aż zdałam sobie sprawę, że przecież każdy mógłby je kupić. Były, na litość boską, z sieciówki. W całym mieście mogło je nosić dwadzieścia, może pięćdziesiąt dziewczyn. W taką paranoję wpędził mnie mój stalker – sprawił, że byłam gotowa gonić po ulicy zupełnie obcych ludzi.

A potem kupiłam esej od studenta wyższego rocznika z zamiarem skopiowania go i oddania pod swoim nazwiskiem. Obie wersje leżały na biurku w moim pokoju – oryginalna i moja kiepsko zakamuflowana kopia. Poszłam na drinka do pubu i po powrocie przekonałam się, że obie wersje zniknęły. Musiałam po pijaku w ciągu kilku godzin sklecić coś nowego. Ledwie dostałam zaliczenie, na najniższy jak do tamtej pory stopień w mojej uczelnianej karierze, choć potem były też i gorsze. Tydzień później obie prace zostały mi zwrócone. Wiadomość: „Chyba nie chcesz podążyć tą ścieżką, Mirando”. A kiedy tydzień później kilku studentów zostało oskarżonych o plagiat, czułam niemal wdzięczność.

Był jeszcze ten jeden raz, gdy zdradziłam Julię na bardzo wczesnym etapie naszego związku. Byłam pijana i dałam się przelecieć koleżdze z grupy. A przy moim szczęściu w tamtym miesiącu spóźnił mi się okres.

Zrobiłam test ciążowy (na szczęście wynik był ujemny), który został mi zwrócony tydzień później z wiadomością: „Niegrzeczna z Ciebie dziewczynka, Mando. Co by powiedział Julien?”.

Nonszalanckie nazwanie mnie „Mandą”, jak mają w zwyczaju tylko moi najbliżsi przyjaciele.

Nie powiedziałam nikomu o tych konkretnych wiadomościach. Nawet Katie i Samirze. Ujawniały o mnie coś, czego wolałabym nikomu nie mówić. Bałam się też, że gdybym zdenerwowała czymś swojego stalkera, mógłby wykorzystać wszystkie moje sekrety, żeby mnie zniszczyć.

Mimo to poszłam na policję – choć nikomu o tym nie powiedziałam. Wzięłam ze sobą kilka wiadomości, na których pokazanie byłam się w stanie zdobyć. Nie potraktowano mnie poważnie.

– Czy w wiadomościach padły jakiegokolwiek groźby? – zapytał funkcjonariusz, z którym rozmawiałam.

– Nie.

– Czy ktoś z twojego otoczenia zachowuje się w zagrażający ci sposób?

– Nie.

– Żadnych śladów włamania?

– Nie.

– Moim zdaniem – podniósł jedną z wiadomości i jeszcze raz ją przeczytał – jakiś kolega robi sobie z ciebie żarty, kwiatuszku. – Protekcyjny dupek.

I na tym się skończyło. Żałowałam, że w ogóle to zgłosiłam, i to nie tylko dlatego, że policja nie okazała się pomocna. Idąc do nich, zrobiłam z siebie ofiarę, którą nie chciałam być.

Po przeprowadzce do Londynu wszystko ciągnęło się jeszcze przez kilka lat. Stalker jakoś dowiedział się, gdzie mieszkam. Dostać się do pokoju w akademiku z niezbyt pilnie strzeżonego korytarza to jedno. Zupełnie czymś innym jest wejść do budynku w Londynie z trzema antywłamaniowymi zamkami w drzwiach. Nawet kiedy się przeprowadziliśmy, wszystko toczyło się dalej. Przedmioty, które ginęły, zawsze były podobnego rodzaju. Leżały na wierzchu, nie były cenne, ale

mimo to posiadały pewne znaczenie. Najmniejsza laleczka z samego wnętrza pięknie malowanej matrioszki, którą dała mi moja ukochana matka chrzestna, zanim zmarła na raka. Szal z batiku, który kupiłam w pewnej greckiej wiosce podczas pierwszych wakacji z Julienem, po drugim roku. Pleciona bransoletka, którą dała mi Katie po pierwszym roku naszej przyjaźni.

Myślałam, że on mnie nigdy nie opuści. Zaczęłam go traktować jako element swojego życia, a nawet element mnie. Ale wtedy, ni stąd, ni zowąd, wszystko ustało. Kilka lat temu. A przynajmniej tak mi się wydaje. Nie otrzymuję już żadnych paczek ani wiadomości. Ale czasem, kiedy nie mogę czegoś znaleźć, przeszywa mnie ten dobrze znany strach. Na przykład srebrna grzechotka od Tiffany'ego, którą kupiłam ostatnio pod wpływem impulsu, będąc na Bond Street. Na pewno gdzieś się znajdzie. Nie należę do uporządkowanych osób. Powtarzam sobie, że to tylko paranoja. Ale nigdy całkowicie nie pożegnałam się z uczuciem, że ktoś mnie obserwuje.

Nikomu o tym nie powiedziałam – nawet Julienowi, Kate ani Samirze – o tym skradającym się uczuciu przerażenia, jakiego czasami doznaję. O chwilach, kiedy stoję w tłumie i nagle ogarnia mnie uczucie, że ktoś stoi tuż za mną i dyszy mi w kark... ale gdy się odwrócę, nikogo tam nie ma. Albo nagłej pewności, że ktoś zbyt uważnie mi się przygląda. A to dziwne mrowienie, kiedy wydaje ci się, że ktoś na ciebie patrzy? Przytrafiło mi się na festiwalach muzycznych i wypadach na zakupy, w supermarketach i nocnych klubach. Czasem cofam się o kilka kroków od krawędzi na peronach metra, przekonana, że ktoś stoi tuż za mną i lada chwila mnie popchnie.

Nie, nikomu nie opowiadam o swoich lękach. Ani Katie, ani Julienowi, a już na pewno nie rozbawionym gościom przy obiednim stole.

Miewam też złe sny. Najgorzej jest wtedy, kiedy Julien wyjeżdża gdzieś służbowo. Wielokrotnie sprawdzam wszystkie zamki w drzwiach, ale nawet wtedy budzę się w czarnej jak smoła sypialni, przekonana, że ktoś jest w pokoju razem ze mną. Głowa płata mi figle jak wtedy, gdy obejrzy się

horror przed snem. Nagle w każdym rogu widzisz złowrogie cienie. Tylko że to jest sto razy gorsze. Bo niektóre z tych cieni mogą być prawdziwe.

KATIE

Miranda nareszcie dochodzi do końca swojego małego repertuaru. W tym samym momencie wiatr postanawia wydać przez komin długie, melodramatyczne wycie. Ogień gwałtownie bucha, a nad paleniskiem unoszą się iskry. Doskonale wycucie czasu, jak z horroru. Wszyscy wybuchają śmiechem.

– To mi przypomina dom, który wynajęliśmy w Walii – mówi Giles.

– Ten, w którym co chwilę brakowało prądu? – pyta Nick. – I ogrzewanie wyłączało się, kiedy chciało?

– Był nawiedzony – mówi Miranda. – Tak nam powiedział właściciel, pamiętacie? Był z czasów jakobińskich. – To Miranda go wybrała.

– Fakt, był stary – mówi Mark – ale nie wiem, czy kiepską kanalizację i usterki elektryczne można zwać na duchy.

– Ale przecież tam się tyle razy objawiły duchy – lojalnie mówi Emma. – Tamta kobieta mówiła, że o tym domu nakręcono nawet program do telewizji.

– Właśnie – mówi Miranda z zadowoleniem. – Pamiętacie historię o dziewczynce, którą przyrodni bracia wyrzucili przez okno, bo zdali sobie sprawę, że odziedziczy cały majątek? Potem ludzie słyszeli, jak krzyczy w nocy.

– Ja zdecydowanie słyszałem, jak ktoś krzyczy w nocy – mówi Gil, uśmiechając się do niej szeroko. Cienkość ścian i pewne „odgłosy”, które nie dawały wszystkim spać, stały się podczas tamtego wyjazdu źródłem wielu żartów. Miranda i Julien zostali uznani za głównych sprawców.

– Daj spokój – mówi Miranda, uderzając Gilesa poduszką. Śmieje się, ale kiedy rozmowa przenosi się na inny temat, widzę na jej twarzy nową minę. Czy to melancholia? Odwracam wzrok.

Wzmianka o Walii otworzyła rozmowę o innych przeszłych wyjazdach. To nasze ulubione zajęcie – powracanie do wspomnień sprzed lat. Te doświadczenia połączyły nas na zawsze. Dały nam poczucie plemiennej przynależności. Odkąd się tylko znamy, spędzamy razem sylwestra. To jak zebranie stada, które z upływem lat rozbiegło się w różne strony, bo każdy z nas ma swoje życie i pracę. Zastanawiam się, czy inni doświadczają przy tych naszych spotkaniach tego samego co ja. Bez względu na to, jak bardzo mi się wydaje, że się zmieniłam, bez względu na to, jaką inną osobą jestem w pracy lub w towarzystwie kilku znajomych spoza uczelni, kiedy się spotykamy, w jakiś sposób wracam do bycia tą samą osobą, którą byłam ponad dziesięć lat temu.

– Nie wierzę, że w zeszłym roku tyle wypiałam... jednocześnie będąc w ciąży z Priyą – mówi Samira z miną wyrażającą przerażenie.

– Przecież wtedy jeszcze o tym nie wiedziałaś – mówi Emma.

– Zgadza się, ale mimo wszystko. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, żebym mogła teraz wlać w siebie aż tyle kolejek. Wydaje mi się to takie... niepotrzebne. Ostatnimi czasy czuję się jak stara babcia.

Ale zdecydowanie na taką nie wygląda. Z tymi błyszczącymi, czarnymi włosami i promienną cerą, na której nie widać żadnych zmarszczek, Samira wciąż prezentuje się jak dziewczyna, którą poznałyśmy w Oksfordzie. Za to Giles, który kiedyś miał na głowie gęstą czuprynę włosów, wygląda jak ktoś zupełnie inny. Ale pomijając fizyczność, Samira jest diametralnie inna niż kiedyś. W czasach studiów łatwo popadała w gniew i onieśmiała ludzi swoim ostrym jak brzytwa intelektem i nienagannym stylem. Brała udział we wszystkich dodatkowych zajęciach na uczelni. Koło dyskusyjne, kilka dyscyplin sportowych, teatr, uczelniana orkiestra – a przy okazji była znaną wszystkim imprezowiczką. W jakiś sposób potrafiła zmieścić w swoim rocznym grafiku dziesięć razy więcej zajęć niż normalni studenci w cztery lata i na dodatek skończyć studia z jednym z najlepszych wyników na uczelni.

Teraz wydaje się łagodniejsza, spokojniejsza. Może to z powodu macierzyństwa. Albo dlatego, że jej kariera zawodowa tak dobrze się

rozwija – okazuje się, że firma konsultingowa, dla której pracuje, namawia ją na wcześniejszy powrót z urlopu macierzyńskiego. Nietrudno sobie wyobrazić, że jest tam niezbędna. Może to kwestia wieku. Poczucia, że nie musi już niczego udowadniać, że wie dokładnie, kim jest. Zazdroszczę jej tego.

Julien opowiada o miejscu, które odwiedziliśmy w Oxfordshire dwa lata temu – był to chyba pierwszy sylwester Emmy w naszym towarzystwie.

– Ha! – Mark upija łyk swojego drinka. – Musiałem pokazać tym miejscowym kołkom, kto rządzi. Pamiętacie? Jeden z nich naprawdę próbował mi przyłożyć.

Było trochę inaczej.

Pamiętam to tak: nasza grupa miała nieporęczny rozmiar. Piętnaście osób – za mało na imprezę, za dużo na kameralny wieczór. Postanowiliśmy, że po południu w sylwestra pojedziemy na konny tor wyścigowy. Muszę przyznać, że spodziewałam się czegoś bardziej wykwintnego – jak z *My Fair Lady* lub *Pretty Woman*. Rozczarowałam się. Były tam dziewczyny w tak krótkich spódnicach, że można było zobaczyć ich stringi, i chłopaki w tanich, połyskliwych garniturach, z kiepskimi fryzurami i opaleniznami z solarium, którzy z upływem wieczoru robili się coraz bardziej hałaśliwi. Zamiast kawioru i szampana dostaliśmy mięsne paszteciki i butelkowane kamikaze. A mimo to świetnie się bawiliśmy. Te dziewczyny w miniówkach i chłopaki w tanich garniturach byli tak naprawdę bandą dzieciaków, stroszących piórka, wypinających pierś i ukrywających swoją nieśmiałość za alkoholowym zamroczeniem, tak jak wiele lat wstecz robiło i nasze pokolenie.

A Mark postanowił powiedzieć do nas na głos, że „w tej knajpie siedzą sami Cyganie”.

Fakt, siedzieliśmy w dość odosobnionej części hipodromu i piliśmy swoje butelkowane drinki – większość ludzi stała przy torach i kibicowała obstawionym koniom. Ale dookoła nas wciąż siedziało kilka osób. „Grupka

młodocianych”, jak to by ich określiła prasa bulwarowa. A Mark nawet nie starał się być cicho. Lubi to. Czasem myślę sobie, że gdyby Emma nie była taka przymilna, taka chętna, by wpasować się w naszą grupę, tak łatwo byśmy go nie tolerowali.

Usłyszało go dwóch nabuzowanych alkoholem nastolatków. Nagle zaczęli do niego podskakiwać. Ale widać było, że nie robią tego na poważnie. Po prostu czuli, że powinni tak zareagować, żeby bronić swojej urażonej dumy, jak w filmie przyrodniczym, w którym mniejsze samce w stadzie nie mogą sobie pozwolić na okazanie strachu, bo inaczej zostaną zjedzone. To było w sumie całkiem zrozumiałe.

Najbardziej agresywnie zachowywał się niski, chudy chłopak o rzadziutkim nastoletnim zarostie na brodzie i w wyjątkowo paskudnym garniturze w prążki.

– Powtórz to, stary. – Jego głos miał w sobie charakterystyczną, nastoletnią piskliwość. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat.

Czekałam, aż Mark spróbuje załagodzić sytuację i w jakiś sposób obróci ją w żart. To byłoby jedynym rozsądnym, dojrzałym zachowaniem. Bo koniec końców to my byliśmy tu dorosłymi. A Mark był zdecydowanie wyższy od swojego przeciwnika w paskach.

Ale Mark go uderzył. Zrobił dwa kroki do przodu i przyłożył mu prosto w twarz tymi swoimi mięsistymi dłońmi. Tak mocno, że głowa chłopaka aż odskoczyła. Tak mocno, że padł na ziemię jak obalony posąg. W tej samej chwili rozległ się huk pistoletu startowego. Wydawało mi się, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach.

Wszyscy stanęliśmy jak wryci, podobnie jak stadko znajomych chłopaka w paskach. Można by pomyśleć, że jego znajomi rzucą się z odwetem, żeby pomścić kolegę. Ale nie. Tak przerażająca była ta agresja. Zbyt nagła, zbyt brutalna. Było widać, że są przerażeni.

Nachylili się nad nim i zaczęli go cucić. Stękał jak zbolące zwierzę. Jedna strużka jaskrawej krwi sączyła się z jego nosa, a druga, bardziej niepokojąca, z jego ust. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś krwawił z ust, chyba że w filmach. Okazało się, że chłopak odgryzł sobie koniuszek

języka, kiedy uderzył głową o ziemię. Przeczytałam to w artykule w szmatławej gazecie internetowej kilka tygodni później. Przeczytałam też, że policja szuka sprawcy zdarzenia. Ale wspomnieli też, że młokos lubił pakować się w kłopoty, więc może nie traktowano sprawy aż tak poważnie?

Ale najdziwniejsze było to, że Emma nie wydawała się szczególnie zaszokowana. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że pewnie widziała już wcześniej tę stronę Marka. Natychmiast wiedziała, co zrobić – jak gdyby czekała, aż coś takiego się wydarzy. Praktyczna w każdej sytuacji.

– Musimy stąd wyjść – powiedziała. – Natychmiast, zanim ktoś się dowie.

– A jeśli temu chłopakowi coś się stało? – zapytałam.

– To tylko banda pijanych dresiarzy – odparła. – I sami zaczęli. – Odwróciła się do nas wszystkich. – Nie tak było? Nie oni zaczęli? Mark się tylko bronił.

Była taka przekonująca – i taka przekonana o swojej racji – że chyba wszyscy jej uwierzyliśmy. I przez cały trzydniowy wyjazd nikt więcej nie wspomniał o tym zdarzeniu. W sylwestra, kiedy Mark tańczył na stole w śmiesznej peruce i z wielkim, głupim uśmiechem na twarzy, nawet łatwiej było mi uwierzyć, że to się nigdy nie wydarzyło. Teraz trudno to sobie nawet wyobrazić, gdy patrzę, jak sadza sobie Emmę na kolanach i z czułością mierzwi jej włosy, uśmiechając się do niej. Wygląda jak wzór kochającego chłopaka. Prawie, ale nie do końca. Prawda jest taka, że nigdy nie byłam w stanie zapomnieć tego, co zobaczyłam tamtego wieczoru, i czasem, kiedy patrzę na Marka, to wspomnienie nieoczekiwanie do mnie wraca, budząc we mnie nagły przestrah.

DOUG

Druga w nocy. Kiedy odsuwa zasłonę, widzi światło bijące z chaty myśliwskiej, które teraz wydaje się jaśniejsze, niczym akt sprzeciwu wobec otaczającej budynek ciemności. Już od kilku godzin leży w łóżku, nie mogąc zasnąć, jak zwierzę, którego terytorium zostało naruszone i które nie będzie mogło w spokoju odpocząć, dopóki zagrożenie nie przeminie. Słyszy gości nawet tutaj – dudnienie muzyki, a od czasu do czasu wybuchy śmiechu. Słyszy nawet niskie wibrowanie ich głosów. A może tę część sobie wyobraża? Trudno być pewnym. Jak na kogoś, komu kiedyś powiedziano w szkole, że „brakuje mu wyobraźni”, jego mózg w ostatnich dniach wymyśla sobie bardzo wiele rzeczy.

Wybrał swój domek właśnie dlatego, że znajduje się najdalej od pozostałych zabudowań. Prawie wszystkie okna wychodzą na ponure, szare zbocze góry, jezioro widać nieznacznie tylko przez okienko w toalecie, które niemal całkiem zarósł bluszcz. Przez większość czasu potrafi sobie niemal wyobrazić, że przebywa tu całkiem sam. Byłoby najlepiej, gdyby przebywał tu sam. Dla swojego dobra i dobra innych.

Ledwie jest w stanie przypomnieć sobie mężczyznę, który był sympatyczny i lubił towarzystwo innych ludzi – który miał (nie do wiary) *przyjaciół*. Który potrafił być duszą towarzystwa podczas wyjścia na piwo, który miał reputację zabawnego gościa, gawędziarza. Tamten facet miał kiedyś życie: dom i kobietę, która czekała na niego przez trzy długie misje w Afganistanie. Nie opuściła go nawet wtedy, kiedy po ostatniej z nich wrócił zupełnie nie do poznania. Ale wtedy zdarzyło się „to coś” – a raczej on zrobił „to coś” – i ona odeszła.

– Nie wiem już, kim jesteś – powiedziała, byle jak wpychając do worków na śmieci swoje rzeczy, jak ktoś, kto ucieka przed klęską żywiołową. Powiedziała, że jej siostra czeka w samochodzie, jakby bała się, że on mógłby zrobić coś niewyobrażalnego, by ją powstrzymać. – Mężczyzna, którego kochałam... – w jej oczach były łzy, jak gdyby opłakiwała kogoś, kto umarł – nie zrobiłby czegoś takiego.

Bała się go. Widział to, kiedy zrobił krok w jej stronę, chcąc ją pocieszyć – bo nie mógł patrzeć na to, jak płacze. Cofnęła się przed nim, zasłaniając workiem jak tarczą. Wyprowadziła się, zmieniła numer telefonu. Jego rodzina też się odsunęła. Myśl, że był tamtym mężczyzną, wydaje mu się zbyt absurdalna, by mogła być prawdziwa. Lepiej wyobrazić sobie, że to jakiś odległy krewny.

Widział, jak ci goście na niego patrzyli – jakby był jakimś dziwolągiem. Gdy patrzył w lustro, choć robił to rzadko, zaczynał rozumieć dlaczego. Wygląda jak dzikus, ktoś ze społecznego marginesu. Obecny zawód jest prawdopodobnie jedynym, w którym jego obecny wygląd, nieuczesane włosy i sfatygowane ubrania można uznać za wymóg. Czasem zastanawia się, czy powinien odpuścić sobie udawanie, że żyje jak normalny człowiek i zapuścić się w dzicz. Wydaje mu się, że dałby sobie radę. Jest twardy: te pierwsze kilka miesięcy szkoleń w piechocie morskiej szybko wyplenili z niego wszelką miękkość, a kolejne lata jeszcze bardziej go zahartowały, jakby był kawałkiem stali. Jediną słabą w nim rzeczą – rzeczą, której pozornie nie jest w stanie kontrolować – jest jego umysł.

Ma konkretny zestaw umiejętności, wiedzę na temat tego, jak bezterminowo przetrwać w głuszy. Mógłby wziąć broń i wędkę – polować i łowić, by jeść. Pozostałe rzeczy może ukraść, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie miałby skrupułów, by wziąć coś dla siebie. Oddał przecież wszystko. A większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że mają więcej, niż naprawdę im trzeba. Są leniwi, chciwi i ślepi na to, jakie łatwe i beztrudne prowadzą życie. Może to nie ich wina. Może nie mieli możliwości zobaczyć, jak

ulotne jest ich szczęście. Ale czasem myśli sobie, że ich wszystkich po prostu nienawidzi.

Z wyjątkiem Heather. Do niej nie czuje nienawiści. Ale ona jest inna. Nie porusza się w chmurze beztroskiej nieświadomości. Nie zna jej dobrze, to prawda, ale wyczuwa, że poznała życie od najgorszej strony.

Wstaje z łóżka. Nie ma sensu udawać, że w ogóle zaśnie. Kiedy otwiera drzwi do salonu, budzi psy, które początkowo spoglądają na niego ze swojego kojca zaspane i zdeorientowane, a następnie z rosnącą ekscytacją zaczynają go obskakiwać, zaciekle machając ogonami. Może wziąć je na spacer. Lubi głęboką ciszę, która panuje tu nocą. Okoliczne ścieżki są dla niego znajome o każdej porze dnia i nocy.

– Jeszcze nie, dziewczyny – mówi, sięgając po butelkę słodowej whisky i lejąc do szklanki więcej, niż powinien. Z nadzieją, że to mu pomoże nieco się rozluźnić.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Dzwonię na policję, żeby powiedzieć im o zwłokach.

Dyspozytor (który nie może mieć więcej niż dziewiętnaście lat) ma niezdrowo podekscytowany głos.

– To nie wygląda na wypadek – mówię.

– A jak pani do tego doszła? – W jego głosie pobrzmiwa słaba, choć wyraźna nuta niepowagi. Aż mnie kusi, żeby mu powiedzieć, kim kiedyś byłam, czym się zajmowałam.

– Ponieważ – odpowiadam, siląc się na cierpliwość – wokół szyi widać wyraźne siniaki. Nie jestem... specjalistką, ale moim zdaniem to oznacza wywarcie siły. – Jak przy uduszeniu, dodaję w duchu, ale nie mówię na głos. Nie chcę dać mu kolejnego powodu, żeby sobie pomyślał, że się zagalopowuję.

Po drugiej stronie słuchawki następuje dłuższa przerwa, która, jak sobie wyobrażam, oznacza, że chłopak domyśla się, że ma do czynienia z czymś ponad zakres swoich obowiązków. Po chwili wraca. Z jego głosu całkiem zniknęła powaga.

– Proszę chwilę poczekać, znajdę kogoś innego, z kim mogłaby pani porozmawiać.

Po chwili czekania w słuchawce zgłasza się kobieta.

– Witaj, Heather, tu nadkomisarz Alison Querry. – Kobieta ma zbyt pewny ton głosu jak na lokalny posterunek. Jej akcent nie jest stąd – ma w sobie coś edynburskiego. – Skierowano mnie tu w związku z inną

sprawą. – No tak, myślę sobie. To wiele tłumaczy. – Z tego, co rozumiem, poszukiwana osoba niestety okazała się martwa.

– Tak.

– Czy możesz opisać stan, w jakim znajdowała się ofiara?

Podaję ten sam opis co młodszemu funkcjonariuszowi, dodając nieco więcej szczegółów. Wspominam o dziwnym ułożeniu ciała na skałach.

– Dobrze – odpowiada. – Dostęp do was jest obecnie niemożliwy ze względu na warunki pogodowe i położenie posiadłości. Ale postaramy się znaleźć sposób, żeby do was dotrzeć, pewnie helikopterem.

Proszę, mam ochotę błagać Alison Querry o spokojnym, wyważonym tonie głosu, przyjedźcie tu najszybciej, jak się da. Sama nie dam tu sobie rady.

– Kiedy może to nastąpić? – pytam w zamian.

– Niestety, nie ma w tej kwestii pewności. Dopóki pada, niewiele możemy zrobić. Ale jestem przekonana, że wkrótce. A w międzyczasie zatrzymaj gości w ich kwaterach. Oczywiście przekaz im informacje, ale szczegóły, które mi podałaś, zachowaj dla siebie. Nie chcemy nikogo niepotrzebnie alarmować. Kto tam obecnie przebywa?

Walczę z wyczerpaniem – nie spałam już od dwudziestu czterech godzin. W tym czasie lawirowałam pomiędzy zmęczeniem a zastrzykami adrenaliny. Teraz moje myśli są powolne jak ciągnąca się melasa.

– Mamy... jedenastu gości – odpowiadam w końcu. – Dziewięć osób z Londynu i dwie z Islandii. I jest jeszcze łowczy, Doug, no i ja.

– Tylko was dwoje obsługuje taki wielki ośrodek? To musi być chyba ogromny wysiłek.

Mówi to ze współczuciem, ale mam wrażenie, że coś się kryje pod tą uwagą – jakaś wnikliwość i dociekliwość. A może mój pozbawiony snu umysł szuka dziury w całym.

– Jakoś dajemy sobie radę – odpowiadam. – Mamy jeszcze jednego pracownika, ale w sylwestra po pracy wrócił do siebie do domu. Nie mieszka tu. Na miejscu jesteśmy tylko ja i Doug.

– Rozumiem. Czyli z tego, co ci wiadomo, jedynymi osobami na terenie posiadłości tej nocy byłaś ty, twój kolega łowczy i jedenaście innych osób? Razem trzynaście.

Dla niektórych nieszczęśliwa liczba... pobrzmiwa mi w uszach.

– To upraszcza sprawę.

Upraszcza? Jak? Sama sobie odpowiadam – jeśli to rzeczywiście było morderstwo, to przestępca jest prawdopodobnie między nami. Dwunastu podejrzanych. A wśród nich zapewne również i ja. Ta świadomość nie powinna mnie zaskoczyć. Ale jednak zaskakuje, z powodu nonszalanckiego tonu nadkomisarz Querry i stworzonych przez nią pozorów, że do czasu jej nieobecności to ja tu dowodzę.

– Podsumujmy – mówi. – Nie daj nikomu wyjechać. W międzyczasie zastanów się, czy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nie widziałaś czegoś, co mogło wydać ci się dziwne. Może coś zobaczyłaś albo usłyszałaś – może nawet zauważyłaś w okolicy kogoś, kogo nie rozpoznałaś? Każdy szczegół może się okazać ważny.

– Dobrze – odpowiadam. – Zastanowię się.

– Coś może od razu przychodzi ci do głowy?

– Nie.

– Spróbuj. Możliwe, że samą siebie zaskoczysz.

– Nic mi nie przychodzi. – Ale kiedy wypowiadam te słowa, coś sobie przypominam. Może to przez miejsce, w którym stoję podczas tej rozmowy: w oknie biura, z którego roztacza się widok na ciemny szczyt góry po drugiej stronie jeziora i starą chatę myśliwską, przycupniętą tam jak zwierzę toczone chorobą. Nagle w mojej głowie pojawia się obraz, niemal taki sam jak teraz, ale pograżony w ciemności, który widziałam ze swojego okna o jakiejś boleśnie wczesnej porannej godzinie Nowego Roku. Zaciskam powieki, próbując sprawić, by obraz nabrał ostrości. Coś mnie obudziło: z początku nie mogłam dojść, co. Potem usłyszałam płacz dziecka naszych gości. To mogło być to. Poszłam zaspanym krokiem do toalety, żeby ochłapać twarz wodą. Kiedy wyjrzałam przez okienko w łazience, zobaczyłam masyw góry odznaczający się na tle nocnego nieba

usianego gwiazdami. I coś dziwnego. Jakieś światełko, poruszające się jak samotny świetlik, zbłąkana gwiazda. Zdawało mi się, że zmierza w stronę starej chaty myśliwskiej. Przecina powoli ciemne zbocze.

Ale nie mogę jej tego powiedzieć. Nie jestem nawet pewna, czy to, co widziałam, było prawdziwe. Wszystko było takie mgliste, takie niepewne. Nie jestem nawet do końca przekonana, w który to było dzień, ale na pewno było to wcześniej rano. Gdy próbuję wyostrzyć ten obraz w pamięci, wydusić z niego coś więcej, wspomnienie blednie, a ja zaczynam wierzyć, że to tylko wytwór mojej wyobraźni.

– Jeszcze jedna rzecz. Zupełnie nieoficjalnie, żebym miała lepszy ogłąd sytuacji. Bardzo mi to pomoże. Pamiętasz, co robiłaś tego wieczoru, kiedy zaginął jeden z gości?

– Leżałam już w łóżku. – *Nie do końca prawda, Heather. Nie jest to też do końca kłamstwo, ale nie jest to też cała prawda. Ale jak właśnie sobie przypomniłaś, tłukłaś się po domu o Bóg wie której godzinie.*

Sylwester. Najbardziej samotna noc w roku, nawet jeśli jesteś wśród ludzi. Uważałam tak, nawet zanim moje życie się posypało. Zawsze istnieje jakaś obawa, że może nie bawisz się tak dobrze, jak mógłbyś. Jak powinieś. A w tym roku odgłosy tego, jak dobrze bawili się londyńczycy – nawet jeśli wmówiłam sobie, że wcale im nie zazdroszczę – wcale mi nie pomagały. Wypiłam więc więcej niż zwykle, zapominając, że upijanie się po to, by złagodzić poczucie samotności, czyni cię jeszcze bardziej samotnym.

Kiedy chwiejnym krokiem dotarłam do łazienki, nie pamiętam dokładnie o której – piątej, może szóstej – nie byłam w odpowiednim stanie, by mieć pewność, że w ogóle cokolwiek widziałam. A nie mogę jej tego powiedzieć. Bo musiałabym przed nią przyznać, jaka naprawdę byłam pijana. *A wtedy co?*, pyta mnie cienki głosik w mojej głowie. *Musiałabyś przyznać, że wcale nie jesteś tą kompetentną i szczerą osobą, którą grasz? Stracisz jej zaufanie.* Raz jeszcze przypominam sobie, że mimo jej pytań o to, co mogłam zauważyć, i pozorów, że tu dowodzę, jestem jedną z trzynastu osób, które były tu tamtej nocy. Ja też jestem podejrzana.

– Nie słyszę cię, Heather – mówi nadkomisarz Alison Querry. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak – odpowiadam. Mój głos jest cichy i niepewny. – Jestem.

– Dobrze. Pozostańmy w kontakcie. Jeśli będziesz miała jakieś pytania, dzwoń. Jeśli cokolwiek przyjdzie ci do głowy, nie wahaj się podnieść słuchawki.

– Oczywiście.

– Będę tam najszybciej, jak to możliwe. Wydaje mi się, że jak na razie masz wszystko pod kontrolą.

– Dziękuję. – Przypomniałam sobie słowa mojej siostry Fi: „Czasem nie ma nic złego w tym, by nie robić dobrej miny do złej gry, Heaths. Jeśli będziesz wszystko w sobie dusić, możesz spowodować więcej szkody niż pożytku”.

– Za niedługo skontaktuję się z tobą, żeby podać kolejne szczegóły na temat naszego przylotu. Ale najpierw muszą zelżeć opady.

Co mamy robić do tego czasu? Czekać tu zasypani śniegiem, z widmem śmierci za progiem?

I wtedy zadaję pytanie, mimo że wiem, że nie uzyskam odpowiedzi.

– Co to za sprawa, do której została pani wezwana?

Krótkie milczenie. Kiedy kobieta znów się odzywa, jej ton jest mniej przyjazny, bardziej służbowy.

– Ujawnię tę informację, dopiero jeśli stanie się to konieczne.

Ale nie musi mi mówić. Myślę, że wiem. Ślady na ciele. Czytałam gazety. Nie mogłam się powstrzymać. Przecież on trzyma za gardło zbiorową wyobraźnię całego kraju. Ma nawet swój własny pseudonim. Rozpruwacz z Highlandów.

TRZY DNI WCZEŚNIEJ
30 GRUDNIA 2018 ROKU

KATIE

Już prawie wpół do trzeciej nad ranem. Właśnie się zastanawiam, czy jest wystarczająco późno, żebym mogła wymknąć się do swojego domku bez oskarżeń, że psuję imprezę, kiedy Miranda pada na sofę tuż obok mnie.

– Odnoszę wrażenie, że w ogóle nie miałam okazji dziś z tobą porozmawiać – mówi. Następnie ścisza głos. – Dopiero co uciekłam Samirze. Naprawdę kocham ją, ale ostatnimi czasy można z nią rozmawiać jedynie o dziecku. Szczerze mówiąc, to nawet trochę nietaktowne.

– To znaczy?

Marszczy czoło.

– Nawet nie pamiętam, czy powiedziałam ci o tym ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, bo to było chyba sto lat temu. Ale... – teraz już szepcze – ostatnio próbujemy, no wiesz...

– Zająć...?

– Tak, w ciążę. To znaczy dopiero zaczynamy. Wszyscy mówią, że to może trochę potrwać. – Przewraca oczami. – Ale najwyraźniej nie w wypadku Samiry, która zaciążyła od razu, kiedy tylko przestała brać pigułki.

– Każdy przypadek jest inny.

– Tak. W sumie to może to szczęście w nieszczęściu. Bo to przecież koniec wszystkiego. Dotychczasowego życia. Popatrz tylko na tych dwoje. Ale to jakby... Nie wiem, jakaś inicjacja. Właściwie każdy, kogo znam na Facebooku, zdaje się mieć dziecko albo się go spodziewa... to jakaś nagła *epidemia* płodności. Wiesz, o co mi chodzi?

Potakuję.

– Szczerze mówiąc, jakiś czas temu przestałam zaglądać na Facebooka. Jest toksyczny.

– Tak, toksyczny! – Miranda zgadza się ze mną żarliwie. – Dokładnie tak. Boże, jak dobrze z tobą pogadać, Katie. Ty jesteś zupełnie inna – wolna, zajęta karierą... w ogóle nie myślisz o dzieciach.

– Mhm – mówię, ciężko przełykając ślinę. – To ja.

– Przepraszam – mówi, jakby nagle olśniło ją, co powiedziała. – To miał być komplement.

– Nie szkodzi – odpowiadam, wciąż czując gulę w gardle. – Rozumiem.

– Wiesz co? Mam coś, co nas wszystkich rozweseli. – Puszczą do mnie oko i wyciąga coś z kieszeni dzinsów. – Kto ma ochotę na deser? – woła do pozostałych.

– Upiekłaś coś? – pyta Nick, udając zaskoczenie. – Przecież ty nie lubisz siedzieć w kuchni, Mirando. – To wielkie niedopowiedzenie i Nick na pewno właśnie to chciał zasugerować. Miranda okropnie gotuje. Pamiętam szczególnie ohydne risotto, którego połowa przyłgnęła do dna garnka i spaliła się na czarno.

– Ale przecież już jedliśmy – szybko mówi Giles. – Tę bezę z malinami.

Miranda uśmiecha się po szelmowsku. Jest teraz dziewczyną, jaką znam z czasów studiów, niekwestionowaną królową imprez. Ma błysk w oku – coś na wpół między podekscytowaniem a szaleństwem. Czuję nagły przyływ adrenaliny, tak jak przed laty. Kiedy Miranda popada w taki nastrój, jest zabawna, ale też niebezpieczna.

– Ten jest odrobinę inny – mówi, pokazując woreczek strunowy, w którym znajdują się małe pastylki. – Uznajmy, że to poobiednie miętówki. Dla oczyszczenia podniebienia. Za stare dobre czasy... uczcijmy, że jesteśmy wszyscy razem.

Od razu wiem, że nie mogę tego wziąć. Nie zniosę utraty kontroli. Zrobiłam to raz i wszystko bardzo źle się potoczyło.

Ibiza. Mam dwadzieścia kilka lat. Duża grupa. Nie byłam właściwie zaproszona, organizatorem był jakiś student z Oksfordu, którego nigdy zbyt dobrze nie znałam (czytaj: nie uważał mnie za wystarczająco fajną, żeby zaprosić mnie na jedną ze swoich słynnych rozbuchanych imprez). Ale tydzień przed wakacjami zmarła babcia Mirandy, więc Manda sprzedała mi swoje miejsce po okazyjnej cenie. Julien się wybierał, podobnie jak Samira, Mark i wiele innych osób, z którymi nie mam już kontaktu. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie przypomnieć sobie ich imiona, nawet gdybym chciała.

Podobały mi się długie, leniwe lunche przy basenie. Picie różowego wina wieczorami, opalanie się, czytanie książek. Tym, za czym nie przepadałam, była ta część wieczoru, kiedy na stół wjeżdżały prochy i wszyscy patrzyli na mnie, kiedy odmawiałam, jakbym była rodzicem, który przyjechał tu po to, żeby zepsuć zabawę. A potem zamieniali się w gorsze wersje siebie: histeryczne, bez hamulców, o wielkich żrenicach. Byli jak zwierzęta. Gdyby tylko mogli zobaczyć, jak wyglądają, myślałam. Jednocześnie czułam się sztywna i nudna – beznadziejne zastępstwo za Mirandę. Samira – która zawsze obracała się w centrum każdej grupy – w którymś momencie wzięła mnie na bok i powiedziała:

– Musisz się nieco wyluzować.

Pod koniec tygodnia prawie nie wstawali z łóżek w ciągu dnia. Dom zrobił się ohydny. Wszędzie walały się brudne ubrania, puszki po piwie, zużyte prezerwatywy, a nawet nie do końca zmyte wymiociny. Byłam o krok od tego, żeby wrócić do domu wcześniejszym samolotem. Przecież to miały być wakacje, do cholery. Ucieczka od pracy, w której spędzałam osiemdziesiąt godzin w tygodniu. Wiedziałam, że wrócę do domu zmęczona, ponura i zła. Ale wytrzymałam do końca. Znalazłam sobie mały taras, który był niewidoczny z głównego budynku. Zaciągnęłam tam leżak i spędziłam na nim ostatnie kilka dni, czytając. Przynajmniej ładnie się opalę i dokończę książkę – bo takie rzeczy robi się na wakacjach. Będę mogła udać przed znajomymi z pracy i rodziną, że dobrze się bawiłam.

Jakimś cudem ostatniego wieczora wszyscy zebrali w sobie tyle energii, żeby zorganizować wspólnego grilla tak jak na początku tygodnia, zanim wszyscy zaczęli się szmacić. Wypiłam sporo – wręcz za dużo – cavy. Patrząc w świetle świec na twarze znajomych i ciemnoturkusowy poblask morza, zachodziłam w głowę, jak mogłam w ogóle myśleć, że źle się bawię. Przecież tak powinna wyglądać młodość, prawda?

Więc kiedy ktoś znów wyciągnął piguły, wzięłam jedną. Niemal natychmiast ogarnęło mnie uczucie euforii, miałam wrażenie, że jestem niepokonana. Jakby ktoś wypuścił mnie z więzienia, jakim jest bycie mną – mniej rozrywkową, mniej wyluzowaną przyjaciółką Mirandy.

Wiele rzeczy, które zdarzyły się później, zdawało się rozgrywać w wyzwolonym, nie do końca realnym miejscu. Pamiętam, że pływałam w basenie, do którego wskoczyłam w pełnym ubraniu. Ktoś w końcu mnie z niego wyciągnął, mówiąc, że zmarznę, choć upierałam się, że chcę zostać w wodzie na zawsze. Pamiętam, że wszystko mi się podobało, wszystkich kochałam. Jak mogłam nie zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo ich kocham?

Potem pamiętam mężczyznę i seks w ciemnym domku przy basenie długo po tym, jak wszyscy położyli się do łóżek. Niemal całkowitą ciemność, przez którą wszystkie doznania wydawały się jeszcze bardziej intensywne. To ja to sprowokowałam, ja decydowałam. Kiedy osiągnęłam orgazm, przez moment miałam wrażenie, że moje ciało eksplodowało tysiącami gwiazd. Nigdy nie czułam się bardziej sobą i jednocześnie jak ktoś zupełnie obcy.

Następnego ranka nie mogłam w to uwierzyć. Ta śmiała, wyzwolona osoba to nie mogłam być ja, prawda? Gdyby Miranda tu była, mogłabym ją zapytać, ile z tego, co pamiętam było prawdziwe. Czy widziała mnie, gdy szłam z jakimś mężczyzną do domku przy basenie? Czy to się naprawdę wydarzyło? A może to był wytwór mojej wyobraźni? Nie potrafiłam się zdobyć na to, żeby zapytać Samirę, bo bałam się, że roześmieje mi się w twarz i powie, że powinnam dorosnąć.

To na pewno się stało, uznałam – odczuwałam między nogami znajomy ból, który nie pozostawiał wątpliwości. Byłam prawie pewna, że czuję na sobie jego zapach. Ale następnego dnia nikt nic nie powiedział. Czekałam na niewybredne żarty ze strony chłopaków, ale nic z tego.

Na szczęście dziś wieczór nie tylko ja odmawiam. Bo – to jasne, Nick z solidarności ze swoim chłopakiem i Samira. Widziałam, że Nick jest niezadowolony z tego dodatku do dzisiejszego wieczoru, po spojrzeniu, jakie puścił Mirandzie, gdy ta podsunęła mu woreczek, prawie zahaczając o Bo. Udawała zupełnie nieświadomą, ale zawsze dobrze jej szło lekceważenie różnych rzeczy, jak gdyby wszystko jej wisiało. Jako jej najstarsza przyjaciółka wiem, że nie do końca tak jest. Czasem udawanie bez troski to ciężka robota.

Stoi przy adapterze w rogu salonu i przegląda stare winyle. W końcu, z okrzykiem triumfu, znajduje to, czego chce – HITY: STUDIO 54 – i puszcza ją. Gdy zaczyna się piosenka śpiewana przez kobietę o chropawym głosie, Miranda idzie na środek pokoju i zaczyna tańczyć. Zupełnie nie czuje się skrępowana, mimo że wszyscy przyglądamy się z kanapy, jak tańczy. Jest taka wsłuchana w swoje ciało. Zawsze pragnęłam nie mieć zahamowań tak jak ona. Bo czy nie na tym polega taniec? Nie chodzi o posiadanie szczególnych zdolności – chyba że zajmujesz się tym zawodowo. To raczej umiejętność zatracenia się. Nigdy tego nie potrafiłam. Raczej nie można się tego nauczyć. Albo się to ma, albo nie.

Pamiętam, kiedy jako nastolatki próbowałyśmy się wbić do różnych klubów. Miranda nie musiała się nawet starać. Zawsze ją wpuszczali. Była piętnastolatką wyglądającą na dwadzieścia pięć lat, a w dodatku już w tym wieku była piękna. Kiedy teraz myślę o spojrzeniach, którymi obrzucali ją mężczyźni, i ich komentarzach, robi mi się niedobrze. Skradałam się za nią, licząc, że nikt mnie nie zauważy. Pamiętam, jak tańczyłam obok niej rozgrzana wódką podkradzioną z nigdy niekończących się zapasów mojej matki. Kopiowałam ruchy Mirandy, jakbym była jej cieniem. Bo zawsze

nim byłam: jej cieniem. Ciemnością, w której jaśniej jej pochodnia. Czuję się tak, jakbym prawie pozbyła się swojej nieporadności.

Miranda jest jedną z tych osób, które potrafią ośmielić innych. Dzięki którym czujesz się tak, jakbyś miał metr osiemdziesiąt wzrostu i tyle blasku co ona; jakbyś pożyczał od niej odrobinę jej światła. Ale może też sprawić, że poczujesz się jak gówno, w zależności od tego jaką ma zachciankę. Czasem podczas takich wspólnych wyjść komplementowała to, jak wyglądam – zawsze w czymś pożyczonym z jej obszernej garderoby, luźnym w piersiach i biodrach, jakbym była dzieckiem odgrywającym kobietę w ciuchach swojej matki. A innymi razy mówiła takie rzeczy, jak:

– O Boże, Katie, zdajesz sobie sprawę, jak poważnie wyglądasz, kiedy tańczysz? – A potem następowała demonstracja: przymrużone oczy, zaciśnięte usta, sztywne biodra. – Wyglądasz, jakbyś miała jakieś straszne zatwardzenie. Myślisz, że Sean Paul tak to sobie wyobrażał? – I wtedy opuszczała mnie cała moja nowo nabyta pewność siebie – czuję się potwornie. Piłam haustami wódkę z byle czym, aż poczułam ulgę. I wtedy rozumiałam, że moja matka używa alkoholu jako lekarstwa.

To niemal niemożliwe nie patrzeć, jak Miranda tańczy. Ma w sobie tyle wdzięku, tyle płynności, że można by pomyśleć, że się tego uczyła. Jediną osobą, która na nią nie patrzy, jest Julien. Wygląda przez szyby w ciemność, marszcząc czoło, pogrążony w swoich własnych myślach.

Miranda daje nam znaki, żebyśmy do niej dołączyli. Bierze Marka za rękę i podciąga na nogi. Na początku wygląda na ciężkiego i skrępowanego, stojąc na środku dywanu. Ale kiedy Miranda się do niego przysuwa, zaczynają się razem poruszać, on dopasowuje się do jej rytmu i wije przy niej zmysłowo, tak jak sam nigdy by nie potrafił. Pulsowanie muzyki ostatecznie zaczyna przyciągać nas wszystkich. Samira wstaje – zawsze była rewelacyjną tancerką. Ma w sobie tę swobodę, poczucie luzu we własnej skórze. Giles łapie Emmę za rękę i zaczyna nią obracać po całym salonie. Ma zero poczucia rytmu, ale absolutnie się tym nie przejmuje – jest jak wyrośnięty, pijany uczeń. Wpadają na jedną z jelenich głów

wiszących na ścianie i ją przekrzywiają. Emma z zaniepokojoną miną próbuje ją poprawić, ale Giles łapie ją w pasie i obraca do góry nogami.

– Giles! – krzyczy Samira, ale śmieje się i odwraca od nich z zamkniętymi oczami, pogrążona w muzyce. Emma też się śmieje, choć prawdopodobnie jest tu jedyną skrepowaną osobą, i poprawia bluzkę, kiedy Giles stawia ją z powrotem na nogi. Nick też już wstaje i wyciąga rękę do Bo. Są nawet lepszymi tancerzami niż Miranda, tak dobrze razem wyglądają.

Ale jak zawsze to Miranda najbardziej przyciąga wzrok: jest słońcem, wokół którego orbitują inne planety. Mark jest w swoim żywiole i dopasowuje się w tańcu do kształtu jej ciała. Teraz jak na dłoni widać, że się w niej podkochuje. Jeśli to tylko podkochiwanie. Czasem zastanawiałam się, czy to może coś więcej.

Kiedy Miranda i Julien zaczęli się spotykać, wydawało mi się to trochę dziwne, że jego przyjaciel zachowuje się jako ich pewnego rodzaju prywatny kurier. Mark pojawiał się na naszym wydziale i chciał z nią rozmawiać. Miał jej coś do przekazania od Juliana. Julien niczym król, wysyłający emisariusza, chciał ją zaprosić na mecz swojej drużyny rugby w ten weekend. Albo żeby poszła z nim na jakąś imprezę. Uważałam, że to żałosne. To nie mogła być prawdziwa przyjaźń, bardziej uwielbienie dla bohatera albo niewolnictwo. Za kogo Julien się miał? I dlaczego Mark się na to godził? Fakt, podobnie jak Miranda, Julien miał wygląd i charyzmę, dzięki którym łatwo przyciągał do siebie ludzi. Ale Mark nie był ani nieatrakcyjny, ani niezręczny, ani nieśmiały. Nie potrzebował tak bardzo się upokarzać. A poza tym wszyscy mieliśmy już wtedy telefony komórkowe. Julien mógł zwyczajnie wysłać SMS-a.

Ale wtedy zaczęłam zauważać, jak Mark na nią patrzy, i nabrałam podejrzeń, że Julien wcale nie jest inicjatorem tych wizyt. Mark robił to dobrowolnie. Pojawiał się nie tylko przed naszym budynkiem czy na dziedzińcu, ale także na naszym korytarzu. Kiedy go pytałam, jak tu wszedł, nie znając kodu, mówił, że ktoś go wpuścił.

Kiedyś wpadłam na niego, jak siedział przed pokojem Mirandy.

– Nie ma jej – powiedziałam. – Ma spotkanie ze swoim opiekunem roku do szesnastej. – Miała wrócić dopiero za półtorej godziny.

– Nie szkodzi – odpowiedział. – Nie mam nic innego do roboty. – Zdałam sobie wtedy sprawę, że on chce tam być, chce na nią czekać.

Był jeszcze jeden wypadek, który wyraźnie pamiętam. Julien i Miranda byli już wtedy oficjalnie razem. Poszliśmy na grilla do domu Juliana w pewien potwornie gorący dzień po egzaminach – wtedy mieszkaliśmy już w wynajętym domu – do ogromnej, rozpadającej się kamienicy, którą wynajmował wraz z ośmioma innymi kolegami z drużyny, w tym z Markiem. Ja byłam niewidzialną osobą towarzyszącą. Co prawda kilku przyjaciół Juliana próbowało trochę ze mną flirtować, ale byłam wobec nich chłodna i pełna rezerwy. Nie chciałam zasłynąć jako brzydka, ale łatwa koleżanka Mirandy.

Julien jako gospodarz pełnił wartę przy grillu w koszuli, która podkreślała jego szerokie, umięśnione plecy i zaskakująco wąską talię. Mimo że lato dopiero się zaczynało, nabrał już złotej opalenizny. Nie mogłam się powstrzymać od porównań – na mojej białej jak mleko skórze na dekolcie i ramionach pojawiła się czerwona, zaogniona wysypka. Miranda też mu się przyglądała, tak samo jak patrzyła na swojego nowego kucyka Berta, gdy miała szesnaście lat. Wtedy odwróciła się do mnie i zobaczyła, jak mierzę go wzrokiem.

Spojrzałam więc na Marka. Miał na sobie szpanerskie ray-bany, które nie bardzo pasowały do jego szerokiej twarzy. Gdyby tylko przelotnie na niego spojrzeć, można by pomyśleć, że w zamyśleniu patrzy w dal. Ale po dłuższej chwili, zauważyłam, że jego szkła nie są aż tak ciemne, jak początkowo mi się zdawało. Mark cały czas patrzył kątem oka na Mirandę. Ani razu nie odwrócił wzroku. Za każdym razem, gdy spoglądałam w tamtą stronę, patrzył na nią. A kiedy ściągnęła koszulkę, pod którą miała górę od bikini, zobaczyłam, jak jego wzrok się wyteża, a on robi się niespokojny.

Później powiedziałam o wszystkim Mirandzie.

– Poważnie, on nie tyle na ciebie patrzył, co taksował. Wyglądał tak, jakby chciał cię pożreć żywcem.

Roześmiała się.

– Och, Katie, przesadzasz. On jest nieszkodliwy. Ty też gapiłaś się na Julię.

To prawie wystarczyło, żebym zwątpiła w to, co widziałam. Aż musiałam się zastanowić, czy przypadkiem nie jestem zazdrosna. Mogłabym przysiąc, że nie. Ale czułam się upokorzona i wściekła na Mirandę, że nie wzięła mnie poważnie.

– I jeszcze wy! – Gwałtownie powracam do rzeczywistości. Miranda patrzy na Julię i na mnie – jedynych, którzy nie tańczą w zapamiętaniu po salonie.

– Julien – mówi Miranda – zatańcz z Katie. Przecież sama tego nie robi.
– W jej głosie pobrzmiwa lekki rozkaz.

Nie ma rzeczy, na którą miałabym mniejszą ochotę, ale Julien wstaje i bierze mnie za rękę. Nagle przypominam sobie, jak patrzyłam, gdy tańczyli z Mirandą na swoim weselu. Pięć, sześć lat temu? Miranda kazała mu pójść na lekcje tańca, żeby mogli przed nami odtańczyć fokstrota. Cały ten ślub był bardzo w jej stylu. Twierdziła, że chce małej, niesztampowej ceremonii. Chciała uciec i pobrać się po cichu!

Ostatecznie pobraли się w wielkiej posiadłości jej rodziców w Sussex. Dwustu gości. Złote szczebelkowe krzesła, które widuje się chyba tylko na weselach, okrągłe stoliki, „rozgwieżdżony” sufit z lampek LED nad parkietem. A potem wisienka na kilkupiętrowym, ozdobionym cukrowymi kwiatami torcie: taniec młodej pary.

Julien, który aż do tamtego momentu w dużej mierze wyglądał jak szarmancki, przystojny, świeżo upieczony małżonek, jakby się w sobie skulił. Pomylił kroki i nadepnął na tren Mirandy (prawie tak długi jak u Kate Middleton) i ogólnie mówiąc, wyglądał tak, jakby chciał się schować. Teraz ma tę samą minę.

MIRANDA

Patrzę na Katie, jak tańczy – a raczej jak bez przekonania próbuje. Wygląda tak, jakby naprawdę starała się źle się bawić. Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, mam wrażenie, że od samego przyjazdu dziwnie się zachowuje. Zgoda, zawsze była cicha, ale nigdy aż tak markotna i oszczędna w słowach. Nagle dopada mnie przedziwne uczucie, że patrzę na obcą osobę.

Zawsze dokładnie wiedziałam, co się dzieje w życiu Katie. A ona zawsze dokładnie wiedziała o tym, co postanowiłam wyjawić ze swojego. Ostatnio jednak nie mam pojęcia, co u niej. Przez ostatnie miesiące tyle razy wymigiwała się ze wspólnych spotkań. Tłumaczyłam sobie, że jej wymówki są szczerze: zawsze jest taka zajęta tą swoją cholerną robotą. Zajęta byciem prawdziwą dorosłą w przeciwieństwie do mnie. Albo musi jeździć do Sussex do swojej mamy, która ostatnio niedomaga (czytaj: całe to picie w końcu zaczęło się mścić). Zaproponowałam jej nawet, że pojedę z nią do Sallu w odwiedziny. Cholera, znam ją od prawie dwudziestu lat. Nawet jeśli nigdy mnie nie lubiła – prosto w twarz nazywała mnie „szlachcianką”, a jej oddech cuchnął skwaśniałym winem – wydawało mi się, że powinnam. Ale Katie bardzo szybko sprzeciwiła się temu pomysłowi, jak gdyby sama idea była dla niej odrażająca.

Prawda jest taka, że ostatnio jej potrzebowałam. Wiem, że zawsze sprawiałam wrażenie samowystarczalnej, która nie potrzebuje, by ktoś wtrącał się w jej życie. Ale ostatnimi czasy wszystko trochę mnie przerasta. Katie jest jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać o tym, co ostatnio mnie dręczy. Nie mogę jej powiedzieć wszystkiego o kłopotach z Julienem, bo to bardzo ważne, by nikt się o nich nie dowiedział, ale mimo wszystko.

Powiedziałam jej dziś o swoich problemach z płodnością. A raczej wspomniałam jej o nich. Prawda jest taka, że wcale nie zaczęliśmy się niedawno starać o dziecko. Minął już ponad rok – a właściwie półtora. Chyba dwa lata wystarczą, by w państwowej służbie zdrowia zaproponowano nam in vitro.

Mogłabym jej także powiedzieć o braku seksu – który nie sprzyja zajściu w ciążę. O uczuciu oddalenia, które narasta między mną a Julienem od około roku. Może nawet dłużej.

Jeśli mam być ze sobą całkowicie szczerą, to wiem, że powodem, dla którego się tym dotąd nie podzieliłam, jest to, że lubię swój wizerunek osoby o idealnym życiu, przyjaciółki, która ma wszystko. Która zawsze jest gotowa służyć radą ze swojego miejsca na piedestale. Potrzeba będzie czegoś więcej niż kilku kłótni i kilku miesięcy sporadycznego seksu, żebym zechciała z tego zrezygnować.

Może ten dystans pomiędzy Katie a mną to nieunikniona część dorastania, stawania się dorosłymi, którzy mają własne życie. Obowiązki, rodzinę, która staje na drodze przyjaźni. Bez wątpienia będzie tylko gorzej, nie lepiej. Chyba nie mogę mieć do niej pretensji. Wiem, że przyjaciele z czasem się od siebie oddalają, wzajemne towarzystwo przestaje sprawiać im przyjemność. Czasem spoglądam na Facebooka i zdjęcia sprzed dekady, gdy byliśmy na studiach. Są wśród nich zdjęcia twarzy, które ledwie poznaję... nie wspominając już o imionach tych osób. To nieco niepokojące. Przewijam zdjęcia: impreza za imprezą, w domach, barach i świetlicach młodszych roczników, na których obejmuję ludzi, którzy równie dobrze mogliby mi być zupełnie obcy. Zdjęcia z pierwszego roku są najtrudniejsze do rozszyfrowania. Mówi się, że pierwszy rok na uczelni spędza się na próbach otrząśnięcia się ze znajomych, których poznałeś w pierwszym tygodniu, i w moim wypadku było to prawdą. Popełniłam błąd i wdałam się w rozmowę z nadmiernie emocjonalną dziewczyną podczas rozmów wstępnych, a potem na imprezie dla pierwszorocznych po pijaku dałam się zagadać jakiemuś chłopakowi, który później niby

przypadkiem wpadał na mnie w różnych miejscach na uczelni, żeby mieć okazję zaprosić mnie na kawę.

Po uniwersytecie kilka kolejnych lat schodzi ci na przesiewaniu tej ostatniej grupy znajomych, kiedy zdasz sobie sprawę, że nie masz ani czasu, ani energii, by wyprawiać się na drugi koniec Londynu, nie wspominając o drugim końcu kraju, żeby zobaczyć się z ludźmi, z którymi ledwie masz coś wspólnego.

Nigdy nie sądziłam jednak, że to się przydarzy Katie i mnie. Znamy się od dziecka. To co innego. Takich przyjaciół ma się na całe życie. Skoro tyle się już ze sobą wytrzymało.

Mimo to, gdybym nie wiedziała, jak jest naprawdę, powiedziałabym, że Katie ze mnie wyrosła. A z tyłu głowy znajduje się uparty cichy głosik. Niemiły głosik, najgorsza wersja mnie, mówiący: „To dzięki mnie jesteś taka, jaka jesteś, Katie. Beze mnie byłabyś nikim”.

Dobra, nie pozwolę jej zepsuć mi nastroju. Upijam duży łyk drinka i czekam, aż narkotyk zacznie działać.

W ciągu kolejnej godziny następuje ogólne rozluźnienie. Giles zaczyna przedzierać się przez stertę gier planszowych, które leżą przy kominku. Z okrzykiem triumfu wygrzebuje Twistera.

– Powaliło cię! – krzyczy Julien, ale robi to z uśmiechem. Już dawno nie widziałam, żeby się tak uśmiechał. To pewnie zasługa pastylki, ale i tak sprawia, że rośnie we mnie jakiś bąbelek radości. Może czas trochę odpuścić. Minął przecież rok. A poza tym to wyczerpujące – to, jak on cały czas zgrywa winnego i jak ja czuję się nim taka rozczarowana.

Samo rozłożenie plastikowej maty wymaga kilku prób i mamy przy tym mnóstwo śmiechu. Nagle wszyscy jesteśmy na haju.

– Ja będę sędzią – szybko mówi Katie. Nie wzięła pastylki – podobnie jak Samira, ale ona przynajmniej ma ku temu dobry powód: elektroniczna niania jest przypięta do jej piersi jak krótkofalówka do munduru policjantki. W tym momencie twarz Katie – jej mina wyrażająca zniecierpliwienie w obliczu naszych dziecięcych wygłupów – prawie przebija bańkę radości, którą mam w sobie. Chcę coś powiedzieć, wypomnieć jej to, ale nie potrafię

znaleźć odpowiednich słów. Zanim zdołam to zrobić, Mark łapie mnie za rękę i ciągnie do przodu, aż dotknę maty: lewa ręka, czerwony. Julien jest następny: prawa ręka, zielony. Potem Emma, Giles i Mark. Bo, po nim Nick. Nawet Nick nie uważa, żeby Twister był poniżej jego poziomu. Wkrótce Julien prawie siedzi na mnie okrakiem i przebijając się przez szum w mojej głowie, myślę, w jaki sposób dziwnie intymna jest ta pozycja. Już od dawna nie byliśmy tak blisko siebie, to pewne. Mam przeczucie, że będziemy dziś uprawiać seks w tym wielkim łóżku z kolumnami. Nie dla prokreacji. Dla czystej zabawy.

Emma traci równowagę i zostaje wyeliminowana z gry. Ze śmiechem staje z powrotem na nogi.

Kilka kolejnych ruchów. Nick chwieje się i stawia nogę za matą, przez co odpada z gry, potem Giles upada, gdy próbuje przełożyć lewą nogę nad prawą. W grze zostali tylko Bo, Mark, Julien i ja.

Na swoim boku, tuż pod piersią, czuję czyjaś dłoń, która przesuwa się w górę. Znajduje się po stronie, która jest niewidoczna dla innych. Uśmiecham się i rozglądam dookoła, spodziewając się, że to Julien. Ale gdy podążam wzrokiem po ręce, zauważam, że należy do Marka. Stoimy odwrócenii od Emmy, a ponieważ Julien znajduje się nade mną, jestem przekonana, że nie widzi tego nikt inny. W pewnej chwili Mark i ja spoglądamy na siebie. Oczy ma zamglone jak lunatyk. Mój umysł nagle staje się bardzo przytomny. Potrafię myśleć tylko o tym, że to jest nie w porządku. To jest nie w porządku.

Jakby zapomniał o zasadach. Owszem, flirtujemy ze sobą – ja się mu podobam, a mnie sprawia to przyjemność, a poza tym robi dla mnie różne rzeczy, w zamian za co może na mnie patrzeć. Ale nie wolno mu dotykać. To co innego.

Odsuwam się od jego dłoni. Najwyraźniej go tym destabilizuję, bo zaczyna się chwiać i pada na matę.

– Mark odpada! – krzyczy Emma z rozkoszą.

Jest mi trochę niedobrze przez całe to tłuste jedzenie i alkohol, a potem pigułkę. Wytaczam się ze swojej pozycji pośród okrzyków, że psuję

zabawę, i chwiejnym krokiem idę korytarzem do łazienki. Chcę umyć twarz – tak brzmi mantra w mojej głowie – chcę umyć twarz zimną wodą.

Przez chwilę patrzę na siebie w lustrze. W jasnym świetle, mimo wszystkich moich starań, wyglądam starzej niż trzydzieści trzy lata. Nie chodzi o zmarszczki. Dopilnowałam, by było ich tak mało jak to tylko możliwe – to coś nieuchwytnego, coś zmęczonego w mojej twarzy. Mam dziwne poczucie oddzielenia od osoby, którą widzę w odbiciu i moim „ja”. Przecież ta osoba nie jest mną. Kim jest ten ktoś w lustrze? Co ja sobie myślałam, kupując te prochy? Zapomniałam, jak szybko po dobrym humorze i odprężeniu przychodzi moment, gdy zaczynam czuć się nieswojo. Ale kogo ja oszukuję? Ostatnimi czasy czuję się tak coraz częściej, z pigułkami czy bez nich.

Kiedyś mi to wystarczyło. Tylko być sobą. Wyglądać tak, jak wyglądam, i być absolwentką przeklętego Oxbridge, i być w stanie bez zająknięcia rozmawiać o bieżących sprawach politycznych i gospodarczych oraz modzie na sukienki blisko ciała i halki.

Ale pewnego dnia obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że miałam mieć coś więcej: że powinnam być kimś więcej. A konkretnie mieć „kariere”. „Czym się zajmujesz?” – to pierwsze pytanie podczas jakiegokolwiek spotkania na drinka, ślubu czy kolacji. Kiedyś brzmiało to tak pretensjonalnie, gdy ktoś zadawał to pytanie – gdy byliśmy ledwie po dwudziestce i wszyscy bawiliśmy się w bycie dorosłymi. Aż nagle samo bycie Mirandą Adams przestało wystarczać. Ludzie zaczęli oczekiwać, że będę Mirandą Adams, *tutaj wpisać wpływowe stanowisko*. Na przykład redaktorką albo prawniczką, albo finansistką z wielkiego banku. Przez jakiś czas wspominałam mimochodem, że pracuję nad powieścią. Ale to tylko prowadziło do nieuniknionych pytań: „Masz już agenta? Wydawcę? Umowę wydawniczą?” A potem, „Aha... Czyli jednak nie jesteś pisarką, co?”.

Przestałam się przejmować.

Czasami, żeby zaszokować towarzystwo, powiem: „Och, jestem tylko kurą domową. Lubię dbać o dom Julienu i opiekować się nim, pilnować,

czy ma wszystko, czego mu trzeba”. A potem udaję sama przed sobą, że bardzo mnie bawi cisza, która po tym zapada.

Dlatego flirtowałaś z Markiem. Żeby udowodnić, że nadal masz to coś. Żeby dowieść, że... powiedz to szeptem... jeszcze nie przebrzmiałaś.

To było głupie. Wprawdzie flirtuję niemal ze wszystkimi – Katie zwróciła mi na to uwagę niedługo po tym, jak zaczęliśmy studia. Ale wiem, że z Markiem jest inaczej – że nie powinnam robić mu nadziei.

Słyszę kroki w korytarzu. Może to Julien idzie sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. Albo Katie, jak za starych dobrych czasów. Ale kiedy drzwi powoli się otwierają, widzę za nimi ostatnią osobę, jaką mam ochotę oglądać.

Jest taki wysoki – zawsze o tym zapominam. Blokuje mi przejście swoją sylwetką.

– Pojebało cię, Mark? – syczę. – Co to, do cholery było? Obmacywałeś mnie przy wszystkich.

Czekam, aż zacznie błagać, żebym o niczym nie mówiła Emmie, i zarzekać się, że za bardzo odleciał, by wiedzieć, co robi.

Ale w zamian mówi:

– On na ciebie nie zasługuje, Mando.

– Co? – Piorunuję go wzrokiem. – A ty niby zasługujesz? – Wypełnia mnie słuszny gniew i popycham go. – Daj mi przejść.

Odsuwa się na bok. Ale jednocześnie wyciąga rękę i szybko jak błyskawica łapie mnie za biceps. Próbuję się mu wykręcić, ale jego palce tylko mocniej się zaciskają, aż skóra zaczyna mnie piec jak przy pokrzywce. Czuję przypływ adrenaliny i czystego strachu. Przecież on niczego mi nie robi, prawda? Nie tutaj, skoro wszyscy znajdują się w pokoju obok.

– Zabieraj łapę, Mark – mówię niskim, niebezpiecznym głosem. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał, a przynajmniej nie wobec mnie. Próbuję wyszarpnąć rękę, ale jego uścisk jest jak imadło. Myślę o bezużytecznym fitnessie „body combat”, na który tyle chodziłam. W porównaniu z nim jestem strasznie słaba.

Nachyla mi się do ucha.

– Przez cały ten czas mógł na mnie liczyć. Od Oksfordu. Opiekowałem się nim, kryłem, jeśli było trzeba. A czy on opiekuje się mną? Pomaga mi, kiedy go o to proszę? Żebym choć raz mógł mieć coś swojego? Nie. Mam tego dość. Nie będę już dla niego kłamał.

Wydaje się całkowicie trzeźwy, jego słowa są wyraźne. Jak gdyby wzięty narkotyk w ogóle nie miał na niego wpływu. Za to ja czuję się skołowana jak we mgle. Tylko ból w ramieniu łączy mnie z tu i teraz.

– O czym ty mówisz? – pytam go. Mam wrażenie, jakbym była opóźniona w stosunku do niego o kilka minut.

– Wiem o nim. Znam jego mały sekret. Mam ci powiedzieć, czym się ostatnio zajmował?

Cała drzę ze strachu i gniewu. To ważne, żebym udawała, że o niczym nie wiem. Nie chcę o niczym wiedzieć.

– Cokolwiek to jest, nie chcę o tym słyszeć. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Mark wygląda na zaskoczonego. Jego uścisk słabnie i jestem w stanie wyszarpnąć rękę.

– Ale... – Zaczyna się. – To znaczy naprawdę nie chcesz wiedzieć?

Czy on naprawdę sobie wyobraża, że mój własny mąż nie wtajemniczyłby mnie w swój mały, haniebny sekret? Mimo to, najlepiej zgrywać głupią. Na wypadek, gdyby przyszedł moment, w którym będę musiała się od wszystkiego odciąć, obstawać przy własnej niewinności.

– Nie – mówię. – Nie chcę wiedzieć.

– W porządku – odpowiada, ze szczerze zaskoczoną miną, już się tak nie odgrająjąc. Odsuwa się o krok. – Skoro tak chcesz.

Idę z powrotem do salonu, na niepewnych nogach, przekonana, że ktoś na pewno zauważy moją minę i zapyta, co się stało. Nie jestem pewna, czy pragnę teraz ich uwagi.

Na początku nikt mnie nie dostrzega. Trwa kolejna runda Twistera i wszyscy rechoczą z rozbawieniem, kiedy Giles próbuje okrakiem sięść na Bo. Atmosfera jest dokładnie taka sama jak wcześniej – wszyscy są radośni,

rozluźnieni przez alkohol i narkotyki. Ale nagle staję się zewnętrznym obserwatorem i wszystko to wydaje mi się niedorzeczne – wręcz fałszywe, jak gdyby za bardzo starali się pokazać, jak dobrze się bawią.

Emma odwraca się i zauważa mnie w drzwiach.

– Wszystko w porządku, Mando?

– Myśleliśmy, że zatrzasnęłaś się w kibelku – mówi Giles z głupawym uśmiechem. – Mark poszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– O Boże – mówi Emma. – A pamiętasz, Mando, jak zatrzasnęłaś się w ubikacji u kogoś na imprezie?

– Nie – odpowiadam. Ale już wypowiadając to słowo, przypominam sobie tamto zdarzenie jak przez mgłę. Uczucie upokorzenia, gdy ktoś łomem wyważył drzwi. Boże, co za wstyd. Mogłabym przysiąc, że to się zdarzyło przynajmniej dziesięć lat temu, ale skoro Emma to pamięta, to musiało to być całkiem niedawno. – Pamiętasz, kiedy to się stało?

– Hmm – odpowiada Emma. – Chyba już w Londynie. Kiedy ludzie w ogóle organizowali domówki, kiedy tak strasznie nie przynudzaliśmy, pamiętasz? Niedawno, a jednocześnie jakby wieki temu.

Kiwam głową, ale z jakiegoś powodu ta wzmianka sprawia, że czuję się dziwnie nieswojo. Nie potrafię jednak dojść, dlaczego.

– Na pewno wszystko w porządku? – dopytuje Emma.

Jej ton jest taki matczyzny, taki zatroskany... taki kurewsko protekcjonalny.

– Tak – odpowiadam. – A co miałyby być nie w porządku?

Słowa wybrzmiewają z zamierzoną mocą i Emma robi zranioną minę.

Siedzę w chacie myśliwskiej jeszcze przez mniej więcej godzinę. Dłużej niż Katie, która chyba poszła do swojego domku, kiedy byłam w łazience. A mimo to, to z nią chcę porozmawiać o tym, co się wydarzyło, bardziej niż z własnym mężem. Mogłabym do niej pójść... może jeszcze nie zasnęła. Ale jeśli wyjdę, Mark może sobie pomyśleć, że to, co powiedział, mną wstrząsnęło. Nie czuję już żadnych efektów pigułki i z zazdrością patrzę, jak reszta ekipy uśmiecha się do siebie w całkowitym błogostanie.

Ostatecznie uznaję, że wystarczająco długo już wytrzymałam, i odwracam się do Julienu.

– Jestem zmęczona – mówię. Nieznacznie kiwa głową, ale wydaje mi się, że ledwie zauważył, że w ogóle się odezwałam. Pastylki zawsze miały na niego silny wpływ. Liczyłam na to, że odprowadzi mnie do domku, ale nie mam zamiaru upokarzać się przed innymi, dobitniej wyrażając to, czego chcę.

Gdy wychodzę na zewnątrz, księżyc jasno świeci nad jeziorem, które mieni się na srebrno. Noc jest przejrzysta, jeśli nie liczyć pasma chmur na horyzoncie, gdzie znika światło gwiazd, jak gdyby ktoś zaciągnął je całunem.

Myślę o Marku i o tym, co się stało. Ręka nad łokciem, tam, gdzie mnie chwycił, nadal boli. Jestem pewna, że rano będę mieć w tym miejscu siniaki, przypominające mi o jego palcach.

Wyciągam z kieszeni swojego iPhone'a i włączam latarkę. RzUCA przede mną słabe światło – niewielkie pocieszenie, jasny punkt w ciemności. Muszę się kilka razy odwrócić i sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie. To pewnie dziecinne, ale jestem podenerwowana i przez otaczającą mnie ciszę czuję się obserwowana. Przypominam sobie nocne pijackie powroty do domu w Londynie, gdy jeszcze lubiłam szlajać się po klubach, z kluczami ściśniętymi w dłoni, wystającymi spomiędzy palców. Na wszelki wypadek. Ale tu jestem na całkowitym pustkowiu, w towarzystwie najbliższych przyjaciół. Tutejsza cisza i przestrzeń nagle wydają mi się wrogie. Idiotyczne, prawda? Mówię sobie, że rano wszystko będzie wyglądać inaczej.

Albo moglibyśmy rano wyjechać. Powiedziałabym o tym Julienowi i wrócilibyśmy do Londynu. Nie spodoba mu się to – czekał na ten wyjazd. Oboje czekaliśmy – ja może bardziej niż on. Myślę, że by się na to zgodził, gdybym wszystko mu wyjaśniła. Moglibyśmy wrócić do domu, napić się szampana, zamówić coś do jedzenia i oglądać fajerwerki nad

Westminsterem, rozbłyskujące nad dachami. Uświadamiam sobie, że kiedy o tym myślę, nie wyobrażam sobie naszego obecnego domu – dorosłego i wykończonego tynkiem. Myślę o naszym pierwszym londyńskim mieszkaniu, zanim stałam się nieudacznicą, która nie zrobiła w swoim życiu niczego ciekawego. Zanim Julien zrobił się taki zajęty zarabianiem pieniędzy.

Mogłoby być miło.

Ale to także oznaczałoby, że się poddam. To Mark powinien się wstydzić i to Mark powinien wyjechać. Nie ja. Ta myśl napełnia mnie wściekłością. A potem wracam do tamtej chwili, gdy patrzyłam na siebie w lustrze i widziałam więcej, niżbym chciała, zupełnie na trzeźwo. Nawet zanim Mark mnie obmacał podczas zabawy w Twistera, czułam się tak, jakbym nie bawiła się tak dobrze, jak powinnam. Samira nadawała mi do ucha o harmonogramach snu, odciągaczach pokarmu i pokazywała plamy na swoim starym rozciągniętym T-shircie. Aż trudno uwierzyć, że na studiach nazywaliśmy ją Księżniczką Samirą, bo zawsze miała świetną fryzurę i powalające ciuchy nawet jako dziewiętnastolatka. Uwielbiałam to, jakie wzbudzałyśmy poruszenie, kiedy wchodziłyśmy razem do baru albo chociaż na uczelnianą świetlicę: dwie dziewczyny mniej więcej tego samego wzrostu, jedna ciemnowłosa, druga blond, ubrane w swoje najlepsze ciuchy. Rajskie ptaki.

No i jest jeszcze Katie – taka odległa, odkąd tu przyjechaliśmy. Pewnie zastanawia się nad czymś ważnym, nad czymś związanym z pracą, zachowuje się tak, jak gdyby była od nas wszystkich lepsza, bo jest rozchwytywaną prawniczką. W którymś momencie odniosłam wrażenie, że zostaję w tyle. Dlatego poderwałam wszystkich do tańca. Dlatego właśnie wyciągnęłam pigułki. Planowałam wyciągnąć je jutro, w sylwestra. Ale nagle poczułam, że muszę odzyskać kontrolę, dyktować, jak wszystko ma się potoczyć.

Gdy skręcam za rogiem, widzę w oddali widzę trzy prostokąty jasnego światła kontrastujące z ciemnością. To domek łowczego. Kiedy poszłam tam wcześniej, nie zdawałam sobie sprawy, jak daleko od innych budynków

się znajduje – prawie u samego podnóża góry. W pewnym momencie w środkowym oknie pojawia się ciemna postać, otoczona światłem. To na pewno łowczy Doug, który wciąż nie śpi. Ale z tej odległości jest pozbawiony rysów, wygląda jak widmo. Robię krok w tył, co jest idiotyczne. Nawet jeśli widzi maleńkie światełko mojego telefonu, to mnie na pewno nie. Ale czuję się tak, jakby patrzył prosto na mnie. I jest zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy po kolacji poszłam zapukać do jego drzwi. Teraz, po tym, co się stało, czuję się bezbronna, nie na swoim miejscu pośród przepastnego, obcego i milczącego krajobrazu wokół mnie. Tęsknię za hałasem, światłami i energią miasta.

Resztę drogi pokonuję niemal biegiem. Wewnątrz domku przez chwilę czuję się bezpieczna. Nie trwa to jednak długo, bo gdy chcę przekręcić klucz w drzwiach, okazuje się, że nie ma w nich zamka.

Szykuję się do łóżka i kiedy po raz kolejny wyglądam przez okno, widzę, że światła w innych domkach też pogasły. Chyba wszyscy poszli do siebie niedługo po mnie. Ale w takim razie gdzie jest Julien? Pewnie idzie ścieżką do naszego domu, ale nieszczególnie się śpieszy.

Mija pół godziny, a potem godzina. Boli mnie ręka w miejscu, gdzie chwycił ją Mark. Naciągam sweter i wkładam wielkie, dziecinne, puchate kapcie, których Julien nie znosi, bo jego zdaniem wyglądam przez nie jak „podmiejska pani domu z lat sześćdziesiątych”. A mimo to nigdy się ich nie pozbyłam, bo są zbyt wygodne. Zauważam, że szcękam zębami, mimo że wcale nie jest mi zimno.

Budzę się o czwartej nad ranem. Nie wiem, gdzie jestem. Pierwszą rzeczą, jaką widzę, są cyfry mrugające na małym budziku przy łóżku. Na początku wydaje mi się, że jestem w domu, ale szybko zdaję sobie sprawę, że jest na to za cicho: w mieście bez względu na porę zawsze towarzyszy ci akompaniament syren i silników aut. Nie jestem pewna, co mnie obudziło.

Nawet nie pamiętam, kiedy zasnąłam. Wciąż jestem w swetrze i kapciach i leżę na narzucie łóżka. Światło w korytarzu wciąż jest zapalone. Sama je tak zostawiłam? Nie pamiętam.

Wtedy zauważam postać stojącą w ciemności przy drzwiach. Szybko odsuwam się jak najdalej od niej. Gdy robi krok do przodu, widzę, że to Julien. Jego policzki są czerwone od mrozu, a jego oczy dziwnie puste.

Siadam prosto.

– Julien? – Mój głos wydaje się słaby i piskliwy, jakby należał do kogoś innego. Widzę, że wzdraga się na jego dźwięk. – Gdzie byłeś?

– Przepraszam – odpowiada. – Poszedłem się przejść.

– W środku nocy?

– Tak, żeby przewietrzyć głowę. Pieprzone prochy. A potem miałem zjazd i zacząłem się wszystkim martwić. Obszedłem całe jezioro. – Przeczesuje dłonią włosy. – Widziałem też tego dziwaka, łowczego.

– Tak? – Przypominam sobie, jak się przestraszyłam, widząc jego sylwetkę w jasnym oknie po drodze do domku.

– Skradał się po brzegu jeziora. Wyłonił się z bardzo gęstego fragmentu lasu. Miał ze sobą psy. Co on takiego robił? Poważnie, myślę, że on nie jest do końca normalny. Powinnaś się trzymać od niego z daleka.

Jestem jednocześnie wzruszona i poirytowana jego szowinistycznym przejawem troskliwości. A przynajmniej pokazuje, że mu zależy. Ale wtedy na coś się łapię. Czy naprawdę aż tak pragnę jego uwagi?

– To nie nim powinieneś się martwić – odpowiadam.

– A kim?

– Markiem. Narzucał mi się w toalecie. Złapał mnie za rękę. Patrz. – Podciągam sweter. – Powiedział, że zna twój „mały sekret”.

Widzę, jak Julien się wzdraga.

– Czy mówi o tym, o czym myślę? – pytam. – Powiedziałeś mu? Już na ten temat rozmawialiśmy, Julien. Nie możesz nikomu o tym mówić. Inaczej wszystko zniszczysz. I nie mów mi, że przesadzam. W chwili, w której postanowiłeś się mną posłużyć, sam wmieszałeś mnie w całą sprawę.

Następuje chwila ciszy.

– Słuchaj, Mando – mówi Julien, przeczesując dłonią włosy i wzdychając
– dużo wypiliśmy, potem wzięliśmy te pigułki...

Czuję przyływ złości.

– Chcesz powiedzieć, że to sobie wymyśliłam? Że mi nie wierzysz?

– Nie, nie. Chcę powiedzieć, że Mark pewnie nie chciał zrobić ci krzywdy. To wielki gość, nie zdaje sobie sprawy, ile ma siły. Ile ja go już znam?

– Chwileczkę. Czy ty go bronisz?

– Nie bronię. Przysięgam, że nie. Ale... czy jest sens wszystko psuć z powodu jego głupoty? To jeden z moich najstarszych przyjaciół. Nie sądzisz, że powinniśmy poczekać z osądami?

Nagle widzę, co robi. On nie chroni Marka. On chroni samego siebie. Ponieważ jeśli Mark rzeczywiście zna jego – naszą – tajemnicę, a Julien się mu postawi, Mark może ją wykorzystać przeciw niemu.

Powinnam czuć wściekłość. Ale ogarnia mnie wielkie zmęczenie.

Julien zdążył się już rozebrać. Wyciąga piżamę. Jest bardzo szykowna, dostał ją od mojej matki, która zna się na trendach – prezent świąteczny od pani Porter. Był taki czas, nie tak znowu dawno temu, kiedy nie włożyłyby do łóżka niczego, nawet bokserek. Lubiliśmy leżeć skóra przy skórze.

– Nie wkładaj ich – mówię, gdy on rozwija spodnie. Przez chwilę stoi tak, nagi i zmieszany.

– Jest zimno – odpowiada.

– Wiem. Ale możesz się ubrać... potem. – Nagle chcę poczuć wokół siebie jego kojące ramiona, jego ciężar na sobie, jego wargi przy moich – chcę unicestwić to dziwne, niepokojące uczucie, które prześladowuje mnie przez cały dzisiejszy wieczór.

Dla jasności ściągam sweter przez głowę. Jestem pod spodem naga. Kładę się na plecach i rozchyłam nogi, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości, o co mi chodzi.

– Chodź tu – mówię, kiwając na niego ręką.

Ale on wykrzywia usta.

– Jestem naprawdę zmęczony, Mirando.

Przeszywa mnie chłód odtrącenia.

W pierwszych latach naszej znajomości i bycia razem to zawsze ja go odrzucałam. Może tylko dwa razy w ciągu ośmiu lat zdarzyło się na odwrót. To był wyjątek potwierdzający regułę, kiedy miał gripę albo rozmowę o pracę następnego dnia rano. Ale ostatnio zaczęłam prowadzić statystyki. Ostatnie dziesięć odmów, a może więcej, wychodziło od niego.

Mam w domu dwie oddzielne szuflady z bielizną. Jedna jest codzienna – majtki i staniki z Marks and Spencer, które mają być przede wszystkim wygodne. Julien wzdrygał się kiedyś z obrzydzeniem, wyciągając z pralki moje beżowe staniki pod T-shirt. Kolejna szuflada zawiera łaszki od Agent Provocateur, Kiki de Montparnasse, Myla i Coco de Mer. Jedwab i koronki warte setki, a może nawet tysiące funtów. To bielizna, której przeznaczeniem nie jest noszenie jej pod ubraniami – ma zdobić twoje ciało tylko przez kilka minut, zanim zostanie zdjęta. Gdy pakowałam się na ten wyjazd, dotarło do mnie, że już od dawna nie włożyłam na siebie nic z tej szuflady. Kusilo mnie nawet, żeby je wszystkie wyrzucić – miałam wrażenie, że ze mnie drwią. W zamian zgarnęłam cały ich pęk i wpakowałam do walizki. Zbroja na rozpaczliwy ostatni atak.

Możliwe, że jest w tym jakiś sens, że Julien zrezygnował z seksu. Ma teraz dużo na głowie – choć głównie z własnej winy – a ja dodatkowo nalegam na dziecko. Ale tu, w tej pięknej dziczy, napędzana szampanem i narkotykami, myślałam, że będzie inaczej. Czuję maleńki dreszcz strachu, kiedy Julien kładzie się koło mnie i odwraca twarzą do ściany.

Przysuwam się w jego stronę, by skraść nieco jego ciepła. Wyciągam rękę i dotkam tyłu jego głowy. Czuję dłonią wilgoć.

– Twoje włosy.

– Co? – Jego głos nie jest ani trochę senny. Zastanawiam się, czy tak jak ja udaje, że śpi.

– Są z tyłu wilgotne.

– Zaczęło padać, gdy byłem już blisko domu.

Leżąc obok niego, myślę o bezchmurnym niebie, które widziałam, idąc do domku. Chmury musiały bardzo szybko nadciągnąć, skoro zaczęło

padać. Zresztą jest za zimno na deszcz. Jeśli już, spadłby śnieg. Nagle wiem, że on kłamie, choć nie wiem w jakiej sprawie i dlaczego. Wmawiam sobie, że nie ma się o co martwić. W końcu i tak już znam jego najgorszy sekret.

Pewnego wieczoru jakiś rok temu Julien powiedział mimochodem:

– Mam pewnego znajomego. Chciałby, żebyś zaprojektowała mu stronę. Rzucił pracę w City i próbuje założyć własną firmę. Co ty na to?

Czy już wtedy wiedziałam, że coś jest nie tak? Dopiero z perspektywy czasu jestem w stanie powiedzieć, że jego ton był aż nazbyt nonszalancki. Że stukał palcami o kuchenny blat, co wyraźnie z nim kontrastowało. Że prawie na mnie nie patrzył, gdy mówił. W dodatku aż do tego momentu nie miał najlepszego zdania o moich zdolnościach w projektowaniu stron internetowych ani o moim pomysle na biznes: żeby założyć małą firmę i pracować za prowizję. Nazywał to moim „projektem”, jakbyśmy szyli narzutę.

To byłoby dopiero moje drugie zlecenie – pierwsze zrobiłam na baby shower znajomej. Postanowiłam jednak przymknąć oko na swoje złe przeczucia. Założyłam, że jest niespokojny, bo było to trochę zlecenie z litości. Zarabiał wystarczająco dużo pieniędzy na nas oboje, a nawet więcej, niż było nam potrzeba, ale chyba wiedział, że moja duma została zraniona brakiem sukcesu. Więc jeśli mam być całkowicie szczerą, nie zagłębiałam się w sprawę. Pomyślałam nawet, że to dobra okazja. Przyda mi się kolejny zadowolony klient do portfolio – będę go mogła umieścić na swojej stronie i w mediach społecznościowych. Trzeba mieć czym się pochwalić, żeby skusić kolejnych klientów. To trochę jak teoria z jajkiem i kurą, ale tak to już jest.

– Mam mu wysłać wycenę? – zapytałam Juliana. – Bo mam nadzieję, że wie, że nie będę pracować za darmo. – Nie chciałam, żeby ten gość sobie pomyślał, że tylko dlatego, że jestem żoną jego kumpla, wyświadczę mu usługę gratis. Jasne, mogę mu dać zniżkę po znajomości, ale jestem

profesjonalistką. Mój czas jest cenny. Minęło sporo czasu, odkąd czułam się komukolwiek potrzebna w sensie zawodowym, i miałam zamiar delektować się tym uczuciem. W tamtym czasie było to moje największe zmartwienie. Że mogę zostać upokorzona pracą za darmo.

– Nie martw się o pieniądze – odparł Julien. – Zapewnił mnie już, że zapłaci ci uczciwą stawkę. – Uśmiechnął się szeroko. – Częściowo gotówką, częściowo przelewem, żebyś nie musiała płacić od wszystkiego podatku, jeśli nie chcesz. – O to się szczególnie nie martwiłam. Firma nie zarobiła jeszcze żadnych pieniędzy – małe szanse, by do końca roku przyniosła jakieś zyski. Julien na pewno o tym wiedział.

Nawet wtedy nie byłam szczególnie podejrzliwa. Czy powinnam być? W końcu to mój mąż.

Dopiero kiedy na moim koncie pojawiło się pięćdziesiąt tysięcy funtów, a Julien wrócił do domu z pubu, w którym rzekomo oglądał rugby, z tą samą sumą w pięćdziesięciofuntowych banknotach, zrobiłam się podejrzliwa.

– Co to jest? – zapytałam go. – Uśmiechnął się z zażenowaniem i szeroko rozłożył ręce. – Tyle właśnie mój kolega chce ci zapłacić – powiedział. – Był z ciebie bardzo zadowolony. Ma mnóstwo forsy, więc dla niego te pieniądze to drobniaki.

Może bym mu uwierzyła, gdybym nie zobaczyła jego oczu.

– Julien – powiedziałam ostrym tonem, żeby wiedział, że nie nabierze mnie na żadne bzdury. – Te pieniądze są na moim koncie. Więc cokolwiek się tu, do cholery, dzieje, jestem w to wplątana. Jestem twoją żoną. Więc myślę, że musisz mi natychmiast wszystko powiedzieć.

– Ostatecznie to będzie dla nas dobre – powiedział z nagłą wściekłością. – Uznajmy, że dostrzegłem pewną okazję.

– Jaką okazję? Poza pracą?

– No... – Zaciśnął dłonie na oparciu krzesła przed sobą. – Można powiedzieć, że połączonego z pracą. Ale luźno... – Zdawał się zbierać na odwagę. – Posłuchaj, miałem to tuż przed nosem. Wszedłem w posiadanie pewnych informacji i byłbym głupi, gdybym ich nie wykorzystał.

Dopiero wtedy coś mi zaświtało.

– O Boże, Julien. O Boże. Chcesz powiedzieć, że spekulowałeś wewnętrznymi informacjami? To próbujesz mi powiedzieć? Stąd są te pieniądze?

Nie musiał właściwie nic mówić – poznałam, jaka jest prawda, po tym, jak krew odpłynęła mu z twarzy.

– Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu dałem cynk kilku osobom. Znajomym. To nic wielkiego. Takie rzeczy dzieją się cały czas.

Nie mogłam uwierzyć w to, co mówi.

– Chyba raczej chcesz mi powiedzieć, że ludzie cały czas trafiają za to do pułki.

Zaledwie w zeszłym tygodniu czytałam o Rayu Yorke’u, partnerze w jednym z dużych banków inwestycyjnych, który odsiadywał wyrok za powierzanie firmowych sekretów kumpłowi, z którym grał w golfa. Jak gdyby nigdy nic chodzili sobie od dołka do dołka, a on od czasu do czasu rzucał różne drobne wskazówki – prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy, że kumpel przekazuje je dalej i zarabia na tym miliony. Twierdził, że nie miał o niczym pojęcia, nawet gdy zaczął dostawać ekskluzywne prezenty od przyjaciół – rolexa, biżuterię dla żony, paczki pieniędzy. Kiedy został złapany, jego życie się skończyło. Stracił pracę, poszedł do więzienia, żona się z nim rozwiodła i już nigdy nie będzie pracował w sektorze finansowym. CNN pokazała wywiad, który przeprowadzono z nim przed salą sądową, i facet za łzami w oczach mówił, że jego przypadek powinien być przestrogą dla innych. Oczywiście musiał wszystko oddać – z nawiązką.

Nie miałam dla tego gościa żadnego współczucia. Jak można być takim idiotą, myślałam. Wydawało mi się to takie oczywiste. To oczywiste, że koniec końców ktoś cię ostatecznie zdemaskuje.

I jak się okazało, mój mąż był właśnie tym idiotą.

– Czy ty jesteś normalny, Julien? – powiedziałam. – Jesteś jak hazardzista, który nie może sobie odmówić jeszcze jednego rozdania.

– Przepraszam, Mirando, nie wiem, co... – I wtedy jego twarz nagle się zmieniła, stężała. Skończył z udawaniem niewiniątka, odpuścił sobie zgrywanie dyskomfortu, bicie się w pierś. – Tobie łatwo mówić takie rzeczy. Ale chyba zapominasz, jak lubisz nasze życie. Nie wiem, czy wiesz, ale wakacje w Tulum, na Malediwach czy w St. Anton nie są za darmo. Wybierasz i przebierasz w wyjazdach, które kosztują więcej, niż niektórzy ludzie zarabiają przez cały rok. Albo paczki, które co sezon przychodzą z Net-a-Porter, albo pięćset funtów, które co miesiąc płacisz swojej przeklętej dietetyczce. Tak, dużo zarabiam. Ale nie mamy praktycznie żadnych oszczędności. A teraz bez ustanku trujesz o dziecku – wiesz, ile kosztują prywatne szkoły? Bo oczywiście dzieci Mirandy Adams nie mogą się zniżyć do poziomu *darmowej* edukacji, tak jak ja. A co z chesnym na studia? A ponieważ tylko jedno z nas pracuje... – Spojrzał mi prosto w oczy. – Moja praca nie jest taka pewna, jak ci się wydaje. Kryzys finansowy nie zdarzył się znowu tak dawno temu. A gdyby się powtórzył, mielibyśmy przechlapane.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Nie zwalaj tego na mnie. To ty spieprzyłeś sprawę.

Może powinnam była to przewidzieć. Bo zawsze tak to się rozgrywało. On nie dorastał w bogatym domu, z silnym wsparciem rodziny. Mama wychowywała go samotnie. Poświęciła wszystko, by opłacić jego studia. Choć nikt by się tego nie domyślił po jego zachowaniu. Julien ma w sobie głęboko zakorzeniony wstyd związany z tym, że kiedyś był – nie tyle biedny, co niezbyt zamożny. Boi się tego, że będzie źle wyglądał – a na tym jego zdaniem polega bycie biednym. Zawsze czuł jakiś deficyt. Może gdyby do tego nie doszło, wydarzyłoby się coś innego. Wdałby się w romans albo popadł w uzależnienie od hazardu. Może nawet powinnam się cieszyć, że to nic gorszego. Choć trudno sobie wyobrazić, co by to mogło być.

DOUG

Jest ciemno i późno. To jego ulubiona pora. Ma całe miejsce tylko dla siebie – w końcu. A przynajmniej tak mu się zdawało do czasu, aż trafił na gogusia, który pytał go o Wi-Fi – tego z przystojną twarzą, która aż prosi się o to, by ją rozkwasić. Julien. Zobaczył go samego na ścieżce prowadzącej od chaty myśliwskiej do domku, który wybrała jego żona. Ale minęła już godzina, odkąd umilkły hałasy w głównym budynku, a światła zostały zgaszone.

Mężczyzna zatrzymał się zaskoczony, gdy zobaczył Douga. Wyglądał jak zwierzę, jak jeleni oderwany od stada, który stanął jak wryty w światłach land rovera. Jego twarz drgała, jakby facet bił się z myślami, czy powinien wyjaśnić łowczemu, co tu robił o tak późnej porze. Ale ostatecznie wykrzywił usta i skinął głową, po czym ruszył w swoją stronę, nie odwracając się za siebie. Wyglądał tak, jakby coś przeszkrobał. Przygarbione ramiona, sztywny, drobny krok osoby, która ma coś na sumieniu. Doug mógłby się założyć, że Julien nie spodziewał się, że kogokolwiek tu spotka. A cokolwiek tu robił, został przyłapany.

A przynajmniej niespodziewane spotkanie naruszyło jego spokój. Doug uśmiecha się, kiedy teraz o tym myśli.

Zabrał ze sobą psy. Griffin i Volley. Griffin to piękna suczka rasy retriever gładkowłosa o pysku gładkim jak aksamit, a Volley to owczarek australijski, także piękny, choć dziwny z wyglądu, z jednym mlecnoniebieskim okiem i marmurkowym umaszczeniem, wyglądającym jak krople atramentu upuszczone do wody. Zdają się go naprawdę lubić, nie wyczuwać drzemiącego w nim mroku w ten sam sposób co ludzie.

Oba psy są tej nocy płochliwe i podekscytowane. To na pewno przez nadciągające opady śniegu – w powietrzu czuć jego wyostrzający się,

metaliczny, niezwykły zapach. W prognozach niczego nie zapowiadano, ale w miejscach takich jak to uczysz się ufać swoim oczom i nosowi zamiast urządzeniom pomiarowym.

Jutro będzie musiał uprzedzić tych przeklętych gości. Opady mogą się okazać obfite. Jeśli potrzebują jakichś zakupów na następne dni, muszą mu dać znać do wieczora. To prawdziwy koniec świata, drogi będą nieprzejezdne nawet land roverem na śniegowych oponach. Nikt nie zdoła tu przyjechać. Ani stąd wyjechać.

Podnosi patyk leżący na ścieżce i rzuca nim. Znika poza zasięgiem jego wzroku i światła czołówki. Oba psy biegną za patykiem, ich wzrok jest lepszy niż Douga. Oba psy są szybkie, choć Griffin się starzeje i pierwsza zwalnia bieg. Volley leci do przodu jak kula z pistoletu i zgarnia nagrodę, zaciekle merdając ogonem. Wysoko zadziera głowę z rozpierającą ją dumą.

W chwilach takich jak ta Doug oddycha spokojniej.

Teraz Volley upuściła kij i zaczyna skamleć.

– Co się stało, piesku? O co chodzi?

Griffin też podłapała trop. Zaczynają za nim podążać, z nosami przy ziemi. Może to królik albo lis. Może nawet jelen, choć zwykle nie pojawiają się po tej stronie jeziora. Wtedy Doug słyszy coś na uboczu: odgłos dużego zwierzęcia przedzierającego się przez podszybie wzdłuż ścieżki.

– Kto to? – woła Doug.

Nie słychać odpowiedzi, ale rozpoznawalny odgłos łamanych gałęzi i szeleszczących roślin trwa i staje się coraz szybszy. Coś – albo ktoś – przed nimi ucieka.

Psy rzucają się w pogoń za odgłosem. Doug przywołuje je do siebie, więc zawracają – niechętnie, ale posłusznie. Jeśli to inni goście, to psy mogłyby ich przerazić.

Doug świeci czołówką po otaczającej go ziemi i oświetla ludzki ślad kilka metrów przed sobą. Tylko jeden – najwyraźniej tylko ta część ścieżki była na tyle grząska, by mogło się w niej coś odbić. To duża stopa. Doug przymierza do niej swoją – są mniej więcej tego samego rozmiaru. Może

oczywiście należeć do jednego z gości, choć byłby bardzo zaskoczony, gdyby któreś z nich tak daleko odeszło od chaty myśliwskiej podczas swoich wieczornych eskapad. Słyszał ich nad jeziorem przed kolacją, ale wątpi, żeby któreś ośmieliło się po ciemku ruszyć dalej. A ten but ma porządną podeszwę. Goście z Londynu przyjechali ubrani tak, jak mieszcuchy wyobrażają sobie stroje na wycieczki – w buty marek Dubarry albo Timberland.

Więc może to Islandczycy – oni mieli odpowiednie obuwie. Pozostaje jednak pytanie: dlaczego którykolwiek z gości miałby się rzucić do ucieczki na jego wołanie?

Często wychodzi o tej porze, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Niektóre z jego nocnych eskapad bywają jednak niezamierzone.

Kiedyś obudził się w wilgotnym wrzosie niedaleko przeciwległego końca jeziora, w pobliżu opustoszałego obozowiska dla skautów. Był środek nocy, ale na szczęście księżyc jasno świecił i mógł zobaczyć, dokąd idzie. Nie pamiętał, jak się tam znalazł, ale nogi bolały go tak, jak gdyby biegł. Piekły go dłonie. Później, w świetle domku odkrył, że są poranione i otarte – w kilku miejscach dość głęboko.

Nie potrafił sobie przypomnieć niczego, co wydarzyło się aż do tego momentu. Dawno temu, kiedy był mały, został poddany narkozie. Na jego świadomość spadła czarna kurtyna, wyłączono mu światło, stracony czas był jak mrugnięcie okiem. Tak się właśnie czuł. Połknięte zostały wielkie łyki czasu, pozostawiające na swoim miejscu puste kratery. Mógł być gdziekolwiek. I mógł zrobić cokolwiek.

Zdarzało mu się to też, kiedy mieszkał w mieście. Wtedy było gorzej – ocknął się na drugim końcu miasta, chodził po obcych ulicach, leżał na placu zabaw albo szedł po kolejowej bocznicy.

Jest na to określenie, które brzmi jak utwór muzyczny: fuga. Piękne słowo na coś przerażającego. Powoduje je trauma, poinformowała go

psychiatra. Takie zachowanie było symptomem, nie chorobą samą w sobie. Przede wszystkim musiał zacząć rozmawiać o tym, co mu się przydarzyło. Rozumiał to, prawda? Bo ten problem, choć jak na razie nie doprowadził do niczego złego, mógł się stać źródłem niebezpieczeństwa. Dla niego samego. Dla otaczających go ludzi. Koniec końców, doszło już do zdarzenia, przez które wyładował w gabinecie u terapeuty.

– Tak – powiedział, spoglądając psychiatrze prosto w oczy. – Ale to się nie stało podczas fugi. Wtedy dokładnie wiedziałem, co robię.

Lekarka odkaszlnęła, robiąc niepewną minę.

– Mimo to chyba oboje ustaliliśmy, że zarówno ten incydent, jak i pozostałe zdarzenia w mniejszym lub większym stopniu wynikają z tej samej traumy.

Narzucono mu określoną liczbę spotkań, choć psychiatra napisała w swoim raporcie, że jej zdaniem potrzeba ich więcej. Sprawdził to dwukrotnie: to było tylko zalecenie, nie nakaz. Mógł zignorować jej radę. Trudno mu było uwierzyć, podobnie jak i jej, że tak łatwo się z tego wyplątał. Ale sugestia, że może kogoś skrzywdzić – nie celowo, jak w ostatnim wypadku, lecz zupełnie bezwiednie – zapadła mu w pamięć. Zamiast więc dojść do sedna problemu – bo nie uważał, by kiedykolwiek nauczył się rozmawiać o tamtym dniu, nawet gdyby miał w ten sposób uratować swoje życie – zamieszkał na odludziu, na którym mało kogo mógł skrzywdzić.

Czeka jeszcze przez chwilę na skraju drzew, nasłuchując dalszych odgłosów ruchu. Ale niczego nie słyszy, a psy najwyraźniej też straciły zainteresowanie. Obraca się i wraca ścieżką tam, skąd przyszedł.

W domku z powrotem kładzie się na łóżku w ubraniu. Ma nadzieję, że w końcu uda mu się zasnąć.

Pokój jest ascetyczny. Nie ma tu zdjęć na ścianach ani bibelotów na półkach, tylko kilka cienkich książek: zbiór opowiadań i tomik wierszy. Ostatnimi czasy w ogóle nie czyta, ale te książki to wskazówki, więzi

łączące go z osobą, którą kiedyś był. Nie ma tu niczego, co mogłoby komuś coś powiedzieć o mieszkającym tu mężczyźnie, chyba że brak sam w sobie jest jakąś wskazówką. To miejsce jest anonimowe jak więzienna cela. Gdyby ktoś go znał, a nikt nie zna go dobrze, byłoby to właściwe skojarzenie.

Obraca się na bok i zamyka oczy. Udaje, że śpi. Jeśli będzie miał szczęście, może uda mu się odpocząć przez godzinę lub dwie. Nauczył się egzystować w ten sposób, pić tyle kawy, by nie kręciło mu się w głowie, brać tyle pastylek przeciwbólowych, ile tylko można, by stłumić migreny. Był taki czas, gdy zapadał w głęboki, niezmacony sen zwierzęcia. Teraz nie potrafi sobie tego wyobrazić. Tamto życie należało do innego człowieka. Teraz, za każdym razem, gdy zamknie oczy, widzi ich twarze. Patrząc na niego błagalnym wzrokiem, pytają: *Dlaczego my? Czym sobie na to zasłużyliśmy?* Wyciągają do niego ręce, łapią go za włosy, za ubrania. Czuje ich na sobie – musi się od nich opędzać. Nawet gdy otworzy oczy, czuje ślady ich palców na skórze – pajęczyny wspomnień.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Gdy kończę rozmawiać z policją, dzwonię do szefa, do Londynu. Oczywiście nie od razu udaje mi się z nim połączyć – słyszę w słuchawce jedwabisty głos jego asystentki.

– W czym mogę pomóc?

Mówię jej o wszystkim. Kobieta milknie w osłupieniu.

– Zaraz panią przełączę – odpowiada po chwili dużo zwykleszym głosem, jak gdyby nagle doszła do wniosku, że to nie pora na aksamitny pomruk.

Szef szybko się zgłasza.

– Cześć, Heather – mówi poufałym tonem, jakbyśmy rozmawiali przez telefon codziennie. Widziałam go tylko raz i pamiętam, że był dość przystojny (choć mogłam odnieść takie wrażenie po tym, jaki był zadbany i czarujący) i miał uśmiech polityka.

– Sprawa jest poważna – mówię. – Znaleźliśmy ciało.

– O Boże – wzdycha, ale jego głos nie sprawia wrażenia szczególnie zaszokowanego. Jestem niemal pewna, że zastanawia się teraz – jak polityk, którego przypomina – jak podejść do sprawy i wyjść z niej obronną ręką.

– Obawiam się też, że to nie wygląda na wypadek.

– Hmm – mruczy. – Oczywiście zadzwoniłaś na policję?

– Tak – odpowiadam. – Zanim zadzwoniłam do ciebie.

– Przyjechałbym, ale nie wiem, czy to w czymkolwiek pomoże.

– Jest duże prawdopodobieństwo, że i tak nie byłbyś w stanie tu dotrzeć.

– Wyjaśniam, że praktycznie toniemy w śniegu.

- Powiedziałaś, że to Doug znalazł ciało?
- Tak.
- Gdzie? – W jego głosie pojawia się nieobecna wcześniej ostrość. Może zastanawia się, czy istnieją szanse, że zostanie pozwany.
- W wodospadzie niedaleko starego młyna wodnego.
- Okej. Widziałaś coś? A może Doug widział?
- Nie, nic konkretnego.
- Czy Iain o tym wie?
- Yyy... nie, jeszcze nie. Wyjechał w sylwestra, po pracy.
- Trzeba mu będzie powiedzieć. To ważne, żeby został wtajemniczony.
- Dobrze – odpowiadam. – Oczywiście. Zaraz to zrobię.
- Zrób. I informuj mnie na bieżąco o rozwoju sprawy.
- Oczywiście. – Siliłam się na pewny siebie ton głosu, ale było mnie stać tylko na szept. A on jest taki rzeczowy, niewzruszony. Może to łatwiejsze w odległym Londynie... niedotknięty atmosferą śmierci, która przenikła każdy centymetr tego miejsca.

Następnie dzwonię do Iaina. Mam tylko jego komórkę, a nie numer domowy. Od razu włącza się poczta głosowa. Problem z kontaktowaniem się z ludźmi przez komórkę w tej części świata jest taki, że przez większość czasu nie masz zasięgu. Na pewno doceni troskę naszego szefa, ale szczerze mówiąc, Iain nie jest teraz moim największym zmartwieniem.

Mam właśnie zostawić mu krótką wiadomość na poczcie, kiedy słyszę pukanie do drzwi.

To Doug.

– Już tu są – mówi. – Goście. – Podczas gdy ja rozmawiałam przez telefon, on zrobił obchód po domkach i zebrał wszystkich w chacie myśliwskiej.

Doug wygląda strasznie – zauważyłam to już wcześniej, ale dopiero teraz widzę to w pełni, bo byłam zbyt zaabsorbowana tym, co się stało. Ma ciemnofioletowe sińce pod oczami, jak gdyby od tygodnia nie spał. Wygląda niemal tak, jakby śmierć gościa osobiście go dotknęła. Zauważam,

że ma zabandażowaną dłoń i większość skóry pokrywa gruba gaza. Nie widziałam tego, gdy byliśmy na zewnątrz, bo miał rękawiczki.

– Co ci się stało w rękę? – pytam.

Patrzy na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– Chyba się zraniłem.

– Kiedy? To nie wygląda najlepiej.

– Nie wiem – odpowiada. – Drugą ręką drapie się po głowie. – Chyba kilka dni temu. – Ale to nieprawda – nie może być. Nie miał bandażu podczas highlandzkiej kolacji... jestem tego pewna, zauważyłabym. A rana pod spodem musi być poważna, skoro użył bandaża. Widziałam Douga z potwornymi ranami i siniakami, na które nie chciało mu się nawet nakleić plastra.

– Mam im powiedzieć, że przyjdiesz z nimi porozmawiać? – pyta. Zauważam, że schował zabandażowaną dłoń w kieszeni kurtki.

Jakimś sposobem zadanie przekazania gościom złych wieści przypadło mnie: wygląda na to, że ustaliliśmy to, w ogóle nie poruszając tematu. Próbuję przełknąć narastające we mnie przerażenie. Kiwam głową i wychodzę za nim z biura.

Goście zebrali się w salonie, gdzie czekają na najnowsze informacje. Tylko londyńczycy: islandzka para wróciła do swojej samotni. Postanowiliśmy z Dougiem, że najpierw poinformujemy grupę przyjaciół – wiadomość o śmierci będzie dla nich druzgocąca.

Kiedy wchodzę do salonu z korytarza, wszyscy spoglądają na mnie. W mojej starej pracy często stałam po tej stronie. Zaniepokojone rodziny czekające na informacje i ja, która musi im powiedzieć jedyną rzecz, której nie chcą słyszeć. *Nie udało się. Wystąpiły nieprzewidziane komplikacje. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.*

Wbijam paznokcie we wnętrza dłoni. Ja też byłam po tej drugiej stronie. Doskonale wiem, jakie to uczucie. Ich twarze rozmazują mi się przed oczami, zadarte do góry, wyczekujące, w pełni skoncentrowane na każdym

moim słowie. Czuję w dołku nagłe szarpnięcie mdłości. Zaraz powiem im coś, co na zawsze zmieni ich życie.

– Znaleźliśmy ją – mówię. Pytania zaczynają się niemal natychmiast. Podnoszę dłoń, aby wszystkich uciszyć. Ważną rzeczą jest to, by przekazać im najgorsze wieści tak szybko jak to możliwe i zgasić resztki nadziei. Nadzieja to wspaniała rzecz, kiedy nadal istnieje szansa, że wszystko dobrze się skończy. Ale nie w przypadkach, które są w sensie dosłownym beznadziejne. Może to spowodować więcej szkód niż pożytku. Choć chyba żadne z nich nie żywi już prawdziwej nadziei. Już to przeczuwają. Potwierdzenie tych przeczuć to jednak co innego.

– Niestety, mam do przekazania bardzo złe wieści – mówię. Nagle atmosfera robi się tak gęsta, że można by ją ciąć nożem. Czuję, jaką okropną moc teraz posiadam. Trzymam wszystkie karty i jestem gotowa wyłożyć je przed gośćmi – a oni zrobią z nimi, co chcą. – Przykro mi, ale ona nie żyje.

Pierwszy jest szok – dopada ich wszystkich. Wpatrują się we mnie, jakby czekali, aż rzucę puentę tego makabrycznego dowcipu. A po chwili każde zaczyna przyswajać tę informację i ich rozpacz objawia się na różne sposoby – poprzez histerię, nieme niezrozumienie i złość.

Wiem, że żadna z tych reakcji nie jest bardziej wartościowa od innej. Na oddziale, gdy musiałam poinformować rodzinę, widziałam chyba wszystko. A każdy ratownik medyczny powie, że gdy zdarzy się tragedia, najbardziej trzeba się martwić o tych najcichszych, a nie o tych, którzy okazują swoje cierpienie zawodzeniami i krzykiem. Choć ci, którzy wyją i krzyczą, cierpią równie mocno. Żal po stracie może się objawiać na tyle sposobów, ilu jest ludzi, którzy go doznają. Wiem o tym aż nazbyt dobrze.

Ale mimo to do głowy przychodzi mi pewna myśl: czy to możliwe, by jedna z tych reakcji była tylko pozorna? Była grą? Podczas gdy wszyscy pytają mnie o ciało, jak je znalazłam i jak wyglądało, gdy je zobaczyłam, zastanawiam się, czy jedno z nich mogłoby udzielić tych wszystkich odpowiedzi za mnie. Czy któreś z nich wie więcej, niż daje po sobie poznać?

Gdy wracam do biura, znów dzwoni telefon. Szybko odbieram, spodziewając się, że to szef albo policja – może mają nowe informacje o tym, kiedy będą mogli tu dotrzeć. Ale to nie policja.

– Nie mogę teraz rozmawiać, mamo.

– Stało się coś złego. Czuję to.

Jak może to czuć po sześciu słowach? Zaciskam i rozluźniam szczękę.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Nic mi nie jest i jak na razie tylko tyle powinnaś wiedzieć. Powiem ci wszystko później, dobrze?

– Nie zadzwoniłaś wczoraj, tak jak się umówiłyśmy. Dlatego wiedziałam, że stało się coś złego. – Jej głos jest chropawy, napięty, zmartwiony. – Och, Heather, wiedziałam, że nie powinnam była ci pozwolić mieszkać w tym miejscu.

Nigdy tego nie rozumiała. Dlaczego, skoro nagle, po raz pierwszy od piętnastu lat znalazłam się sama na świecie, wolę pogłębić tę samotność, przeprowadzając się do takiego miejsca. Ale tym, czego nie mogła pojąć – ponieważ nie było to coś, co byłam w stanie racjonalnie wytłumaczyć – było to, że w otoczeniu ludzi czułam się dużo bardziej samotna. Wszyscy nasi znajomi, bez względu na to, jak bardzo próbowali pomóc i jak bardzo mi współczuli, przypominali mi o nim. I o mieście, w którym razem żyliśmy. Za każdym rogiem znajdowała się knajpka, w której jedliśmy brunch, albo księgarnia, w której przeglądaliśmy książki, a nawet sieciowy supermarket, w którym kupowaliśmy gotowe curry i butelkę wina. Nasze mieszkanie było najgorszym z tych miejsc. Ledwie byłam w stanie się zmusić do tego, by w nim przebywać, zanim je sprzedałam. Znajdowały się w nim wszystkie wspomnienia naszego wspólnego życia, wspólnego dorastania. Mieszkaliśmy tu praktycznie od zakończenia studiów. Przez całe moje dorosłe życie.

A otaczanie się ludźmi – ludźmi, którzy dalej żyją swoim życiem, zajęтым i zagmatwanym, którzy się statkują i mają dzieci, biorą ślub – tylko podkreślało, jak moje własne na czas nieokreślony stanęło w miejscu. Może na zawsze.

Więc tak, czasem robię się samotna. Ale przynajmniej ten krajobraz pasuje do samotności i nie muszę dzień w dzień stykać się z tym, co straciłam, z echemi mojego dawnego życia, które było pełne, szczęśliwe i wypełnione miłością. I owszem, czasem tak samo jak w mieście, zdarzały mi się dni, kiedy zdawało mi się, że nie dam rady wstać z łóżka i musiałam się przymusić do tego, żeby się ubrać, zjeść śniadanie i pójść do biura w chacie myśliwskiej. Mimo to dużo łatwiej jest zmierzyć się z kolejnym dniem, kiedy wiesz, że nie trzeba się w nim będzie stykać ze szczęściem innych ludzi.

Tu byłam w stanie wyrzucić swoją rozpacz i złość – tak, jest tego sporo – ku górą i jezioru i poczuć, jak przepastny krajobraz wchłania nieco mojego żalu. Tutaj samotność to naturalny stan rzeczy.

Kiedy to się stało, część mnie zastanawiała się, czy może na to czekałam, czy wiedziałam, że to się w końcu stanie. Zawsze czułam – odkąd Jamie i ja zostaliśmy parą – że było nam za dobrze, że mieliśmy zbyt wiele szczęścia, że taki błogi stan nie może trwać wiecznie, bo dostaliśmy od losu więcej niż wynosił przydział i w którymś momencie ktoś się zorientuje. I okazało się, że miałam rację. Mina, którą miał na twarzy szef Jamiego, kiedy przyszedł mi powiedzieć. Wiedziała, zanim otworzył usta. Zaczadzenie. Nikt się nie zorientował w całym zamieszaniu, że Jamie nie wyszedł. Ugrzązł w płonącym domu. Pozostali strażacy próbowali zrobić wszystko, co w ich mocy.

Keith reanimował Jamiego przez pełne czterdzieści pięć minut, zanim przyjechała karetka. Gdy zaczął płakać, musiałam odwrócić wzrok. To był straszny i niespodziewany widok, że ktoś taki jak on roni łzy. Ale przez to uwierzyłam w to, co się stało.

Jamie był strażakiem. Przy takim intelekcie mógł zostać, kim by tylko chciał – naukowcem, prawnikiem, profesorem. Powiedział mi jednak, że

chce robić coś, co jego zdaniem naprawdę ma znaczenie – tak jak ja. Był jednym z najlepszych strażaków, bo zawsze robił jeden krok więcej. Tak jak podczas pogrzebu powiedział Keith – kiedy inni zdążyli się już poddać, Jamie starał się jeszcze bardziej, ryzykował ciut więcej. Momentami wydawał się niemal niepokonany. Ale nie był. Był tylko człowiekiem. Wielkodusznym, odważnym, skłonnym do poświęceń człowiekiem – w stu procentach śmiertelnym.

Nikt nikomu nie mówi, że kiedy umiera ktoś, kogo kochasz, możesz być na niego zły. Ja to czułam – byłam zła na Jamiego. Wcześniej życie miało jakiś sens. Wszystko, co się nam przydarzyło, było jak przeznaczenie. To jak się spotkaliśmy – Jamie w ostatniej chwili postanowił przyjść na imprezę do znajomego swojego znajomego. Piękne, wypełnione światłem mieszkanie w historycznej dzielnicy Edynburga, które właściciel postanowił wynająć nam za grosze, jeśli będziemy opiekować się jego psem, gdy będzie w podróży. Nawet to, jak do siebie pasowaliśmy – dwa kawałki bardzo prostej układanki, które po złożeniu dopełniały cały obraz.

Kiedy umarł, wszystko straciło sens. Świat, w którym Jamie został mi odebrany, był okrutnym, pogrążonym w chaosie miejscem. Rozważałam – krótko, ale poważnie – by to wszystko zakończyć. Ostatecznie nie powstrzymała mnie przed tym wola przetrwania – tylko świadomość, jak by to wpłynęło na moją rodzinę.

Przyjechanie tu było jedyną alternatywą. Uciekłam od znanego mi dotąd życia, od wszystkiego, co wiązało mnie z przeszłością. Czasem myślę sobie, że to trochę jak śmierć – nieco bardziej strawna opcja niż proszki i skok z Forth Bridge, które rozważałam przez kilka tygodni po śmierci Jamiego. Więc w dziwny sposób ten krajobraz był dla mnie azylem. Teraz jednak, przy tej tragedii i śniegu, który trzyma nas tu jak w pułapce i przez który nie może do nas dotrzeć pomoc, w ciągu dwudziestu czterech godzin stał się więzieniem.

DWA DNI WCZEŚNIEJ
SYLWESTER 2018 ROKU

EMMA

Wczoraj w nocy kochaliśmy się z Markiem i było nam naprawdę nieźle. Rzucił mnie na łóżko. Jego rysy były napięte, twarz zasnuwał cień. Wygląda prawie tak samo, kiedy jest naprawdę wściekły i podniecony.

Nie wiem, co w niego wstąpiło. Może to przez pigułki, które wzięliśmy (choć tego żałuję, bo mówię wtedy głupie rzeczy, których wcale nie miałam zamiaru powiedzieć). Ale ta intensywność mogła też być związana z tym, co chwilę wcześniej mi powiedział – z tym, czego się dowiedział – i cudze kłopoty wzbudziły w nas dziwną, erotyczną rozkosz.

Wiem, że ludzi zastanawia mój związek z Markiem. „Jak się poznaliście”, pytają. Albo: „Co cię do niego przyciągnęło?” i „Kiedy wiedziałaś, że to ten jedyny”? Czasem mówię, że poczułam to, gdy zobaczyłam, jak tańczy na środku klubu do *The One and Only* Chesneya Hawkesa, co zwykle wywołuje śmiech u moich rozmówców. Ale to tylko tymczasowy środek, powstrzymujący głębsze, bardziej wnikliwe pytania, które niezmiennie następują później.

Ludzie chcą zobaczyć miłość, chemię, iskrę, która nas połączyła i która sprawia, że wciąż razem jesteśmy. Zwykle wydaje mi się, że będą rozczarowani, bo prawda jest taka, że nie ma między nami żadnego wielkiego uczucia. Nie ma wielkiej namiętności. Nigdy jej nie było – nawet na samym początku. Nie wstydzę się powiedzieć tego głośno. Nie tego szukałam.

Są ludzie, którzy czekają na miłość przez duże M i nie ustają w poszukiwaniach, dopóki jej nie znajdą. Są tacy, którzy się poddają, bo jej

nie znaleźli – wszystko albo nic. Ale większość ludzi idzie na kompromis. Myślę, że jesteśmy rozsądni. Bo miłość nie zawsze jest na zawsze.

Jestem zadowolona z tego, co nas łączy. Mark chyba też. Ludzie często zwracają uwagę na to, że nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego. „Przeciwieństwa się przyciągają – mówią, rzucając porozumiewawcze spojrzenia – prawda?” Ale dla mnie najważniejsze jest to, by para miała jakieś wspólne zainteresowania i hobby. Kilka tematów – a przynajmniej jeden – którym jesteście tak samo mocno zainteresowani. I tak właśnie jest w naszym wypadku. Jest jedna taka rzecz. I nie, nie o to chodzi, choć seks jest dobry, a wręcz świetny.

Więc nie, nie ma między nami wielkiej chemii, jak na przykład między Mirandą a Julienem... choć teraz, kiedy się nad tym zastanowię, coś między nimi wydaje się nie tak – zastanawiam się, czy tylko ja to zauważyłam. I owszem, gdyby ktoś miał wątpliwości, wiem, że Mark strasznie podkochuje się w Mirandzie. Nie jestem idiotką. Zauważam więcej, niż ludziom się wydaje. Nie przeszkadza mi to. Naprawdę. Niemal słyszę to niedowierzanie. Ale przysięgam, że tak jest. Trzeba mi uwierzyć na słowo.

Więc nie, kiedy zobaczyłam Marka w tym dusznym klubie nocnym w okolicy Clapham High Street, nie pomyślałam od razu, że to mężczyzna moich snów, że teraz wiem, jak czują się ludzie w książkach i filmach, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Zupełnie tak nie było.

Jednocześnie dostrzegłam coś więcej niż to i coś mniej. Zobaczyłam życie. Nowy sposób bycia. Zobaczyłam coś, o czym zawsze marzyłam.

Oboje mamy za sobą trudne dzieciństwo. Co kilka lat przenoszono mnie do nowej szkoły i nigdy nie udało mi się znaleźć prawdziwych przyjaciół. Ale w porównaniu z Markiem wcale nie miałam tak źle. Był bity przez ojca. I nie chodzi tu o kilka klapsów za niegrzeczne zachowanie. Chodzi o dotkliwe, barbarzyńskie bicie, na którym wychowywano poprzednie pokolenia. Mark wyznał mi, że kiedyś matka użyła swojego korektora, żeby zamaskować mu siniaka pod okiem. Nie powstrzymała jego ojca, nie potrafiła. Sama też padała ofiarą jego pięści i porywczego charakteru. Jako

dziecko Mark był trochę mały jak na swój wiek i ku niezadowoleniu ojca podczas gry w rugby zbierał na boisku niezłe cięgi. Ale potem zaczął rosnąć. Pił koktajle proteinowe i zaczął chodzić na siłownię. Bicie w końcu się skończyło – jak gdyby ojciec Marka zdał sobie sprawę, że syn może mu się postawić. I wygrać.

Mark odziedziczył coś z charakteru ojca. Polega na swojej sile. Nigdy nie był wobec mnie brutalny... choć zdarzyło się nam kilka gwałtownych kłótni. Trzasnął drzwiami z taką siłą, że pękły, zdjęcie, o które się kłóciliśmy, zostało rozbite o ścianę. Ale nie jest nieczułym tępakiem, za którego często biorą go inni. Może i wczoraj wieczorem żartował na temat tego, co zdarzyło się na torze wyścigowym, ale pamiętam jego późniejsze poczucie winy, przerażenie z powodu tego, co zrobił. Prawie się popłakał, gdy usłyszał, że tamten chłopak został zabrany do szpitala. Musiałam go powstrzymać przed tym, by dobrowolnie nie zgłosił się na policję.

Wiem, że Mark rozpaczliwie nie chce być taki, jak jego ojciec. Ale czasami się boi, że staje się taki jak on.

MIRANDA

Budzę się wcześnie. Julien leży zwinięty w kłębek, daleko ode mnie. Natychmiast wracają do mnie wspomnienia z poprzedniego wieczoru, zagmatwane i niewyraźne jak splątany motek wełny. Mark w łazience. To, jak dominował nade mną sylwetką i jak ścisnął mnie za ramię.

Wstaję i ubieram się. Pójdę pobiegać, spróbuję pozbyć się z płuc dziwnych wrażeń z wczorajszego wieczoru. Teraz lubię bieganie, ale nie zawsze tak było. Nie lubiłam go w wieku czternastu lat, kiedy nagle zrobiłam się o kilka rozmiarów większa i moja ukochana mama kupiła mi na urodziny karnet na siłownię.

Mijam pozostałe domki i chatę myśliwską tak szybko, jak to możliwe. Nie chcę spotykać się z innymi. Nie przybrałam jeszcze swojego oblicza i nie chodzi mi tu o makijaż. Chodzi mi o rozrywkową, gotową na wszystko Mirandę. Kiedy docieram pod ciemne schronienie drzew na skraju jeziora i nikt nie woła za mną: „A ty dokąd?”, oddycham z ulgą.

Mark: jak on śmiał? Kusi mnie, by powiedzieć o wszystkim Emmie. Ale widzę, jak się napracowała, żeby zorganizować cały ten wyjazd, i jaka dumna jest z tego, że znalazła takie świetne miejsce – nie jestem na to aż tak obojętna, jak się wszystkim wydaje. Więc może powinnam poczekać, aż będzie po wszystkim, i poruszyć z nią ten temat przy drinkach w Londynie? Na pewno widziała tę jego stronę. Jeśli mnie tak potraktował, to jak zachowuje się przy niej? Wydaje się taka ogarnięta i przedsiębiorcza życiowo, ale – sama dobrze o tym wiem – twarz, którą prezentujemy światu, może być bardzo myląca.

Powietrze jest dziś zdecydowanie mroźniejsze. Niektóre kałuże przez noc pokrył lód. W tym chłdzie jest pewna nieznaną ostrość i surowość. Chłodny dzień w Londynie zawsze jest równoważony przez ciepłe

podmuchy z przegrzanych sklepów i parnego metra, bliskości dociskających się do ciebie ciał. Ale tu chłód ma okazję porządnie chwycić cię w swój uścisk. Czuję się trochę tak, jak gdybym próbowała mu uciec.

Wzięłam ze sobą komórkę, żeby posłuchać muzyki – to zawsze pomaga mi się rozluźnić i zagłusza wszelkie inne dźwięki w mojej głowie. To dużo lepsze niż „świadoma cisza”, przy której tak obstaje moja terapeutka. Jak nas uprzedzano, pasek zasięgu jest pusty. Zabawne, że mieszkamy w świecie, w którym brak komunikacji może być reklamowany jako atut.

Kilka metrów dalej ścieżka rozwidła się w stronę kolejnego pomostu. To idealnie piękne, melancholijne miejsce. Biegnę w jego stronę. Znajdują się na nim ustawione jeden na drugim kajaki, które prawdopodobnie przydają się w sezonie letnim – jeden leży dnem do dołu i wypełniony jest wodą, która całkowicie zamarzła. Staję nad nim i kiedy zaglądam do środka, widzę swoje odbicie uwięzione pod warstwą lodu. Przeszywa mnie dreszcz, choć jestem ciepło ubrana. Wracam na ścieżkę.

Przebiegam może sto osiemdziesiąt metrów po wyboistej szutrówce, po której wczoraj wieczorem jechaliśmy autem, z jednej strony mając las, a z drugiej jezioro, aż dalej docieram do mostu nad jednym z wodospadów zaopatrujących jezioro w wodę. Za wodospadem znajduje się mały, zdezelowany budynek. Zastanawiam się, co to jest. Wychylam się za skraj mostu – od przepaści dzielą mnie tylko trzy sznury łańcuchów – i spoglądam w dół na wodospad, który prawie w całości zamienił się w lodowe sople, i na czarne, pokryte mchem kamienie.

Dalszy bieg jest trochę monotony, ale w pewnym momencie docieram do małego fragmentu wypalanej ziemi – jakby ktoś palił tu ognisko. W pobliżu leży kilka spalonych, pordzewiałych puszek po piwie. Przypominam sobie, co Heather mówiła nam o kłusownikach.

Schodzę ze ścieżki i idę nad brzeg, który wcina się w wodę, pochylając się przed gałęziami drzew i potykając się oraz ślizgając na starych, porośniętych mchem korzeniach. Gałęzie zahaczają o moje włosy, twarz

i kurtkę. W którymś momencie prawie całkiem tracę równowagę i zaczynam się ślizgać w stronę małego strumyka po swojej prawej stronie. Dopiero w ostatniej chwili odzyskuję równowagę. Jednocześnie zauważam coś połyskującego pod powierzchnią wody. Szokująco białego, dużo bardziej jaskrawego niż okoliczne brunatne skały. Przyglądam się temu bliżej i zdaję sobie sprawę, co to jest. Kość. Dość spora, na wpół schowana pod gnijącymi liśćmi. Gdy się rozejrzę, zauważam kolejną i jeszcze jedną rzuconą na porośniętą trawą fragment brzegu. Niektóre są nawet większe niż ta w wodzie, długie jak moja kość udowa. To zwierzęce kości, wiem o tym. Powtarzam to sobie, rozglądając się za czaszką, która to potwierdzi. Zwierzę zagryzione przez inne zwierzę albo takie, które zdechło ze starości. Ale niektóre kości wyglądają na spalone. A w pobliżu nie ma czaszki. Raz jeszcze przypominam sobie ostrzeżenie przed kłusownikami. Może zabrali głowy, żeby powiesić je na ścianie. Przeszywa mnie dreszcz. Żeby zabić zwierzę takiego rozmiaru, trzeba być bardzo brutalnym i zdeterminowanym.

Muszę jak najszybciej się stąd oddalić. Makabryczne odkrycie sprawia, że robi mi się niedobrze, choć mam pusty żołądek. Przymuszam się więc do pokonania niewielkiego wzniesienia, aż jestem się w stanie skupić tylko na pieczeniu w płucach i nogach. Przypominam sobie, w jakim pięknym jestem miejscu. Kości wywołały u mnie dreszcz, zasnuły wszystko ciemnym cieniem. Ale nie dzieje się tu nic złego. To miejsce jest po prostu inne. Odosobnione, dzikie.

Teraz jestem niemal na przeciwnym końcu jeziora od chaty myśliwskiej, która majestatycznie połyskuje na drugim brzegu. W drzewach otaczających jezioro jest przerwa pokryta kamieniami i uschłymi wrzosami. Znajduje się tam budynek – nisko postawiony i zbudowany z bali jak nasze domki. To pewnie samotnia, w której zatrzymali się Islandczycy. Wszystkie okna są ciemne, nie widać w nich oznak życia. Może para nadal śpi.

Biegnę dalej, przyspieszając podczas drugiej połowy okrążenia, jak zawsze mam w zwyczaju, gdy trenuję. Kiedy znów wbiegam między drzewa, słyszę wysoki, przenikliwy dźwięk, jak odgłos cierpiącego

zwierzęcia. Od razu przychodzą mi na myśl kości na drugim brzegu. Trudno dokładnie powiedzieć, skąd ten dźwięk pochodzi, ale spoglądam w kierunku, z którego dobiegł mnie hałas, między ciemne zarośla. I wtedy ich widzę – nie mogę uwierzyć, że nie dostrzegłam ich od razu. Jezu. Są prawie nadzy. Kobieta klęczy na czworakach, na porośniętej mchem ziemi, a mężczyzna bierze ją od tyłu, energicznie wyginając biodra i trzymając partnerkę za czarne włosy. Jej głowa jest wygięta z rozkoszy albo ciągnięta jego siłą. Oboje robią sporo hałasu, który brzmi, jakby wydawały go dzikie, nieskrępowane stworzenia. W tym widoku jest coś przerażająco przyciągającego. Stoję jak wryta i nie jestem w stanie odwrócić wzroku.

Wtedy Islandczyk odwraca głowę i spogląda prosto na mnie. Przywołuje mnie skinieniem.

– Chodź – woła. – Przyłącz się do nas. – Wtedy wybucha rehotliwym śmiechem. Kpi sobie ze mnie. Kobieta podnosi wzrok, żeby zobaczyć, z kim rozmawia. Ona też się do mnie uśmiecha: ma nieprzytomną minę osoby w stanie ekstremalnej rozkoszy. Ich naga skóra w dziennym świetle wygląda na bardzo białą. Jej kolana są niemal czarne od ziemi.

I choć zawsze uważałam się za bardzo liberalną i wyzwoloną, kiedy moje nogi w końcu postanawiają znów zacząć pracować, zataczam się w tył, po czym odwracam się i biegnę tak szybko, jak tylko mnie poniosą. Gałęzie tną mnie po kostkach i policzkach. Mam niemal wrażenie, że wciąż słyszę w uszach jego śmiech, choć nie mam pewności, czy przypadkiem nie rozbrzmiewa tylko w mojej głowie.

W chacie myśliwskiej idę zrobić sobie kawę z ekspresu na kapsułki. Moje palce zdają się nie pracować prawidłowo. Drżą. Jestem przekonana, że to tylko z zimna, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że scena w lesie mną nie wstrząsnęła. To przez jej zwierzęcy charakter, jej *brutalność*, pośrodku całej tej dzikiej przyrody. Słyszę, jak za moimi plecami otwierają się drzwi. Nie odwracam się. Po braku powitania wnioskuję, że to Mark. A niech to szlag, naprawdę obyłabym się teraz bez jego towarzystwa.

Ostatecznie wkładam złotą kapsułkę do ekspresu i opuszczam dźwignię. Przciskam guzik i czekam, aż coś się wydarzy. Słyszę, jak kapsułka wpada do pojemniczka na śmieci z tyłu.

– Kurwa – wymyka mi się niespodziewanie.

Nagle Mark staje obok mnie.

– Pomogę ci – mówi. – Najpierw trzeba włączyć ekspres, a dopiero potem włożyć kapsułkę. – Pokazuje mi, jak to zrobić, i do filiżanki zaczyna spływać strużka brązowego aksamitu.

– Dziękuję – mówię, nie spoglądając na niego.

– Mirando – mówi. – Mando... przepraszam za wczorajszy wieczór. Nie wiem, co mnie napadło. Za dużo wypilem, a potem te pigułki... co to w ogóle było?

– To nie jest żadna wymówka – mówię.

– Wiem – odpowiada szybko. – Żadna wymówka. Zachowałem się karygodnie. Zrobiłem ci krzywdę?

Podciągam rękaw, żeby pokazać mu siniaka, który przybrał kolor intensywnego fioleto.

Spuszcza głowę.

– Przepraszam. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłem ci coś takiego. Czasem... pozwalałam złości wziąć nad sobą górę... ale raz jeszcze, to niewybaczalne. I nawet nie na ciebie byłem zły. Byłem zły na Julię. To jedyna rzecz, której nie chcę i nie mogę cofnąć. On na ciebie nie zasługuje, Mirando. Nigdy nie zasługiwał. A szczególnie ostatnio...

– Nie. – Powstrzymuję go ręką. – Cokolwiek ci się wydaje, że wiesz na temat tego „małego sekretu” czy jak to tam nazywasz, to masz to zachować dla siebie. Ze względu na mnie, jeśli nie ze względu na niego. Rozumiesz?

– Chyba tak, ale... – Wygląda na zaskoczonego. – Chodzi o to... myślę o tobie, Mirando. Uważam, że masz prawo wiedzieć, co on robi. Jesteś pewna?

– Tak – odpowiadam, dodatkowo kiwając głową. – Całkowicie pewna.

Upijam łyk kawy. Jest za gorąca i parzę się w język, ale nie mam zamiaru się przed nim skrzywić.

– I jeszcze jedno.

– Tak.

– Jeszcze raz mnie tak dotkniesz, jak gdy graliśmy w Twistera albo jak w łazience, a cię, kurwa, zabiję. Zrozumiałeś?

KATIE

Ostatniej nocy nie spałam najlepiej. Chyba od miesięcy porządnie się nie wyspałam. Czuję się, jakby minęły lata.

Kiedy przychodzę na śniadanie, Emma stoi w kuchni chaty myśliwskiej i przygotowuje dzisiejszą kolację. Włosy ma odgarnięte od twarzy i jest nieumalowana. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam ją bez makijażu. Czasem to trochę dziwne, gdy po raz pierwszy zobaczysz kogoś w naturalnym stanie. Zwłaszcza kogoś tak jasnowłosego jak Emma, uzbrojonego zwykle w akcenty w postaci tuszu do rzęs i eyelinera. Teraz wygląda prawie, jakby nie miała własnych rysów.

Mówi mi, że na dzisiejszy wieczór zaplanowała dla nas wielką ucztę. W lodówce leży łosoś i najlepsza polędwica wołowa, a teraz robi ciasto na bliny. Jezu – własne bliny!

– Te dostępne w sklepie smakują jak guma – mówi. – A tak łatwo je przyrządzić. – Jest w swoim żywiole i nuci pod nosem. Kazała mi pokroić łososia na maleńkie trójkąciki, nad czym musiałam się nieźle skupić. Przyznam, że nawet miło mieć się na czym skoncentrować. Jednak choć bardzo się staram, moje myśli uciekają w różne strony. Ale kroję dalej, aż Emma zaczyna krzyczeć: – O Boże, Katie! Ty krwawisz! Nie zauważyłaś? – A potem nieco bardziej poirytowanym tonem: – Zakrwawiłaś łososia.

– Tak? – Spoglądam na swoją dłoń. – Ojej. – Ona ma rację. Dość głęboko nacięłam palec wskazujący. Widzę na nim żywoczerwoną ranę. Ryba jest zalana moją krwią, przez co wygląda makabrycznie.

Emma wpatruje się we mnie.

– Jak mogłaś nie zauważyć? – Trochę niedelikatnie chwyta mnie za rękę.
– Biedactwo. To musiało boleć. Rana jest dość głęboka.

Stara się przyjąć pełen współczucia ton, ale nie udaje się jej zamaskować nuty irytacji.

Nagle pojawia się ból. Jest ostry, aż oczy zachodzą mi łzami. Dokładnie taki, na jaki zasłużyłam.

Później jemy wspólny brunch w chacie myśliwskiej przy wielkim stole w jadalni. Nie ma z nami tylko Samiry i Gilesa. Ale nie śpią – kiedy mijalam ich domek, dobiegły mnie podniesione głosy i przenikliwy krzyk niemowlaka.

Dziś rano jesteśmy jacyś przygaszeni – rozmowy przy stole są niemrawe i wszyscy apatycznie skubią smażone jedzenie. Wszyscy mamy kaca po wczorajszym wieczorze, ale może chodzi o coś więcej. Można wyczuć pewne napięcie... jakbyśmy wyczerpali wczoraj zapas dobrego humoru przysługujący na cały wyjazd. Tylko Emma jest pogodna i pełna energii, i pilnuje, czy nikomu nie brakuje smażonego boczku albo kawy.

– Do cholery – odzywa się Julien. – Emmo, usiądź! Poradzimy sobie. – Jestem pewna, że chciał, by zabrzmiało to jak lekki żart, ale jego ton zdradza zniecierpliwienie.

Emma siada, a po jej szyi zaczyna się pięć czerwony rumieniec.

– Katie. – Miranda odsuwa krzesło obok siebie. – Usiądź przy mnie.

Siadam i biorę zimną grzanekę, którą smaruję masłem. Miranda jest dziś mocno spryskana perfumami i gdy jem, mam wrażenie, że grzanka nabrała ich ciężkiego, intensywnego smaku. Aż wywraca mi się w żołądku. Upijam duży łyk kawy, ale ona także smakuje dziwnie.

Kiedy w końcu podnoszę wzrok, zdaję sobie sprawę, że Miranda siedzi odwrócona w moją stronę i patrzy na mnie, przechyliwszy głowę. Raczej widzę, niż czuję, że grzanka trzęsie mi się w dłoni. Ten rentgen w jej oczach.

– Masz nowego faceta, prawda? – pyta. Uśmiecha się do mnie szeroko... ale uświadamiam sobie, że to bardziej grymas niż uśmiech. Znam ją tak dobrze, że zawsze się domyślę, gdy coś jest nie w porządku. Gdybym była

dobłą przyjaciółką, tobym ją o to zapytała... ale nie mam odwagi. Zresztą, myślę sobie, otacza nas tu zbyt wiele osób.

– Dlaczego tak myślisz? – pytam.

– Poznaję po tobie. Wyglądasz inaczej. Włosy, ubrania. – Odsuwam się od niej o centymetr. Jej oddech jest nieco stęchły, zupełnie nie w jej stylu. Powiedziała mi kiedyś, że myje zęby przed i po śniadaniu, zgodnie z jakimiś radykalnymi zasadami jej matki. Pewnie zapomniała. – A poza tym ostatnio jesteś taka nieuchwytna. Nawet bardziej niż zazwyczaj. Zawsze tak robiłaś, kiedy pojawiał się jakiś nowy facet. Odkąd cię znam. – Wszyscy nagle zdają się nam przysłuchiwać. Czuję, że spoczywają na mnie oczy wszystkich zebranych. Nick ma uniesione brwi. Bo jeśli rzeczywiście się z kimś spotykam, to on powinien o tym wiedzieć.

Odgryzam kawałek grzanki, ale grzęźnie mi w przełyku i z trudem próbuję przepchnąć go niżej. Moje gardło wydaje się zdarte, obolałe.

– Nie – odpowiadam ochrypłym tonem. – Nie mam na to teraz czasu. Jestem zbyt zajęta pracą.

– Boże – odpowiada. – Tylko ta praca i praca, Katie. Masz obsesję na tym punkcie. Nie rozumiem tego.

I nic dziwnego. Miranda bez powodzenia próbowała odnieść sukces w kilku różnych branżach. Skończyła studia z jednym ze słabszych wyników na roku. Twierdziła, że jej to nie obchodzi. Ale ja wiem lepiej. W całej swojej arogancji myślała, że wszystko jak zawsze ułoży się po jej myśli. Miranda jest bystra, ale niekoniecznie według oksfordzkich standardów. Jej matka wynajęła korepetytora, który pomógł jej dostać świetne oceny na egzaminach kończących liceum i jestem przekonana, że podczas rozmowy wstępnej na studia Miranda wszystkich oczarowała. Ale mimo wszystko studia to była zupełnie inna liga. W jakiś sposób udało się jej zaliczyć pierwsze dwa lata, a na trzecim ignorowała wszelkie sygnały, że odstaje od reszty, mimo że próbowałam jej to uświadomić. Przysięgam, nie była zadowolona, kiedy otworzyła tę kopertę i zobaczyła swoje wyniki. Ale muszę przyznać, że odczułam z tego powodu maleńką satysfakcję – jak gdyby sprawiedliwości stało się zadość.

Ten kiepski wynik był jak obelga. Jak zniewaga. Ugodził jej dumę. Jeśli teraz na nas wszystkich spojrzeć, Miranda do nas nie pasuje. Wszyscy mamy dobre posady. Samira jest konsultantką do spraw zarządzania, ja jestem prawniczką, Julien zajmuje się funduszami inwestycyjnymi, Nick jest architektem, Giles lekarzem, Bo pracuje dla BBC, a Mark w agencji reklamowej. Emma ma etat w agencji literackiej – pamiętam, jak to było, kiedy Miranda się o tym dowiedziała.

– Jak to się w ogóle stało, że dostałaś tę pracę? Myślałam, że ta agencja zatrudnia tylko kandydatów z najbardziej prestiżowych uczelni.

Emma nie dała się wytrącić z równowagi.

– Nie wiem – odparła ze wzruszeniem ramion. – Najwyraźniej wywarłam dobre wrażenie podczas rozmowy.

Miranda też próbowała wgryźć się w przemysł wydawniczy. Potem próbowała w reklamie. Mark pomógł jej w tym więcej niż powinien i namówił jednego ze swoich kolegów, by rozważył zatrudnienie jej na jedno z niższych stanowisk. Dostała pracę, ale zwolniła się po dwóch miesiącach. Powiedziała, że się jej tam nudziło. Ale na pewnym weselu poznałam kiedyś dziewczynę, która też była tam zatrudniona, i według niej sprawa była nieco bardziej skomplikowana.

– Zwolnili ją. Była strasznie leniwa. Sprawiała wrażenie, jak gdyby się jej wydawało, że na niektóre rzeczy jest za dobra. Na przykład raz, wypełniając koperty, oświadczyła, że nie będzie ich lizać. Powiedziała, że nie znosi tego smaku, a jej pensja jest za niska na takie usługi. A na koniec dodała, że nie po to kończyła Oksford, żeby robić takie rzeczy. Możesz sobie wyobrazić?

Tak, oczywiście, że mogłam, co dowodzi, że jestem okropną przyjaciółką.

Dołączają do nas Giles i Samira. Wyglądają zdecydowanie gorzej niż reszta z nas. Samira ciężko siada na krześle i ze stęknieniem chowa głowę w dłoniach, podczas gdy Giles próbuje posadzić Priyę w krzeselku do karmienia. Dziewczynka marudzi niezadowolona z ograniczeń. Kiedy jej płacz przechodzi w przenikliwe wycie, zauważam, jak Nick wtyka sobie palce do uszu.

– O Boże – stęka Samira. – Priya obudziła nas dziś o piątej, a potem po raz drugi o szóstej.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić czegoś takiego – mówi Bo. – Dziś rano nie byłem w stanie ubrać nawet siebie, a co dopiero małego człowieka. Nick zwrócił mi uwagę, że włożyłem koszulkę tył na przód, prawda? – Nick uśmiecha się blado.

– Cóż, to chyba życiowy wybór. – Miranda jak gdyby nigdy nic nalewa sobie kolejną szklankę soku. – Nikt nikogo nie zmuszał do posiadania dzieci.

Nawet jak na Mirandę – której jakimś cudem często uchodzi na sucho wygłaszanie cierpkich komentarzy – ta uszczypliwość to gruba przesada. Ale coś w nią dziś rano wstąpiło. Jej wewnętrzny blask podszyty jest gniewem.

Już dawno nie widziałam rozwścieczonej Samiry i teraz przypominam sobie, że to nie jest ładny widok. Pod jej spokojną, wyciszoną powierzchownością drzemie wybuchowy charakter. Zupełnie zeszywniała na swoim miejscu. Wszyscy przyglądamy się jej w ciszy, czekając na to, co zrobi dalej. Ale wtedy nagle się wzdryga i sięga po dzbanek z kawą. Jej dłoń minimalnie się trzęsie, kiedy napełnia sobie filiżankę. Ani razu nie spogląda na Mirandę. Możliwe, że ze względu na harmonię grupy postanowiła puścić ten komentarz mimo uszu.

Po chwili rozmowa przy stole zaczyna powoli odżywać. Idziemy dziś polować, bo najwyraźniej to rzecz obowiązkowa, jeśli zatrzymałeś się w szkockiej posiadłości.

– Rozumiem, że wy dwaj się nie wybieracie – mówi Mark, pokazując na Nicka i Bo.

– A niby czemu nie? – pyta Nick.

– No... – Mark uśmiecha się półgębkiem. – Przecież wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Nie sądziłem, że będą was interesować takie rzeczy.

– Chwileczkę, Mark – mówi Nick. – Jeśli dobrze rozumiem, postanowiłeś, że my nie idziemy, bo jesteśmy gejami, tak? To właśnie

próbujesz powiedzieć?

Brzmi to tak idiotycznie, że nawet Mark powinien być w stanie to dostrzec.

– To nie jest niepełnosprawność, Mark. Nie wiem, czy o tym wiesz.

Mark wydaje z siebie niejednoznaczny gardłowy dźwięk. Knykcie Nicka bieleją, tak mocno zaciska palce na kubku. Mark jest tak umięśniony, że nie zachęcałabym Nicka do tego, by próbował wyrównać z nim rachunki.

– Zgoda – ciągnie Nick – jak większość rozsądnych ludzi, nie przepadam za zabijaniem zwierząt dla sportu. – Mark robi minę, jakby chciał powiedzieć „tu cię mam!”. – Ale z tego, co słyszałem, populacja jeleni wymaga kontroli. A ja przyjmuję ten argument. Mam też całkiem niezłe oko. Ostatnio, kiedy strzelałem do rzutek, miałem wynik osiemnaście na dwadzieścia.

Po tej wymianie nawet Miranda nie jest w stanie wymyślić żadnego komentarza.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Zaparzyłam tyle filiżanek herbaty, że zaczynam się czuć jak przedłużenie czajnika. Wygląda na to, że właściwie nikt ich nie pije, ale za każdym razem, gdy pytam, czy ktoś ma ochotę, wszyscy niemrawo kiwają głowami, a potem siedzą z filiżankami w dłoniach, aż nietknięty napój wystygnie. Nie zapowiada się, żeby śnieg miał przestać padać. Trudno sobie wyobrazić, że tej ruchomej zasłony bieli kiedyś tu nie było.

Wyobrażam sobie, że zwykle, gdy gdzieś odnalezione zostają czyjeś zwłoki, to migają koguty, pojawiają się mężczyźni w białych kombinezonach ochronnych i zaczyna się duży ruch. Ale to nie jest zwyczajne miejsce. Natura ma tu własne reguły. Pogoda kazała się nam ugiąć przed jej zachciankami. Po raz kolejny, odkąd się tu przeniosłam, zdaję sobie sprawę, jakie inne jest to miejsce i jak niewiele na jego temat wiem. Równie dobrze mogłaby to być inna planeta. Jestem pewna, że kryją się tu sekrety wykraczające poza dzikie destylarnie i ogromne pstrągi w jeziorze. To tylko drobiazgi, które ta kraina postanawia przed nami odsłonić.

Z sąsiedniego pokoju rozlega się głośnie wycie, kakofonicznie brzmiące w ciszy, które powoduje we mnie taki lęk, że wylewam trochę wody z czajnika na podłogę. Ale to tylko dziecko. Pamiętam odgłos dziecięcego płaczu w sylwestra, gdy wstałam, żeby pójść do łazienki i zobaczyłam – albo wydawało mi się, że zobaczyłam – dziwne światło na zboczu góry. Zastanawiam się teraz, czy ten płacz nie zagłuszył przypadkiem innych dźwięków.

Rozmyślałam nad wszystkimi odgłosami tego miejsca, które stały się dla mnie normalne i nad którymi już się nie zastanawiam. Czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, przypominam sobie jedną z pierwszych nocy w tej okolicy. Przeniosłam się do swojego domku i właściwie skupiałam się tylko na tym, by nie myśleć zbyt wiele na żaden temat. Akurat w tym tygodniu wypadła okropna rocznica. Wypiłam dość sporo wina – może półtorej butelki. Pamiętam, jak padłam na łóżko i naciągnęłam sobie kołdrę na głowę. Jedną z rzeczy, jakich nauczyłam się o ciszy – a przynajmniej rodzaju ciszy panującym wśród dzikiej przyrody – jest to, że jest niesamowicie głośna. Stary budynek skrzypiał. Z zewnątrz dobiegały mnie dźwięki nocnych zwierząt – dwie sowy rozmawiały ze sobą serią długich, żalonych pohukiwań. Czubkami wysokich szkockich sosen, stojących tuż za moim oknem, poruszał wiatr. Brzmiało to jak jęk. Pamiętam, jak mówiłam sobie, że ten dźwięk może być kojący. Że pewnie się do niego przyzwyczaję. (Tak naprawdę nigdy się do niego nie przyzwyczaiłam).

I wtedy rozległ się dźwięk, który przyćmił wszystko inne. Wysoki, zrozpaczony krzyk – okropny jęk człowieka w stanie morderczego bólu. W powietrzu, przez kilka sekund, unosiło się jego echo. Usiadłam wyprostowana na łóżku, czując, jak wywołana winem senność natychmiast znika. Moje uszy były postawione jak u zwierzęcia, czułam mrowienie w całym ciele i czekałam na kolejny odgłos. Ale się nie pojawił.

Czekałam na odpowiedź. Przecież ktoś na pewno to usłyszał. Wtedy przypominałam sobie, że jesteśmy tu tylko ja, łowczy i nikt więcej... z wyjątkiem osoby, która wydała z siebie ten krzyk. Wyobraziłam sobie, jak Doug wkłada te swoje ciężkie buty i zabiera jedną ze strzelb. Pomyślałam, że jest odpowiednią osobą do tego, by sprawdzić co to. On, a nie podpita, wysoka na niespełna metr sześćdziesiąt ja. Ale noc wydawała się teraz jeszcze cichsza niż wcześniej.

Nieco odchyliłam zasłonę i wyjrzałam na zewnątrz. Nie zobaczyłam żadnych świateł. Zerknęłam na zegarek. Druga nad ranem. Godziny zlewały się ze sobą, nie zdawałam sobie sprawy, ile czasu upłynęło. To

pewnie efekt wina. Przyszło mi na myśl, że Doug może spać. Możliwe, że tylko jedno z nas usłyszało ten krzyk.

Zaczynałam wierzyć, że wszystko sobie wyobraziłam. Może w ciągu tych dwóch minut zapadłam w sen, nie zdając sobie z tego sprawy. Nawet do końca nie pamiętałam, jak to brzmiało, choć echo nadal rozbrzmiewało mi w uszach.

Wtedy, jak gdyby dla przypomnienia, krzyk rozległ się po raz kolejny i tym razem był jeszcze bardziej rozpaczliwy. Był to odgłos najczystszej, zwierzęcej agonii. Wstałam z łóżka i zaczęłam szukać swoich kapci. Musiałam iść i sprawdzić. Teraz nie mogłam już udawać. Ktoś miał kłopoty.

Zeszłam po schodach na dół i wciągnęłam na siebie płaszcz i buty, wzięłam żeliwny pogrzebacz spod paleniska i latarkę z parapetu.

Noc na zewnątrz była czarna i nieruchoma. Pamiętam, że niebo nade mną miało głębię, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam, i w tamtej chwili wydało mi się złowrogie jak pustka.

Zaczęłam wpatrywać się w ciemność, próbując dostrzec choćby najmniejszy ruch.

– Halo? – zawołałam. Ręce trzęsły mi się do tego stopnia, że światło latarki skakało na wszystkie strony, oświetlając niewzruszoną ziemię. Cisza wokół mnie jakby wstrzymała oddech. – Halo?

To było chyba nie do uniknięcia, że poczuję się obserwowana, skoro otaczała mnie łuna światła z domku. Zdałam sobie sprawę, że wydając z siebie głos, zdradziłam, że tu jestem. Mogłam ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo.

Zrobiłam kilka kroków do przodu. I gdzieś w pobliżu jeziora zauważyłam ruch. Nie dzięki światłu latarki, a raczej jakiemuś pierwotnemu instynktowi, o którego posiadaniu nie miałam pojęcia.

– Kto tam? – Strach zdusił mi głos, który zabrzmiał jak cienki, zduszony pisk. Skierowałam snop światła tam, gdzie zauważyłam ruch. I nic. Ale po chwili znów go dostrzegłam – dużo bliżej mnie.

– Heather?

Uniosłam latarkę. W strumieniu światła postać wyglądała przerażająco i niemal sama zaczęłam krzyczeć. Kiedy w końcu zdałam sobie sprawę, na kogo patrzę, ucieszyłam się, że tego nie zrobiłam. To był Doug.

– Nic ci nie jest? – zapytał. W jego głosie nie było niepokoju, mówił tak jak zawsze, niskim, niespiesznym tonem.

– Usłyszałam czyjś krzyk. Ty też?

Ale on zmarszczył czoło.

– Krzyk?

– Tak. Bardzo piskliwy. Ktokolwiek to był, sprawiał wrażenie przerażonego. Wysłałam, żeby zobaczyć... – W obliczu jego ewidentnego niedowierzania, zaczęłam się wahać. – Nie słyszałeś tego?

– A nie brzmiało to mniej więcej tak? – I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, wydał z siebie dźwięk niemal idealnie naśladowujący to, co usłyszałam. Poczułam ten sam zimny strach.

– Tak, dokładnie taki.

– W takim razie słyszałaś lisa. A właściwie lisicę.

– Niemożliwe. Brzmiała jak kobieta.

– To okropny dźwięk i łatwo go pomylić. Nie jesteś pierwszą osobą, której się to zdarzyło. Ostatnio było głośno o jakimś mężczyźnie, który zginął na torach kolejowych pod Edynburgiem, próbując pomóc, jak mu się zdawało, wołającej pomocy kobiecie. – Uniósł brwi. – Nie słyszałaś tej historii, kiedy mieszkałaś w mieście?

– Nie – odparłam. – Zaczynałam się czuć zażenowana drżeniem w swoim głosie i próbowałam nad nim zapanować.

– Wydaje mi się, że kiedy one... – Na jego twarzy pojawił się grymas. – Lisi... no wiesz... jest pokryty kolcami. Więc dla samicy to nie do końca przyjemne doświadczenie.

Aż musiałam się skrzywić.

– Właśnie, niezbyt miło. Ale nikogo tu nie mordują. – Na moment zamilkł. – Na pewno wszystko w porządku?

– Tak. – Nawet sama przed sobą nie brzmiałam zbyt przekonująco. – Naprawdę, nic mi nie jest – dodałam dla wzmocnienia.

– W takim razie wracaj do łóżka.

Pamiętam, że tak szybko omiół mnie wtedy wzrokiem, że równie dobrze mogłabym to sobie wyobrazić. Miałam na sobie piżamę, ale nagle poczułam się bardziej naga, niż gdybym rzeczywiście stała tu goła.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

Zrobił gest, jakby ściągnął przede mną niewidzialny kapelusz.

– Nie ma za co.

Zamknęłam za sobą drzwi i przycisnęłam dłoń do piersi. Mój mózg nie powiedział chyba mojemu sercu, że niebezpieczeństwo minęło. Biło tak mocno i szybko, jakby próbowało wyskoczyć mi z piersi. Dopiero kiedy w końcu weszłam z powrotem do łóżka i naciągnęłam na siebie kołdrę, dotarło do mnie, co tak naprawdę się wydarzyło. Skoro Douga nie obudził krzyk, co zresztą sam przyznał, to dlaczego włóczył się po okolicy w środku nocy?

Myślę teraz o jego ręce i o tym, jak oględnie tłumaczył, w jaki sposób ją zranił. Myślę o tym, jak szef wspomniał, że będzie dobry w walce z kłusownikami, i jak sugestywnie to powiedział. Nie wystarczy, że nie chcę, by miał z tą sprawą cokolwiek wspólnego. *A to tylko dlatego, że on ci się podoba*, podszeptuje mi cichy głosik. *Tylko dlatego, że miałaś orgazm, myśląc o nim*. Z pewnym wysiłkiem udaje mi się zagłuszyć te myśli.

Przypominam sobie, jak matka poradziła mi, by go wygugłać. Nagle wydaje mi się to bardzo ważne i konieczne.

Idę szybko do biura i zamykam się od środka. Jeśli Doug spróbuje tu wejść, udam, że zamknęłam je przez przypadek, „z nawyku”. Ale nie mam zbyt wiele czasu, jeśli nie chcę wzbudzić podejrzeń. Otwieram drzwi szafki, w której trzymane są wszystkie dokumenty. Dwie teczki personalne – moja własna i Douga. Iain jest naszym jedynym współpracownikiem i chyba wcześniej pracował już dla szefa, więc nie musiał przejść tej samej kwalifikacji, co my.

Otwieram teczkę Douga. Zawiera krótkie CV opisujące czas spędzony w piechocie morskiej – sześć lat. Nic więcej. Czego dokładnie szukam? Przechodzę do komputera, wpisuję pełne imię i nazwisko Douga w wyszukiwarce, a potem czekam, aż przez boleśnie wręcz wolne łącze załadują się wyniki. Dopiero kiedy zaczyna mnie piec w piersi, zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Mówię sobie, że niczego nie znajdę. Niczego nie znajdę... i wtedy zaczynam się czuć potwornie, bo naruszyłam jego zaufanie, nawet jeśli on nigdy się o tym nie dowie. Ale na tym poprzestaną. On nigdy się nie dowie. A ja zapomnę o swoich podejrzeniach, jeśli w ogóle można je w ten sposób określić.

Strona w końcu się załadowuje.

Od razu widzę wiele rezultatów. W przypadku zwykłego człowieka, który nie zasłynął w świecie z dobrych lub złych powodów, można się spodziewać co najwyżej trzech pozycji. Kilka profili w mediach społecznościowych, w tym osób, które tak samo się nazywają, a do tego kilka przypadkowych wzmianek o osiągnięciach sportowych czy udziale w studenckim przedstawieniu. Ale nietypowe imię i nazwisko Douga pojawia się na całej pierwszej stronie. I żaden z nagłówków nie jest szczególnie miły. Wszystkie są właściwie okropne.

Żałuję, że sprawdziłam. Wolałabym tego wszystkiego nie widzieć.

DWA DNI WCZEŚNIEJ
SYLWESTER 2018 ROKU

MIRANDA

Wleczemy się za Dougiem na podwórko za chatą myśliwską, gdzie jego land rover stoi zaparkowany obok wielkiej, starej czerwonej furgonetki – może to nią Heather porusza się po okolicy. Myśl o jej sylwetce krasnała za kierownicą tego kolosa sprawia, że prychem śmiechem.

Doug otwiera przed nami drzwi obory, które zaopatrzone są w najwyższej generacji panel numeryczny. Wygląda dziwnie w kontraście ze starym drewnem. Ale jest chyba potrzebny, skoro trzymają tu broń. Kiedy Doug otwiera ciężkie, drewniane drzwi, podziwiam, jak pod jego starą koszulą (bo ma na sobie tylko tyle – w takiej pogodzie!) poruszają się mięśnie. Byłby doskonałym kandydatem na kochanka Lady Chatterley – wysoki, barczysty i rozczochrany. Stanowi niekorzystny kontrast dla Julienu, którego różne maści i kosmetyki walczą z moimi o miejsce na łazienkowej półce.

W oborze daje nam wyposażenie: spodnie ochronne i kurtki, a nawet buty trekkingowe dla Katie, która nie zabrała ze sobą niczego odpowiedniego. Mark prosi o czapkę, która wygląda jak ze starych filmów o Sherlocku Holmesie.

– Skoro chcesz, stary – mówi Doug z uśmiechem, który łatwo można by uznać za szyderczy. Obok kurtek i spodni wisi dziesięć strzelb. Już sam kształt broni ma w sobie coś groźnego, jak gdyby były w stanie cię zabić bez oddania strzału.

Wysłuchujemy długiej pogadanki na temat bezpieczeństwa i tego, gdzie się dziś wybieramy – w górę stromego zbocza, za starą chatą myśliwską,

ponieważ tam podobno ostatnio zbierają się jelenie. Interesują nas tylko łanie, bo o tej porze roku nie można zabijać byków. Na koniec mówię do łowczego:

– Czy ja dobrze zrozumiałam? Może się okazać, że w ogóle niczego dziś nie zabijemy? A nawet jeśli, to nie dostaniemy poroża, bo to niewłaściwa pora roku? Ale płacimy za ten przywilej tysiące funtów.

– Tak – odpowiada. – Tak to mniej więcej wygląda. – Ton jego głosu jest bezpośredni, ale zauważam, że Doug nie do końca jest zdolny do nawiązania kontaktu wzrokowego. Czuję przyjemny dreszczyk zwycięstwa. Wiem, co to oznacza. Zawsze byłam wierna Julienowi – no, z jednym małym wyjątkiem na samym początku naszego związku. Ale skłamałabym, mówiąc, że nie lubię działać na mężczyzn, uwodzić ich. To moja własna wersja łowów. Dużo ciekawsza niż mokre, zmrożone wrzosowiska i ohydne wodoodporne spodnie.

Doug zamyka za sobą drzwi z gładkim szczękiem metalu. Teraz każe się nam kłaść na ziemi i strzelać do pudła z tarczą. Julien, Giles, Bo i Mark radzą z tym sobie żenująco wręcz źle. Z wyjątkiem Bo, który nigdy niczym szczególnie się nie przejmował (choć przy narkomańskiej przeszłości na pewno nie zawsze taki był), nie jest im z tego powodu do śmiechu. Mark – ledwie jestem w stanie na niego spojrzeć – uśmiecha się z wyższością, oddając strzały. Kiedy Julien oddaje swój szósty, widzę, że mięśnie w jego szczęce są napięte jak zawsze, gdy jest zły, i przy każdym naciśnięciu spustu skacze mu powieka. Zdaję sobie sprawę, że mu zależy. Wszystkim im zależy. Nawet mało porywczy Giles sprawia wrażenie, jak gdyby przeszedł transplantację osobowości. Może wyobrażają sobie, że występują w jakimś filmie akcji albo grze wideo. To na pewno to – mężczyźni z powrotem zamieniają się w chłopców. Ale to i tak trochę dziwne.

Katie też idzie beznadziejnie, ale nie jestem nawet pewna, czy w ogóle się stara – tak jak przestała się starać sprawiać wrażenie, że dobrze się bawi. Samira – która po wielu namowach zostawiła Priyę z zarządczynią obiektu, Heather – nie radzi sobie świetnie, ale nadrabia koncentracją. Przypominam sobie, że na studiach była jedną z czołowych wioślarek. Gdyby dać jej

tydzień, pewnie doszłaby w strzelaniu do olimpijskiego poziomu. To przebłysk dawnej Samiry, dziewczyny, którą kiedyś znałam, i cieszę się, że ją widzę. Koniec końców to kobieta, która kiedyś podpaliła stół w stołówce naszego akademika, udając, że to bar na Ibizie, i dostała za to oficjalną naganę od rektora.

Jeśli chodzi o mnie, to nie jestem w strzelaniu aż taka zła, ale też nie taka dobra, jak sobie wyobrażałam – zawsze dobrze mi szło w sportach. Doug mówi mi, że zbyt stanowczo naciskam na spust.

– Włóż tu palec i delikatnie przyciśnij. – Mówi to z całkowitą powagą, ale... czy tylko ja słyszę tu podtekst?

Nick, tak jak nam wcześniej zapowiedział, radzi sobie całkiem nieźle. Nie ma tu żadnej niespodzianki. Zawsze był dobry w sportach, a dodatkowo ma w sobie precyzję i skupienie. Ale Emma przebija nas wszystkich. Doug mówi, że ma to we krwi, na co ona się uśmiecha i kręci głową z typową dla siebie skromnością.

– Kobiety są często lepsze – mówi. – Bardziej dokładne i skuteczne. W tym sporcie nie chodzi o testosteron ani brutalną siłę.

Chciałabym, żeby aż tak nie przeszkadzał mi fakt, że to nie ja słyszę od niego słowa pochwały.

Rozpoczynamy podejście po zboczu. Idziemy w stronę starej chaty myśliwskiej, budynku, który Heather pokazała nam z daleka wczoraj po południu. Nie znoszę chodzenia. To taki nudne i bezcelowe. Zawsze wybrałabym bieganie – spala dwa razy więcej kalorii w dwa razy krótszym czasie. Mark, Julien i Nick walczą o pozycję na czele grupy, jak gdyby każdy z nich wymyślił sobie, że odda strzał. Katie jest kilka kroków przede mną i rozmawia z Bo. Fakt, że nie chciała iść razem ze mną jest jak zniewaga. Mogłabym do nich dołączyć, ale nie mam zamiaru żebrać o jej uwagę. Mam wrażenie, że obraziłam ją przy śniadaniu, pytając, czy ma kogoś nowego. W porządku, mogłam się zachować nieco bardziej dyskretnie – Katie w tych kwestiach zawsze strasznie broni swojej prywatności – ale starałam się jedynie okazać jej zainteresowanie. I szczerze mówiąc, po całym tym czasie rozłąki nie zabiłoby jej, gdyby

zapytała, co u mnie słyszeć. To nie w jej stylu – w przeszłości zawsze z taką uwagą mnie słuchała. Kiedyś Julien, w nie taki znów życzliwy sposób, zażartował, że znalazłam sobie przyjaciółkę, która lubi słuchać tak samo, jak ja lubię gadać. Nie żeby nie było w tym ziarna prawdy. Zawsze uważałam Katie za moje przeciwieństwo. Moje uzupełnienie.

Ścieżka się skończyła i teraz idziemy przez wrzosowisko. To naprawdę ciężka praca. Od czasu do czasu wrzos czepia się nogawki i utrudnia krok, jakby mi przypominał, kto tu rządzi. Bo ten krajobraz zdecydowanie ma władzę nad nami wszystkimi. Jest okrutny. Temperatura jeszcze bardziej spadła, a powietrze jest zimne i wilgotne i od razu gryzie odsłoniętą skórę. Nawet zęby mnie boją, gdy otworzę usta, żeby się odezwać. Czuję się tak, jakby mróz dostał się pod pożyczoną mi kurtkę i piękny – i jak mi się zdawało bardzo ciepły – kaszmirowy sweter, który mam pod spodem i napierał na moją skórę.

Miejscami ziemia jest błotnista, co oznacza, że pod nią muszą się znajdować ukryte strumienie. Od czasu do czasu stawiam stopę w jakimś miękkim miejscu i do butów wlewa mi się lodowata woda, która moczy mi skarpetki. Będą się nadawać do kosza. Też są kaszmirowe – to jesienny prezent od Juliana. Był taki czas, kiedy właściwie co tydzień przychodził do domu z jakąś niespodzianką dla mnie – na pewno z poczucia winy z powodu tego, w co mnie wplątał, choć twierdził, że chce mnie rozpieszczać.

Nick, Mark i Julien cały czas przyspieszają tempa i prawie szturchają się łokciami, tak bardzo każdy z nich chce zająć miejsce na czele i jako pierwszy stanąć na szczycie. To nie może być bezpieczne, skoro niosą ze sobą naładowane strzelby. W pewnym momencie Mark odwraca się i popycha Juliana. Lekko, ale wyraźnie. Obraca to w żart i widzę, jak Julien sztucznie się śmieje... ale dostrzegam, że wcale nie jest rozbawiony.

Czuję ulgę, kiedy zatrzymujemy się przy chacie myśliwskiej – smutnej, czarnej od sadzy, starej ruinie. Doug wyciąga piersiówkę i puszcza ją w obieg. Kiedy podaje ją mnie, pozwalam, by opuszki moich palców dotykały jego o chwilę za długo. Jego oczy mają tak nasycony brązowy

kolor, że trudno odróżnić tęczę od źrenic. Chcę, by Julien to zobaczył, by zauważył, że ten mężczyzna mnie pożąda.

Nie jestem wielką fanką whisky, ale tutaj, w tym dzikim miejscu, smakuje mi. A dodatkowo wszystkich rozgrzewa, rozprasza dziwny nastrój, w którym tkwię od wczorajszego wieczoru. Upijam kolejny łyk i kiedy oddaję piersiówkę Dougowi, zauważam, że moje usta zostawiły na niej ślad szminki.

Wygląda na to, że ktoś był tutaj przed nami. Dokoła walają się pety. Doug podnosi jeden z nich i przygląda mu się uważnie, jak gdyby na jego boku zapisano jakąś wiadomość. Zauważam, że wkłada go do kieszeni. Dziwaczne. Po co ktoś miałby zbierać cudze pety? A potem spoglądam na jego sfatygowaną kurtkę i znoszone buty i czuję nagłe szarpnięcie żalu. Dociera do mnie, że może zabrał go po to, by go później wypalić.

KATIE

Stara chata myśliwska to okropne miejsce. To prawdopodobnie jedyna brzydka rzecz w tej okolicy, spalona skorupa, z której została jedna poczerniała od sadzy stajnia. O dziwo jest tu dużo chłodniej, może dlatego, że ruiny są nieosłonięte przed siłami natury. Dlaczego w ogóle ktoś chciał coś w tym miejscu wybudować? Tak daleko od schronienia i pomocy. Myślę o pożarze. Pewnie było go widać na wiele kilometrów – jak pochodnie, które zapłonęły w całym kraju z okazji nadejścia nowego milenium.

Panuje tu cisza, która różni się od tej w innych miejscach posiadłości. Jest jak wstrzymywany oddech. Sprawia wrażenie – choć wiem, że może to zabrzmieć banalnie – jakbyśmy nie byli sami. Jakbyśmy byli przez kogoś lub przez coś obserwowani. Kamienie są jak stare kości: szkielet kogoś, kto umarł i został porzucony bez należnego mu pogrzebu. Gdy jesteśmy już całkiem blisko, jestem niemal pewna, że czuję w powietrzu zapach spalenizny. Ale to niemożliwe, prawda? A może w jakiś sposób dym jest w stanie głęboko przeniknąć kamień i w nim pozostać? Z łatwością bym uwierzyła, że pożar przydarzył się tu kilka lat temu, a nie prawie sto.

Zamknięty budynek stajni, który przetrwał, bo płomienie nie były w stanie go przeskoczyć, wydaje się niemal bezczelny w otoczeniu ruin. Zauważam, że też posiada numeryczny panel – podobnie jak obora, w której znajduje się magazynek z bronią – pewnie po to, żeby goście nie wchodzili do środka, skoro to niebezpieczne. Niebo ma kolor bladego fioleto. Czy to zapowiedź śniegu? Co byśmy w ogóle zrobili, gdyby zaczęło tu teraz porządnie sypać? Na zboczu góry jesteśmy całkowicie nieosłonięci. Chata myśliwska – nowa chata myśliwska – wygląda stąd jak mały odłamek szkła za jeziorem, które w dziwnym świetle nabrało szarej,

nieprzejrzystej barwy ołowiu i otacza je grafitowa szczecina drzew. Stacja, znajdująca się mniej więcej w tej samej odległości od nas co chata myśliwska, choć w innym kierunku, wygląda jak mała zabawkowa makieta.

– Nie wiem, po co to robimy – nagle mówi Miranda – zwłaszcza że moglibyśmy być teraz w chacie myśliwskiej i upijać się szampanem. – Podczas wchodzenia na górę też narzekała: na błotnistą ziemię i lodowatą wodę, które wlewała się jej do butów. Jestem przekonana, że to dlatego, że nie poszło jej podczas treningu. Gdyby oddała kilka strzałów w dziesiątkę, wiodłaby całą naszą grupę. Miranda nie potrafi radzić sobie z porażką. Widziałam, jak wydymała wargi, kiedy Doug chwalił Emmę, jak gdyby uważała, że ktoś taki jak ona nie ma prawa być dobrym strzelcem.

– Jest kurewsko zimno – dorzuca. – Jelenie na pewno pochowały się gdzieś w krzakach. Zobaczycie, że teraz nic nie upolujemy.

Nick odwraca się na pięcie i spogląda jej w twarz.

– Hej! – krzyczy łowczy. – Uważaj, stary, masz naładowaną broń.

– Przepraszam. – Nick ma nieco zmieszaną minę. – Ale mam już dość wysłuchiwania tego, jaka jesteś znudzona, Mirando. Skoro nie chcesz tu być, to wracaj do chaty myśliwskiej. Nie zaskoczmy żadnego zwierzęcia, jeśli cały czas będziesz truć, jak strasznie ci źle.

Po tych słowach następuje wymowna cisza, a temperatura powietrza jakby spadła o kolejnych kilka stopni. Miranda wygląda tak, jakby właśnie dostała w twarz. Cała nasza grupa wydaje się spięta, odkąd ty przyjechaliśmy, ale to był pierwszy otwarty akt wrogości. Może to żadne zaskoczenie, że spięcie nastąpiło pomiędzy Nickiem i Mirandą. Nick nigdy za nią nie przepadał. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek jej wybaczył.

Kiedy na pierwszym roku studiów Nick wyznał kilku zaufanym osobom, w tym mnie, że jest gejem, nie powiedział o tym jeszcze swoim rodzicom, którzy byli wtedy ambasadorami w Omanie. Nie chodziło o to, że bał się ich reakcji.

– Są dość liberalni i być może już się tego domyślili – stwierdził. – Kiedy mieszkaliśmy w Paryżu, było kilku chłopaków, którzy stali się mi bliscy.

Ale chciał wybrać odpowiedni moment, bo to była ważna, przełomowa chwila, afirmacja tego, kim naprawdę jest.

Miranda twierdziła, że nie miała o tym pojęcia, kiedy rodzice Nicka przyjechali go odwiedzić podczas zimowej przerwy międzysemestralnej. Nick przedstawił im wszystkich, którzy zebrali się w świetlicy uniwersyteckiej. Rozmawialiśmy o egzaminach na koniec pierwszego roku i Miranda żartobliwym tonem rzuciła:

– Proszę się nie martwić, dopilnujemy, żeby Nick siedział z nosem w książkach, a nie uganiał się za chłopcami.

Najgorsze było to, że ona nie powinna była o niczym wiedzieć. Miranda nie należała do grupy zaufanych osób, którym zwierzył się Nick. Nie byłam z siebie dumna, że jej powiedziałam. Zwykle umiem dotrzymać sekretu. Ale byłam pijana, a ona dokuczała mi, że podkochuję się w Nicku, i po prostu mi się wyrwało. Oczywiście błagałam ją, żeby nikomu nic nie powiedziała. A mimo to upierała się, że nic takiego nie pamięta. Twierdziła też później, że założyła, iż rodzice Nicka „po prostu wiedzieli”.

Myślałam, że Nick nigdy mi nie wybaczy. Jego reakcja przyniosła mi więc ulgę. To prawda, był wściekły, ale na szczęście nie na mnie. Powiedział, że wymyślił kilka nieprzyjemnych sposobów na to, by zemścić się na Mirandzie, ale żaden z nich nie dorównywał skalą temu, co zrobiła ona.

– Wiem, że to nie powinno mieć znaczenia – powiedział mi. – I tak miałem zamiar im o tym w tym tygodniu powiedzieć... podczas miłego lunchu czy coś. Ale chodzi o zasady. *Wiem*, że to nie był przypadek. Miranda zrobiła to, bo lubi mieć władzę nad innymi. I oczywiście po to, żeby nas poróżnić.

– To znaczy? – zapytałam zaskoczona.

– Miranda nie może chyba znieść tego, że się przyjaźnimy.

– Bzdura – odpowiedziałam. – Ona ma mnóstwo innych znajomych, a ja mam... tylko kilku.

– Tak, ale ona nie ma żadnych innych *bliskich* przyjaciół, zauważyłaś? Ma tylko ciebie. I Samirę, jeśli ty jesteś zajęta. I odnoszę wrażenie, że nie lubi się dzielić zabawkami.

Teraz to już przeszłość. A przynajmniej Nick dobrze udaje, że puścił wszystko w niepamięć. Zastanawiam się jednak, czy wciąż o tym myśli. Rany zadane w młodości często zostawiają najgorsze blizny.

– Hej – odzywa się ostrym tonem Samira. – Wrzućmy wszyscy na luz, okej? Jesteśmy tu na wakacjach.

Zabawne, nie pamiętam, żeby w przeszłości Samira podchodziła do różnych spraw z podobnym spokojem. Przypominam też sobie, jak przy śniadaniu zdusiła w sobie ciętą ripostę.

Miranda mamrocze coś pod nosem. Ale widzę, że czuje się naprawdę dotknięta. Z łatwością wygłasza cięte uwagi, ale nie potrafi ich znieść pod swoim adresem. Pod całą tą twardą, błyszczącą powłoką znajduje się dużo delikatniejsze wnętrze. I wydaje mi się, że w głębi ducha zawsze podziwiała Nicka, postrzega go jako równego sobie.

Widzę, jak teraz zerka na Julię. Zastanawiam się, czy czeka na to, aż on się za nią wstawi. A jeśli tak, to jest rozczarowana jego brakiem reakcji, ale chyba nie zaskoczona. Zawsze mówiła, że Julien nie znosi konfrontacji, stara się wszystkich zadowolić – nie chce, by ktokolwiek postrzegał go w negatywny sposób.

Nie chcę opowiadać się za żadną ze stron. Nie mogę sobie na to pozwolić. Mam wystarczająco dużo własnych problemów, z którymi muszę się uporać. Czuję się tak, jak gdybym została wysłana w przeszłość – Miranda powoduje kryzys, ja muszę się bawić w mediatora pomiędzy nią a jej nieszczęsnym przeciwnikiem, czując przy tym, że każde z nich chce, bym dokonała wyboru. Teraz nie mam zamiaru tego robić. Oddalam się od grupy, przechodzę na drugą stronę zrujnowanego budynku i przez kilka minut stoję z zamkniętymi oczami, wystawiając się na pełną siłę wiatru.

Zaciskam pięści i wbijam sobie paznokcie w skórę, aż poczuję ból. Muszę przestać. Muszę raz na zawsze zarwać z tym nawykiem. Ale za każdym razem, kiedy próbowałam, okazywało się, że nie jestem w stanie się na to zdobyć. Kiedy przychodzi co do czego, brakuje mi siły. W co ja się wpakowałam. Biorę kilka głębokich wdechów, otwieram oczy i próbuję skupić się na widokach.

Byłam w swoim życiu w wielu pięknych miejscach, ale nigdy w takim jak to. Może to dzikość krajobrazu – surowego, nietkniętego przez ludzką rękę, jeśli nie liczyć małego zlepku budynków w dole, stacyjki po drugiej stronie i starych ruin za nami. Miejsce jest ponure i okrutne i w tym właśnie tkwi jego urok, jeśli można go tak nazwać. Wszystkie kolory są przygaszone: szary błękit, sina żółć na niebie, rdzawa czerwień wrzosów. A mimo to są równie zniewalające jak turkusowe morze i plaża z białego piasku.

Gdy tak wpatruję się w naturę, mam wrażenie, że z ziemi podnosi się wielka kępa wrzosów, i zdaję sobie sprawę, że to stado jeleni, których smukłość podkreślają komiczne mrugnięcia białych ogonków. Gdyby nie ich bieg, pewnie nie zauważyłabym, że we wrzosach poruszyło się coś jeszcze. A właściwie ktoś. Znajduje się jakieś czterdzieści pięć metrów ode mnie, w kamuflażu, z dużym plecakiem na plecach. Nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy ani nawet stwierdzić, ile ma wzrostu, bo stoi przycupnięty w roślinności. Wygląda tak, jakby się starał pozostać niezauważonym, i trzyma się blisko ziemi. To pewnie przez niego jelenie zerwały się do ucieczki.

Nie wydaje mi się, żeby mnie zauważył. Czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. W ruchach tego człowieka jest coś niebezpiecznego. Przypomina zwierzę. I wtedy, niczym drapieżnik, który złapał mój zapach z wiatrem, spogląda na mnie. Staje jak wryty.

Nie potrafię zrozumieć tego, co dzieje się dalej. Przeczy to wszelkiej logice. W ciągu kolejnych kilku sekund mężczyzna znika z pola widzenia – pogrąża się we wrzosach. Mrugam z niedowierzaniem, próbując wyostrzyć wzrok. Ale kiedy znów otwieram oczy, wciąż go nie widzę.

Myślę o tym, co powiedziała nasza zarządczyni: „Jeśli na przyległych terenach zauważycie kogoś, kogo nie poznajecie, dajcie nam znać”. Czy powinnam im powiedzieć? Tylko że nie jestem do końca pewna, co widziałam. Przecież człowiek nie może się tak po prostu rozpląnąć w powietrzu. Fakt, moje oczy łzawią od wiatru i wciąż jestem lekko otumaniona pastylkami nasennymi, które wzięłam wczoraj wieczorem. Pomyślą, że zmyślam albo że mam zwidy. Jestem zbyt zmęczona, by próbować im wytłumaczyć, co widziałam. Gdybym była Mirandą, to zrobiłabym z tego wielkie halo. Ale nie jestem. Jestem Katie – cichą obserwatorką. Zresztą jeśli nic nie powiem, nic się nie stanie. Prawda?

DOUG

W grupie następuje jakaś zmiana. Zauważył to, jeszcze zanim pomiędzy mężczyzną w okularach a piękną blondynką wywiązała się kłótnia. Wiele razy widział coś takiego. Wszystko zaczyna się od strzelb. Nagle każdy otrzymuje nową, okropną moc. Na początku, podczas treningu z tarczami, wzdrygali się przy każdym strzale i odrzucie broni, która wybijała im siniaki na skórze pod ramieniem. Ale szybko – może nawet za szybko – stało się to dla nich naturalne i ze skupieniem, determinacją wczuwali się w każdy strzał. Zaczęli się przy tym bawić. Ale pojawiło się coś jeszcze. Uczucie współzawodnictwa. Nawet więcej... jakieś siły pierwotne. „Myśliwska trema”, którą czują wszyscy nowicjusze, zanim zdobędą pierwsze trofeum. Żądza krwi. Każdy z nich pragnie być tym, kto ustrzeli zwierzynę. Ale nie wiedzą, czego tak naprawdę pragną. Bo nigdy wcześniej nie zabili – jeśli nie liczyć natrętnej muchy czy złapanej myszy. To coś zupełnie innego. Ten czyn ich zmieni. Pożegnają się z niewinnością, o posiadaniu której nawet nie mieli pojęcia.

No i jeszcze krajobraz. Zrobili się przez niego nerwowi. W tym miejscu odsłaniają się surowe, szkieletowe linie terenu, granit wystaje z rdzawych kęp wrzosów jak stare kości. W tym miejscu stają się świadomi tego, jacy są tutaj samotni – przez długie kilometry nie natkną się tu na drugiego człowieka.

Z wyjątkiem... jego palce natrafiają na schowanego w kieszeni peta. Nie podoba mu się to. Ten pet to dowód, że ktoś tu ostatnio był. Z tego, co wie, Heather nie pali, ale przede wszystkim, jeśli tylko może, nie zapuszcza się w stronę starej chaty myśliwskiej. Iain pali, a przynajmniej tak się Dougowi wydaje, ale nie ma potrzeby tu przychodzić – pracuje przy jeziorze,

w pompowni. Papierosy mogły też należeć do islandzkiej pary, ale poprzedniego wieczoru po kolacji widział, jak palili samodzielnie skręcane.

Później wspomni o tym Heather. Może coś zauważyła.

Kłusownicy? Jeśli tak, to znalazłby też inne dowody, że tam byli. W przeszłości napotykał na umazaną krwią trawę, tam, gdzie taszczyli za sobą swój nielegalny łup, albo łuski po nabojach, którymi go zabili. Natrafiał na szczątki ognisk, które rozpalali, by pozbyć się resztek zwierzęcia (głównie chodzi im o głowy) i szerniałe kości, które po tym pozostały. Czasem znajdował ubitą zwierzynę, zanim kłusownicy po nią wrócili – głowę i rogi, które są najbardziej wartościowe, zabierają od razu, a resztę zwierzęcia zostawiają w trawie, aż natrafi się okazja, by po nie wrócić.

Niedopałek mógł zostawić jakiś turysta – nadal obowiązuje prawo swobodnego przemieszczania się po cudzych terenach, choć ludzi zniechęcają (prawdopodobnie postawione nielegalnie) znaki z napisem „własność prywatna”. Doug nie pamięta, kiedy ostatnio widział, by ktoś tu spacerował. Zresztą amatorzy wędrówek – w jaskrawych kurtkach, z herbatą w termosach i zamiłowaniem do natury – nie zostawialiby śmieci w miejscu, którego przyrodą przyjechali się cieszyć. To nie ich w stylu.

Nie, ani trochę mu się to nie podoba.

Jest zadowolony, że oddalili się już od starej chaty myśliwskiej. Jej historia przypomina mu o własnych demonach. Dręczony przeszłością łowczy pali dom. Zna siłę, która mogłaby doprowadzić człowieka do takiego czynu.

Trafiają na łanie na połaci ziemi nieco dalej. Na niebie widać już skazę ciemności – słońce, którego nie widać zza chmur, pewnie zaczęło zachodzić. Muszą się pospieszyć. Kazał gościom położyć się we wrzosach i czołgać w stronę jeleni, tak, żeby ich nie zaniepokoić.

Jedna łania oddzieliła się od stada. Jest stara, lekko kuleje. Idealna. Zabija się tylko stare osobniki. Wbrew temu, co mogą sobie myśleć kłusownicy,

nie chodzi tu o imponujące trofea.

Kiedy są już wystarczająco blisko, Doug odwraca się do niższej, mniej atrakcyjnej blondynki.

– Ty – mówi. – Spróbujesz?

Z powagą kiwa głową.

Doug pomaga jej ją namierzyć.

– Najszersza część klatki piersiowej – tłumaczy. – Nie głowa. Łatwo popełnić błąd, kiedy celujesz w głowę. I nie za nisko, bo trafisz w nogę. Wyceluj i powoli naciśnij na spust. Delikatnie.

Dziewczyna robi to, co jej każe. Naciska na spust, czemu towarzyszy płaski odgłos grzmotu, aż dzwoni w uszach. Pozostałe jelenie rozbiegają się w przerażeniu z zadziwiającą prędkością. Goście za jego plecami wydają z siebie okrzyki, gwałtownie wciągają powietrze w płuca.

Jak zawsze następuje chwila, kiedy zdaje się, że kula nie wyleciała z lufy albo zupełnie zniknęła. Łania wzdraga się, jak gdyby raził ją prąd. Wtedy następuje opóźniony głuchy odgłos trafiającego ją naboju i metalu wżynającego się w ciało. Ryk wyrażający wściekłość i ból. Łania zatacza się, wykonując kilka kroków, aż w końcu uginają się pod nią nogi i pada – delikatnie, jak gdyby była ostrożna. Jej pierś nagle nasiąka czerwienią. Doskonały strzał.

Doug pokonuje niecałe sto metrów dzielące go od umierającego zwierzęcia. Jeszcze tu jest, jej oddech tworzy kłęby pary w powietrzu. W jednej chwili ich oczy się spotykają. Wtedy Doug bierze nóż i wprawnym ruchem wbija go w miejsce u nasady czaszki. Teraz odeszła. Łowczy nie ma wyrzutów, może żałuje tylko piękna, które teraz zgasło. W przeciwieństwie do innych śmierci, za które jest odpowiedzialny, wie, że ta była słuszna, niezbędna. Bez odstrzału populacja wydostałaby się spod kontroli, żywności byłoby tak mało, że całe stado zaczęłoby głodować.

Nachyla się i macza dłoń w ranie, pokrywając palce krwią. Wraca do kobiety – Emmy – i starym myśliwskim zwyczajem naznacza jej czoło i policzki szkarłatem.

EMMA

Łowczy powiedział mi, że trzeba będzie poczekać na polędwicę z jelenia, którego ustrzeliłam. Musi przez kilka dni powisieć – najwyraźniej przez tężenie pośmiertne występujące w pierwszych dwudziestu czterech godzinach mięso jest niejadalne, do czasu aż tkanki znów zaczną mięknąć. Ale w chacie myśliwskiej mają już odpowiednio sezonowane mięso, które mogę użyć, jeśli zechcę. Chciałam podać dzisiaj wołowinę Wellington, ale zdałam sobie sprawę, że mogę posłużyć się dziczyzną. Doskonały pomysł – to będzie zwieńczenie dzisiejszego dnia.

Przyszłam po nie do obory. Najpierw oczywiście umyłam twarz. Podobno istnieje jakiś zabobon, że jeśli zmyjesz krew przed północą, spotka cię nieszczęście, ale to tylko przesady. Zresztą, gdy zaschła, wyglądała strasznie niechlujnie.

Kiedy wchodzę do obory, nie ma tam nikogo, ale drzwi są lekko uchylone. Popycham je jedną ręką.

Słyszę ze środka ciche i nagłe głosy. Ustają na dźwięk moich kroków. W środku jest dość ponuro i muszę przymrużyć powieki, by przyzwyczać oczy do zduszonego światła. Ale wtedy robię krok w tył. Na końcu pomieszczenia wiszą dwa wielkie, przerażające, zakrwawione medaliony mięsa obok tuszy jelenia, którego dziś zastrzeliłam. Został obdarty ze skóry, a jego czarne oczy wpatrują się we mnie. Czuć tu wyraźny, ciężki i metaliczny swąd, którego nie da się pomylić z niczym innym.

Za tuszą stoi mężczyzna, obok którego siedziałam podczas kolacji, tutejsza złota rączka, Iain. Trzyma w ręce tasak do mięsa i ubrany jest w fartuch przesiąknięty krwią. Podnosi wolną dłoń na powitanie – wnętrze jego dłoni jest zabarwione na czerwono. Obok niego stoją goście z Islandii.

Zastanawiam się, o czym troje obcych ludzi może rozmawiać z takim zacięciem.

– Mam dla ciebie dziczyznę – mówi Iain. Sięga po paczuszkę zawiniętą w poplamiony papier pergaminowy, znajdującą się na ladzie za jego plecami.

– Dziękuję – odpowiadam, biorąc ją od niego. Jest ciężka i zimna.

– Ci dwoje – pokazuje na pozostałych gości – właśnie mnie pytali, czy mogą dostać serce z twojego jelenia, bo świeże jest najlepsze. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli je wezmą.

– Nie – odpowiadam, próbując ukryć niesmak z wprawą godną dobrego kucharza. – W ogóle.

Mężczyzna, Ingvar, szczerzy do mnie zęby w uśmiechu.

– Dziękujemy. Powinnaś kiedyś spróbować. To najsmaczniejsza część.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Gapię się w ekran komputera. Zakrywam usta dłonią z niedowierzania. Jestem szczerze zaskoczona tym, co bez większego wysiłku znalazłam na temat Douga w internecie. Jest źle. Naprawdę źle. Dużo gorzej, niż wymyśliłaby moja matka w swoich najczarniejszych przewidywaniach.

Wiem to, czytając same urywki artykułów widoczne na stronie wyników w Google. On prawie kogoś zabił. Mieszkam tu sama z mężczyzną skazanym prawomocnym wyrokiem. Skazany, jak to oficjalnie się określa, za „umyślne ciężkie uszkodzenie ciała”.

Na szczycie listy wyników znajduje się artykuł z „Daily Mail”. Znajduje się w nim zdjęcie Douga – puste oczy, wargi zaciśnięte, włosy ogolone do skóry. Na kolejnym ma na sobie niedopasowany garnitur i jest wyciągany z samochodu w drodze na rozprawę. Szczerzy zęby do reporterów, jakby na nich warczał. Wygląda jak przestępca. Wygląda na brutalnego i niebezpiecznego. Kolejny artykuł to jego przejaszczony biogram. Uczeń prywatnej szkoły, który rzucił studia, służył w piechocie morskiej, jako jedyny i w niejasnych okolicznościach przeżył atak talibów na swoją brygadę. Autor artykułu wyraźnie insynuuje, jeśli nie stwierdza wprost, że Doug stchórzył.

A potem była bójka w barze.

Im dalej czytam, tym jest gorzej. Co Doug zrobił temu człowiekowi? Próbował go udusić. Szukam w artykule czegokolwiek, co mogłoby w jakiś sposób uniewinnić Douga: coś, czego mogłabym się chwycić. Chcę móc go usprawiedliwić. Nie tylko dlatego, że myśl o tym, że mieszkam z kimś, kto

jest zdolny do popełnienia zabójstwa z zimną krwią (a przynajmniej próby) jest przerażająca, ale dlatego, że mimo jego małomównej natury całkiem polubiłam Douga. Naprawdę wierzyłam w swoje słowa, gdy mówiłam mamie, że jest „nieszkodliwy”.

Nie znajduję jednak niczego, co mogłoby go usprawiedliwić. Przerzucam się z „Daily Mail” na link z BBC News, gdzie powinnam znaleźć relację ze zdarzenia pozbawioną uprzedzeń i pogoni za sensacją. Artykuł zawiera cytat z relacji naocznego świadka: „Nikt się tego nie spodziewał. W jednej chwili rozmawiali spokojnie gdzieś w głębi baru, a w następnej ten gość zaczął go dusić. Ludzie próbowali go odciągnąć, ale dawał im radę, aż w końcu zbiegło się ich tyle, że mogli go obezwładnić. To było przerażające”.

Czuję, jak moją skórę szczypie chłód, mimo że ogrzewanie w chacie myśliwskiej jest podkrecone do maksimum. Próba uduszenia. Przypominam sobie sińce wokół szyi kobiety jak sinoniebieski kołnierzyk.

Ale jednocześnie jaki powód mógłby mieć Doug, aby ją zabić? Przecież ona przyjechała tu dopiero dwa dni temu. Była zupełnie obcą osobą.

Cichy głos podpowiada mi, że może on nie potrzebował powodu. Zgodnie z tymi artykułami mężczyzna w pubie też był zupełnie obcy.

Jest przynajmniej jedna rzecz, która tu nie pasuje. To Doug znalazł ciało. Po co miałyby mi pokazywać, gdzie się znajduje, zamiast jakoś je ukryć? Żeby mieć kontrolę nad sytuacją? Może... ale miałyby to sens tylko wtedy, gdyby wciąż można było upozorować całe zdarzenie na wypadek. Nawet dla osoby, która nie jest lekarzem, jest sprawą jasną, że ona została uduszona.

Rozlega się pukanie. Zamieram, po czym szybko zatrzasnę laptopa. Pokonuję odległość do drzwi kilkoma zwinnymi krokami i przekręcam zamek. Kiedy je otwieram, po drugiej stronie stoi Doug. Miałam przecucie, że to on.

DWA DNI WCZEŚNIEJ
SYLWESTER 2018 ROKU

KATIE

Wszyscy idą do swoich domków, żeby przyszykować się na wieczór. Miranda chce, żebyśmy elegancko się ubrali.

– Przecież to idiotyczne – powiedziała półszeptem Samira do Emmy i mnie. – Jesteśmy na kompletnym pustkowiu, na wsi. Mam lepsze rzeczy do roboty niż strojenie się przed lustrem. Myślałam, że przyjechaliśmy tutaj, żeby się odprężyć.

– Chodzi chyba o podkreślenie, jaka to wielka okazja – lojalnie odpowiada Emma.

Zresztą w takich sprawach nie ma sensu stawiać oporu. Bo Miranda zawsze dostaje to, czego chce.

Ale ja nie spędzam czasu przed kolacją na szykowaniu się na przyjęcie. Spędzam go w łazience zgarbiona nad małym plastikowym patyczkiem, chodząc po domku w tę i z powrotem i zastanawiając się nad tym, co robić. Mam ochotę krzyczeć. Ale w tym przeklętym miejscu jest tak cicho, że wszyscy mnie usłyszą.

Próbując spokojnie oddychać, zaczynam sobie wmawiać, że może test był zepsuty. Żałuję, że nie kupiłam jeszcze jednego. W drogerii na stacji kolejowej za bardzo się bałam, że ktoś zauważy, jak kupuję choćby ten jeden. Zresztą w instrukcji jest napisane, że choć test może nie wykazać pozytywnego wyniku, sytuacja odwrotna praktycznie nigdy się nie zdarza.

Godzina dwudziesta nastaje dużo szybciej, niż się spodziewałam, wkładam więc czarną sukienkę, którą nadaje się do biura i na drinki, i przejeżdżam szczotką przez włosy tak mocno, że aż boli.

Nie wiem, czy to moja wyobraźnia, ale sukienka wydaje mi się ciałniejsza niż na gwiazdkowym przyjęciu firmowym i kiedy przyglądam się sobie w lustrze, stojąc bokiem, jestem pewna, że widzę małe wybrzuszenie tam, gdzie wcześniej niczego nie było. O Boże. Odwracam się to w jedną, to w drugą stronę. Czuję wzrastające we mnie przerażenie.

Teraz, kiedy to już zauważyłam, nie mogę przestać patrzeć na swój brzuch. Jestem zadziwiona, że Miranda tego nie skomentowała. Wprawdzie zwróciłam uwagę, że moje piersi stały się bardziej tkliwe, a apetyt się wahał. Ale jak to się, do cholery, w ogóle mogło stać? Wydawało mi się, że jestem taka ostrożna. Ale najwyraźniej niewystarczająco. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzę.

Siadam z powrotem na łóżku. Nie chcę nigdzie iść. Nie dam rady – nie mogę tam pójść i stanąć przed nimi wszystkimi. Siedzę tak przez jakieś pół godziny. Może wszyscy o mnie zapomną?

Rozlega się pukanie do drzwi. Przez chwilę jestem niemal w stanie udawać, że to sobie wyobraziłam.

– Katie, co ty tam robisz? Widzę, jak siedzisz na łóżku!

Idę do drzwi i otwieram je – nie mam innego wyboru. Czuję się jak zwierzę osaczone w swojej norze. Miranda stoi w progu z ręką na biodrze. Jak można się było spodziewać, wygląda niesamowicie: ma na sobie wąską, obcisłą złotą sukienkę – jedną z tych, które pasują tylko na osoby o figurze Mirandy i tylko na sylwestra.

– No cóż. – Przyjaciółka mierzy mnie wzrokiem. *Czy ona to widzi? Stoję do niej przodem, więc pewnie nie.* – Mało imprezowo – stwierdza. Wtedy otwiera małą wieczorową torebkę, którą ma przewieszoną przez ramię. – To pomoże. – W osłupieniu czuję, jak dociska szminkę do moich warg. Jej woskowy zapach jest niemal natrętny.

Robi krok w tył.

– No, teraz lepiej. Chodźmy. – Bierze mnie za nadgarstek, jej paznokcie przejeżdżają po mojej skórze. Prawie siłą wyciąga mnie za próg i wkłada moją rękę w zgięcie swojego łokcia.

Nie jestem teraz w stanie znieść tego bliskiego kontaktu. Zabieram rękę.

– Dzięki, ale nie trzeba. – Brzmi to ostrzej, niż zamierzyłam. – Dam radę sama tam dojść.

Miranda gapi się na mnie tak zszokowana, jak gdybym przed chwilą na nią nakrzyczała. Bo ja nigdy nie odpyskuję. Miranda lubi mówić innym ludziom, że jako przyjaciółki po prostu się nie kłócimy. Ale nie jest to jej zasługą. To dlatego, że w przeszłości nigdy się wobec niej nie buntowałam.

– Posłuchaj – mówi niskim, niebezpiecznym tonem. – Nie wiem, co ci jest, Katie. Odkąd tu tylko przyjechałyśmy, jesteś skwaszona. Jak gdybyś nagle stała się lepsza od nas. Jakby nawet ci się nie chciało spędzać z nami czasu. Ale mam przykrą wiadomość, dziś będziesz musiała. Będziesz się dzisiaj dobrze bawić. – Odwraca się na pięcie. A ja odruchowo ruszam za nią, jak gdybym była uwiązana sznurem. Jaki mam wybór?

Dziś wieczór panuje inna atmosfera. Wczoraj wszyscy byliśmy w dobrych nastrojach, czuliśmy się wspólnotą, jednością. Teraz w powietrzu unosi się coś niebezpiecznego. Jak gdyby wyprawa w naturę wzbudziła w nas czujność. Zastanawiam się, czy pozostali, tak jak ja, nadal widzą tę łanię – jak uginają się pod nią kolana. Zawisło to nad nami jak mrok, stało się naszym wstydlwym sekretem. Coś razem zabiliśmy. Jesteśmy temu współwinni, nawet jeśli to Emma pociągnęła za spust. Zrobiliśmy to dla rozrywki.

Wszyscy – z wyjątkiem mnie – z powrotem podzielili się na pary: Nick i Bo, Emma i Mark, Miranda i Julien, którego ta obejmuje ręką w talii. Trochę odsunięci od reszty Giles i Samira rozmawiają ze sobą półszepem. Miranda namówiła ich, żeby zostawili Priyę w domku, żebyśmy dziś wieczór „wszyscy mogli być dorośli”, ale sądząc po buntowniczej minie, Samira nie jest z tego zadowolona.

Julien krąży pomiędzy nami i dolewa szampana z udawaną radością, a wszyscy piją go haustami, ledwie czując smak trunku, jak gdyby próbowali w ten sposób wmusić w siebie dobry nastrój. Możliwe, że wszystko to sobie wyobrażam: przypisuję im podenerwowanie, które być

może istnieje tylko w mojej własnej głowie. Ale nie jestem pewna. Bo widzę szybkie, instynktowne spojrzenia, którymi wszyscy się obrzucają. Nie jestem w tym sama. Szukamy czegoś w swoich twarzach. Tylko czego? Czegoś znajomego? Krzepiącego zapewnienia, że wciąż jesteśmy sobie bliscy? A może z obawą szukamy nowych elementów, które objawiły się na tamym ponurym zboczu? Czegoś nowego, dziwnego i brutalnego.

– Podano do stołu! – woła Emma z kuchni. To ulga, że możemy skupić się na czymś nowym i nie stać w kółku, prowadząc nic niewarte rozmowy, które nagle stają się napięte i trudne, jakbyśmy byli sobie zupełnie obcy.

To dziczyzna à la Wellington, choć na szczęście nie z upolowanego dziś zwierzęcia. Emma jest niesamowitą kucharką. Pewnie idzie to w parze z jej doskonałymi umiejętnościami organizacyjnymi. Zaplanowała cały ten wyjazd aż po ostatni szczegół. I przynajmniej ona wydaje się taka jak zawsze: pełna werwy i energiczna, gdy z dumą niesie swoje dzieło.

– Jestem pod wielkim wrażeniem, Emmo – mówi Miranda. – W naszej lodówce zwykle zastaniesz tylko butelkę szampana i pół słoika oliwek. Jesteś wśród nas chyba jedyną prawdziwą dorosłą.

Emma aż się rumieni. Tylko że nie wydaje mi się, żeby to był komplement. Ta uwaga stawia ją w pozycji nudnej kury domowej, podczas gdy Miranda jest olśniewającą, nieprzewidywalną nonkonformistką.

A to nawet nie jest prawda. Może Miranda nie umie dobrze gotować, ale robi to. Jednak nigdy nie przepuści okazji, żeby w jakiś sposób podkreślić, jaka jest lepsza od Emmy.

Co za suka. Duszę w sobie tę myśl, zanim wyrwie się z moich ust. Co we mnie wstąpiło? I koniec końców, jestem ostatnią osobą, która powinna się wypowiadać.

Wszyscy zachwycamy się dziczyzną: złotą skorupką ciasta, która owija idealną sztukę mięsa.

Odcinam kawałeczek. Jest doskonale upieczony, ciasto odchodzi płatkami, mięso jest niebywale różowe w środku. Ale kiedy nakłuwam je widelcem, wypływa z niego cienka stróżka krwi. Myślę o dzisiejszej łani, która padła na kolana, wydając z siebie potworny ryk, niosący się echem po

czubkach okolicznych drzew, gdy konała, i czuję, jak mój żołądek zaczyna się buntować. Mimo to biorę kolejny kęs i próbuję go przełknąć. Przez krótką chwilę mam wrażenie, że jedzenie grzęźnie mi w przełyku i boję się, że się udławię. Biorę jednak wielki łyk wody i spłukuję mięso, w rezultacie krztusząc się wodą.

– Wszystko w porządku? – pyta Samira, która siedzi obok mnie, szturchając mnie w bok.

Kiwam głową. Widzę, że Emma odwróciła się w moją stronę i patrzy na mnie.

– Mam nadzieję, że ci smakuje.

– Tak – odpowiadam ochrypłym głosem. – To jest takie pyszne.

Odpowiada nieznacznym skinieniem głowy, ale się nie uśmiecha. Zastanawiam się, czy zauważyła, z jakim trudem przełykałam kęs, a co gorsza grymas lekkiego obrzydzenia na widok krwawego mięsa. Ale wydaje mi się, że to nie tylko to. Emma nigdy za mną nie przepadała. Staralam się to zmienić – dużo bardziej, niż gdyby mnie lubiła. A powinno być przecież na odwrót, prawda? Powinna się była postarać przynajmniej tak samo jak ja. To ona powinna szukać jakiejś aprobaty wśród najstarszych przyjaciół Marka. Ale ona starała się tylko wobec Mirandy, mimo że ta momentami zachowywała się wobec niej jak suka.

Było mi jej trochę szkoda, kiedy dołączyła do naszej grupy. Tyle rzeczy trzeba nadgonić, tyle prywatnych żartów, tyle historii. Z Bo było inaczej. Jego amerykańskość odróżniała go od reszty z nas. Był dla nas egzotyczną postacią ze wspaniałego Nowego Jorku, a poza tym studiował na Stanfordzie, więc nie mógł mieć przy nas kompleksu niższości. Emma za to uczyła się w Bath i Miranda wykorzystywała każdą okazję, by jej przypomnieć, że nie jest równie dobrze wykształcona co reszta z nas. Nie sądzę, by to był bezpośredni atak na Emmę. Myślę, że Miranda chciała po prostu pokazać, kto tu jest lepszy i kto zasługuje na uwielbienie.

Emma na szczęście zdaje się ledwie zauważać, kiedy Miranda wbija jej szpile. Jest wytrzymała, opanowana. Mam wrażenie, że jest jedną z tych osób, z którą łatwo byłoby się zaprzyjaźnić, bo nie ma wielkiego bagażu

życiowego... Ale nie jest też typem osoby, która mogłaby zostać moją *najlepszą* przyjaciółką. Sprawia wrażenie kogoś, kto nie posiada głębszej warstwy, a jeśli już, to dobrze ją ukrywa. Dużo entuzjazmu, ale jest też może odrobinę nudna. Rany, zaczynam bredzić jak Miranda.

– Wiesz – powiedziałam do Emmy dwa sylwestry temu, kiedy była zupełnie nowa w naszej grupie – nie powinnaś pozwalać Mirandzie tak się traktować.

– To znaczy? – odparła, robiąc wielkie oczy.

– Zauważyłaś, jak ona do ciebie mówi? Prawdę mówiąc, zachowuje się tak wobec wszystkich nas. Czasem mam wrażenie, że wymyśliła sobie, że wszyscy znaleźli się na ziemi tylko po to, by jej usługiwać. – Wiedziałam doskonale, jakie to uczucie. – Bardzo ją kocham, bo ma wiele wartościowych cech, ale ta akurat należy do mniej godnych podziwu. Nie umacniaj w niej poczucia wyższości.

Emma zmarszczyła czoło.

– Mnie to nie przeszkadza, Katie. – W jej głosie pobrzmiwała ostrość, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

– Aha. Bo myślałam...

– Nie musisz się o mnie martwić. Mnie to nie przeszkadza – powtórzyła.

Wygląda na to, że rzeczywiście tak jest. Przyglądam się jej teraz, jak uśmiecha się do wszystkich i jak pyta Mirandę, gdzie kupiła sukienkę. Może jestem przewrażliwiona, ale czasem odnoszę wrażenie, że toleruje mnie tylko w imię harmonii grupy. Że gdzieś pod powierzchnią kryje się prawdziwa niechęć. Oczywiście, jeśli ktoś tak życzliwy jak ona jest zdolny do tego typu emocji.

To dość niepokojące, kiedy czujesz się nielubiany przez kogoś tak otwartego i dobrego – tak, „dobra” to idealne określenie na nią. Czasem, kiedy w mojej głowie pojawiają się różne paranoiczne myśli, zastanawiam się, czy może dostrzega, że jest ze mną coś nie tak. Czy widziała moją destrukcyjność i egoizm, zanim sama przekonałam się o ich istnieniu?

Miranda rozgrzebuje swój posiłek, ostrożnie oddzielając od siebie polędwicę i ciasto, i zjadając tylko połowę porcji. Zawsze uważała na swoją

wagę, co jest idiotyczne, bo ma właściwie idealną sylwetkę, a przynajmniej według standardów kolorowych czasopism. Pamiętam jednak posiłki u niej w domu i to, jak matka zabierała jej talerz, nim Miranda skończyła jeść.

– Dama – mawiała – nigdy nie zjada wszystkiego z talerza, a obwód jej talii nie przekracza sześćdziesięciu centymetrów. – A mnie się wydawało, że to ja pochodzę z dysfunkcyjnej rodziny. Miranda przez dwa lata była weganką, a potem na jakiś czas przeszła na dietę 5:2. Poza tym uczęszczała na wszelkie zajęcia z pilatesu, baletu barre i rowerków, jakie tylko organizowała jej ekskluzywna siłownia. Jest oczywiście prześliczna, ale moim zdaniem wyglądałaby dużo lepiej, gdyby nabrała nieco ciała i miękkości. Choć jest ledwie po trzydziestce, nabiera kruchego wyglądu starszej się gwiazdki z Hollywood. I jestem przekonana, że zrobiła sobie botoks. Ktoś mógłby pomyśleć, że jako jej przyjaciółka powinnam wiedzieć takie rzeczy na pewno. Ale o dziwo w tych kwestiach Miranda ceni sobie prywatność. Na przykład regularnie chodzi na opalanie natryskowe: pojawiała się na czyimś ślubie, wyglądając, jak gdyby spędziła trzy tygodnie na Saint Barts. Ale kiedy zwróciłam na to uwagę, powiedziała coś w stylu:

– Ach, tak, ostatnio dużo czasu spędzam na słońcu, a tak łatwo się opalam – po czym szybko zmieniła temat.

– Ten łowczy jest strasznie seksowny, nie? Silny, milczący... jak z powieści. I jakie ma umiejętności. Nie miałam pojęcia, że tropienie jeleni jest takie trudne. I w dodatku jest taki *wysoki*. Od razu bym się na niego wspięła.

– O tak – odpowiada Samira, na co Gilesowi wyrywa się zraniony okrzyk. Ale Miranda niemal nie zauważa, że się odezwała. Patrzy na Julię. Uwaga o wzroście była wymierzona w niego. Julien ma wiele zalet, ale wzrost nie jest i nigdy nie będzie jedną z nich.

– I jest taki *męski* – dodaje. – Ma w sobie coś niebezpiecznego... Ale to sprawia, że jest jeszcze bardziej atrakcyjny. Po prostu wiesz, że taki facet będzie w stanie wszystko ci w domu naprawić albo zbudować szałas w środku lasu. Nikt już chyba nie ma tego typu umiejętności.

– Wiecie, kogo mi przypominacie, gdy rozmawiacie w ten sposób? – mówi Giles. Sili się na lekki ton, choć wydaje się też nieco wkurzony.

– Kogo?

– Dwie napalone stare panny.

Mojej uwadze nie umykają rzucone mi spojrzenia, nawet przez Nicka. Bo jeśli ktokolwiek jest tu zdesperowaną starą panną, to jestem nią, no cóż – ja. Koncentruję się na nałożeniu idealnego kawałka mięsa i ciasta francuskiego na swój widelec.

– Moim zdaniem – oświadcza niezrażona Miranda – w imieniu wszystkich kobiet na świecie powinnaś spróbować go uwieść, Katie. – Mówi to niby żartem, ale w jej głosie pobrzmiewa gniew i zastanawiam się, co oznacza. Odnoszę wrażenie, że dziś wieczór trochę przesadza – z sukienką, z włosami, które przypominają pióropusz wojownika, i śmiechem, który jest odrobinę zbyt głośny.

– I miałyby się przy tym dać zabić? – odpowiada Giles ze śmiechem. – Myśli same się nasuwają. Co taki gość jak on robi w takim miejscu? Przez kilka dni można się cieszyć tutejszą ciszą i spokojem, ale trochę dziwnie przez cały czas samemu tu mieszkać. Można tu oszaleć, jeśli już wcześniej nie było się wariatem.

– Nie jest sam – mówię. – Mieszka tu jeszcze nasza zarządczyni, Heather.

– To prawda – odpowiada Miranda. – Ale chyba nie są parą, co? Ona pewnie też jest nieźle walnięta. Jeśli ktoś wybiera takie życie, to albo ma nierówno pod sufitem, albo przed czymś w życiu ucieka.

– Moim zdaniem ona jest całkowicie normalna – odpowiadam. Nie wiem, dlaczego ich bronię. Sprzeciwianie się Mirandzie nie jest najlepszym pomysłem, kiedy jest w tego typu nastroju. – A on się zdaje zupełnie nieszkodliwy. I przyznaję, jest przystojny.

– Rozumiem – odzywa się Julien z nieprzekonującą manierą życzliwego wujka. – Czyli jednak jest w twoim typie.

Czuję, że mi się przygląda, jak gdybym była owadem zamkniętym w słoiku. Przełykam kawałek wellingtona i upijam duży łyk wody, choć bardzo pragnę wina.

– Może tak.

Po kolacji wciąż jest dość wcześnie. Emma robi, co w jej mocy, żeby wszystkim dogodzić. Upiera się, że będzie wszystkim dolewać wina – co jest nieco żenujące, jak gdyby była naszą kelnerką. Mimo jej starań, tematy przy stole się wyczerpały. Następuje dziwne milczenie. Co robić, czym wypełnić czas? Ponieważ swobodna atmosfera wczorajszego wieczoru w tajemniczy sposób się ulotniła, samo siedzenie i wspomnianie starych czasów zdaje się niewystarczające. Przypominam sobie, że zawsze tak się dzieje w sylwestra, bo wszyscy chcą cię zmusić do dobrej zabawy. Północ – która na co dzień nie jest taką znów późną porą – nagle wydaje się bardzo odległym kamieniem milowym.

– Tak się zastanawiałam – mówi Samira – i wiem, że to trochę szczeniacki pomysł... ale moglibyśmy zagrać w prawdę albo wyzwanie.

Rozlegają się stękania.

– Jesteśmy po trzydziestce, Samiro – mówi Nick, unosząc brew. – Myślę, że ten etap już za nami.

– Daj spokój – wcina się Miranda. – Niektórzy z nas lubią myśleć, że wciąż są młodzi.

– Poza tym może być zabawnie – dodaje Emma. Jest jedyną osobą, której nastrój nie zmienił się od wczorajszego poranka – przepełnia ją entuzjazm i radość, że posiłek okazał się takim sukcesem. Naprawdę się dziś wysiliła. Może nie wygląda równie olśniewająco jak Miranda, ale jej odsłaniająca ramiona sukienka ma lekki połysk i umalowała usta na jaskrawy czerwony kolor. Niemal idealnie pasuje do cienkiej smużki krwi tuż nad uchem pod linią włosów – pozostałości po dzisiejszym polowaniu – którą przegapiła.

Z braku kontrpropozycji wszyscy przyjmują, że to właśnie będziemy teraz robić – grać w prawdę czy wyzwanie. Czuć wręcz wyraźną ulgę, że mamy plan na następną część wieczoru, coś, czym możemy się zająć.

Siadamy wokół stołu. Emma bierze pustą butelkę po winie i obraca nią. Wypada na Bo.

– Wyzwanie – mówi.

– Pocałuj Marka – mówi Miranda.

Bo marszczy nos.

– A muszę?

Mark wygląda na szczerze przerażonego. Ale Bo rzeczowo nachyla się w jego stronę i dociska swoje usta do jego. I przez ułamek sekundy mam wrażenie, że Mark reaguje, a jego usta poruszają się zmysłowo pod wargami kolegi. Wygląda to bardzo podniecająco. Widzę, jak Nick marszczy czoło. Też to zauważył.

Wszyscy się śmieją, ale w powietrzu pojawia się nowy rodzaj napięcia, iskrzący seks.

Bo kręci butelką. Wypada na Mirandę.

– Prawda – mówi, uśmiechając się pusto. W połączeniu z jej leniwym, sennym spojrzeniem mówi mi to, że sporo już wypła.

– Okej – odzywa się Nick. – Mam. Spałaś z kimś jeszcze z osób przy tym stole?

Miranda chichocze.

– Czy spałam z kimś jeszcze? – powtarza, mając problem z wyraźnym wymówieniem słowa „spałam”. – Rozumiem, że chodzi o kogoś innego niż mój mąż?

– Tak – odpowiada Nick. Patrzy na nią z ogromnym skupieniem jak kot na ptaszka.

– Yyy... – W geście zamyślenia przykłada palec do ust, choć za pierwszym razem nie trafia i dotyka podbródka. – W takim wypadku moja odpowiedź brzmi, że... tak.

Zapada głucha cisza. To nie może być prawda. Jeśli tak, to nic o tym nigdy nie słyszałam. Jak to możliwe, że nic na ten temat nie wiem? Zerkam na Juliena, ale nie wygląda na szczególnie zaskoczonego. Czy on wie? Kto to mógł być? Przyglądam się wszystkim twarzom wokół stołu, ale nikt niczego po sobie nie zdradza. Mark? Pewnie tak, choć mam wrażenie, że to by się jakoś wydało. Myślę o tym, ile się wokół niej kręcił w czasie studiów, przekazując wiadomości od Juliena. Miał wiele okazji.

Miranda patrzy na nas, wzruszając ramionami.

– Nie powiem wam nic więcej, więc równie dobrze możecie znowu zakręcić butelką.

– Hej – mówi Samira. – Musisz nam powiedzieć.

– Właśnie – dołącza się Bo. – Nie możesz rzucić czegoś takiego bez żadnych wyjaśnień.

– Oczywiście, że mogę – odpowiada Miranda z cwany uśmiechem. – Odpowiedziałam na pytanie. Powiedziałam prawdę.

Giles podaje Mirandzie butelkę.

– Racja. Kręć.

Błysk w oku Mirandy stał się jaśniejszy. Po tym wyznaniu stawka wydaje się wyższa, a powietrze iskrzy napięciem. Obraca butelką, która zatrzymuje się na Marku.

– Wyzwanie – mówi, jeszcze zanim butelka całkowicie się zatrzymała.

– Okej. – Miranda zastanawia się przez chwilę. – Wypij to. – Podaje mu butelkę Dom Pérignon.

– Całą? – Emma wytrzeszcza oczy. – Nie możesz tego zrobić.

– Kiedyś to była moja imprezowa sztuczka – wyjaśnia Mark. – Nigdy ci o tym nie mówiłem? Cała butelka w dziesięć minut.

Ja pamiętam. Pamiętam też, co się działo później. Mark jest jedną z tych osób, które nie powinny pić. Jedni ludzie po alkoholu robią się emocjonalni, inni agresywni, a jeszcze inni wściekli – łatwo zgadnąć, do której grupy należy Mark.

– Zrób to – mówi Miranda, wstając z krzesła. Otwiera butelkę z namaszczeniem, jak gdyby chciała się upewnić, że nie uрони ani kropelki. Następnie podchodzi do Marka. – Przykucnij – poleca mu na wpół jak kusicielka, a na wpół jak starszy sierżant. – Otwórz szeroko usta. – Mark robi, co mu każe, na co Miranda odwraca butelkę do góry dnem i wpycha szyjkę między jego rozwarte wargi. Mark wydaje z siebie odgłos, jak gdyby się krztusił, ale ona nie odpuszcza. Jeśli już, to widzę, jak swoją wypielegnowaną dłoń pcha dno butelki jeszcze głębiej.

Mark przełyka płyn, jego gardło ciężko pracuje. Oczy ma zaszkłone, czerwone, prawie przekrwione. Julien i Giles go dopingują – „no pij, stary!”, „do dna” – jakby byli na imprezie z kumplami z drużyny rugby. Reszta z nas tylko patrzy.

Z nosa lecą mu gile, jak zapłakanemu dziecku. Po raz kolejny wydaje z siebie dźwięki, jak gdyby się krztusił, a pod nimi pobrzmiwa jakieś niskie, zwierzęce skamlenie, które sprawia, że włosy na rękach stają mi dęba. Większość alkoholu ścieka mu pianą po brodzie i wsiąka w elegancką koszulę oraz krok garniturowych spodni.

– O rany – mówi Samira. – On chyba ma już dość.

– Kurwa mać – warczy Miranda, całkowicie ją ignorując. – Pij to. Nic nie pijesz.

Myślę o tym, jak mocno gazowany jest szampan i jak ciężko jest wypić choć jeden kieliszek.

Nie da się spokojnie patrzeć na tę groteskową imitację aktu płciowego. Ale z jakiegoś powodu nie da się też odwrócić od tego wzroku ani zrobić niczego, by to powstrzymać. Okrzyki chłopaków umilkły i zapadła niezręczna cisza. Nawet Emma się nie rusza, nie mówi nic, by pomóc swojemu chłopakowi. Siedzimy i patrzymy na wszystko w otępieniu, zahipnotyzowani tym obrzydliwym przedstawieniem.

W końcu butelka zostaje opróżniona. Powoli, niemal niechętnie Miranda wyciąga ją z jego ust. Uderza w dno płaską dłonią i wypada z niej kilka dodatkowych kropeł, z których jedna trafia Markowi do oka, dopełniając upokorzenie, podkreślając zniewagę.

Mark charczy, ma odruch wymiotny, zgina się w pół i podpira się dłońmi o kolana. Przez jedną potworną chwilę wygląda tak, jakby za moment miał zwymiotować. Samira, która znajduje się najbliżej niego, kładzie dłoń na jego plecach. Mark odtrąca ją gwałtownym ruchem ramion. Siedzimy w ciszy, czekając, jak to się wszystko rozegra. W końcu, po – jak mi się zdaje – długim czasie, Mark podnosi głowę. Rzuca nam słaby, nieprzekonujący uśmiech i unosi dłoń w powietrze jak zwycięzca. Na pewno wie, że to, co przed chwilą zobaczyliśmy, w żaden sposób nie było

jego zwycięstwem. Ale i tak wszyscy oddychamy z ulgą. Pozostali zaczynają klaskać. „Przecież to była tylko gra!”, „Ha – Mirando, nie masz litości”, „Mark – dobra robota, stary!”

Kiedy Mark próbuje zakręcić butelką, trzęsie mu się ręka.

Jakoś przewidywałam, że pokaże na mnie.

– Wyzwanie – mówię. Nie mam na nie ochoty – Miranda słynie z okrutnych wyzwań. Ale w obecnej sytuacji wolę wszystko, byle nie prawdę.

– Mark? – mówi Samira, odwracając się do niego. – Masz jakiś pomysł?

Mark przykłada dłoń do gardła i próbuje coś powiedzieć, ale wydostaje się z niego tylko ochrypły charkot. Kręci głową i rezygnuje z wyboru.

– W porządku – mówi Miranda rzeczowym tonem, najwyraźniej zupełnie nie przejmując się faktem, że to ona jest powodem jego upokorzenia. Składa palce w piramidkę, po czym podchodzi do Emmy i szepcze jej coś do ucha. Jezu Chryste, jakbym wróciła do liceum. Jak Emma może być taka miła dla Mirandy po tym, co ta zrobiła jej chłopakowi? Ale może naprawdę udajemy, że to wszystko jest tylko zabawą i nikt nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

Emma kiwa głową.

– Albo – mówi i odszeptuje coś Mirandzie.

Bo zaczyna się śmiać.

– Macie zamiar się z nami podzielić?

Emma żartobliwie kręci głową w odpowiedzi. Miranda nawet nie spogląda w jego stronę. Patrzy prosto na mnie. Czuję przeszywający mnie dreszcz.

– Do jeziora – mówi. – Dziesięć sekund w pełnym zanurzeniu.

Gapię się na nią. Chyba nie mówi poważnie.

– Temperatura jest poniżej zera, Mirando. Na powierzchni jest lód.

– Właśnie – wcina się Nick. – Ona zamarźnie na śmierć.

Spodziewam się, że Samira też stanie w mojej obronie. Ale ona patrzy w przestrzeń nieobecny wzrokiem, jak gdyby myślała o czymś zupełnie innym.

Miranda uśmiecha się bez troski i kręci głową.

– Zarządczyni powiedziała mi, że pływa w jeziorze prawie codziennie, nawet zimą. Zresztą będziemy na ciebie czekać z ręcznikiem. Nic ci nie będzie, Katie.

Wlepiam w nią wzrok. Nie mogę uwierzyć, że ma zamiar mnie do tego zmusić. Ale jej oczy są puste, pozbawione wyrazu.

– Śmiało – mówi, kiwając głową na zachętę. – Rozbieraj się.

Tyle razy, gdy byłyśmy w szkole, Miranda była mścicielem na moje usługi: upokarzała dziewczyny, które się na mnie uwzięły. Ale miała też inne oblicze – dręczycielki. Jeśli tylko chciała, potrafiła być dużo okrutniejsza niż małe szkolne suki. Nie zdarzało się to często, ale jednak. To było jak włączenie pstryczka, napięcie mięśni. W ten sposób pokazywała mi, kto tu rządzi.

Mam jedno szczególne wspomnienie, którego nie mogę się pozbyć, choć bardzo się staram. Dziewiąta klasa. Szatnie przed hokejem. Jedna z dziewczyn – Sarah – narzekała na to, że trenerka nie pozwoliła jej pójść na ławkę rezerwowych, mimo że to był jej pierwszy dzień okresu.

– Twierdzi, że to będzie dla mnie dobre. Że to mi pomoże. Ale wiem, że tak nie jest. To nie fair. – Inne dziewczyny kiwały głowami i pomrukiwały ze współczuciem.

Przypomniałam sobie o opakowaniu paracetamolu, które miałam w plecaku. Wyciągnęłam je i dałam koleżance. Sarah była jedną z tych mniej okropnych. Czasem siadałyśmy razem na lekcjach – oczywiście tych, na które nie chodziłam razem z Mirandą. Podniosła wzrok, uśmiechnęła się i wzięła pastylki.

– Dzięki, Katie. – Poczułam wtedy słabe ciepło, rozchodzące się w mojej piersi.

Wtedy rozległ się głos Mirandy, czysty jak dzwon.

– Katie chyba tego nie zrozumie. Bo ona jeszcze nie ma miesiączki. – Wszystkie dziewczyny spojrzały na mnie zszokowane i zafascynowane jednocześnie. Jakbym była wybrykiem natury. To był zły znak, nie miałam wątpliwości, że coś jest ze mną poważnie nie w porządku. Czternaście lat

i zero miesięczki. Zwierzyłam się z tego Mirandzie w największym zaufaniu. Zapewniła mnie wtedy, że jej zdaniem czternaście lat to wcale nie późno.

A potem wykorzystała to, żeby mnie upokorzyć. To był sposób, by utrzymać nade mną kontrolę.

Teraz robi to samo.

To jakiś absurd. Mam trzydzieści trzy lata. Mam ludzi, którzy mnie szanują i polegają na mnie w pracy. Mam obowiązki. Jestem świetną prawniczką, a nawet więcej – nigdy nie pozwalam drugiej stronie wygrać. Nie dam się w ten sposób upokorzyć.

Dobrze, myślę, patrząc na Mirandę. Przejrzałam cię. Podbijam stawkę. Jakby wszystko było w najlepszym porządku, ściągam z siebie sukienkę i teraz stoję przed nimi w bieliźnie. Całe szczęście założyłam dziś tę ładną – żółty jedwab, koronkowa lamówka. Jest nowa. Widzę, jak Miranda unosi brwi. Spodziewała się pewnie jakichś szaroburych spłowiałych od prania szmat, które tylko bardziej by mnie pogrążyły. Ciekawe, czy zauważyli mój brzuch. Może można go teraz wytłumaczyć wzdęciem po posiłku. Ale i tak nieco się garbię i idę przez pokój, na nikogo nie patrząc, aż do frontowych drzwi.

Kurwa. Jest jeszcze zimniej niż wcześniej, jeśli to w ogóle możliwe. Jest tak zimno, że to niemal boli. Czuję na skórze przeszywający chłód. Ale nie mogę o tym myśleć, bo inaczej nie będę w stanie tego zrobić. Muszę być niezłomną, najlepszą, najsilniejszą wersją siebie. Woda znajduje się tylko kilka metrów ode mnie na końcu ścieżki. Jest czarna jak atrament. Widzę jednak na powierzchni małe, blade płyty lodu, cienkie jak pajęczyna. Idę w stronę jeziora i zwyczajnie wchodzę do wody po kostki, łydki, po czym zanurzam się aż po szyję. Woda jest niewiarygodnie zimna. Czuję się, jakbym tonęła, choć moja głowa jest nad powierzchnią. Zimno wyciska mi z płuc całe powietrze. Za szybko oddycham, ale jednocześnie nie jestem w stanie wciągnąć w płuca powietrza. Aż w końcu opanowuję się. Odwracam się i spoglądam na nich, jak patrzą na mnie z brzegu. Wszyscy dopingują mnie i wiwatują, z wyjątkiem niej. Ona tylko patrzy.

Odwzajemniam jej spojrzenie, pływając w miejscu. Nienawidzę cię, myślę. Nienawidzę cię. Nie mam już wyrzutów. Zasługujesz na wszystko, co cię czeka.

EMMA

Przynoszę Katie ręcznik z łazienki w chacie myśliwskiej. Jest przemarznięta i szczęka zębami tak mocno, jak gdyby potrząsała kośćmi. W świetle salonu jej usta są sinawe. Ale to jej oczy najbardziej mnie niepokoją. Znam to spojrzenie – to spojrzenie kogoś na skraju wytrzymałości. Widziałam je u Marka. Widziałam je tamtego dnia na torze wyścigowym.

– Nienawidzę jej – syczy. – Naprawdę jej nienawidzę. Nie mogę uwierzyć, że mnie do tego zmusiła. Nie znasz jej, Emmo, więc może tego nie rozumiesz. Ale nie wiesz, do czego ona jest zdolna.

Szczerze mówiąc, znam ją pewnie lepiej, niż sobie wyobrażasz. Kto ją ostatnio wspierał, kiedy zapadłaś się pod ziemię? A już w szczególności wiem, do czego ty jesteś zdolna, Katie Lewis.

Oczywiście niczego takiego nie mówię. W zamian zaciskam zęby i odpowiadam:

– Może kieliszek szampana? To cię rozgrzeje.

– Nie, nie chcę szampana. A poza tym, czy twój chłopak całego nie wypił? – Cedzi słowa. Wpatruję się w nią. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała ją wściekłą.

– Posłuchaj, Katie, Miranda na pewno nie miała złych zamiarów. Trochę za dużo wypila i myślała, że to będzie zabawne.

– To było niebezpieczne – warczy. – Masz pojęcie, jaka zimna była ta woda?

– Daj spokój, Katie. Za chwilę nastanie nowy rok. 2019. *Zupełnie nowy rok.* Spróbuj o tym zapomnieć. Jestem przekonana, że wszyscy zrobiliśmy ostatnio coś, z czego nie jesteśmy dumni. – Rzucam jej spojrzenie, żeby się

uciszyła. Przęłyka ślinę, po czym spuszcza głowę, jak gdyby postanowiła dać za wygraną.

– Bardzo chcę, żeby wszyscy dobrze się bawili – mówię. – Planowałam to od tak dawna.

– Wiem – odpowiada pokorniej. – Przepraszam, Emmo.

Prowadzę ją do łazienki i nakłaniam, by z powrotem włożyła swoje ubrania. Nagle staje się posłuszna jak dziecko.

Wyciągam pierwszą lepszą płytę i włączam ją, podkrecając głośność do maksimum. To Candi Staton *You've Got the Love*. Moja ulubiona piosenka. To jak przeznaczenie.

Muzyka wywołuje pożądany efekt. Wszyscy zaczynają tańczyć. Nawet Katie – choć bez przekonania. Miranda jest już teraz porządnie pijana, ale wciąż wygląda w tańcu najlepiej ze wszystkich, a jej złota sukienka połyskuje w świetle lamp. Wstaję, by z nią zatańczyć, i naśladowuję jej ruchy, a ona szeroko się do mnie uśmiecha. Ale po chwili jej uśmiech słabnie.

– O co chodzi?

– To strasznie dziwne... Niesamowite...– (niewyraźnie wypowiada słowa, wszystkie jej „s” szeleszczą po szkocku, tak jak by je wypowiedział Sean Connery). Przymruża oczy, patrząc na mnie. – Mam wrażenie, że to już się kiedyś działo. Też tak czasem masz? Jakbyś mogła przysiąc, że pamiętasz dokładnie taką samą chwilę z przeszłości?

Typowe dla Mirandy – myśleć, że *déjà vu* to doświadczenie, które zdarza się jej tylko.

– Tak, czasem.

– To ta piosenka... – Marszczy czoło. – Mówię poważnie. Wiem, że kiedyś już do niej tańczyłam. Nie masz poczucia, że to wszystko się już kiedyś wydarzyło? – Patrzy na mnie pytająco. Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc wybucham śmiechem. Jeśli mam być szczerą, ona trochę mnie przeraża. Czuję ulgę, gdy za moimi plecami zauważa Julię.

– Julien – mówi. – Zatańcz ze mną. – Wyciąga do niego ręce i chwyta go za ramiona.

Julien na kilka minut robi jej przyjemność i posłusznie kołysze się razem z nią w rytm muzyki, trzymając dłonie na jej biodrach, ale w jego ruchach nie ma nic intymnego. Jeśli już, wygląda, jakby był znudzony. Ale to wszystko jest całkiem zrozumiałe.

Nagle nasza grupa robi się bardzo pijana. Czuję się, jakbym była tu jedyną osobą, która jeszcze panuje nad swoim ciałem i głową – może z wyjątkiem Katie. Mark ściągnął ze ściany głowę jelenia i chodzi z nią dookoła, nosząc ją jak maskę, udając, że wszystkich atakuje. Widzę, jaki jest pijany po opróżnieniu tej butelki, jego ruchy są nieskoordynowane. Samira piszczy – trochę jakby się śmiała, a trochę jakby naprawdę była przerażona – i robi przed nim unik, padając na jedną z kanap.

– Mark – krzyczę. – Odwieś to! – Ale on mnie nie słyszy – albo mnie ignoruje. Kiedy jest w takim stanie, nie da się przemówić mu do rozumu.

W międzyczasie Giles przechadza się po pokoju, pijąc szampana prosto z butelki. I jak gdyby do głowy wpadł mu nagły pomysł, zatyka kciukiem gwint i zaczyna zaciekle potrząsać szampanem jak kierowca Formuły Jeden. Po chwili puszcza, celując w Julię. Julien kuli się pod fontanną piany, która moczy jego koszulę i krocze. Ale duża część alkoholu w niego nie trafiła. Widzę, jak zalewa dywan z owczej skóry i wykwinny materiał, którym obita jest kanapa...

– Przestańcie... – krzyczę, biegnąc w ich stronę. – Przestańcie! – Ale kompletnie nie zwracają na mnie uwagi. W swoim upojeniu wydają się jacyś ogromni, a ich czyny większe i bardziej spektakularne. Teraz Julien skacze na Gilesa i łapie go za przód koszuli, szarpiąc go w dół, przez co koszula się rozrywa, a guziki fruną we wszystkie strony, upadając na podłogę z cichym stukotem. Mark odwraca się i widzi, co się dzieje. Odrzuca głowę jelenia jak dziecko, które zauważyło, że koledzy bawią się ładniejszymi zabawkami. Skacze na nich obu, jak gdyby nie chciał, by coś go ominęło, i chwytą ich obu za karki. Wszyscy trzej szarpią się, szamoczą i tracą równowagę. Słysząc huk, gdy upadają prosto na szklany stół

pośrodku pokoju. Tańczący – Miranda, Nick, Bo i Samira – stają w miejscu i patrzą, co się dzieje. Przyglądam się, jak szkło pęka na środku – powoli, niemal leniwie – po czym rozpryskuje się na drobne kawałeczki, które rozsypują się na wszystkie strony. We trzech próbują wygrzebać się spod odłamków.

– O kurwa – stęka Giles. I zaczyna się śmiać.

– To bez znaczenia – niewyraźnie mówi Julien. – Nie martw się, Emmo. – Rozgląda się za mną. – Zapłacę za to. – Rozpościera ręce. – Zapłacę za wszystko. – Wyciąga rękę do Marka, który jakimś cudem zdążył już wstać. – Pomóż mi, stary.

Mark bierze go za rękę i zaczyna podciągać Julię na nogi. Ale wtedy, kiedy już prawie go podciągnął, puszcza, przez co Julien z hukiem znów pada na podłogę. Zastanawiam się, czy tylko ja widziałam, że to nie był wypadek.

– Wybacz, stary – mówi.

Julien spogląda na niego i próbuje się roześmiać. Ale widzę, że jego oczy są skupione, prawie czarne.

Wszystko idzie zupełnie nie tak. Rozglądam się po zdemolowanym salonie i spoglądam na pięknie zastawiony stół w jadalni. Nie tak to sobie zaplanowałam. Ale wtedy widzę na ściennym zegarze, która jest godzina. Mam ochotę się rozpłakać, tak wielką czuję ulgę.

– Hej – wołam, składając dłonie w tubę, by zwrócić ich uwagę. – Już prawie północ.

MIRANDA

Chwiejnym krokiem wychodzimy na zewnątrz, nad brzeg jeziora. Julien idzie nieco pochylony. Chyba zrobił sobie krzywdę, kiedy przed chwilą wygłupiał się z Gilesem i Markiem. Na litość boską, przecież rozbili stół – są jak dzieci. Katie nadal jest owinięta wielkim wełnianym kocem. Przecież to niemożliwe, żeby *nadal* było jej zimno, prawda? Zawsze była taka cholernie delikatna. Wciąż czuję się trochę źle z powodu swojego zachowania. Nie względem Marka – należało mu się to już od wczoraj. Ale Katie niczego mi nie zrobiła, może poza tym, że trzyma się na dystans i niezbyt dobrze się bawi. Czasami kontrolę przejmuje nade mną jakiś impuls – ochota, by trochę przegiąć... nawet jeśli istnieje możliwość, że komuś stanie się krzywda. Nie potrafię się powstrzymać, to silniejsze ode mnie.

Chciałabym coś powiedzieć Katie, przeprosić ją, jeśli będę w stanie znaleźć odpowiednie słowa. Szampan naprawdę uderzył mi do głowy. Mój oddech tworzy mgiełkę w powietrzu, ale nie czuję zimna – szampan grzeje mnie od środka. Czuje się oślepiona. Zapomniałam, że przed szampanem wypiałam tyle wina. Moje myśli są skotłowane, umysł zamglony. Może byłoby lepiej, gdyby zrobiło mi się niedobrze.

Rozpoczyna się odliczanie do północy.

– Minuta! – woła Emma, spoglądając na swój zegarek.

Patrzę na gwiazdy. Nowy rok. Co mi przyniesie?

– Trzydzieści sekund!

Rozglądam się po innych. Wszyscy się uśmiechają, ale ich twarze w świetle dobiegającym z chaty myśliwskiej wyglądają dziwnie, jak duchy, a ich uśmiechy wypełniają zwierzęce kły.

Mark stoi z nową butelką szampana w ręku. Ani razu, odkąd graliśmy w grę, nie spojrzał w moją stronę. Przywykłam do tego, że zawsze na mnie patrzy. Nie tęsknię za tym – oczywiście, że nie. Ale jednocześnie, kiedy stoję tu w ciemności, mam wrażenie, że jestem niewidzialna... nieprzywiązana... jak balonik, który nagle może unieść się w górę, ku rozświetlonemu gwiazdami niebu.

– Dwadzieścia sekund... – Wszyscy skandują. – Dziewiętnaście, osiemnaście...

Nagle to wszystko przestaje mi się podobać. Mam wrażenie, że odliczamy sekundy do czegoś strasznego... wybuchu bomby. Wyobrażam sobie małe mrugające światełko.

– Pięć, cztery, trzy, dwa...

– Szczęśliwego Nowego Roku! – Wszyscy powtarzamy w odpowiedzi. Giles walczy ze swoją zapalniczką przy brzegu.

– Uważaj! – woła Samira swoim piskliwym, przenikliwym głosem.

– No szybciej! – krzyczę, próbując pozbyć się złego przeczucia. – Czekamy!

W końcu Gilesowi udaje się odpalić to coś. Zatacza się do tyłu. Następuje obiecujący syk, a po nim świst, aż w końcu wielka czerwona rakietka wystrzeliwuje z ziemi z odgłosem przypominającym krzyk, który nad jeziorem zamienia się w wybuch. Wszystko odbija się w jeziorze: tysiąc małych drobinek ognia. To coś pięknego. Próbuję się na tym skoncentrować, ale wszystko dookoła wiruje. Cisza, która potem następuje, jest taka... ciężka. A ciemność wokół nas jest taka gęsta, że prawie mogłabym wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Gdybyśmy byli w Londynie – albo gdziekolwiek bliżej cywilizacji – zobaczylibyśmy dookoła wybuchy innych fajerwerków. Przypominające nam o istnieniu innych ludzi, innego życia. Ale tu jesteśmy całkowicie sami.

Wciąż słyszę w głowie przenikliwy krzyk racy. Ale nie brzmi już tak samo – teraz brzmi jak człowiek. I pojawia mi się taka myśl... że to wcale nie był fajerwerk. Wyglądało to bardziej jak flara ratunkowa. SOS. Wystrzelona z pokładu tonącego statku.

Julien wraca do nas.

– Nie było to pokaz jak w Westminsterze – mówi.

– A kto by chciał Westminster i wszystkich tych ściśniętych, spoconych ludzi, skoro możesz mieć coś takiego? – mówi Emma. – To miejsce. – Szeroko rozpościera ramiona. – I najlepszych przyjaciół. – Bierze mnie pod rękę i szczerze się uśmiecha. Mam ochotę ją uściskać. Zajebiście, że jest.

A wtedy zaczyna śpiewać i jej głos jest zaskakująco dobry. Dołączam się do niej:

*Czy przyjaciela z dawnych lat
w niepamięć puścić mam?
Czy przyjaciela z dawnych lat
pochłonąć ma zły czas?*

Wiem, że dużo wypiliśmy, ale w ciemności i ciszy nasze głosy brzmią pięknie i jest w tym dźwięku coś bezbronnego. Drzewa wokół nas są takie gęste i ciemne. Każdy mógłby obserwować, jak odczyniamy ten mały rytuał.

To pewnie alkohol sprawia, że czuję się tak... dziwnie. Słyszymy głośny wystrzał i podskakujemy ze strachu, ale to tylko Nick otworzył kolejną butelkę szampana. Rozlewa go do kieliszków. Kiedy podaję jeden Katie, widzę jej twarz i przeszywa mnie dreszcz. Co jej jest? Niemożliwe, żeby to była wina szybkiej kąpieli w jeziorze. Nie spogląda nawet na kieliszek, który wyslizguje się jej z rąk.

– Ups! – mówi Bo, łapiąc go. – Prawie się rozbił!

Nick unosi swój.

– Za starych przyjaciół! – mówi. Spogląda prosto na mnie, kiedy to mówi. Nie wiem dlaczego, ale muszę odwrócić wzrok. Wychylam kieliszek do dna.

Dalej następuje dziwne milczenie. Żadne z nas zdaje się nie wiedzieć, co mamy robić dalej. Krajobraz wokół nas jest taki cichy w tej chwili

zapomnienia. Czuję, jak mój żołądek robi nieprzyjemne salto, ziemia pod moimi stopami zdaje się poruszać. O rany. *Zdecydowanie* jestem pijana.

– Powinniśmy się pocałować – mówi Samira. – Co się stało z całowaniem? – Wyciąga ręce i całuje Julięna w policzek. – Szczęśliwego Nowego Roku!

Mark odwraca się do mnie. Nie chcę, żeby mnie całował. Kiedy nachyla się w moją stronę, robię unik i jego usta trafiają w moje ucho. Zauważam irytację na jego twarzy, a nawet złość. Myślę o jego oczach wczoraj wieczorem i groźnym tonie jego głosu.

Odwracam się do Julięna. Jego twarz jest pod tym kątem całkowicie pogrążona w cieniu. Nie widzę jego rysów ani miny – jedynie ciemny błysk jego oczu. Kiedy nachylam się, żeby go pocałować – w usta oczywiście – nagle dopada mnie poczucie, że on też jest dla mnie obcy. Człowiek, z którym spędziłam tyle lat z mojego życia, z którym dzielę dom i łóżko, obok którego śpię niemal co noc. Jak mało potrzeba, myślę sobie, właściwie tylko cień, byśmy stali się dla siebie obcymi ludźmi. O rany. Alkohol skłania mnie do głębokich przemyśleń.

– Szczęśliwego Nowego Roku – mówię.

– Szczęśliwego Nowego Roku – odpowiada. Nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że lekko się obraca, zanim do niego dotrę, i moje wargi lądują w kąciku jego ust. Tak jak ja zrobiłam z Markiem.

Po mojej drugiej stronie stoi Nick.

– Nick! – mówię, siląc się na rozbawiony ton. – Raz jeszcze szczęśliwego Nowego Roku! Chodź tu. – Wyciągam ręce, a on pozwala mi się objąć. Pachnie nieziemsko, jak stoisko perfumeryjne Byredo w Liberty w Londynie. – Dlaczego nigdy nie staliśmy się lepszymi przyjaciółmi, Nick? – pytam. Brzmi to trochę tak, jakbym żebrała o jego uczucia. Nie miałam właściwie zamiaru powiedzieć tego na głos.

Robi krok w tył, trzymając ręce na moich ramionach: innym może się wydawać, że trzyma mnie w czułym uścisku. Spogląda mi prosto w oczy i mówi:

– Och, Mirando, myślę, że doskonale znasz na to odpowiedź.

Chodzi o sposób, w jaki to mówi – cicho, na bezdechu, że nikt inny nie może usłyszeć. Nagle ogarnia mnie chłód, który nie ma chyba nic wspólnego z lodowatym powietrzem. Robię krok w tył.

Piję trochę więcej. Dużo więcej, podczas gdy inni wokół mnie się bawią. Chcę znów się dobrze bawić. Chcę się pozbyć tego uczucia. Tego strachu głęboko w podbrzuszu, który jest głębszy niż wszystko, co czułam wczoraj w łazience. Czuję się tak, jak gdybym trzymała się brzegu klifu i powoli, jeden po drugim, moje palce zaczynały się prostować. Że pode mną jest... nic, utrata wszystkiego... wszystkiego, co ważne.

Bo przysuwa się do mnie.

– Nic ci nie jest? – On zawsze zauważa, gdy ktoś źle się czuje. To dlatego, że jest cichy i lubi obserwować, podczas gdy reszta z nas jest zajęta robieniem hałasu. I ma dobre serce. Jest zupełnie niepodobny do Nicka.

– Nie – odpowiadam.

– Chcesz się napić wody?

Wiem, że próbuje mi przez to powiedzieć, że powinnam.

– Dobrze. – Idę za nim do kuchni i przyglądam się w otępieniu, jak nalewa mi szklankę wody z kranu. Kiedy mi ją podaje, odpowiadam: – Dzięki. Może przez chwilę posiedzę tu sama.

– Okej – odpowiada, ale nie wychodzi.

– Idź! – Odganiem go.

– W porządku – mówi, a potem, machając do mnie palcem jak nauczyciel, dodaje: – Ale wróć tu, jeśli za jakiś czas się nie pojawisz.

– Zgoda. – A potem przypominam sobie, co powinnam powiedzieć. – Dziękuję, Bo.

– Nie ma sprawy, kochana. Ludzie tyle razy pomagali mi w ten sposób, że mam wobec wszechświata wielki dług do spłacenia.

– Ale Bo – mówię, zanim zdążę ugryźć się w język. – Przecież ja nie jestem ćpunką. Po prostu wypiałam za dużo szampana. – Ups. Wcale nie miałam zamiaru tego mówić.

Coś w wyrazie jego twarzy się zmienia, jego oczy się zwięzają. Nigdy go takiego nie widziałam. Zawsze mi się zdawało, że tam, w środku, musi być

ktoś inny, ktoś mroczniejszy. A sądząc po tym, co kiedyś opowiedziała mi Katie, ten ktoś był zdolny do dość odważnych zachowań. Jak gdyby nosił... maskę, a mnie udało się właśnie pod nią zajrzeć. Nagle czuję się trochę bardziej trzeźwa.

– Przepraszam, Bo – mówię. – Nie miałam tego na myśli. Nie wiem, co jest ze mną nie tak. Za dużo wypięłam. Proszę... – Wyciągam do niego rękę.

– Nie szkodzi – odpowiada lekkim tonem. Ale nie bierze mojej dłoni.

Czekam, aż sobie pójdzie, po czym wyłączam światło i pozwalam nogom ugiąć się pode mną, jakbym była składanym krzesłem. Siadam na podłodze. Przez moment tu odpocznę, aż otrzeźwieję... Co jest ze mną nie tak? Jak mogłam powiedzieć coś takiego do Bo, skoro on próbował mi pomóc?

Katie powiedziała mi kiedyś, że jestem „lekkomyślna”.

– Mówisz, co ci tylko wpadnie do głowy, bez zastanowienia. Problem polega na tym, że ludzie, których nie znasz, mogą pomyśleć, że to na serio.

Tak dobrze mnie zna. Ale nie wiem, czy wie, jak później siebie nienawidzę za te wszystkie lekkomyślne uwagi. Jak podczas studiów leżałam rano w łóżku następnego dnia po wspólnym wyjściu i zastanawiałam się bez końca nad tym, co powiedziałam i zrobiłam.

– Wszyscy się w tobie zakochują – powiedziała mi kiedyś Samira. – Nie są w stanie nic na to poradzić.

Często jednak zastanawiałam się, czy naprawdę mnie lubią.

Postanawiam zamknąć oczy tylko na chwileczkę.

Budzi mnie czyjś niski, naglący głos.

– Mirando? – To głos mężczyzny, ochryply szept, jak gdyby ten człowiek nie chciał, by go usłyszano. Kto to?

– Julien? – Przymrużam oczy w półmroku. Jestem zdezorientowana przez tę ciemność. W oddali słyszę pokrzykiwania reszty znajomych. Nie potrafię się skupić.

Mężczyzna robi rok w moją stronę i wtedy w końcu go poznaję. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Ma na twarzy dziwną, niemal groźną minę.

DOUG

Siedzi w jedynym fotelu w swoim domku. Od czasu do czasu dolewa sobie słodowej whisky. Jego celem jest tak się upić, żeby zwyczajnie stracić świadomość albo całkowicie się znieczulić, ale jego umysł z uporem zachowuje przytomność.

Jest sylwester. Kolejny rok się odmeldowuje. Mówi się, że czas leczy rany, ale w przypadku Douga nie pomógł zbyt wiele. Wydarzenia z ostatnich sześciu miesięcy są rozmyte – dni spędzone tutaj zlewają się ze sobą i niewiele rzeczy je od siebie odróżnia, może z wyjątkiem przemijających pór roku. Ale ten dzień z przeszłości – sprzed trzech lat – jest tak wyraźny, jak gdyby zdarzył się wczoraj, godzinę temu.

Za oknem rozlega się wybuch. Doug czuje, jak całe jego ciało robi się sztywne z zaskoczenia. Prawie pada na podłogę i ma wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Wtedy dociera do niego, co usłyszał. Sztuczne ognie. Nienawidzi ich. Po tylu latach wciąż tak na niego działają.

Dzień, w którym twoje życie zmienia się na zawsze. Czy ktokolwiek się go spodziewa? On na pewno nie. W ciągu kilku tygodni nie wydarzyło się nic ciekawego. Życie stawało się rutyną, zaczynało sprawiać wrażenie normalnego jak na miejsce takie jak prowincja Helmand. Żołnierze zaczęli się odprężyć, może nawet zrobili się mało uważni, mimo że wyszkolono ich tak, żeby nigdy nie tracili czujności. Ale kiedy musisz być aktywny dłużej niż przewiduje fizjonomia ludzkiego ciała, na przykład cztery dni z rzędu, to kiedy poziom zagrożenia spadnie, ciało musi się wyłączyć.

To był rutynowy patrol. Jak przejazd radiowozem po własnym rewirze. Mieli tylko sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak powinno. Żołnierze biegli

po patrolowanych ulicach, on siedział na dachu i miał ich osłaniać. Doug był jednym z dwóch snajperów. Musieli się zmieniać, żeby mieć pewność, że każdy z nich jest maksymalnie skoncentrowany, i tym razem wypadła jego kolej.

Żołnierze byli tuż pod nim, auta pancerne właśnie wchodziły w zakręt, kiedy zawołał do niego zwiadowca. Mały chłopczyk biegł w ich stronę z drugiego końca ulicy. Wszyscy zamarli, z wyjątkiem biegnącego dziecka. Doug zdał sobie sprawę, że chłopiec wygląda korpulentnie. Ubrany był kurtkę, która była na niego kilka rozmiarów za duża. I biegł prosto na żołnierzy. Miał około pięciu lat. Nie zdążył jeszcze w pełni wyrosnąć na chłopca, wyglądał, jakby dopiero niedawno zrzucił pieluchy. Wiedział jednak, co musi zrobić. Obrął cel przez wizjer, ustawił go na dziecko. Jego palec był na spuście. Ale chciał mieć pewność. Nie widział wyraźnie ładunków wybuchowych, tylko obszerną kurtkę.

Miał może dziesięć sekund. A potem dziewięć, pięć, trzy. Zwiadowca krzyczał do niego, ale Doug czuł się, jak gdyby był pod wodą – jego mózg i ciało jakby zwolniły. Nie mógł strzelić.

I wtedy wszystko wybuchło. Żołnierze. Furgonetki. Połowa ulicy. Wszystko w tej samej sekundzie, w której w końcu zdobył się na to, żeby nacisnąć spust.

Terapeutka, do której chodził, powiedziała mu, że jego reakcja była całkowicie zrozumiała – sytuacja, w której się znalazł, była niemożliwa. A mimo to nie potrafił tego wytłumaczyć ani sobie, ani rodzinom nieżyjących żołnierzy, którzy odwiedzali go w snach. Dlatego właśnie nie śpi – bo wtedy nie musi patrzeć na ich twarze i odpowiadać na ich niekończące się pytania. Ostatnio jednak zaczęli go odwiedzać na jawie. Widzi ich, jak idą w jego stronę pośród tutejszego krajobrazu. Wydają mu się tak realni, że mógłby ich dotknąć.

Dlatego właśnie ma szczęście, że dostał tę pracę. W innej mógłby nie być w stanie tego ukryć. Ktoś by zauważył, że dziwnie się zachowuje, i to zgłosił, i wszystko by się skończyło. Ale tu nie ma nikogo, kto miałby coś zauważać. Jest Heather w biurze, ale ona nie siedzi mu na ogonie. I całkiem

możliwe, że sama przed czymś się ukrywa. Bo z jakich innych powodów młoda, trzydziestokilkuletnia, atrakcyjna kobieta przyjechałaby do takiego odludnego miejsca? Doug nie pyta jej o powody, a ona nie pyta jego. To takie niewypowiedziane, wzajemne porozumienie.

Miał szczęście, że szefowi nie przeszkadzała ta druga sprawa, mimo że musiał ją zgłosić na swoim podaniu o pracę.

– Szef o to nie dba – powiedział gość w garniturze, który przeprowadzał z nim rozmowę o pracę. – Chce, żeby się pan tam czuł, jakby miał czyste konto. – Czyste konto. Dobre sobie.

Włącza telewizor i natychmiast tego żałuje. Jedyne, co pokazują, to tysiące szczęśliwych twarzy: rodzin wtulonych w siebie na brzegach Tamizy, którym w oczach migoczą czerwone i złote płomyki z pokazu fajerwerków. Zastanawia się, co robi Heather w swoim domku. Widział późno w nocy palące się u niej światło. Wie, że ona też nie najlepiej sypia.

Mógłby tam pójść z butelką whisky, tak jak już wiele razy planował. Przypomina sobie tamtą noc, kiedy spotkali się przed domkami – kiedy usłyszała tamten dźwięk. Pamięta wszystkie szczegóły, obraz w jego głowie jest bardzo wyraźny – rumieniec na jej policzkach, jej ciemne, zmierzwione włosy, ogromną piżamę, w której tonęło jej ciało. Zaprosiła go do środka, a potem zarumieniła się, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Oczywiście odmówił. Ale wyobrażał sobie, jak wchodzi za nią. Wyobrażał też sobie dużo więcej podczas szarych bezsennych godzin nocy, kiedy zauważał światło w jej domku. Wyobrażał sobie, jak dociska ją do ściany, jak ona owija go nogami w pasie i jak mogłyby smakować jej usta... Nie pójdzie tam. Nie dzisiaj ani w żadną inną noc. Ktoś taki jak on ma obowiązek trzymania się z daleka od kogoś takiego jak ona. Heather nie zasługuje na katastrofę, którą on uosabia.

Tego typu życie jest już dla niego zamknięte. Nachyla się w stronę ognia. Unosi dłoń i z obojętnym spojrzeniem naukowca trzyma ją w płomieniach, tak że jego skóra smaży się jak stek.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Doug stoi w drzwiach i patrzy na mnie, ściągając brwi.

– Wejdz – mówię. – Zamknij drzwi. – Łowczy staje przed biurkiem, dominując nade mną wzrostem.

– Doug, nie powinnam była tego robić. Ale muszę ci się do czegoś przyznać. Wyguglałam twoje nazwisko. Dowiedziałam się o sprawie w sądzie.

Nic nie odpowiada. Wlepia wzrok w podłogę.

– Co się stało? – *Wytłumacz mi to* – myślę sobie. – *To co zrobiłeś. Tę przemoc. Pomóż mi zrozumieć.* Choć nie wiem, czy jest w stanie. Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego wytłumaczenia.

Doug bierze głęboki wdech i zaczyna mówić.

Był ze znajomymi w barze w Glasgow, jakieś trzy miesiące po tym, jak wrócił ze służby.

– W Afganistanie. Sześć miesięcy.

Wypił o jednego za dużo, a wręcz o kilka za dużo, ale po raz pierwszy od dawna czuł się swobodny i odprężony. I wtedy podszedł do niego jakiś gość.

– Hej, ja cię znam – powiedział. – Rozpoznaję twoją twarz.

– Wątpię – odparł Doug, ledwie zerkając na obcego mężczyznę.

– Nie – upierał się tamten. – Naprawdę. – Wyciągnął telefon i zaczął czegoś szukać. Podsunął mu swoją komórkę. Facebook, zdjęcie, a na nim on. W prowincji Helmand. – To mój najlepszy przyjaciel, Glen Wilson. Wiedziałem. To ty, prawda? Na zdjęciu razem z nim. Wiem, że to ty.

Doug ledwie był w stanie zmusić się od tego, by spojrzeć na fotografię.

– Skoro tak mówisz, to na pewno tak jest – odparł, czując, jak piwo kwaśnieje mu w żołądku. Wciąż starał się tylko spławić gościa. Może to go uspokoi. – To muszę być ja.

– Czyli tam byłeś? – Mężczyzna stał za blisko niego.

– Tak, byłem tam. Znałem Glena. Był świetnym gościem. – Tak naprawdę nie był. Zawsze szukał zaczepki, ale o zmarłych nie powinno się źle mówić. A Doug znał bardzo wielu zmarłych.

– Byłeś w jego regimencie? – Twarz cuchnącego piwem mężczyzny przysunęła się do niego. Mówił za głośno. Jego usta wykręcał wojowniczy grymas, ramiona miał napięte. Doug wyczuwał narastające w tle zainteresowanie otaczających ich osób i działającą na wszystkich jak magnes obietnicę konfrontacji. *Coś się stanie.*

– Tak – odpowiedział, starając się nie tracić rezonu, mówić spokojnie, neutralizować ton mężczyzny. Terapeutka nauczyła go kilku ćwiczeń oddechowych. Mógłby ich spróbować. – Tak, byłem.

– Nie rozumiem – odparł na to gość, uśmiechając się, choć to nie był prawdziwy uśmiech, raczej szczerzenie kłów. – Myślałem, że wszyscy w tym regimencie zginęli. Myślałem, że zostali otoczeni i wysadzeni w powietrze przez talibów.

Doug przymknął oczy. *To była Al-Kaida.*

– Bo tak było. Większość z nas...

– No to jakim cudem udało ci się uciec, stary? Popatrz na mnie, mówię do ciebie. Jak to możliwe, że ty tu stoisz cały i zdrowy i pijesz sobie pierdolone piwo, podczas gdy mój najlepszy kumpel leży pod domem jakiegoś ciapatego. Możesz mi to wyjaśnić?

Czuł, jak coś w nim wzbiera. Coś niebezpiecznego, co gwałtownie rośnie poza jego kontrolą.

– Nie muszę ci tego tłumaczyć, stary. – Starał się wciągać powietrze przez nos i wydychać ustami. Nie pomagało.

Mężczyzna zrobił kolejny krok w przód.

– A mnie się wydaje, że musisz. I mamy całą noc. Nigdzie nie pójde, dopóki mi tego nie wytłumaczysz jak sześciolatkowi. Bo kochałem tego gościa jak brata. I mogę ci powiedzieć, jak to wygląda z mojego punktu widzenia.

– No jak? – Nadal walczył z tym, co w nim narastało. – Jak to wygląda? Obcy gość pchnął go w sam środek torsu.

– Wygląda to tak, że jesteś jebanym tchórzem.

Wtedy zasnuła go czerwona mgła – czerwona mgła, o której słyszał – choć w jego przypadku to była raczej powódź. I w tamtej chwili był bardziej sobą niż przez te wszystkie minione miesiące. Bardziej niż w starych dobrych czasach, gdy dopiero co został wysłany na wojnę.

Rzucił się do przodu i chwycił mężczyznę za fraki.

– Jak się nazywasz?

Mężczyzna przełknął ślinę, ale nie odpowiedział.

– Jak się nazywasz, cwaniaku? Zapomniałeś języka w gębie?

Mężczyzna wydał z siebie kolejny gardłowy charkot i Doug zdał sobie sprawę, że trzyma go za kołnierz odrobinę za mocno, by ten mógł wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa. Minimalnie poluzował uścisk i ryknął w stronę faceta:

– Jak masz, kurwa, na imię!?

Koledzy mężczyzny nie wyrywali się do pomocy.

– Niezli kumple, co? – Spojrzał na nich. Miał wrażenie, że jeśli będzie taka potrzeba, da im wszystkim radę, i zastanawiał się, czy on też o tym wie.

– A-Adrian.

– No to pozwól, że coś ci powiem, *Adrianie*. Myślę, że nie powinieneś się mieszać w sprawy, o których nie masz pojęcia, rozumiesz? Nie muszę się przed nikim tłumaczyć, a w szczególności nie przed takim małym gnojkiem jak ty. Jaki masz zawód?

– Księ-księ-księgowy.

– No pewnie. Księgowy. – Potrząsnął gościem, na co tę zaskamlał. Doug uświadomił sobie, że szkoda na to jego siły. Nagle poczuł się zmęczony

i bardzo trzeźwy. Powódź się wycofywała. Ten człowiek nie był wart jego energii. Puścił go. – Wyświadczyć sobie i innym przysługę i przestań się zajmować sprawami, których nigdy nie pojmiesz. Dobra?

Nie usłyszał odpowiedzi. Mężczyzna masował sobie gardło. Ale dwukrotnie pokiwał głową.

Douga bolała ręka. Napiął ją. Nie był dumny z tego, co zrobił, ale przynajmniej w porę się opanował. Ale wtedy usłyszał cichy głos:

– Pierdolony tchórz.

Wtedy całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Potwierdzili to liczni świadkowie, bo w barze było pełno ludzi. Zeznali, że ich zdaniem wyglądało tak, jakby Doug miał zamiar zabić gościa. Dopiero policja go od niego odciągnęła. Adrian Campbell. Tak się dokładnie nazywał. Campbell nie pierwszy raz wdał się w bójkę w barze i ogólnie słynął z zakłócania porządku. Zaczepka w połączeniu z zespołem stresu pourazowego, którego jeszcze wtedy u niego nie zdiagnozowano, sprawiły, że Doug nie panował nad swoimi czynami.

Nie było dla niego szczególnym zaskoczeniem, że prawnik poradził mu, by nie wspominać o tym w sądzie. Skazano go na dwieście pięćdziesiąt godzin prac społecznych i terapię u psychiatry. Jeśli chodzi o to drugie, to wolałby chyba więzienie.

– Okej – mówię, kiedy Doug kończy opowiadać. Ale nic tak naprawdę nie jest w porządku. Nie wiem, jak się z tym czuję. Z jednej strony jest fakt, że mimo ogromnej przemocy, historia brzmi logicznie. Doug ma PTSD i został sprowokowany. Z tego, co mówił, tamten mężczyzna próbował go sprowokować. Podejrzewam, że rzuca to jakieś światło na potworne informacje, jakie przeczytałam w internecie. Ale cichy głosik podpowiada mi: *Ten mężczyzna cię pociągga, choć nie chcesz tego przyznać, i dlatego próbujesz wytłumaczyć niewytłumaczalne.* Bo jego szczerą, wyzuta z emocji relacją z tego, co się stało, doskonale ilustruje to, do czego jest

zdolny. W dziwny sposób dużo dobitniej niż te przesycone tanią sensacją kolumny w internetowych serwisach.

Nie wiem, co myślał sobie nasz szef, pozwalając mi tu zamieszkać z człowiekiem, który dopuścił się czegoś takiego, ale to inna kwestia. Najważniejszym pytaniem jest teraz to, czy Doug byłby w stanie zabić naszego gościa? Nie, oczywiście, że nie. A przynajmniej... chyba nie. Mam nadzieję, że nie.

No chyba, że ona go sprowokowała.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ
NOWY ROK 2019 ROKU

EMMA

Przyjęcie nad jeziorem nagle się rozpierzcha. Giles powiedział, że pójdzie sprawdzić, co z Priyą, Katie poszła po kolejny sweter. Jest za zimno, żeby dużo dłużej tu wytrzymać.

– Cholera – mówi Bo. – Miranda nadal nie wróciła. Założę się, że urwał się jej film. Powiedziała, żebym zostawił ją samą. I jeśli mam być szczery, to nie jest obecnie najlepszą wersją siebie.

– Zostaw ją – mówi Nick. – Sen jej pomoże.

– No nie wiem – odpowiada Bo. – Była w dość kiepskim stanie...

– Ja pójdę – mówię.

Kiedy wchodzę do chaty myśliwskiej, jest tam ciemno i bardzo cicho – do tego stopnia, że zakładałam, że Mirandy nie może tu być. Ale po chwili słyszę głosy. Coś sprawia, że się zatrzymuję – zaciemniony pokój ma w sobie pewną intymność, przez którą nabieram wrażenia, że nie powinnam przeszkadzać. Jeden głos jest niski i chropawy, prawie jak szept. Drugi jest pijany i zadziorny.

– No halo, przecież musiałam powiedzieć prawdę. Na tym polega ta gra.

– Wcale nie musiałaś. Wiesz o tym, że nie musiałaś. Chciałaś zagrać mi na nerwach.

Przenikliwy, wredny śmiech.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie pomyślałam o tobie *ani razu*.

– Dobrze. Ale sama przyznajesz – nie myślałaś. Nie myślisz. A co z Julienem?

– Nie będzie się nad tym zastanawiał. Kiedyś powiedziałam mu, że spałam z Katie, żeby go podniecić. Stworzył sobie całą fantazję o puszczalskich studentkach. Wyluzuj. Ona *nigdy* się nie domyśli, że chodziło o ciebie, Giles.

– Jeśli nie zauważyłaś, to nie ma tu zbyt wielu kandydatów. Nie potrzeba geniusza, żeby się domyślić. Samira wie, że byliśmy w jednej grupie.

– Przestań pieprzyć. Nie wiem, czym się tak przejmujesz. Przecież to się zdarzyło milion lat temu.

– Ale najwyraźniej za mało, żebyś mogła o tym zapomnieć i nie wspominać o tym przy jakiejś durnej grze. Gdyby Samira się o nas dowiedziała, mimo że to się zdarzyło tak dawno temu, to byłoby bardzo, bardzo źle. Miała dużo trudności po urodzeniu Priyi, więcej niż myślisz. I zawsze to podejrzewała – że w przeszłości coś się mogło między nami wydarzyć. Że coś do ciebie czuję. Co jest oczywiście całkowitym nonsensem.

– Na pewno? – odpowiada na to Miranda. – Na pewno, Giles? A co z tamtą imprezą...

– Do jasnej cholery. Co ty próbujesz powiedzieć? Nie patrz tak na mnie. Posłuchaj... wszyscy trochę za dużo wypiliśmy. Chyba przyszła pora, żebyśmy położyli się spać. *Wiem*, że nic jej nie powiesz. Przez moment się tylko zmartwiłem, kiedy graliśmy w tę głupią grę.

– No nie wiem. Nie mogę ci niczego obiecać. Taki mały sprawdzian może się okazać dobry dla waszego małżeństwa. A dla nas wszystkich ożywczy. Może nie jesteście taką idealną parą, jak się wam wydaje.

– Do cholery, Mirando. – Teraz praktycznie już syczy. – Wiesz co? Pewnego dnia przesadzisz.

Wtedy słyhać nagły stęk, głęboki, zwierzęcy dźwięk.

– Do cholery – powtarza Giles.

Miranda, w swojej złotej sukience, klęczy na podłodze i wymiotuje.

Giles patrzy na nią bez większych emocji. W ogóle nie wygląda już na mężczyznę, którego znałam – troskliwego męża i ojca, człowieka, który na szpitalnym oddziale ratuje ludziom życie. Spodziewałabym się, że dobry

człowiek przykucnąłby przy niej i przytrzymał jej włosy. Dzisiejszego wieczoru zobaczyłam go od innej strony.

Wtedy nagle się odwraca, zanim zdołam się ukryć. Nasze oczy się spotykają.

MIRANDA

Kiedy się budzę, jest bardzo ciemno i cicho. Przez chwilę nie mam absolutnie żadnego pojęcia, gdzie się znajduję. Wodzę ręką po omacku, by sprawdzić, gdzie jestem. Czuję się absolutnie paskudnie, jak gdyby mój żołądek i gardło zostały wyszorowane metalowym drapakiem do garnków. Mam w ustach kwaśny, gryzący smak. Co mi jest? Czy jestem chora? Znajduję dłońią pstryczek i włączam lampę.

Światło uświadamia mi, gdzie jestem. Z okropną nieuniknionością wydarzenia ostatniego wieczoru powracają do mnie. Za dużo wypiałam. Musiałam udowodnić, że jestem jedyną i niepowtarzalną duszą towarzystwa. Gil zadreślał mnie swoją paranoją. W sumie może to nie całkiem paranoja. Wiem, że Samira zawsze miała swoje podejrzenia. I w tamtym czasie wcale nie byłam z siebie zadowolona... doszło do tego po pewnym wyjściu naszej grupy do baru, podczas którego strasznie się upiłam. Już wtedy wiedziałam, że Samira go lubi. Ale bez przesady – to się stało, jeszcze zanim oni w ogóle zaczęli się spotykać. Jeśli coś takiego miałoby sprawić ci przykrość, to szczerze mówiąc, jesteś trochę za delikatny. Jeśli ktokolwiek powinien się martwić w tej sytuacji, to tą osobą jestem ja. Bo ja byłam już wtedy z Julienem.

O Boże, a teraz przypominam sobie, jak wymiotowałam, gdy Giles na mnie patrzył, prawie jak by mi życzył, żebym się przy tym udławiła. Kiedy przyszedł Julien, wyglądał na zmęczonego i nieco zde gustowanego. Nie, nie byłam na tyle pijana, by tego nie pamiętać.

Zerkam do lustra, które wisi nad toaletką. Wydawało mi się, że wyglądałam nieziemsko w tej złotej sukience. Nie, *wiedziałam*, że wyglądałam nieziemsko. Ale teraz obudziłam się chyba w równoległym wszechświecie. Materiał jest pomięty i poplamiony, a makijaż (ostatnio

noszę go dość sporo) dostał się w zmarszczki wokół oczu i ust, które, mogłabym przysiąc, wczoraj nie były jeszcze takie głębokie. Odsuwam się od lampy, myśląc o Blanche DuBois chowającej się przed światłem. Czy taka właśnie się stanę? Czy istnieje coś smutniejszego niż piękna kobieta, która straciła urodę?

Z jakiegoś powodu w mojej głowie w kółko gra ta sama piosenka. *You've Got the Love* Candi Staton. I jest coś, co nie daje mi w związku z tym spokoju, choć nie potrafię sobie uświadomić co. To było wczoraj wieczorem i ktoś powiedział coś niepokojącego. Tylko kto to był? I co powiedział?

Ale przynajmniej czuję się mniej pijana. W końcu zwróciłam z żołądka prawie cały alkohol. Nie mam pojęcia, która jest godzina. Ale Julien jeszcze nie wrócił, więc impreza musi nadal trwać. Nagle dopada mnie straszna myśl, że coś mnie omija, że oni bawią się beze mnie. Nie mogę uwierzyć, że urwał mi się film. Muszę wziąć się w garść i tam wracać. Wszyscy się pewnie tego po mnie spodziewają. Chwiejnym krokiem idę do łazienki, przejeżdżam grzebieniem przez włosy, ochlapuję wodą twarz i próbuję poprawić rozmazany pod oczami makijaż, co nie przynosi wielkich efektów. Myję zęby – to przynajmniej coś. Która jest godzina? Czwarta nad ranem. Wow, pozostali naprawdę postanowili wykorzystać ten wieczór do samego końca. Znów czuję to ukłucie, gdy pomyślę, ile dobrej zabawy mnie ominęło. Zawsze szczyciłam się tym, że jestem duszą towarzystwa. Julien powiedział tak nawet na naszym ślubie:

– Kocham cię – wyznał, patrząc mi w oczy – bo jesteś duszą towarzystwa.

– I z kilku innych powodów, mam nadzieję – dodałam żartobliwie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście.

Ale to wyrażenie zapadło mi w pamięć. Pamiętam, jak na mnie patrzył, kiedy to mówił, i nie mogę odpuścić tego aspektu mojej osoby. No to teraz mu pokażę.

Otwieram drzwi domku. Zimno uderza mnie jak policzek. Nie daję się zniechęcić. Zapalone światła nie pochodzą z chaty myśliwskiej, tak jak zakładałam, ale z sauny. Jestem trochę rozżalona – mogli po mnie przyjść i zapytać, czy chcę się przyłączyć. Przecież mówiłam, że chcę z niej skorzystać.

Ślizgam się, idąc po zamrożonej ścieżce, po drodze mijając chatę myśliwską. Wszystkie światła są wyłączone z wyjątkiem jednej lampy w salonie. Widzę, jak Mark śpi na jednej z kanap. Kolejna ofiara tego wieczoru. Czuję się trochę lepiej, wiedząc, że nie byłam jedyna.

W powietrzu unosi się zapach, który poznaję z wyjazdów narciarskich: niemal metaliczna świeżość. Przypominam sobie ostrzeżenie Douga. Czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy wszyscy siedzieli w saunie i patrzyli na śnieg padający nad jeziorem? Byłoby tak malowniczo. Dałoby to nam miłe wspomnienie z tego wieczoru, które wymazałoby moje błędy.

Gdy jestem już dość blisko, słyszę dziwny odgłos, na który staję jak wryta. Jest zwierzęcy. Pomiedzy jękiem a stęknieniem. Brzmi tak, jak gdyby dobiegał od strony sauny, z lasu. Czuję, jak wychodzi mi gęsia skórka, i zaczynam szybciej iść w stronę sauny, która teraz objawia mi się jak schronienie przed dziczą przyrody.

Zaledwie kilka kroków od drzwi znów słyszę ten dźwięk i tym razem się waham. Bo jestem prawie pewna, że nie pochodzi z rozpościerającego się za sauną lasu, ale z jej wnętrza.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019

HEATHER

Idę do małej łazienki przy moim biurze, żeby ochlapać sobie twarz zimną wodą, próbując zebrać myśli po wszystkim, czego dowiedziałam się o Dougu.

Właśnie wycieram się ręcznikiem, kiedy coś słyszę – mruczące głosy. Mężczyzna i kobieta. To dwoje gości, ale nie wiem którzy. W moim uchu oni wszyscy brzmią tak samo: stolica, uprzywilejowana klasa średnia.

Najpierw mówi mężczyzna.

– Jeśli się dowiedzą, to mam przerąbane.

– Dlaczego ktoś miałby się dowiedzieć? – odpowiada kobieta.

– Zostawiła liścik.

Nieruchomieję i przysuwam się do ściany tak cicho, jak tylko mogę. Korytarz prowadzący do tylnych drzwi otacza moje biuro. Ktoś mógłby tu przyjść, żeby przeprowadzić poufną rozmowę, i nawet się nie zorientować, że po drugiej stronie znajduje się pomieszczenie, bo do toalety można wejść tylko z biura.

– Liścik? – powtarza kobieta. W jej głosie pobrzmiewa niedowierzenie. – Nie zniszczyłeś go?

– Nie. Nie pomyślałem. Byłem zbyt spanikowany. Teraz nawet nie wiem, gdzie się znajduje...

Następuje długa cisza, podczas której, czuję to, kobieta próbuje się powstrzymać od tego, by wygarnąć swojemu rozmówcy. Co to za liścik? Samobójczy? Mało prawdopodobne, bo z tego, co wiem, bardzo trudno udusić samego siebie.

– Ważne jest to – w końcu spokojnym tonem mówi kobieta – że nie miałeś nic wspólnego z jej śmiercią. To się liczy. Przecież to zobaczą.

– Jesteś pewna? – odpowiada na to. Jego głos robi się przenikliwy, spanikowany. Ale po chwili znów popada w szept, jeszcze cichszy niż poprzednio. Myślę, że kobieta go uciszyła. Dociskam ucho do ściany.

– Kiedy na jaw wyjdą inne rzeczy na mój temat ... kiedy okaże się, co ze mnie za człowiek...

Nagle rozlega się huk. Odskakuję, nie wiedząc, co się dzieje, i zdaję sobie sprawę, że strąciłam ramieniem obraz ze sceną myśliwską wiszący obok. Spadł na ziemię i dookoła posypało się stłuczone szkło.

Głosy oczywiście milkną. Niemal czuję, jak para stoi w korytarzu sparaliżowana strachem, ledwie będąc w stanie oddychać. Tak cicho, jak potrafię, zakradam się z powrotem do biura.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ
NOWY ROK 2019 ROKU

MIRANDA

Widok, który zastaję w saunie, jest absurdalny. Jestem tak zaskoczona, że czuję dziwną ochotę, by się roześmiać. Pamiętam jak, gdy byliśmy dziećmi, nasz kot został przejechany przez samochód i kiedy mama nam o tym powiedziała, pierwszą reakcją mojego brata było głośne „Ha!”. Byłam tak wstrząśnięta, że go uderzyłam. Ale mama wyjaśniła nam, że to tylko reakcja na traumatyczne wydarzenie. Umysł doświadcza zvarcia, nie będąc w stanie czegoś przyswoić.

Oto co widzę: mój mąż klęczy na podłodze sauny. Widzę nad nim Katie. Moją najlepszą przyjaciółkę, moją najstarszą przyjaciółkę. Całkowicie nagą. Jej nogi są rozkraczone, jego głowa między nimi. Moja przeciętna, płaska jak deska przyjaciółka o grubych udach. Odgina głowę w ekstazie. On chwyta ją za łydki. Ona zaplata stopy za jego plecami. I gdy tak na nich patrzę, Julien wyciąga rękę i dotyka nią sutka jej piersi, która wygląda jak ucho jamnika. To już dla mnie za wiele. Samo mi się wyrywa.

– Uch.

Zamierają w bezruchu. Oboje powoli się odwracają i spoglądają na mnie. Julien – *o Boże* – wyciera usta wierzchem dłoni. Ich miny są z początku całkowicie zaskoczone i próbują przyswoić to, co widzą. Czuję zalewającą mnie falę przerażenia jak truciznę wkraczającą do krwiobiegu. Spoglądam na wiadro gorącego węgla i przez moment kusi mnie – naprawdę mnie kusi – żeby wziąć szufłę i nim w nich rzucić.

To wszystko jakiś absurd. Mój mąż i moja najlepsza przyjaciółka. Prawie oczekuję, że za chwilę wybuchną śmiechem i zaczną sobie gratulować, jaki

światny wykręcili mi numer, tak jak zrobili na mojej imprezie urodzinowej z okazji trzydziestki. Ale ta sytuacja jest raczej trudna do wytłumaczenia.

– O Boże – mówi Katie. – O Boże.

– Myślałem, że śpisz – mówi Julien. – Zostawiłem cię w naszym domku. Byłaś nieprzytomna... – I wtedy, najwyraźniej zdając sobie sprawę, jakie to idiotyczne oskarżać żonę o to, że nie jest tam, gdzie powinna, mówi: – O Boże, Mirando. Kurwa. Przepraszam. To nie tak, jak myślisz.

I teraz naprawdę wybucham śmiechem jak jakaś szalona czarownica, co sprawia, że tylko bardziej zaczynają się bać. Chcę, żeby się bali.

– Ani się waż wracać do naszego domku – mówię do Juliana. – Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, gdzie spędzisz noc. Możesz u niej, bo teraz już w ogóle mnie to nie obchodzi. Ale nie chcę widzieć twojej gęby. Więc się do mnie nie zbliżaj. – Jestem zaskoczona tym, z jakim opanowaniem mówię, kontrastem pomiędzy wewnętrzną i zewnętrzną wersją mnie.

– Musimy porozmawiać...

– Nie, nie musimy. Nie będę chciała z tobą rozmawiać ani na ciebie patrzeć przez bardzo długi czas. Może nawet nigdy więcej. – Gdy wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że mówię szczerze. Byłam na niego wściekła za spekulacje giełdowe i na początku przeszło mi przez myśl, by od niego odejść. Ale nigdy poważnie tego nie rozważałam. Teraz to co innego.

Bez słowa kiwa głową. Nie mogę zmusić się do tego, by spojrzeć na Katie.

– Nie mogę uwierzyć, że zmarnowałam na ciebie tyle czasu. Na was oboje.

I wtedy coś świta mi w głowie, coś niemal zbyt okropnego, by powiedzieć to na głos. Ale muszę to powiedzieć. Muszę wiedzieć. Odwracam się do Katie, ale wciąż nie patrzę bezpośrednio na nią, tylko w jej kierunku.

– Nie piłaś – mówię. – W pociągu. Widziałam. Miałaś kieliszek wina, ale go nie wypiałaś. Nie piłaś przez cały wyjazd.

Cisza. Ona zmusi mnie, żebym powiedziała to sama. Widzę nawet teraz, jak kuli się w swojej nagości. Próbuje to przede mną ukryć: to właśnie dostrzegłam wcześniej, gdy była w bieliźnie, ale wtedy byłam za bardzo pijana i nie skojarzyłam. To nie jest poświęteczna oponka. Katie nie należy do osób, które mają ten problem.

– Jesteś w ciąży. – Kiedy nie odpowiada, powtarzam to raz jeszcze, głośniej: – Jesteś w ciąży. Powiedz to, do kurwy nędzy. Jesteś w ciąży. Z nim. O mój Boże.

Widzę, jak Julien rozdziawia usta. Czyli nie wiedział. Ta jego oburzona mina to moje małe zwycięstwo.

– Mando – mówi Katie. – To był wypadek... Prze...

Podnoszę rękę, żeby ją powstrzymać. Nie będę przed nimi płakać. Tylko o tym jestem w stanie myśleć. Miranda Adams nigdy nie płacze.

– Możecie sobie siebie wziąć – mówię, czując, jak żal i wściekłość przepływają przeze mnie jak kwas. Ta ciąża jest w jakiś sposób dużo gorsza niż romans. Poczucie, że zostałam okradziona, jest dużo większe. Jakby Katie mi ją ukradła. To dziecko w jej brzuchu powinno być moje.

– Wrócę do Londynu porannym pociągami – mówię i jestem dumna, że mój głos tylko raz brzmi tak, jakby miał się załamać. – Mam kilka rzeczy do zrobienia. Jest pewna sprawa do wyjaśnienia – sekret, którego strzegłam zdecydowanie za długo. Chyba wiesz, o czym mówię – zwracam się do Juliana.

Robi wielki o czy.

– Nie zrobiłabyś tego, Mirando. Nie wierzę.

Oczywiście, że bym zrobiła.

– Tak sądzisz? – Uśmiecham się. Wiem, że jeszcze bardziej wyprowadzi go to z równowagi. – Myślisz, że tak dobrze mnie znasz? Jeszcze kilka minut temu sądziłam, że ja znam ciebie. Ale wychodzi na to, że się myliłam. A ty myślisz, że wszystko o mnie wiesz? Chcesz się dowiedzieć, jak mało mnie rozumiesz?

– W ten sposób zniszczysz też i siebie.

Przykładałam dłoń do ust, udając, że się zastanawiam. Niemal czerpię przyjemność z tego, jak się miota. Ale to niewielkie wynagrodzenie.

– Nie wydaje mi się. Wszystko im wytłumaczę. Nawet to, jak z początku próbowałeś mnie okłamać. Zgoda, może to będzie dla mnie żenujące i może będę musiała zapłacić jakąś małą grzywnę za to, że tak długo zwlekałam. Ale to nie ja stracę pracę. To nie ja pójdę do więzienia. To będziesz ty, jeśli jeszcze nie jest to dla ciebie jasne. To ty pójdziesz do więzienia.

Jego usta są zaciśnięte, posępne.

– To spore przewinienie. Zwłaszcza po ostatnim krachu gospodarczym. Myślisz, że jakakolwiek ława przysięgłych będzie się zastanawiać nad wyrokiem? Przecież jesteś bankierem krwiopijcą. Wystarczy, że raz spojrzą na tę twoją zarozumiałą gębę i powiedzą sędziemu, żeby od razy wsadził cię za kraty.

Nawet nie wiem, czy w sprawie przestępstw giełdowych orzeka ława przysięgłych, ale to wystarczy, by zobaczyć strach na twarzy Julienu. Katie wygląda na całkowicie skonsternowaną. Najwyraźniej tym jednym sekretem się z nią nie podzielił. Szczęściara.

Julien znów robi krok w moją stronę i tym razem wystawiam obie ręce, by powstrzymać słowa, które mogłyby na mnie wpłynąć. Żeby mu pokazać, że nie zmienię zdania.

– To zrujnuje nas oboje, Mando.

Skrócona, poufała wersja mojego imienia – jak gdyby to mnie miało zmiękczyć.

– Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj – mówię. – I owszem, kiedy się już rozwiedziemy, kiedy już się z tobą rozprawią, pewnie będę miała mniej pieniędzy. Jeśli o to ci chodzi. Ale przynajmniej będę miała czyste sumienie.

A na dodatek się zemszczę.

KATIE

Taka jest właśnie prawda. Ta, której wyjawienia nie mogłam zaryzykować w grze.

To był naprawdę długi tydzień. Dwie noce spałam w biurze. Mamy tam takie małe pokoiki, gdzie można złapać kilka godzin odpoczynku. I gdyby ktoś się zastanawiał, nie chodzi w tym o to, że firma się o nas troszczy. Chodzi o to, żebyśmy byli pod ręką, żebyśmy pracowali, ile tylko się da. Mój mózg wydawał się otepiały. Sprawa się zakończyła, mogłam wrócić do domu, tylko że nic tam na mnie nie czekało z wyjątkiem lodówki z – w najlepszym wypadku – kartonem skwaśniałego mleka w środku, i wspaniałego, ale przytłaczającego widoku na City, w którym wypruwałam sobie żyły. I cisza. Cisza samotnej kobiety, która ma do towarzystwa tylko jedną, co najwyżej dwie butelki wina.

Była dwudziesta druga. Za późno, żeby do kogokolwiek zadzwonić, umówić się. Jeszcze kilka lat temu nie byłoby to problemem. Wszyscy byliśmy zajęci, ale zawsze działało się coś, do czego w ostatniej chwili mogłam się podczepić. Domówka – Samira cały czas je urzędowała – albo clubbing z Mirandą, wielka kolacja z całą ekipą. Teraz wszyscy mieli plany, które rozgrywały się w mniejszych grupach, zwykle parach lub czwórkach, i organizowane były z wyprzedzeniem, więc nieprzewidziani goście nie byli mile widziani. Może mogłam zadzwonić do Mirandy, ale nie byłam pewna, czy starczy mi na nią energii. Na całą tę idealność. Na to, żeby traktowała mnie jak rzecz wymagającą jej interwencji – jak zawsze miała w zwyczaju – i zaczęła mi wyliczać, co jest nie tak z moim życiem.

Mogłam więc pójść do domu i posiedzieć z butelką wina w pustym mieszkaniu albo pójść do baru i może poderwać kogoś, z kim wróciłabym do siebie. To była moja strategia zastępcza na wieczory na mieście,

domówki i obiady z czasów, gdy mieliśmy po dwadzieścia kilka lat. Podejrzewam, że w pewien sposób było to bardziej wydajne – przynajmniej nie musiałam zbyt wiele mówić.

Z tych dwóch możliwości druga wydała mi się zdecydowanie bardziej atrakcyjna. Mogłam zabrać kogoś ze sobą do domu i wtedy przez kilka godzin w moim mieszkaniu toczyłoby się życie i rozbrzmiewały ludzkie głosy. Poszłam więc do jednego z moich ulubionych miejsc w okolicy katedry Świętego Pawła. Barman zna mnie tam tak dobrze, że zaczął mi nalewać duży kieliszek Pouilly-Fumè, zanim jeszcze usiadłam – co jest albo życzliwe, albo strasznie przygnębiające.

Usiadłam na stołku barowym i czekałam, aż ktoś do mnie podejdzie. Zwykle nie zajmowało to zbyt długo. Nigdy oczywiście nie będę tak piękna jak Miranda. Kiedyś mnie to przygnębiało. Nie jest łatwo dorastać w cieniu przyjaciółki takiej jak ona. Ale jakiś czas temu, może kiedy skończyłam trzydzieści lat, przekonałam się, że mam w sobie coś, co intryguje mężczyzn.

W środku siedziało kilka osób – znajomi z pracy i randkownicze z Tindera, ale lokal nie był zapchany. Wtorkowe wieczory to raczej niezbyt popularna pora na wyjście na miasto. Może przeszacowałam swoje szanse. Przy barze był tylko jeden samotny mężczyzna, prostopadle do mnie. Zauważyłam go, gdy zajmowałam swoje miejsce, choć nie podniósł wzroku, ale nie zdołałam mu się dobrze przyjrzeć. Po niezbyt wyraźnym profilu, który widziałam kątem oka, wnioskowałam, że jest „relatywnie młody” – w tym samym sensie, co ja jestem „relatywnie młoda” – i atrakcyjny. Nie wiem, skąd to wiedziałam, skoro nawet porządnie na niego nie spojrzałam – to musiał być jakiś instynkt. I ten sam instynkt podpowiedział mi, że jest czymś przybity.

I wtedy oboje podnieśliśmy wzrok, żeby zwrócić uwagę barmana. Zaskoczyło mnie to, kogo zobaczyłam.

– Julien?

On też był zaskoczony. Wprawdzie oboje pracujemy w City, ale w okolicy są tysiące barów i ludzi. Zresztą o tej porze powinien być

w domu z Mirandą. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie do niego powiedziałam:

– Gdzie jest Miranda?

Oprócz niej nigdy nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

– W domu – odpowiedział. A potem pokazał, że się do mnie przysiadzie. Częściowo byłam z tego zadowolona, a częściowo nie. Teraz na pewno nie wrócę z nikim do siebie – nim skończę rozmawiać z Julienem, a on sobie pójdzie, będę zbyt zmęczona, by zaczynać z kimś od nowa.

Usiadł obok mnie. Kiedy się nachylił, żeby przysunąć sobie stołek, poczułam zapach jego wody po goleniu i świeżość ginu z tonikiem. Przypomniałam sobie, jak dwadzieścia minut wcześniej, kiedy myślałam, że go nie znam, wydawał mi się przystojny. A naprawdę był przystojny. Wiedziałam o tym – zdałam sobie z tego sprawę, kiedy on i Miranda zaczęli się spotykać – ale w którymś momencie przestałam to zauważać. Teraz miałam wrażenie, że patrzę na niego z nowej perspektywy. To było dziwne uczucie.

– Co tu robisz?

– Mógłbym cię zapytać o to samo – odparł. Oczywiście nie była to żadna odpowiedź.

Powiedziałam mu o zamknięciu sprawy.

– Więc można chyba powiedzieć, że świętuję.

– A gdzie koledzy z pracy? Są tu gdzieś?

Nie mogłam mu wyznać, że poszli do innego baru i jeśli tylko mogę, to wolę nie spędzać z nimi czasu po pracy. Odpowiedziałam więc:

– Nie, poszli do domu. Są za bardzo zmęczeni, żeby włączyć się po barach.

– Czyli postanowiłaś świętować w samotności?

– Coś w tym stylu.

– Nie czujesz się samotna?

Powstało między nami dziwne napięcie. Wynikało chyba ze świadomości, że znamy się od ponad dziesięciu lat, a jednocześnie prawie nic o sobie nie wiemy. Prawie jak serdeczni wobec siebie nieznajomi. Potrzebowaliśmy

Mirandy, żeby zrozumieć, jaki mamy ze sobą związek. Oboje dość szybko piliśmy, starając się rozproszyć niezręczną atmosferę. Zanim dokończyłam swój kieliszek, zapytał:

– Jeszcze jednego?

– Niech będzie. – Zrobiło mi się miło. Podobało mu się moje towarzystwo.

– Gdzie jest Miranda? – zapytałam jeszcze raz.

– Już mnie o to pytałaś. – Powiedział to trochę tak, jakby się ze mną droczył.

– Bo chcę wiedzieć, dlaczego siedzisz tu sam? – Moja odpowiedź była równie zaczepna. O Boże, czy ja flirtowałam z mężem swojej przyjaciółki.?

– Pomyślałem, że wstąpię na jednego.

Alkohol ośmielił mnie do powiedzenia kolejnej rzeczy:

– Czyli mąż Mirandy i jej najlepsza przyjaciółka piją w knajpie? Jesteśmy jak dzieci, które uciekły z lekcji. – Ten żart ostatecznie zabrzmiał tak, jak byśmy coś przed nią ukrywali. Upiłam wielki łyk wina.

– Gdyby wiedziała, na pewno byłaby zazdrosna – powiedział. Po czym szybko dorzucił: – Wiem, że za tobą tęskni. – Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały smutne i zmęczone. – Posłuchaj – powiedział nieco poważniejszym tonem. – Jeśli mam być szczery, potrzebowałem trochę czasu sam na sam.

– A co się dzieje? – zapytałam z, muszę przyznać, ledwie zauważalnym rozbawieniem, którego się czasem doświadcza, gdy słyszysz o problemach swoich przyjaciół. Życie Julienu i Mirandy wydawało się bez zarzutu. – W czym tkwi problem? Jesteście przecież idealni.

– O tak – odparł z uśmiechem, który wyglądał jak wykrzywiony w złą stronę. – Idealni. Właśnie tacy jesteśmy. Tacy nieznośnie idealni.

Nastąpiła niezręczna cisza. Nie wiedziałam, jak na to zareagować.

– Chcesz powiedzieć... – Szukałam sposobu, by dobrze to ująć. – Chcesz powiedzieć, że wam się nie układa? Miranda nic nie wspominała.

Taka była prawda. Nic nie mówiła. Ale też już od dłuższego czasu się nie widziałyśmy. Kilka razy rozmawiałyśmy przelotnie, ale telefoniczne

rozmowy na osobiste tematy idą mi fatalnie. Zresztą praca niemal całkiem pochłaniała mój wolny czas, a jeśli nawet nieco mi go zostało, to było to wcześniej rano albo późno w nocy – w porach, w których Miranda nie podniosłaby słuchawki z radością. Dopadło mnie poczucie winy. W ostatnim miesiącu przynajmniej kilka razy prosiła mnie o spotkanie, a ja musiałam ją w ostatniej chwili spławić z powodu jakiegoś niespodziewanego problemu w związku ze sprawą.

– Właściwie nie chodzi o to, że *my* mamy jakiś problem – odpowiedział. – To trochę bardziej skomplikowane. Mówiąc dokładniej, to problem ze mną. Coś w tym rodzaju. Zrobiłem coś złego. – Zauważył, że uniosłam brwi. – Nie... Nie w tym sensie. Nie zdradziłem jej. Wplątałem się w coś złego. A teraz nie potrafię się z tego wyplątać.

– I Miranda o tym nie wie?

– Nie... Miranda wie. Musiałem jej powiedzieć, bo to dotyczyło nas obojga. Można chyba uznać – ściągnął brwi – że dobrze to przyjęła. Okazała wyrozumiałość, jeśli wziąć wszystko pod uwagę. Tylko że czasem przyłapuję ją na tym, jak na mnie patrzy i wygląda na zawiedzioną. Jak gdyby nie na to się pisała. To wszystko jest skomplikowane.

Zgubił kilka środkowych liter, mówiąc „skomplikowane”, przez co zaczęłam się zastanawiać, ile wypił, zanim się do mnie dosiadł.

– Chcesz o tym pogadać?

Pokręcił głową.

– Nie. To znaczy chciałbym, ale nie mogę.

– Dlaczego nie? – Zorientowałam się, że nie powinnam się wtrącać. – Przepraszam, za dużo wypiałam. To było niegrzeczne z mojej strony. Po prostu każ mi się zamknąć.

– Proszę, nie. – Znów puścił mi ten swój dziwny, skierowany do dołu uśmiech, taki inny od tego szerokiego, czarującego białego błysku, który najczęściej u niego widziałam. Wolałam tę pierwszą wersję – wydała mi się prawdziwa. – Miło mi się z tobą rozmawia – stwierdził. – Czy to nie zabawne? Znamy się od tylu lat. Ile to już będzie? Dziesięć?

– Jedenaście – poprawiłam go. Od czerwca 2007 roku. To wtedy wpadłam na niego, jak wychodził z naszej łazienki.

– A mimo to nigdy właściwie poważnie ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Chyba nie.

– No to napij się jeszcze jednego. Porozmawiajmy. Poważnie.

– Powinnam...

– Daj spokój. Proszę. Bo inaczej będę tutaj pił sam, a to strasznie żalosne.

– Ugryzł się w język, ewidentnie przypominając sobie, że ja to właśnie robiłam. – Przepraszam, nie chciałem...

– Nie przejmuj się – powiedziałam. Miał rację. Ale picie w domu było gorsze. Moje puste mieszkanie, pusta lodówka, pusty widok z okna: morze biurowców, dzielnica finansowa. Miejsce, które zżerało cały mój czas, puste tak, jak moje życie.

Myśl o tym, że będę musiała wrócić do swojego mieszkania sprawiła, że aż się wzdrygnęłam. Wolałam wypić z nim kolejnego drinka. Ale było w tym coś dziwnego – w siedzeniu w barze z mężem Mirandy bez jej wiedzy. I o dziwo... również coś przyjemnego, co być może było w tym wszystkim najgorsze.

– Zgoda – powiedziałam. *Co mi szkodzi.*

– No to świetnie. – Uśmiechnął się do mnie szeroko i poczułam w środku lekkie podekscytowanie. – Czego się napijesz? – I wtedy, zanim zdołałam odpowiedzieć, rzekł: – Wiem, napijmy się whisky. Lubisz? – Nie czekając na moją odpowiedź, odwrócił się do barmana. – Poprosimy hibiki. – Uśmiechnął się. – Posmakuje ci. Jest japońska. Dwudziestojednoletnia.

Nigdy nie piję whisky. Szczerze mówiąc, nie przepadam za mocnymi alkoholami – potrafię sama dokończyć butelkę wina i prawie w ogóle tego nie poczuć, ale mocne trunki to zupełnie co innego.

Whisky od razu uderzyła mi do głowy. Ale to żadne usprawiedliwienie tego, co wydarzyło się dalej.

Miranda była dla nas niewygodnym tematem. Rozmawialiśmy więc o wszystkim innym. Okazało się, że Julien jest dużo lepszym partnerem do rozmowy, niż kiedykolwiek zdawałam sobie sprawę. Zawsze miałam go za

powierzchnowego czarusia, który w ten sposób ukrywa jakieś wewnętrzne braki. Wspominaliśmy czasy studiów i to, jakie proste było wtedy nasze życie, mimo że w tamtych czasach wydawało się nam, że ciężko pracujemy i gorzej już nie będzie.

Rozmawialiśmy o mojej pracy – czytał odrobinę na temat sprawy, którą się zajmowałam. Chociaż raz nie zakładałam, że pyta mnie o to z grzeczności, czekając, aż Miranda uratuje go od tego tematu i rozmowa przejdzie na coś ciekawszego. Siedział na barowym stołku zwrócony w moją stronę, z kolanami przy moich. Ekspert od mowy ciała powiedziałby, że wszystkie znaki były bardzo dobre. Albo bardzo złe, w zależności od tego, jak na to spojrzeć. Ale na tamtym etapie wciąż jeszcze o tym nie myślałam. A nawet jeśli, to odpychałam od siebie te myśli. Były przecież idiotyczne, prawda?

Rozmawialiśmy o tym, jak po raz pierwszy się poznaliśmy (nie pamiętał wcześniejszej okazji na letnim balu uniwersyteckim, a ja nie chciałam go poprawiać), gdy wyszedł z łazienki owinięty ręcznikiem.

– Stałem tam półnagi, a ty byłaś taka elegancka.

Byłam tym zaskoczona. Zawsze zakładałam, że uważa mnie jedynie za brzydszą, nudną koleżankę Mirandy. *Elegancka*. Przyszło mi na myśl, że przez jakiś czas będę się nad tym słowem zastanawiać.

– Jest tak przyjemnie – powiedział w którymś momencie. – Nie sądzisz? Tak po prostu sobie rozmawiamy. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej tego nie robiliśmy?

Fakt, w jego oddechu czuć było whisky, ale mimo to jego słowa wywołały we mnie ciepło. A ja zdałam sobie sprawę, że Julien wcale nie jest taki arogancki, jak zawsze mi się wydawało – i najwyraźniej nie taki idealny. Może ostatnie lata odebrały mu nieco blasku, a ja tego nie zauważyłam. A może zawsze taki był. Tak czy inaczej, wydawał się dużo miłszy, dużo pokorniejszy niż kiedyś. Trzeźwa ja byłaby pewnie w stanie zauważyć, że tak zapewne działała ta słynna charyzma Juliana. Ale pijanej mnie bardzo się to wszystko podobało.

Bo w pewnym momencie zauważyłam, że oboje jesteśmy bardzo pijani.

– Powinnam wracać do domu – powiedziałam. Wiedziałam jednak, że bardzo tego nie chcę, i to nie tylko ze względu na myśl o mojej sterylnej kawalerce. Było tak dlatego, że naprawdę świetnie się bawiłam. Dobrze się czułam w jego towarzystwie. Ale zrobiłam wielkie przedstawianie z dopicia mojego kieliszka i zejścia ze stołka. Kiedy zachwiałam się na szpilkach, stanąwszy na ziemi, stwierdziłam, że jestem jeszcze bardziej pijana, niż mi się zdawało. Gdy Julien zsiadł ze stołka, też słaniał się na nogach.

– Nie możesz iść sama do domu – powiedział. – Odprowadzę cię. To niebezpieczne.

Z jakiegoś powodu postanowiłam mu nie mówić, że co wieczór wracam do domu sama, że bywałam bardziej pijana niż teraz i że czasem byłam w towarzystwie zupełnie obcego faceta. Myślę, że oboje wiedzieliśmy, że była to jedynie wymówka, by nie kończyć rozmowy i nie pozbawiać się wzajemnego towarzystwa.

Nie pamiętam, które z nas zrobiło pierwszy krok. Pamiętam tylko, że nagle staliśmy w pustym zaułku i usłyszałam jedynie nasze oddechy. Za tym zaułkiem znajdowała się Cheapside pełna aut i ludzi, a dalej całe miasto, oświetlone, chaotyczne, z milionami mieszkańców. Ale w tym ciemnym przesmyku byliśmy tylko my i oboje głośno oddychaliśmy. I żadne z nas nie było już nagle takie pijane. Ten przebłysk pożądania nas otrzeźwił. A potem pojawił się lekki ucisk jego kciuków na moich biodrach i większy ucisk jego krocza pomiędzy moimi nogami. Był taki twardy. Wzięłam jego dłoń i powiodłam ją pod swoją spódnicę, na co on stęknął w moją szyję.

Seks był szybki – musiał być, skoro znajdowaliśmy się w miejscu publicznym. W każdej chwili ktoś mógł nas przyłapać. Był też bardzo dobry. Doszłam prawie natychmiast. A on, mimo alkoholu i niezręcznej pozycji (musiał przyprzeć mnie do ściany), skończył tuż po mnie. Zrobiliśmy coś zaskakującego, coś zakazanego, a to tylko dodawało wszystkiemu pikanterii. Po wszystkim staliśmy przez kilka sekund przylepieni do siebie, jego twarz przy mojej szyi. Nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiliśmy.

On powiedział to na głos.

– Nie wierzę, że to się stało.

– Wiem – odparłam. – Lepiej... Lepiej udawajmy, że to się nie wydarzyło. – Jakaś sekretna część mnie zastanawiała się: czy wystarczyłby mu byle kto? Czy byłam tylko jakąś dziewczyną w barze, która pojawiła się we właściwym miejscu i we właściwym czasie? Czy chodziło o mnie?

Wiedziałam, że te kwestie nie powinny mieć znaczenia. A mimo to miały. Bo tak długo sądziłam, że postrzegał mnie tylko jako bezbarwną, nudną kopię swojej żony, niewartą rozmowy. Ale teraz, tutaj, pojawiła się nowa, ekscytująca możliwość. Może on naprawdę mnie pożądał.

MIRANDA

Odwracam się, słysząc za sobą kroki. To Julien, owinięty w pasie ręcznikiem, który ślizga się po błocie.

– Popełniłem wielki błąd – mówi tonem w stylu „porozmawiajmy jak dorośli”. – Wiem, że źle zrobiłem. Ale ostatnio byłem taki zestresowany.

– Przepraszam – mówię. – Byłeś zestresowany?

– Tak – odpowiada. – Transakcja się nie udała. Musiałem odciąć Marka. Nie był zadowolony.

Wracam myślami do tego, co Mark powiedział tego pierwszego wieczoru, kiedy złapał mnie za rękę. Kiedy mówił o jakimś sekrecie Juliana. Myślałam, że chodzi mu o spekulacje giełdowe, ale teraz rozumiem.

– On wiedział, prawda? O tobie i... – Nie mogę wypowiedzieć jej imienia. – O niej.

– Wygadałem się, kiedy byłem bardzo pijany. Czułem się taki winny... chciałem się go poradzić. On jest... był... moim najlepszym kumplem. A teraz mnie szantażuje, Mando.

Jak on się nad sobą uzala. W tej chwili naprawdę szczerze nim gardzę. Nie tylko z powodu tego, co zrobił, ale też przez jego tchórzostwo, przez to, jaką robi z siebie ofiarę.

– Sam to wszystko na siebie ściągnąłeś, ty pieprzony idioto. Bo zawsze było ci mało. Zawsze myślisz, że masz prawo dostać więcej. Od dawna powinnam się była tego spodziewać. Powinnam się była spodziewać, że będziesz mieć romans. Choć w życiu bym nie pomyślała, że weźmiesz sobie Katie. Myślałam, że masz lepszy gust.

Wykrzywia wtedy usta i przez chwilę mam wrażenie, że zacznie jej przede mną bronić. Ale nie jest na szczęście taki głupi. Zbyt dobrze go znam. Bardziej martwi się o uratowanie własnego tyłka.

– Ona mnie uwiodła, Mando.

Przeszywa mnie dreszcz obrzydzenia.

– Przestań mnie, do cholery, tak nazywać – syczę.

– Przepraszam. Ale chcę, żebyśmy mieli w tej kwestii jasność. To wszystko jej wina. Myślę... myślę, że ona to zaplanowała od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła mnie w tamtym barze. Chyba wiedziała, patrząc na mnie, w jakim jestem stanie. Że nie będę umiał się powstrzymać. Nie miałem żadnych szans. Tak jak wtedy na Ibizie.

– Kiedy na Ibizie?

– O Boże. – Ma taką minę, jakby natychmiast pożałował, że cokolwiek powiedział. Pociera twarz dłońmi. – Równie dobrze możesz się dowiedzieć. Chodzi mi o te wakacje, na które wszyscy pojechaliśmy. To się zdarzyło ostatniego wieczoru. Zaczęła do mnie uderzać. Jakby jej odbiło. A ja byłem na prochach i tęskniłem za tobą... A ona zachowywała się jak opętana, Mando... przepraszam. Rzuciła się na mnie.

Przeszywam go wzrokiem, czując, jak w gardle wzbiera mi żółć. Ibiza. Kiedy ja byłem na pogrzebie swojej babci... on sypiał z moją najlepszą przyjaciółką. Spotykaliśmy się od niedawna i pobraliśmy się długo potem – co tylko pogarsza sprawę, bo oznacza, że ten obrzydliwy sekret tkwił w naszym małżeństwie przez wiele lat. Julien wyraźnie żałuje, że podzielił się ze mną tymi wszystkimi szczegółami. Wykonuje ręką jakiś rozpaczliwy zamaszysty gest, jak gdyby próbował zatrzeć wszystko, co mi wyjawiał.

– Chcę powiedzieć, że nie chciałem zrobić żadnej z tych rzeczy.

To byłoby niemal zabawne patrzeć, jak się miota i wykopuje pod sobą jeszcze głębszy dół. Oczywiście gdyby nie był moim mężem i mężczyzną, któremu poświęciłam niemal dekadę swojego życia – całą swoją młodość. I gdyby nie okazał się takim pajacem.

– Zresztą... – Julien śpieszy z kolejnymi wyjaśnieniami. Na pewno dostrzega obrzydzenie w moich oczach i zupełne niedowierzanie malujące się na mojej twarzy – kiedy wpadliśmy na siebie w tamtym barze... dostrzegła chyba, że byłem w dołku. Traktowałaś mnie jak osobę drugiej kategorii. Ledwie ze mną rozmawiałaś. Czułem się jak nieudacznik,

rozczarowanie. A ona sprawiła, że czułem się... wart pożądaną. Próbowałem to zakończyć. Następnego dnia poszedłem do jej mieszkania, żeby jej powiedzieć, że to się więcej nie powtórzy. Ale nie pozwoliła mi. Teraz widzę, jaki byłem słaby. Ona była jak nałóg, z którego nie potrafiłem się wyzwolić...

Podnoszę rękę na znak stop.

– Czytasz z jakiegoś scenariusza? Naprawdę uważasz, że łyknę te żalostne, oklepane bzdury? Tak mało mnie szanujesz?

Składa ręce w błagalnym geście.

– Chciałem tylko spróbować to wyjaśnić.

– Nie wyjdzie ci to na dobre. Nie rozumiesz tego? Nie kupuję całego tego pierdolenia. – Wydaje mi się, że gdybym miała przy sobie broń, tobym go zabiła. Gdybym znała kombinację do tego schowka ze strzelbami, to raczej nic by mnie nie powstrzymało, żeby wrócić z jedną do sauny i zastrzelić ich oboje. Czy ludzie wciąż dostają niższe wyroki za zbrodnie w afekcie? Każdy wyrok wydaje mi się w tym momencie wart tego czynu. Nikt nie będzie sobie pogrywał z Mirandą Adams.

Nie mam strzelby. Ale może broń, którą posiadam, jest silniejsza od jakiegokolwiek pistoletu.

Spekulacje giełdowe. Zgadza się, byłam w to wmieszana. Ale mogłabym sobie znaleźć dobrego prawnika. Moi rodzice mi pomogą. I bez względu na to, jak kiepska okaże się moja sytuacja, to będzie drobiazg w stosunku do gówna, jakie wyleje się na Julię. W tej chwili wydaje mi się to gra warta świeczki.

– Wiem, co zrobię. Zaloguję się do naszego wspaniałego Wi-Fi i wyślę tego maila już teraz. Wystarczy jedno kliknięcie. Jeden klik. Może i nie mam pracy, ale mam przyjaciół, Julię – znasz ich. Wiesz, że Olivia pracuje teraz w „The Times”? A pamiętasz Henry’ego, mojego byłego sprzed studiów? Pracuje w „Daily Mail”. Wyobraź sobie tylko, jakie wymyślę dla ciebie nagłówki. I wiesz co jeszcze? Sama na tym wszystkim nieźle zarobię.

Julien cofa się o krok. Jego twarz jest w cieniu. Ledwie widzę rysy jego twarzy. I nie po raz pierwszy – choć teraz z lepszych powodów – myślę: *W ogóle nie znam tego człowieka. Nie wiem, do czego jest zdolny.*

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Wracam do biura, gdzie czeka tam na mnie Doug. Już mam mu powiedzieć, co podsłuchałam, będąc w łazience, kiedy dzwoni telefon.

– Halo?

– Witaj, Heather, tu nadkomisarz Alison Querry.

– Znaleźliście sposób, żeby się tu dostać? – Czuję na sobie wzrok Douga.

– Nadal nad tym pracujemy. Zgodnie z prognozą śnieżyca powinna odpuścić w ciągu najbliższych godzin, a wtedy spróbujemy wziąć śmigłowiec. Ale jest coś jeszcze. Chciałam dać ci znać, że niestety wezwano mnie w kolejnej sprawie. Moje miejsce zajmie nadkomisarz John MacBride. To bardzo kompetentny człowiek. Dam ci go do telefonu.

W głowie mam gonitwę myśli. Alison Querry prowadzi sprawę Rozpruwacza z Highlandów. Jeśli została odwołana z tej sprawy, to oznacza, że...

Właściwie nie słucham, kiedy nadkomisarz John MacBride się ze mną wita. Jedną ręką wstukuję do komputera hasło „Rozpruwacz z Highlandów” i przełączam się na zakładkę WIADOMOŚCI. Nagłówki wykrzykują do mnie triumfalne nowiny: „Przestępca aresztowany w Glasgow”, „Nalot na norę Rozpruwacza”, „Rozpruwacz schwyty w Glasgow”. Złapali kogoś. Glasgow jest ponad dwie godziny drogi stąd, a w złych warunkach podróż się wydłuża. To może oznaczać tylko jedno. Złapano przestępcę, który zabił tamte kobiety, ale nie miał on nic wspólnego z tutejszym morderstwem. Popęłnił je ktoś, kto jest na miejscu.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ
NOWY ROK 2019 ROKU

KATIE

Julien wraca do sauny. W słabym świetle zauważam, jak idiotycznie wygląda – jest całkiem nagi, jego penis skurczył się na mrozie, jego stopy pokrywa błoto. I przez chwilę, być może z największą mocą, odkąd zaczęliśmy się spotykać, zadaję sobie pytanie: *Co ja wyrabiam?*

Czy chodzi mi o Julię? Skrywane pożądanie, które drzemało we mnie przez wszystkie te lata? A może chodzi też o Mirandę? Nigdy wcześniej bym tego przed sobą nie przyznała. Ale prócz skruchy, którą czułam, patrząc, jak stoi w drzwiach i gapi się na nas w przerażeniu, prócz wstydu... czy było w tym coś jeszcze? Jakaś szczypta *Schadenfreude*? Pragnienie, by przynajmniej raz mieć nad nią przewagę?

Chcę tu zaznaczyć, że początkowo poszłam do sauny, żeby spróbować się rozgrzać po tej okropnej lodowatej kąpieli w jeziorze, i nie miałam w planach żadnych schadzek. Byłam tam pewnie już z dziesięć minut, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzyłam je i zobaczyłam Julię. Uśmiechnął się do mnie szeroko i szybko wszedł do środka. Natychmiast zaczął ściągać z siebie ubrania.

Poczułam mimowolny dreszcz podniecenia. Oczekiwania.

– Nie martw się – powiedział. – Położyłem ją spać. Jest kompletnie zalana. Mark zasnął na kanapie w chacie myśliwskiej, Emma wróciła do swojego domku. Jesteśmy tu tylko my. Szedłem właśnie do ciebie, kiedy zobaczyłem zapalone światło i pomyślałem, że to świetny pomysł.

– A jeśli Miranda się obudzi i zauważy, że cię nie ma?

– Nigdzie nie pójdzie. Najwyżej zrobię tak jak wczoraj i powiem jej, że poszedłem na spacer.

Czasem niepokoi mnie to, z jaką prędkością Julien wymyśla kolejne kłamstwa.

– A myślisz, że ona ci uwierzyła? Julien, jest trzecia nad ranem.

– Wiem. Ale... ona wie, że ostatnio mam dużo na głowie.

– Chodzi o to, co chciałbyś mi powiedzieć, ale nie możesz?

– Tak, właśnie o to.

Nie wiem, dlaczego to, że Julien uparcie odmawia podzielenia się ze mną swoimi problemami, sprawiło mi przykrość.

– Ostatnio poruszamy wiele tematów – powiedziałam. – Nie jest mi łatwo zrozumieć, dlaczego o tej jednej rzeczy nie możemy.

– Nie chcę cię tym obarczać – odparł. – Nie ma potrzeby, żebyś wiedziała. A poza tym, jeśli ci powiem, to będziesz w to zamieszana. Współwinna.

– Ale już jestem współwinna – odpowiedziałam.

– Wiem – odparł i objął mnie, mimo wszystko rozglądając się dookoła, jak gdyby ktoś mógł nas zobaczyć przez zasunięte rolety. – Tak cudownie współwinna.

– Julien – powiedziałam. – Co ty... Uzgodniliśmy...

Uciszył mnie swoimi ustami. Pogładził rękami moje ramiona, przejechał nimi po plecach w dół, chwycił za pupę i dźwignął do góry tak, że nie miałam innego wyjścia jak opleść go nogami w pasie. Cały mój opór natychmiast stopniał.

– To się nie liczy – powiedział. – To się w ogóle nie liczy.

– Dlaczego?

– Bo to było, zanim zdałem sobie sprawę, że oszalałem na twoim punkcie. Te ostatnie tygodnie, kiedy nie mogłem cię zobaczyć... Boże Narodzenie u rodziców Mirandy...

– Byłam chora z poczucia winy – powiedziałam. – Fizycznie chora, Julien. W pociągu zwymiotowałam nawet w toalecie.

To akurat mogło mieć związek z moim porannym odkryciem.

– Biedna, mała Katie.

– Nie, nie chcę tego słyszeć. Nie możemy tak dalej. To nie jest fair wobec Mirandy.

Pokiwał głową.

– Masz rację. I dlatego powinniśmy jej powiedzieć. – Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale on pokręcił głową. – Wysłuchaj mnie. Byliśmy parą szczeniaków, kiedy się poznaliśmy. A ona była taka pewna siebie, taka olśniewająca. Pociągało mnie to. I owszem, chciałem się jej dobrać do majtek. Ale potem, z upływem lat, cały ten pociąg gdzieś zniknął. Ona nie chce już tego, co kiedyś. Nie chce robić niczego wspaniałego ani być wspaniałą. Ona chce tylko *rzeczy*: wakacji, ciuchów, nowego samochodu, no i dziecka. Chociaż nienawidzi dzieci. Nie wiem nawet, czy nie chce tego dziecka tylko dlatego, że wszyscy inni je mają i trzeba zaliczyć ten etap. Ale przy tobie, Katie... jest inaczej. Wszystko jest bardziej złożone, głębsze. Dużo bardziej swobodne.

Myślałam o tym małym plusiku na teście. Pomyślałam, że zaczekam na lepszy moment.

– Ty wiesz, kim jesteś. Masz karierę, życie. Nie potrzebujesz mnie, żeby mieć o sobie dobre zdanie.

Poczułam dziwną, niespodziewaną falę współczucia wobec Mirandy: ona i Julien byli razem przez ponad dziesięć lat. Przecież to szmat czasu, głęboka więź? Ale pod współczuciem, mimo całego poczucia winy... Tak, zdaję sobie sprawę, że znajdowała się tam jakaś mroczna przyjemność. Przez wszystkie te lata stałam w jej cieniu, grałam drugie skrzypce, byłam jej dublerką. Teraz w końcu w czymś ją prześcignęłam.

DOUG

Coś go obudziło. Jego ciało było czujne, świadome, ale umysł nie od razu je dogonił. Został wyrwany z wywołanego przez whisky stuporu i teraz jego serce biło dwa razy szybciej niż powinno. Rozgląda się dookoła. Otacza go rozbite szkło. Ale teraz sobie przypomina... zanim urwał mu się film, rzucił szklanką w telewizor i trzask pękającego ekranu sprawił mu dużo przyjemności. Był też zadowolony, że na moment zagłuszy odgłosy gości imprezujących nad jeziorem i ich głośną muzykę. Jakby kpili z jego własnego „świętowania” – butelki słodowej whisky i przygnębiającego widoku szczęśliwych ludzi na ekranie. Potem opróżnił ostatnie krople prosto z gwinta i z ulgą pogрузił się w stanie nieprzytomności.

Ale coś wyrwało go ze snu. Pukanie do drzwi. Głośne jak wystrzał z karabinu.

Nieruchomieje, nasłuchuje jak zwierzę.

Znów je słyszy.

To mu się nie przyśniło.

Sprawdza zegarek. Jest czwarta nad ranem. Kto może czegoś od niego chcieć o tej porze? Pewnie Heather. Ona mogłaby jakoś potrzebować jego pomocy.

Otwiera drzwi i wygląda na zewnątrz zapuchniętymi oczami. To ona, ich gość, ta piękna. Tylko że wygląda... Okropnie. Nadal jest piękna w swojej długiej, złotej sukni, ale wygląda fatalnie: materiał sukienki jest podarty, na twarzy ma rozmazany makijaż. Jej szminka ciągnie się długą smugą przez cały policzek.

– Cześć – mówi, lekko chwiejąc się na nogach. – Przepraszam, mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. – Doug jest pijany, ale ona bardziej. Ta świadomość go otrzeźwia.

Kobieta zerka w głąb domku.

– O rany. Strasznie tu pusto. Bardzo... minimalistycznie.

– Nie wolno ci tu przychodzić – odpowiada Doug. Próbuje zastawić jej drogę, ale kobieta jakoś przeciska się do środka.

– Ale przyniosłam szampana! – Podnosi otwartą butelkę. Dom Pérignon, najwyższa półka. – Chyba nie pozwolisz mi, żebym wypić resztę sama, co?

– Kiedy podchodzi bliżej, Doug zauważa, że zapach jej perfum, który teraz dobrze już zna, skażony jest czymś kwaśnym i cuchnącym.

Czuje się jak zwierzę napadnięte w swojej norze, w swojej prywatnej przestrzeni. Kobieta robi krok w jego stronę, ujmując jego głowę w dłonie i całuje go. Jej usta są kwaśne, ale wokół nich skupia się też dymna nuta jej perfum, które zdają się go oplatać. Jej język jest zwinny, jej ciało wtapia się w niego. Minęło tyle czasu. Czuje wzrastające podniecenie, które w niezręczny sposób miesza się ze złością, że mu przeszkodzono. Kobieta zsuwa dłoń do jego rozporka, rozsuwa go i sięga do środka. Mierzwi palcami jego włosy.

– Nie – Doug mówi przytomnie.

Kobieta robi krok w tył. Ściąga usta.

– Słucham?

– Nie – powtarza Doug.

– Pierdol się! Nie mów mi, że tego nie chcesz. Widzę, że chcesz.

– Może... mogę ci zrobić herbaty – mówi, choć nawet nie wie, czy w ogóle ją ma.

Ale ona wybucha śmiechem i podchodzi do niego w swoich połyskujących szpilekach, robiąc smutną minę.

– Nie sądzę. – Pokazując na niego palcem, dodaje: – Wiem, że tego chcesz. Widziałam, jak na mnie patrzysz. Przy kolacji. Podczas polowania. Nie nabierzesz mnie. – Jest rozwścieczona, jej palec wbija się w jego tors. – Ale za bardzo się boisz. Wiesz co? Jesteś *pierdolonym tchórzem*.

Te słowa. Doug czuje wściekłość i żal wzbierające w nim tak samo, jak za tamtym razem. Czuje czerwoną powódź złości, która zalewa wszystko. Coś w nim popuszcza, popuszcza... i pęka.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

– To była policja – mówię do Douga. – Znaleźli Rozpruwacza z Highlandów. Wiele kilometrów stąd, więc raczej nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. To musiał zrobić ktoś z tu obecnych.

Kiedy wypowiadam te słowa na głos, pierwszy raz słyszę pobrzmiwającą w nich prawdę. To się staje prawdziwe. Ten ktoś tu jest.

– A przed chwilą, kiedy byłam w łazience... – Milknę, zauważając minę Douga.

– Doug? – Wpatruję się w niego. – Wszystko w porządku? – Zaczyna chodzić po biurze w tę i w tę, tak mocno pocierając szczękę, że skóra pod zarostem robi się czerwona, choć pozostała część twarzy wydaje się pozbawiona jakiegokolwiek koloru. Jego oczy są czarne i bezdenne. Jak gdyby brał tę sytuację bardzo osobiście. Dociera do mnie, że od samego rana wygląda bardzo źle. Zauważyłam to, ale nie miałam szansy porządnie się nad tym zastanowić. Wydało mi się to normalne, biorąc pod uwagę, że odnalazł zwłoki.

– Doug?

Odwraca się w moją stronę, ale sprawia wrażenie, jakby nie słyszał, że do niego mówię.

– Doug! – Pstrykam palcami przed jego twarzą, zmuszam go do tego, by się na mnie skupił. – O co chodzi? Co się stało?

Przez kilka sekund kręci głową. I wtedy wyrzuca z siebie:

– Nie powiedziałem ci wszystkiego.

O Boże. Szykuję się na to, co mogę usłyszeć.

– O co chodzi?

– Tamtej nocy, niedawno po tym, jak dostałaś tu pracę, kiedy usłyszałaś krzyk... pamiętasz?

– Tak – odpowiadam. Ten dźwięk wrył mi się w pamięć.

– To nie był lis. – Krzywi się. – To był prawdziwy krzyk. To byłem ja.

Myślę o swoich pierwszych odczuciach, gdy usłyszałam ten głos – że wydał go ktoś w skrajnej agonii.

– Och, Doug.

– Czasami miewam pewne...epizody... po których nie mogę sobie przypomnieć, co robiłem. Budzę się w dziwnych miejscach, nie wiedząc nawet, jak się tam znalazłem. Na przykład tamtej nocy... nie byłem świadomy, że wydaję ten dźwięk. Ocknąłem się pośród drzew nad jeziorem i doszedłem do wniosku, że to musiałem być ja.

Nie chcę już więcej słuchać. Ale to nie koniec. Doug mówi dalej, nie da się go powstrzymać.

– W sylwestra... – Przejeżdża obandażowaną dłonią przez swoje dzikie włosy w nerwowym geście, który w ostatnich godzinach widziałam u niego już tyle razy. – Dużo piłem... Tyle pamiętam. I... – Nadyma policzki. Nie spogląda mi w oczy. – Byłem zły, więc wypłem więcej. Chyba straciłem przytomność. A potem mam w pamięci białą plamę.

Białą plamę.

W końcu spogląda mi w oczy. Wygląda jak ktoś, kto tonie.

DWA DNI WCZEŚNIEJ
SYLWESTER 2019 ROKU

KATIE

Muszę porozmawiać z Mirandą. Nie, to nie jest spóźniony kryzys sumienia. Nie ma sensu, by teraz przeproszać – już na to za późno. Gdyby naprawdę było mi przykro, to przestałabym już dawno temu. Ale dopiero teraz, widząc reakcję Julienu na to wszystko – jego tchórzostwo i to, jak pobiegł prosto za Mirandą i jak ją pewnie błagał, a potem wrócił do mnie, udając, że wcale nie – naprawdę wszystkiego pożałowałam. Spadły mi klapki z oczu.

Ale chcę spróbować się wytłumaczyć. Chcę, żeby Miranda zrozumiała, że tego nie zaplanowałam i że nie zrobiłam tego, by zadać jej ból... a przynajmniej nie świadomie. Romans – bo tym to się ostatecznie stało – zwałił mnie z nóg niczym zdradliwy prąd. Nie próbuję tworzyć wymówek, bo wiem, że na to, co zrobiłam, nie ma wytłumaczenia. Swojej najstarszej przyjaciółce nie robi się takich rzeczy. Ale czuję, że to ważne, bym jej o tym powiedziała.

Trochę się też o nią boję. Wydawała się tak rozwścieczona, taka pijana, gdy stała przed nami w swojej porwanej i poplamionej złotej sukni, jak jakaś upadła bogini szukająca zemsty. Zrobiło się tak strasznie zimno, a ona nie miała na sobie niczego prócz cienkiej warstewki jedwabiu. Jej stopy były praktycznie bose, jeśli nie liczyć tych idiotycznych szpilek. Nie zrobiłaby niczego głupiego, prawda? Nie, to nie w stylu Mirandy. Wolałaby zrobić krzywdę *nam*, nie sobie.

Nagle czuję się bardzo bezbronna. Otacza mnie nieprzenikniony mrok. Jedyne ruch, jaki widzę, to mój oddech tworzący małe kłęby pary.

Przychodzi mi na myśl, że Miranda może gdzieś tu razem ze mną być i obserwuje mnie ze swojej kryjówki. Myślę o magazynku z bronią myśliwską. Muszę się mieć na baczności. W obecnej sytuacji spodziewałabym się po niej wszystkiego. Miranda, nawet jako przyjaciółka, potrafi być bezwzględna. Myśl, że mogłaby być moim wrogiem, jest, mówiąc szczerze, przerażająca.

Pukam do drzwi jej domku. Bez odpowiedzi. Spoglądam na ciemne okna i wyobrażam sobie, że ona patrzy na mnie, widzi mnie i uśmiecha się do siebie.

– Mirando – wołam. – Musimy porozmawiać. – Domek spogląda na mnie pustym wzrokiem okien, jak gdyby ze mnie drwił. – Muszę ci to wszystko wytłumaczyć. – Mój głos zdaje się nieść w ciszy echem, a fale dźwięków wracają do mnie z oddali, odbite od otaczających nas gór. – Będę czekać u siebie, jeśli zechcesz pogadać.

Bez odpowiedzi. Cisza, jak wstrzymywany oddech.

Gdy wchodzę do siebie, Julien kuli się owinięty ręcznikiem na sofie i pije szkocką prosto z gwinta. Była chyba na wyposażeniu. Jest już do połowy pusta.

– Julien. – Próbuję wyciągnąć mu butelkę z dłoni. Trzyma się jej kurczowo jak dziecko zabawki. – Julien, musisz przestać. Zabijesz się, jeśli wypijesz więcej.

Ale on kręci głową.

– Ona zabije mnie pierwsza. Odbierze mi wszystko, na co pracowałem. Zniszczy mnie... nie rozumiesz.

Wygląda żałośnie, siedząc tak, owinięty w ręcznik. Nagle jestem nim niemal obrzydzone. Jego szeroki, umięśniony tors wygląda idiotycznie. Trzeba być niesamowicie próżnym, żeby chcieć mieć takie ciało. Wcześniej wydawało mi się egzotyczne, inne od ciał mężczyzn, z którymi wcześniej byłam. A to, że Julien mnie pożądał – to podniecało mnie chyba najbardziej. Przez ostatnie pół roku przymykałam oko na rzeczy, które

najbardziej mnie w nim irytowały: to, jak egoistycznie zawsze musiał pierwszy pójść pod prysznic, gdy skończyliśmy się kochać, jak domagał się, żebyśmy robili to tak, jak on chce, albo przez kilka dni nie odpowiadał na moje wiadomości, ale potem dostawał szału, jeśli ja nie odpowiedziałam mu w ciągu godziny. Towarzysząca wszystkiemu ekscytacja – wybiegi, zakazane spotkania i owszem, jakość seksu, sprawiały, że jakoś to wszystko znosiłam.

Teraz zadaję sobie pytanie – co to w ogóle było? Jaki był prawdziwy powód mojego podniecenia prócz chemii lub fizycznego przyciągania? Czyste niedowierzanie, że on pragnie mnie, a nie Mirandy? Czy naprawdę tak bardzo jej zazdrościłam? *Tak*, podpowiada mi cichy głosik. Może właśnie tak było.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Doug ma rację. Sytuacja nie jest dla niego najlepsza. Wygląda na to, że był ostatnią osobą, która widziała kobietę żywą. Ale teraz czuję się dziwnie przekonana o jego niewinności. Nie wydaje mi się, żeby to zrobił.

Zabawne, że jeszcze dwa dni temu tak mało wiedziałam na jego temat. Nie wiedziałam, czy mogę mu ufać. Przez chwilę wszystkie te przerażające nagłówki na jego temat w internecie wystarczyły, żebym wydała skazujący wyrok. Ale z jakiegoś powodu, odkąd z taką bezbronnością i uczciwością do wszystkiego mi się przyznał, czuję inaczej. Wyjawiał mi swoje najbardziej wstydlive sekrety, ale nie mogę go zbyt ostro ocenić.

No i jest jeszcze rozmowa podsłuchana w korytarzu. Może się okazać, że dwoje lub więcej gości ma więcej na sumieniu, niż może się wydawać. Żałuję tylko, że straciłam ten przekłęty obraz i że ich spłoszyłam.

Gdy wchodzę do salonu, wszyscy podnoszą głowy.

– Policja przyjechała? – pyta kobieta imieniem Samira, kołysząca dziecko na kolanach. Czy to jej głos słyszałam z korytarza? Nie jestem pewna. Ale to ona zawiadomiła nas o zaginięciu. Choć to o niczym nie świadczy.

– Nie – odpowiadam. – Ale liczą, że po południu się przejaśni.

Potakuje z posępną miną. Wiem, że wszyscy mnie obserwują. Dużo bym dała, żeby sytuacja była odwrotna i żebym to ja mogła ich obserwować, dopatrywać się wszelkich anomalii w zachowaniu, przebłysków poczucia winy. Jak na autopilocie idę do czajnika, żeby zaparzyć więcej herbaty, i widzę, że już się skończyła. Przeliczając z grubsza, to jakieś pięćdziesiąt torebek na dzień. Mamy zapas w magazynku. Wkładam puchową kurtkę,

czerwoną czapkę i buty górskie i wychodzę na pogrążony w bieli świat. Z każdym krokiem śnieg skrzypi mi pod stopami.

Otwieram wielkie drzwi obory, uwalniając zapach kurzu, wiórów i terpentyny. Z jednej strony znajdują się nasze zapasy – woda butelkowana, na wypadek, gdyby zabrakło jej w kranach (zdarzyło się to więcej niż raz), cukier, kapsułki do ekspresu, papier toaletowy i skrzynki piwa. Artykuły pierwszej potrzeby nawet w miejscu takim jak to.

Trzymamy tu też przedpotopowy telewizor, na którym wyświetla się obraz z kamer monitoringu przy bramie. Istnieją lepsze technologie – można by to wszystko przełączyć na mój komputer – ale w niektórych kwestiach szef jest strasznie skąpy. Patrzę na monitor: znajomy widok drogi. Napadało tyle śniegu, że ledwo cokolwiek widać – wszystko jest białe.

Po drugiej stronie znajduje się sprzęt myśliwski – ubrania moro, buty, lornetki. Równy rząd strzelb myśliwskich. Wszystko ustawione przez Douga z militarną precyzją.

Tylko że...

Mrugam z niedowierzaniem, znów spoglądam. Przeliczam ponownie.

Brakuje jednej strzelby. Jeden ze stojaków jest pusty. Zwykle jest ich dziesięć. A teraz tylko dziewięć.

Wyciągam krótkofalówkę z kieszeni kurtki. Mój palec zawisa nad guzikiem transmisji – mam zamiar połączyć się z Dougiem i zapytać, czy istnieje jakiś powód tego braku. Czy z jakiegoś powodu zabrał którąś ze strzelb? I wtedy zaczynam się zastanawiać: *Czy mogę mu ufać? Czy naprawdę powinnam zwracać jego uwagę na to, co zauważyłam? Może on już o tym wie. Może to on ją zabrał.*

Ktokolwiek wziął strzelbę, musiał mieć dostęp do magazynku w oborze, co właściwie eliminuje gości. Są tylko dwie inne osoby, które znają kod dostępu. A druga opuściła teren posiadłości w sylwestrowe popołudnie.

Staram się zdecydować, co zrobić z tą nową wiedzą. Nie jest to szczególnie pocieszające, ale na myśl przychodzi mi, że Doug chyba nie musiałby nawet zabierać stąd strzelby – ma swoją. A może zawsze było ich

tylko dziewięć? Pocieram suche, podrażnione oczy. Jestem tak potwornie zmęczona. Może to wszystko wytwór mojego umysłu.

Biorę duże opakowanie herbaty. Postanawiam, że nic nie powiem Dougowi. Ale będę się też mieć na baczności. Na wszelki wypadek. Kiedy mijam stary telewizorek podłączony do kamery przy bramie, zerkam na monitor, na którym widać jednostajny zaśniewany krajobraz – widok z bramy wjazdowej. Nasze nagranie jest chyba najbardziej monotonne w całym Zjednoczonym Królestwie. Można by pomyśleć, że to zdjęcie, gdyby nie płatki śniegu ospale przelatujące przed kamerą i sekundy migające w prawym górnym rogu. Wygląda tak samo jak wtedy, gdy szukałam naszego gościa, ale zobaczyłam tylko film poklatkowy padającego śniegu. Pamiętam, jak przewijałam klatki – nic, nic, nic – otumaniona przez jednostajność obrazu. A mimo to... czuję nagle, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Moje ciało coś sobie uświadamia, jeszcze zanim objawi się to w głowie. *Nic*. Ale czy nie powinnam jednak czegoś zobaczyć? Czy nie powinnam zobaczyć na przykład czerwonej furgonetki – furgonetki Iaina – opuszczającej posiadłość w sylwestra? Bo on przecież wyjechał – tak cały czas myślałam. To właśnie powiedziałam policji.

Ale skoro nie widziałam, jak wyjeżdża...

On musi gdzieś tu być. Gdzieś na terenie posiadłości. To jedyne wytłumaczenie.

Moja krótkofalówka trzeszczy. To Doug.

– Gdzie jesteś?

Myślę o światełku, które widziałam w sylwestra, przemieszczające się po zboczu Munro w stronę starej chaty myśliwskiej.

Myślę o jedynym innym realnym schronieniu na terenie posiadłości, do którego nawet z Dougiem nie zajrzeliśmy, bo nikt tam nie chodzi i jest zamknięte na klucz. Nagle wiem, gdzie muszę się udać. Myślę o tym, jak Iain do znudzenia mi powtarzał, że bym *nigdy tam nie chodziła*, bo to niebezpieczne. Myślę też o tym, jak mówił mi, że bym nie pozwalała gościom nocą wychodzić na zewnątrz.

– Jesteś tam, Heather? – Głos Douga niesie się w ciszy panującej w oborze. Mam wrażenie, że w jego głosie pobrzmiewa szczerą troską. – Wszystko w porządku?

– Tak – mówię. – Za niedługo wrócę. – Chowam krótkofalówkę z powrotem do kieszeni.

To prawdopodobnie bardzo głupi pomysł. Wiem, że rozsądnie byłoby zostać na miejscu w ciepłej, bezpiecznej chacie myśliwskiej. Ale mam już dość beczynności. I nie chodzi mi tylko o ostatnie kilka dni. Bo tak naprawdę jestem beczynna już od tak dawna, odkąd zaczęłam uciekać i chować się przed wszystkim. Mam teraz okazję coś sobie udowodnić.

Wzięłam wyposażenie z naszego magazynu. Jeszcze porządniejsze górskie buty, lornetkę, narzędzie uniwersalne. Mam w kieszeni komórkę, która tak naprawdę przyda się tylko jako latarka, chyba że na szczycie uda mi się złapać sygnał. Darowałam sobie ubrania moro – na tle zaśnieżonego krajobrazu byłyby równie widoczne co te, które już mam na sobie. Aha, na ramię zarzucam strzelbę. Strzelałam tylko raz i nie mogę powiedzieć, żebym miała do tego talent. Ale to lepsze niż nic. Najwyżej posłuży jako straszak.

Po drodze podsumowuję w głowie to, co wiem o Iainie. Prawdę mówiąc, jest tego niewiele. Nie wiem nawet, jak ma na nazwisko. Kilka razy wspominał o swojej żonie, ale nigdy jej nie poznałam. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy w ogóle widziałam u niego obrączkę – ale na dobrą sprawę nie potrafię nawet dokładnie przywołać rysów jego twarzy. Kiedy tu był, stanowił część krajobrazu, zajmował się swoją pracą bez konsultacji ze mną, ale według wytycznych naszego szefa. A przynajmniej zawsze tak zakładałam.

Na zboczu góry warstwa śniegu jest jeszcze grubsza. Kilka razy ślizgam się i upadam – stopień nachylenia jest zbyt duży jak na moje górskie buty nawet na tak niskiej wysokości. Właśnie takie zachowania zdecydowanie

odradzam naszym gościom. Nie iść na szlak bez odpowiedniego sprzętu. Przynajmniej mam w kieszeni krótkofalówkę.

Robię głęboki wdech. Od dawna tędy nie szłam.

Ruiny i zachowana stajnia wyglądają szczególnie posepnie na tle świeżego śniegu. Nienawidzę tego miejsca. Czuję w nim spaleniznę, która równa się śmierci. Ma zapach wszystkiego, przed czym uciekłam. Ale nie mam już zamiaru uciekać.

– Heather? Heather, gdzie jesteś? Minęła prawie godzina. – Mój nadajnik trzeszczy. To oczywiście Doug.

Zauważam w jego głosie lekką panikę, której nie słyszałam nawet wtedy, gdy opowiadał mi o swojej przeszłości – więc odpowiadam.

– Jestem... na zewnątrz.

– Dlaczego? Co ty robisz? – Brzmi, jakby się złościł.

– Chciałam coś jeszcze sprawdzić. Nic wielkiego. Coś mi wpadło do głowy.

– Na litość boską, Heather, oszalałaś? Powiedz mi dokładnie, gdzie jesteś. Idę po ciebie.

– Nie – odpowiadam. – Musisz mieć oko na gości.

Zanim zdoła odpowiedzieć, rozłączam się. Muszę się skupić.

Drzwi stajni są zamknięte, tak jak zawsze. Mruga do mnie mały panel numeryczny. Wygląda tak absurdalnie na tle starego kamienia. Iain powiedział mi kiedyś, na samym początku, że budynek grozi zawaleniem. Może runąć w każdej chwili. A wtedy ściągnęlibyśmy na siebie pozew sądowy.

– Szef chce dopilnować, że tu będzie naprawdę bezpiecznie. Nie zbliżaj się do tego miejsca. Nie chcemy, żeby goście tu wchodzili i żeby ktoś stracił życie, gdy dach w końcu się zawali.

Unikanie tego budynku było mi na rękę. Podchodziłam pod starą chatę myśliwską, tylko kiedy nie było innego wyjścia. Przyszliśmy tu, gdy szukaliśmy zaginionego gościa. Pchnęłam wtedy drzwi, poczułam opór

zamka i odeszłam. Teraz po raz pierwszy, odkąd tu pracuję, zadaję sobie pytanie, dlaczego nie dostałam kodu dostępu do stajni. Zwyczajnie przyjąłam, że skoro drzwi są zamknięte, to nie ma takiej możliwości, by nasz gość schronił się w środku.

Nagle mam wrażenie, jakbym przez cały ten czas miała pod nosem jakiś sekret, ale byłam zbyt pogrążona we własnym świecie, we własnym żalu. Czy gdyby nie to, nasz gość wciąż by żył? Odpycham od siebie tę myśl. Nie ma sensu się teraz nad tym zastanawiać.

Nie ma szans, żebym dała radę sforsować drzwi – są stare, z litego dębu, a zamek ani drgnie, gdy na niego napieram. A jednocześnie boję się, że jeśli pchnę za mocno, to budynek rzeczywiście zwali mi się na głowę. Idę więc na tył. Wszystkie okna zabite są deskami, nie da się zajrzeć do środka.

Zauważam, że jedna z wyższych desek jest obluzowana. Widzę ciemną szparę między nią a sąsiednią. Jeśli stanę na którymś z kamieni obok, to może uda mi się do niej dosięgnąć. Wspinam się na jeden z przewróconych głazów, wyciągam z kieszeni narzędzie wielofunkcyjne, wysuwam obcęgi i próbuję chwycić nimi za brzeg deski. Kamień pode mną niebezpiecznie się kolebie, a strzelba obija się o moje ciało. Ściągam ją z ramienia. Na pewno jest zabezpieczona, ale oczami wyobraźni widzę, jak tracę równowagę i przez przypadek sprawiaam, że broń wystrzeliwuje.

Manewruję obcęgami na wszystkie strony, używając całej swojej siły, aż czuję, że deska zaczyna się ruszać. W końcu gwóźdź odskakuje, robiąc głośne *pyk* i kawałek drewna przekręca się na dół, odsłaniając otwór długości mojego ramienia. Potem łatwo już oderwać sąsiednie deski i powiększyć dziurę do około jednej trzeciej metra kwadratowego. Zaglądam do środka, trzymając się listwy poniżej i czując, że kamień wciąż się pode mną kolebie. Czuję zatęchły zapach i – a jakże – ledwie wyczuwalny, stuletni zapach spalenizny. Czy to w ogóle możliwe, czy to raczej wytwór mojej wyobraźni? Choć nie jestem w stanie dostrzec zbyt wiele, widzę, że przestrzeń nie jest pusta. Na środku pomieszczenia coś się znajduje, jakaś sterta. Schodzę z kamienia, wyciągam telefon i włączam funkcję latarki. Przez chwilę mam silne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Obracam się w każdą stronę, ale widzę jedynie niezmaconą, białą jak cukier pokrywę śniegu i moje własne ślady. To pewnie przez panującą tu ciszę. Stara chata myśliwska ma taki wpływ na ludzi. Jest bytem samym w sobie.

Rzucam snop światła w stronę przedmiotu na środku. Widzę teraz, co to jest, ale nadal nie rozpoznaję. To nie jedna rzecz, tylko wielowarstwowa sterta ciasno owiniętych przezroczystą folią paczek, z których każda jest mniej więcej rozmiaru opakowania cukru.

Zresztą zawartość opakowań, widoczna pod przezroczystą folią, trochę przypomina cukier – to jakaś biała substancja. I wtedy w końcu to do mnie dociera. Nagle jestem niemal całkiem pewna, że cokolwiek znajduje się w tych opakowaniach, bardzo różni się od cukru i jest od niego dużo cenniejsze.

Jak w jakimś koszmarze słyszę rozlegające się za mną kroki.

– Co ty tu robisz? – Ton niemal grzeczny, sympatyczny.

Jestem tak zaskoczona, że spadam z kamienia i w ostatniej chwili chwytam się nieoheblowanej deski, czując wbijające mi się w skórę drzazgi. Ledwie jestem w stanie utrzymać się na nogach – nagle robią się słabe ze strachu. Sięgam po strzelbę i bardziej słyszę niż czuję głośny trzask czegoś, co uderza mnie w tył głowy. Zdolność widzenia znika jak zdmuchnięta świeca.

Potrzebuję kilku sekund, żeby wzrok się wyostrzył. A wtedy zauważam stojącą nade mną postać. Na początku go nie poznaję: to przez ból i przez to, co on ma na sobie: obszerną puchową kurtkę, nawet większą niż moja, która sprawia, że wygląda na niemal dwa razy większego niż jest. Twarz ma czerwoną od mrozu, usta obrysowuje lekka sinizna. Wygląda, jakby się ostatnio dobrze nie wysypiał. Ale to Iain.

– Nie rozumiem – udaję głupią. – Myślałam, że pojechałeś do siebie. Gdzie ty... – Milknę, bo widzę, że ma w ręku strzelbę. Nie celuje z niej do mnie, tylko mierzy dłonią jej ciężar. Ten gest ma mi pokazać, że jest z nią zaznajomiony – i że z łatwością jej użyje.

– Mówiłem ci, żebyś tu nie przychodziła. Mówiłem ci, żebyś trzymała się od tego miejsca z daleka.

– Bo powiedziałaś, że tu jest niebezpiecznie.

– Dokładnie. Jak widzisz, wcale nie kłamałem.

– Powiedziałaś mi, że stajnia może się zawalić. A nie, że... – Nie wiem, jak to wyrazić i czy w ogóle bezpiecznie jest to robić: *Nie*, że trzymasz tu coś, czego nie chcesz nikomu pokazać.

– Tak. Albo nie jesteś taka głupia, jak zakładałem, albo *dużo* głupsza. Nadal się nad tym zastanawiam. Myślę, że pewnie to drugie.

Dlaczego? Dlaczego nie zaczekałam na policję i nie powiedziałam im, jakie mam podejrzenia? Naprawdę jestem głupia. A co więcej, nawet nie powiedziałam Dougowi, dokąd idę. *Bo wiedziałaś, że by cię powstrzymał. Zachowałaś się jak idiotka.* Cała ta moja wyprawa wygląda nagle jak misja samobójcza. I wtedy do głowy przychodzi mi pewna myśl... może to miała być misja samobójcza. Myślę o otchłani, którą rozważałam w przeszłości – o pastylkach i moście. Przez bardzo długi czas myślałam o tym, że może śmierć nie byłaby ostatecznie takim złym pomysłem. Ale teraz – i być może to tylko jakiś głęboko zakorzeniony pierwotny instynkt – odkrywam nagle, że chcę żyć.

– Posłuchaj. – Staram się mówić spokojnie, rozsądnie. – Udajmy, że niczego nie widziałam. Pójdę sobie i będziemy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło.

Iain wybucha śmiechem.

– Nie, to raczej niemożliwe.

Gapię się na niego. Gdybym nie była taka przerażona, ta sytuacja wydałaby mi się fascynująca: jaka to zmiana zaszła w człowieku, który wcześniej wydawał mi się taki prosty, nieskomplikowany i małomówny. Ale wtedy zdaję sobie sprawę, że to wcale nie jest zmiana. To jest jego prawdziwe oblicze. Ta druga osobowość była jak kostium.

Robi krok w moją stronę i wyciąga do mnie wolną rękę, od której próbuję uciec.

– W porządku – mówi. – Zrobimy tak. – Unosi strzelbę. Cała nieruchomieję, moja skóra się napina, gardło zaciska się w przerażeniu. Myślę sobie, że to koniec. On zaraz mnie zabije.

– Idź – mówi. – Na co czekasz?

Każe mi obejść budynek stajni, aż dochodzimy do drzwi wejściowych. Mierząc strzelbą mniej więcej w moim kierunku, wyciąga rękę do panelu numerycznego. To moja szansa, myślę sobie. To chwila, w której mogę spróbować uciec. Tylko gdzie? Wszędzie jest tylko śnieg. Chyba nie mógł sobie wymarzyć prostszego celu. Mogę więc jedynie czekać, aż otworzy drzwi i wepchnie mnie do ciemnego środka.

Natychmiast zdaję sobie sprawę, że jest tu znacznie cieplej, niż się spodziewałam. Widzę, że w kącie pomieszczenia stoi generator.

– Jak miło z twojej strony – mówię, udając mniej przestraszoną, niż naprawdę jestem. – Pomyślałeś o mnie.

Prycha.

– I co tu masz? Zaległe prezenty bożonarodzeniowe?

Mówię, bo mówienie – próby formowania słów, by powstrzymać się od krzyku – w jakiś sposób mnie uspokaja.

– Dokładnie – mówi Iain. – A ty nie musisz sobie zaprzętać swojej małej główki tym, co znajduje się w środku.

Ale muszę sprawić, żeby mówił. Muszę znaleźć sposób na to, by nie dać się zabić. W tym momencie odwrócenie jego uwagi od tego, że ma mnie zastrzelić, jest jedyną rzeczą, jaką mogę zrobić. Nie ma sensu obiecywać mu, że niczego nie powiem. Nie uwierzy mi. I pewnie słusznie.

Więc w zamian mówię:

– Tym się właśnie zajmowałaś przez cały ten czas? Praca na terenie posiadłości to była tylko ściema? Rozumiem, że to zajęcie jest dużo bardziej dochodowe.

– Strasznie jesteś ciekawska – mówi. Ale po chwili wzrusza ramionami, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że równie dobrze może mi powiedzieć, a to nie wróży niczego dobrego. Bo to oznacza, że nie będę

mieć już szansy z nikim się tym podzielić. Nie mogę teraz się na tym skupiać. Muszę zyskać na czasie. Czas to życie.

– Skoro pytasz – mówi. – To jedna z wielu moich prac. Umieję zbudować idealny mur z kamienia. Potrafię uszczelnić okno kitem w dziesięć minut. I jestem całkiem niezłym... dostawcą.

– Rozumiem – mówię powoli, jak gdyby fascynował mnie jego geniusz. – Przywozisz to furgonetką z...

– Powiedzmy, że *skądś* – mówi z udawaną cierpliwością.

– Składowałeś to tutaj, a potem... – Staram się racjonalnie myśleć mimo wzbierającej we mnie paniki. Jaki byłby cel przywożenia wszystkiego tutaj, do jednego z najbardziej odludnych miejsc w Zjednoczonym Królestwie, skoro nie można tego stąd przenieść nigdzie indziej?

I wtedy myślę o historii tego miejsca. O starym lairdzie, który uparł się, by zbudować tu stację kolejową.

– Potem ładujesz to do pociągu.

Iain uchyla przede mną niewidzialny kapelusz.

– Prosto do Londynu. – Uśmiecha się i ta mina sprawia, że wygląda dużo bardziej niebezpiecznie. Nie wiem, jak to możliwe, że kiedyś uważałam go za normalnego, prowadzącego proste życie faceta. Wygląda jak wariat. Wygląda na w pełni zdolnego do tego, by udusić kobietę. Jeszcze teraz go o to nie zapytam. Na razie niech sam mówi.

Przypominam sobie o krótkofalówce. Gdybym tylko zdołała włączyć guzik, to może udałoby mi się połączyć z Dougiem. Mogłabym cały czas na niego naciskać, żeby druga strona się nie odezwała. Może udałoby mi się nawet powiedzieć coś, co odpowiedziałyby mu, gdzie się znajduję.

– Prosto do Londynu, tak? Bardzo sprytne. Jak whisky w dawnych czasach. Podobno sam laird był w to wmieszany, wiedziałeś o tym?

Iain nic nie mówi, ale rzuca mi znaczące spojrzenie. *Otwórz oczy.*

– Aha. – Świadomość uderza mnie jak pięść w brzuch. – Szef też jest w to wmieszany?

Iain nie odpowiada – nie musi.

Jest jak w dawnych czasach: laird pobiera dolę od przemycanej whisky. A ja spędziłam ostatni rok, beztrudnie zajmując się swoimi sprawami w biurze, zastanawiając się, czy szef chciałby, żebyśmy zaczęli reklamować chatę myśliwską szerszemu gronu odbiorców. Oczywiście, że by nie chciał. Ten interes był dla niego świetną przykrywką, ale przy większej liczbie odwiedzających ktoś mógłby coś w końcu zauważyć.

Byłam taka głupia. Pewnie śmiali się ze mnie przez cały ten czas. Idiotka w biurze, która nie widzi, co dzieje się pod jej własnym nosem.

– A jak ładujecie to do pociągu, żeby nikt nie zauważył?

Znów rzuca mi spojrzenie. No jasne: zawiadowca Alec. Myślę o tym, jak się zachowywał, kiedy poszłam się rozejrzeć w pobliżu stacji, i jak stanął mi na drodze do swojego mieszkania. Miał coś do ukrycia.

Myślę o Dougu. Czy on o tym wie? Czy jestem jedyną osobą, którą trzymano w całkowitej nieświadomości? To mogła być wzajemna wymiana: ty przymkniesz oko na to, co się tutaj dzieje, a my przymkniemy oko na twoją kryminalną przeszłość.

Czy by mnie zignorował, gdybym zgłosiła się do niego przez krótkofalówkę? Ale chyba nie chciałby, żebym umarła, prawda? Myślę o tym, jaki był bezbronny i szczery, kiedy rozmawialiśmy w chacie myśliwskiej. Ale to mogło być kłamstwem. Prawda jest taka, że to wszystko było tylko przelotną fantazją. Tak naprawdę w ogóle go nie znam.

Muszę spróbować, to moja jedyna szansa. Stopniowo, tak by nie przyciągnąć jego uwagi, spuszczam dłoń wzdłuż ciała, w stronę kieszeni. Przygląda się strzelbie, jak gdyby była szczególnie zajmującym domowym pupilem.

Powolutku zagłębiam w kieszeni rękę. Dotykam palcami antenki nadajnika, czując jego twardy korpus.

– Co ty, kurwa, robisz?

Na jego twarzy maluje się wściekłość. Robi kilka kroków w moją stronę.

– N-nic.

– Wyciągaj rękę. – Bez ceregieli sięga do kieszeni mojej kurtki i wydobywa z niej krótkofalówkę. Patrzy na nią gniewnie przez kilka

sekund, po czym rzuca nią o ścianę z większą siłą, niż spodziewałabym się po człowieku jego postury. Nadajnik upada z klekotem na kamienną podłogę, rozbity na dwa kawałki.

Podchodzi do mnie z rolką szarej taśmy i brutalnie owija mi nią nadgarstki i kostki, że aż bołą. Gdy zajmuje się moimi nogami, sprawdzam, jak mocne są pęta na rękach. W ogóle nie jestem w stanie nimi ruszyć. Są jak oplecione metalowym łańcuchem, taśma nie daje żadnego luzu. Mogłabym spróbować kopnąć go w głowę, skoro jest przy moich nogach. Ale nie jestem pewna, czy byłabym w stanie to zrobić z wystarczającą siłą. Nie jest wielkim facetem, ale ma dość dużo siły – w końcu pracuje tu fizycznie. A jeśli zamiast go unieszkodliwić, tylko go rozwścieczę – co jest najbardziej prawdopodobnym rezultatem – to tylko szybciej mnie zabije.

Iain staje nade mną zadowolony z wykonanej roboty. Nagle rozlega się ogłuszający huk. Iain przechyla się w przód z miną wyrażającą całkowite oniemiaenie i przewraca się na mnie. Jego strzelba ląduje tuż obok. Nie rozumiem, co się wydarzyło. Niczego też nie widzę, bo on mnie przygniata. I wtedy zdaję sobie sprawę, że przód mojej szarej kurtki jest mokry od ciemnoczerwonej krwi.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ
NOWY ROK 2019 ROKU

MIRANDA

Nie mogę uwierzyć, że łowczy mnie odtrącił. Co za upokorzenie. A myślałam, że dzięki temu poprawię sobie samopoczucie.

Cały ten ból pozbawia mnie powietrza w płucach. Zginam się wpół, jakby ktoś naprawdę uderzył mnie w brzuch, i osuwam się na ziemię. Kłucie ostrych kamieni pod kolanami sprawia mi dziwną przyjemność, podobnie jak chłód na mojej skórze, która wcale nie wydaje się zimna – jest w dotyku jak ogień. Pewnie wyglądam absurdalnie, klęcząc tu w złotej sukience i szpilkach. Może wynika to z tego, że mam świadomość, jak muszę teraz wyglądać... ale mam nagłe, podskórne wrażenie, że nie jestem sama.

Kiedy rozglądam się dookoła, zauważam jakiś ruch między drzewami w pobliżu jeziora. Mogłabym przysiąc, że zauważyłam ciemną sylwetkę czegoś – lub kogoś – w mroku sosen. Teraz jestem już pewna. Ktoś jest tutaj ze mną. Ale wszystko mi jedno, mam to gdzieś. Normalnie bym się przestraszyła. Ale nic nie jest w stanie wstrząsnąć mną bardziej niż to, co zobaczyłam dziś w saunie.

Bez wątpienia komuś, kto obserwuje mnie spomiędzy drzew, podoba się ten widok. Przypominam sobie uśmiech Islandczyka, kiedy zauważyłam go w lesie z partnerką, i jego przywołującą mnie rękę.

– Śmiało – wołam, mącąc ciszę. – Patrz, ile chcesz. Mam to w dupie.

Emma. Pójdę do Emmy. Muszę z kimś porozmawiać. Jeśli mam szczęście, to Mark nadal śpi na kanapie w chacie myśliwskiej. Zerkam do

środku. Tak, nadal leży na kanapie na wznak, rozłożony na rozgwieżdżone.

Pukam do drzwi jej domku. Cisza. Jest po czwartej nad ranem. Próbuje raz jeszcze. W końcu drzwi się otwierają. Emm marszczy czoło, otumaniona. Ubrana jest w piżamę – jedwabną, obszytą lamówką. Mam podobną.

– Ojej – mówi. – Cześć, Mando.

Zwykle się wzdrygam, kiedy tak do mnie mówi. W jej ustach brzmi to tak, jak gdyby za bardzo się starała. Tylko Julien i Katie tak mnie nazywają – dwie najbliższe mi osoby. Co za ironia.

– Mogę wejść?

– Jasne. – Żadnych pytań, żadnego zawahania. Czuję ostre ukłucie winy z powodu tego, jak ją traktowałam. Zawsze była dla mnie taka miła, a ja czasem zachowywałam się wobec niej jak straszna suka – ośmieszałam ją przy całej grupie, wykluczałam ją. Ale od dzisiaj wszystko będzie inaczej. Ja będę inna.

Wchodzę za nią do domku. Wygląda w środku niemal tak samo jak nasz: jeden duży pokój, fotele i kominek, wielkie łóżko z kolumnami, toaletka – a nawet poroże na ścianie. Główna różnica jest taka, że tu panuje idealny porządek, jak gdybym znalazła się w alternatywnej rzeczywistości. U nas wszędzie walają się rzeczy, zawsze byliśmy strasznymi bałaganierzami. *U nas*, myślę, *my*. Ale koniec z tym, to się wszystko zmieni. Dom, który razem kupiliśmy, nasze plany. Tyle wspólnej przeszłości. Nagle czuję, że nie jestem w stanie utrzymać się na nogach.

Niepewnym krokiem podchodzę do najbliższego siedzenia – małego taboretu przy toaletce.

– Napij się? – Emma pokazuje na barek z alkoholem stojący w rogu. Nie zapytała mnie jeszcze, o co chodzi, ale ten gest sugeruje, że wie, że coś jest nie tak.

– Poproszę.

Nalewa mi whisky.

– Więcej – mówię, na co ona nieco unosi brew, po czym dolewa do szklanki kolejne dwa centymetry alkoholu. Myślałam, że wczoraj wypiałam

zdecydowanie za dużo, ale nagle czuję się zbyt trzeźwa, mój umysł jest boleśnie przytomny, obrazy w mojej głowie nie do zatarcia, idealnie wyraźne. Chcę przestać je widzieć. Chcę być odrętwiała, znieczulona.

Widzę przez okno, że światło w saunie wciąż się świeci. Jak mogli być tacy głupi? Prawie jak gdyby chcieli, żeby ktoś ich przyłapał. Może naprawdę nie zauważyli, jak bardzo sauna rzuca się w oczy w ciemności – jest jak lampion na tle nieba. Latarnia. Zastanawiam się – mimo że wiem, że nie powinnam o tym myśleć – co teraz robią. Jak para spiskowców omawiają kolejne posunięcie? Czy oni się w ogóle z powrotem ubrali? Nie mogę się pozbyć z głowy tego obrazu: jej bladość w kontraście z jego opalenizną, ich ciemne głowy przy sobie. Upijam wielki łyk whisky, która pali mi gardło, spływając do żołądka. Koncentruję się na tym bólu. Ale chyba cała whisky na świecie nie pomoże mi zapomnieć, jak dziwnie i nieznośnie pięknie razem wyglądali.

– Emmo, masz może jakąś kartkę?

Znów unosi brwi.

– Yyy... chyba tak. – Nie wiadomo skąd wyciąga notatnik marki Basildon Bond. To bardzo w jej stylu mieć pod ręką plik dobrej jakości papeterii.

Mam teraz w głowie dziwną jasność. Jak gdyby prowadziła mnie jakaś obca siła. Odwracam się do blatu toaletki i zaczynam pisać liścik do Juliana. Dam go Emmie do przekazania.

Jedynie, czego chcę, to narobić tyle szkód, by Julien poczuł tę samą bezradność, co ja. Tak bardzo trzęsie mi się ręka, że muszę dociskać długopis do papieru, żeby panować nad swoim pismem: stalówka dwa razy przechodzi na wylot. I dobrze. Będzie wiedział, że nie żartuję. Za jednym pociągnięciem zniszczył wszystko, w co wierzyłam. No to teraz ja zniszczę jego.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

Doug ściąga ze mnie stękającego jak zwierzę Iaina, jak gdyby ten był workiem piasku. Pochyla się nade mną i chwyta mnie za ramiona.

– Wszystko w porządku? Heather? Co ty, do cholery, sobie myślałaś? Poszedłem za twoimi śladami na śniegu... Co on ci zrobił? Jezu Chryste, Heather... – Coś w wyrazie jego twarzy, malujące się na niej zmartwienie – troska – to dla mnie zbyt wiele. Tak samo jak dotyk jego dłoni, którą ujmuje teraz mój podbródek. Jego palce, pokryte odciskami, ale delikatne, odgarniają mi włosy z czoła, szukając obrażeń. Nie pomyślałabym, że taki potężny mężczyzna mógłby być taki delikatny.

– Nic mi nie jest – mówię. – Nie zrobił mi krzywdy.

– Zrobił. – Doug zdejmuje dłoń z mojej głowy i pokazuje, że jest cała w mojej krwi. – Ten pieprzony...

Wstaje i unosi stopę, jak gdyby chciał kopnąć Iaina, który skamle na ziemi, trzymając się ręką za ramię, w miejscu, w którym krew tworzy na jego kurtce ciemnobrązową plamę. Wygląda tak, jakby lada chwila miał zemdleć.

Trudno na to patrzeć.

– Nie rób tego, Doug. – Najwyraźniej włącza mi się dawny instynkt z czasów, gdy pracowałam w karetce: ratować życie.

– Dlaczego? Popatrz, co ci zrobił, Heather. Nie pozwolę, żeby uszło mu to na sucho.

– Ale... nie chcemy, żeby umarł. – Widzę dużo krwi. Doug wciąż wygląda na nieprzekonanego, więc dodaję: – On może coś wiedzieć.

Przez moment się waha.

– Niech będzie.

Niechętnie odstawia stopę. Na moją prośbę robi opatrunek z kawałka materiału, który oderwał sobie od koszuli, i dociska go pod kurtką do ramienia Iaina, aby zatrzymać krwawienie.

Iain patrzy na niego tępyimi oczami, nie opierając się. Jego skóra jest szara, ciało przygarbione. Doug trzyma uniesioną stopę nad kroczem mężczyzny, na wypadek, gdyby chciał uciec... choć nie wygląda na to, by był w stanie.

– Nic ci nie będzie – mówi do niego Doug rzeczowym tonem, jak gdyby słyszał moje myśli. – Masz tylko roztrzaskane ramię. Widziałem gorsze rzeczy. Będzie piekło jak skurwysyn, ale koniec końców... zresztą, zasłużyłeś sobie.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Co? – Iain ściąga brwi i znów krzywi się z bólu.

– Naszego gościa. Zepchnąłeś ją z mostu, bo coś zobaczyła? Bo dowiedziała się, co robisz?

– Ja jej nie zabiłem – jęczy.

– Nie wierzę ci – odpowiadam.

– Nigdy nikogo nie zabiłem – mówi, ciężko dysząc po każdym wypowiedzianym słowie, jak gdyby biegł pod górę. Mam nadzieję, że Doug się nie myli co do jego rany. – Zrobiłem w życiu wiele złych rzeczy, ale nigdy *nie zabiłem człowieka*.

Ostatnie słowa wypowiada ze szczególną odrazą, jak gdyby naprawdę istniało coś, do czego nigdy by się nie posunął. Ale, z drugiej strony, do niedawna całkiem dobrze mu szło zgrywanie niewiniątka.

– Nie zabiłem tej kobiety. Jaki miałbym mieć powód?

– Bo mogła coś zobaczyć – mówię. – Tak jak ja coś zobaczyłam. Byłeś gotowy mnie zabić. Chciałeś mnie zastrzelić.

– Nie – odpowiada. – Wcale nie. Ledwie wiem, jak się tego używa. – Pokazuje na strzelbę leżącą na ziemi. Doug bierze swoją do ręki na znak

ostrzeżenia. *A ja tak*, mówi tym gestem. *Ja wiem*. Na ten widok Iain z trudem przełyka ślinę.

– Ale wzięłeś ją ze składziku – drążę – więc chyba zakładałeś, że jej użyjesz.

Wygląda na szczerze skonsternowanego.

– Nie – mówi cicho. – Wcale nie.

– Jak to „nie”? Przez ostatnią godzinę celowałeś mi z niej w głowę.

Patrzy na mnie, jak gdybym traciła rozum.

– Przecież to strzelba, którą sama przyniosłaś. Mierzyłem do ciebie, żebyś nie uciekła. – Lekko się porusza i zaciska oczy z bólu. Strasznie się poci. – Ale widziałem coś, dlatego przeniosłem towar z pompowni do starej chaty myśliwskiej.

Te słowa skupiają moją uwagę. *Widziałem coś*.

– To znaczy? – pytam bez chwili zwłoki. – Co widziałeś?

– Jak ona umarła. Ta dziewczyna. I wtedy pomyślałem, że rano zaroi się tu od glin. Przeszukają każdy kąt. Wszystko znajdą. Wiedziałem, że muszę przenieść towar dalej od chaty myśliwskiej i jak najszybciej pchnąć go dalej, żeby nie wpadł w ręce policji. Ale nie przewidziałem śniegu. Policja nie mogła się tu dostać, a my nie mogliśmy się stąd wydostać. Pociąg... – Milknie, jakby się zorientował, że powiedział zbyt wiele. Ciekawi mnie to „my”, ale na razie nie ma czasu o to pytać.

– Posługiwaliście się pociągami? – pyta Doug w tym samym czasie, co ja mówię:

– Jak ona umarła? Ta kobieta. Naprawdę widziałeś? Pewnie powiesz, że spadła, co?

– Nie – kręci głową. – Skąd. Została zamordowana. Wszystko widziałem. Wcześniej rano, około czwartej, byłem niedaleko pompowni, żeby sprawdzić, czy z towarem wszystko w porządku, tak jak mówiłem. Ona ją zabiła.

– Ona? – pytam.

– Tak, ta druga. Z grupy naszych gości. Kłóciły się, chociaż nie wiem dokładnie o co. Ale słyszałem, jak mówiła „Nigdy tak naprawdę nie byłaś

moją przyjaciółką. Przyjaciółki nie robią sobie takich rzeczy”. Więc pomyślałem, że to klasyczna babska awantura o faceta czy coś w tym guście. Nie było mi to na rękę, ale nie miało to też większego znaczenia. Pomyślałem, że schowam się i poczekam, aż się uspokoją i sobie pójdę. Ale wtedy zobaczyłem, jak jedna zaczyna dusić tę drugą, jak gdyby chciała wycisnąć z niej słowa. A potem pchnęła ją w sam mostek i patrzyła, jak spada. Nawet nie mrugnęła okiem.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ
NOWY ROK 2019 ROKU

MIRANDA

To jedyna rzecz, która przynosi mi jakąś ulgę: myśl o tym, jak Julien musi się bać, że wszystko wygadam. Pewnie myśli: *Nie będę próbował teraz z nią rozmawiać. Może za godzinę, niech jeszcze ochłonie. Ale będzie już za późno. Ukryję się do czasu, aż będę mogła odjechać pociągiem do Londynu. Myślę o tym, jak Julien idzie do domku, widzi, że jest pusty i wtedy zalewa go fala paniki. I czyta liścik: Nie możesz nic zrobić. Nie powinnam była strzec twojego sekretu.*

– Skończone. – Odkładam długopis, zadowolona ze swojej pracy. Na toaletce panuje porządek. Szczotka do włosów, małe drewniane pudełeczko, kilka szminek. Jedna z nich jest od Chanel. Odwracam ją dołem do góry i czytam etykietkę. *Pirate* – mój ulubiony odcień. Wydawało mi się, że rozpoznałam go wczoraj na Emmie, ale trudno było mieć pewność: na każdej osobie kolor wygląda inaczej.

– Mam taką – mówię. – To moja ulubiona. – Właściwie to muszę kupić kolejną. Ostatnia gdzieś się zapodziała, może pod podszewką którejś torebki.

– Naprawdę? – odpowiada Emma. – Uwielbiam ten kolor.

Otwieram szminkę, spoglądam w lustro i skupiam się na idealnym rozprowadzeniu jej po ustach, idealnie obrysowując szkarłatem łuk kupidyna. Czytałam gdzieś kiedyś, że sprzedaż szminek idzie w górę, kiedy czasy są ciężkie. Robię smutną minę, patrząc na siebie w lustrze. Wyglądam jak w barwach wojennych. Moja twarz jest blada, oczy podkrążone, ale szminka mnie odmienia. Nadaje mojej twarzy wyrazistości,

kontekstu, jest jak znak interpunkcyjny. Próbuję się uśmiechnąć i szybko się powstrzymuję. Wyglądam jak wariatka – jak Joker grany przez Heatha Ledgera.

– Dobrze ci w tej szmince – powiedział mi kiedyś Julien. – Na innych kobietach zawsze wygląda tak, jak gdyby kogoś udawały. Ale ty... jak to powiedzieć? Urodziłaś się, by nosić ten kolor.

Wyciągam chusteczkę z pojemnika i ścieram go. Teraz moje usta wyglądają na odarte, krwawe.

– Może pójdziemy do chaty myśliwskiej? – mówi Emma. – Tam będzie wygodniej. Mark odpadł na kanapie, ale mimo wszystko...

– Nie, dzięki. Nie chcę nikogo spotkać. Wyjadę pierwszym porannym pociągiem i to będzie koniec. Nigdy więcej nie chcę widzieć Juliana ani Katie.

Robi wielkie oczy.

– Mando... o Boże... co się stało?

Wyobrażam sobie, jak przekazuję jej wieści z chłodną obojętnością godną gwiazdy filmowej z lat trzydziestych. Ale ku mojemu przerażeniu zdaję sobie sprawę, że do oczu napływają mi łzy. Czuję, jak wzbierają we mnie niczym niepowstrzymana fala. Nie płakałam od tak dawna, nawet kiedy okazało się, że skończę studia z kiepskim dyplomem, podczas gdy siedząca naprzeciw mnie Katie otworzyła swoją kopertę i okazało się, że jest uczelnianej czołówce.

Zaciskam dłonie w pięści, wbijam paznokcie w miękkie ciało.

– Julien i Katie ze sobą sypiają. – Nie mogę zdobyć się na to, by powiedzieć, że mają romans. Jeszcze nie. To brzmi tak zażyle, tak podle.

– O Boże. – Emma zakrywa usta dłonią. Ale nie patrzy mi w oczy. Całe to przedstawienie wygląda sztucznie.

Nie wierzę. Ze wszystkich możliwych ludzi Emma wiedziała o tym, że mój mąż mnie zdradza, a ja nie? Kurwa, nie wierzę.

– *To ty wiedziałaś?*

– Dopiero od wczoraj, przysięgam, Mirando. Mark mi powiedział.

Mark ostrzegał mnie przed sekretem Julienu. To o to chodziło. Nic dziwnego, że miał taką skonsternowaną minę, gdy powiedziałam mu, że nie chcę o niczym słyszeć.

– Nie mogłam tak od razu ci powiedzieć – zaczęła się tłumaczyć. – Chyba chciałam dać Katie i Julienowi szansę, żeby sami z tobą porozmawiali. Nie miałam prawa.

– Żeby mi powiedzieć, że mój mąż i najlepsza przyjaciółka się różną?

– Przepraszam, Mando, powinnam ci była powiedzieć... Nigdy sobie tego nie daruję...

Ma tak zdruzgotaną minę, że macham na nią ręką. Nie mam na to siły.

– To bez znaczenia. W niczym nie zawiniłaś. Zresztą teraz już wiem. I wiem, co w tej sprawie zrobię. – Podaję jej liścik. – Posłuchaj, chcę, żebyś przekazała to Julienowi. Nie mam na tyle siły, żeby zrobić to sama.

– Okej – odpowiada, biorąc kartkę. – Ale dlaczego...

– Mogę się jeszcze napić? – pytam w tym samym momencie, podnosząc szklankę.

– Jasne. – Uśmiecha się. – To jak lekarstwo.

Idzie uzupełnić szklanki.

Aby się czymś zająć, podnoszę pudełeczko leżące na toalecie. To ładny, malowany bibelot w typie chińskiej szkatułki-zagadki. Moja babcia miała podobną. Odwracam ją do góry dnem. To chyba ten sam model. Często się nią bawiłam – kiedy babcia pokazała mi sekretny sposób jej otwarcia, robiłam to bezustannie. Czy nadal pamiętam, jak to było? Ostrożnie popycham jeden z dolnych paneli, ale ani drgnie. Obracam szkatułkę i próbuję zrobić to samo po przeciwnej stronie. Przesuwa się. Ogarnia mnie poczucie prostej satysfakcji. Jaki był kolejny krok? Ach tak, panel na krótszej ścianie. Moje palce pracują swoim rytmem, popychają, obracają. Już prawie – muszę jeszcze znaleźć mały drążek i wyciągnąć go. Jeśli to takie samo pudełko, to zaraz się otworzy. Ha! Jest.

– Och! – mówi Emma dziwnym głosem. Stoi przodem do mnie, trzymając nasze whisky. – Nie, zostaw to!

Już za późno. Szkatułka się otworzyła, a jej zawartość ze stukotem wysypuje się na podłogę. Rzeczy jest tak wiele, że trudno uwierzyć, że zmieściły się w takiej małej przestrzeni.

Słyszę brzęk tłuczonego szkła i podnoszę wzrok, nie wiedząc, co się dzieje. Emma upuściła obie szklanki. Na drewnianej podłodze leżą odłamki, płyn rozlewa się wokół jej stóp.

– O cholera – mówię. – Jestem taka głupia.

Ale ona prawie tego nie słyszy. Prawie nie zauważa whisky. Zbiera z podłogi rozsypane przedmioty, na wpół zasłaniając je swoim ciałem.

– Uważaj – mówię. – Bo się... – I wtedy słowa grzęzną mi w gardle.

Ona nie chce, żebym zobaczyła. Ale widzę. Znajome przedmioty. Kolczyk zgubiony podczas letniego balu jakieś jedenaście lat temu, na który poszliśmy z Julienem jako para. Pamiętam, jak dotknął płatka mojego ucha i lekko pociągnął.

– To jakaś nowa moda? Pojedynczy kolczyk? Tylko ty możesz dobrze w czymś takim wyglądać. – Mam teraz wrażenie, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Wisiołek. Prezent od Katie na dwudzieste pierwsze urodziny. Długo nie mogłam się pogodzić z tym, że go zgubiłam. Katie wiedziała, że bardzo chciałam go mieć, a był od Tiffany'ego i musiała dużo za niego zapłacić.

Wieczne pióro od Parkera. Nie poznaję go. A nie, już wiem. Zgubiłam je gdzieś podczas pierwszych tygodni studiów. Może przesadnie nie pilnowałam swoich rzeczy, ale byłam pewna, że pewnego ranka było w mojej torbie, a po południu już nie. Poświęciłam kilka godzin, próbując odtworzyć swoje kroki z tamtego dnia. Pomyślałam, że ktoś je pewnie znalazł i zabrał. No i wychodzi na to, że miałam rację.

Nawet zapalniczka – ta z herbem, którą zapodziałam gdzieś poprzedniego wieczoru.

– Skąd masz te wszystkie rzeczy, Emmo? To wszystko moje. Jak to się tu znalazło? – Myślę o liścikach, które ktoś zostawiał w mojej przegródce. O tym, jak ta czy inna rzecz była mi zwracana. Ale nie te tutaj. Te były chyba zbyt cenne.

– Nie wiem – odpowiada Emma, nie spoglądając na mnie. – Nie wiem, skąd to się wzięło. To szkatułka Marka.

Pomijam fakt, że nie potrafię sobie wyobrazić, by Mark posiadał tak wyszukane pudełko. Patrzę na to, jak Emma tuli wszystkie te drobiazgi do piersi – pióro, kolczyk, wisiorek. Zastanawia mnie wyraz jej twarzy – czyste przerażenie – kiedy zobaczyła, jak bawię się szkatułką, na moment zanim ją otworzyłam. Wykrzyczane przez nią ostrzeżenie. Upuszczone szklanki whisky.

Myślę też o poprzednim wieczorze.

– Mando. To takie głupie. Mogę ci to wszystko wytłumaczyć.

– Nie, Emmo, chyba nie możesz.

Próbuję się domyślić, co mnie tak bardzo zaniepokoiło w tym, co wczoraj powiedziała. Kiedy opowiadała o tamtej imprezie – tej, na której utknęłam w toalecie. Kiedy twierdziła, że to się musiało stać w Londynie, w jej obecności, albo że ktoś z pozostałych jej o tym opowiedział. Ale nie byłoby to możliwe. Nikogo z nich przy tym nie było. Bo to nie zdarzyło się w Londynie. To zdarzyło się w Oksfordzie.

To był pierwszy tydzień studiów. Teraz pamiętam to bardzo wyraźnie. Chciałam wyrzeć na wszystkich dobre wrażenie, dlatego czułam się tym taka upokorzona i dlatego nigdy nie powiedziałam o tym nikomu z naszej paczki. Ale jakimś sposobem Emma była w Oksfordzie. Na tej imprezie. Nie ma na to innego wytłumaczenia.

Wyciągam z kieszeni telefon.

– Co ty robisz? – pyta, spoglądając na mnie, przycupnięta na podłodze.

– Szukam dowodu.

Przez moment po jej twarzy przebiega jakiś wyraz – gwałtowny i nagły – i boję się, że rzuci się na mnie i wyrwie mi komórkę z rąk. Ale po chwili jakby odzyskała nad sobą panowanie.

– Jaki dowód? – pyta. Możliwe, że udaje ten spokój, ale jej głos jest dziwnie wysoki i przenikliwy.

Nie odpowiadam. Przez moment prawie jestem wdzięczna Julienowi za to, że poprosił o włączenie Wi-Fi w chacie myśliwskiej. Mimo to mija

chwila, zanim uda mi się otworzyć Facebooka, i przez cały ten czas widzę, jak Emma czai się na mój telefon. W końcu, gdy strona się ładuje, klikam na „Zdjęcia, na których jesteś”. Nie mogę uwierzyć, ile ich jest i na ilu fatalnie wyglądam. Po tym wszystkim, kiedy zacznę na nowo, zrobię selekcję. Przewijam zawartość i moja twarz staje się coraz młodsza, policzki pełniejsze, oczy większe. Nie mogę uwierzyć, jak bardzo się zmieniłam. Nawet nie zdawałam sobie sprawy. Wszyscy bardzo się zmieniliśmy. Jest Julien, piękny chłopak, w którym się zakochałam. Chłopak, który stał się mężczyzną, który zniszczył mi życie. Ale nie mam na to teraz czasu. Szukam czegoś innego. Przeleciałam chyba setki zdjęć, z których połowa nawet się nie załadowała. Ale nie ma to znaczenia. W końcu jestem na właściwym obszarze. Imprezy integracyjne z samego początku studiów. Tydzień poznawania obcych ludzi, spośród których próbujesz wybrać tych, z którymi się zaprzyjaźnisz. Każda twarz jest obca, więc byłoby trudno szczególnie zapamiętać którąś z nich. Ona tak się przede mną chowała. Już wiem, czego szukam. I wkrótce to mam: zdjęcie z tamtej imprezy, na której zatrzasnęłam się w ubikacji. Morze prawie dorosłych twarzy. Zdjęcie jest okropnej jakości, ale nie potrzebuję wiele. W tłumie jest twarz patrząca prosto na mnie. Nigdy bym tego nie zauważyła, gdyby Emma mi nie podpowiedziała. Włosy mysiego koloru, zaokrąglone policzki, mniej wydatne rysy, oczy za okularami w stylu Harry’ego Pottera. Wyglądała dużo młodziej, dużo gorzej. Podnoszę wzrok i porównuję ją do kobiety, która stoi przede mną. I mimo tych wszystkich zmian, to nadal ona – nie da się temu zaprzeczyć.

– To nie był Mark – mówię. – To byłaś ty, Emmo. To ty zabrałaś moje rzeczy. – Nie wiem jak, ale przynajmniej to jest jasne. – Moja zapalniczka – mówię, widząc, jak błyszczy jej w palcach. – Oddaj mi moją zapalniczkę.

Podaje mi ją bez słowa. Teraz na mnie patrzy – w skupieniu, jak gdyby próbowała czytać mi w myślach, zgadnąć, co zrobię dalej.

Po raz kolejny tej nocy chciałabym być opanowana. Zapalić papierosa zapalniczką, którą trzymam w dłoniach, i poprosić Emmę, żeby mi to wszystko wytłumaczyła. Jak ona, ciapowata dziewczyna Marka, którą znam

zaledwie od trzech lat, stała się moją stalkerką. Ale nie potrafię. Dwa odkrycia w jedną noc. To zbyt wiele. Mam nagłe poczucie, że całe moje życie runęło.

EMMA

Zgoda. Miranda i ja znamy się dużo dłużej. Nie, nie tak długo jak ona i Katie, jej fałszywa „najlepsza” przyjaciółka. Ale na pewno dłużej niż ona i Julien albo Mark. Aby to wytłumaczyć, muszę się cofnąć o ponad dekadę.

Rozmowy wstępne na Oksford. Jesień. Wiedziałam, że z tymi dotyczącymi przedmiotów kierunkowych świetnie dam sobie radę. Nie obawiałam się ich. Więcej niepewności, zwłaszcza u moich rodziców, wywoływał wywiad osobisty. Co będzie, jeśli jakimś cudem komisja dostała się do moich akt i wie o moich problemach w szkole? Przeszkolono mnie, co powiedzieć, gdyby tak się stało. To wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem, wicie, jakie bywają nastoletnie dziewczyny i tak dalej. Bez wzmianek o psychiatrze (najwyraźniej nie wolno o to pytać) ani o jego diagnozie.

Czy udałoby im się zobaczyć moje wybitne akademickie zdolności i dostrzec za nimi prawdziwą mnie (ktokolwiek to był)? I czy to byłby problem? Bo zasadniczo nie da się uzyskać siedmiu najwyższych ocen na egzaminach kończących liceum, jeśli nie ma się, jakby to powiedzieć, pewnych cech obsesyjnych. Osiągnięcia w dziedzinie nauki były ich pozytywnym efektem. Sprawa z tą głupią dziewczyną – negatywem.

Kiedy doszło do rozmowy, której tak bardzo się bałam, jakoś mi się udało. Oczywiście dostałam pytania na temat zainteresowań. Gdy udzielałam odpowiedzi – tenis, kino francuskie Nowej Fali (wszystko zapożyczone z wywiadów z różnymi reżyserami, wykute na blachę), gotowanie – zastanawiałam się, co by sobie pomyśleli, gdybym powiedziała, jakie mam prawdziwe hobby. Obserwacja, szczegółowa analiza, kolekcjonerstwo. Jedynym problemem było to, że rzeczy, które zbierałam, były dość nietypowe. Lubiłam kolekcjonować osobowości.

Oto w czym rzecz. Nigdy nie czułam się jak prawdziwa osoba. Nie w pełnym tego słowa znaczeniu, tak jak zdają się to odczuwać inni ludzie. Już w dzieciństwie odkryłam, że jestem bardzo dobra w pewnych rzeczach – zwłaszcza w nauce. Ale maszyna może się uczyć. Tym, czego mi brakowało, była własna osobowość. Brakowało mi poczucia „mnie”. Ale nic w tym złego. To, czego się nie ma, można zawsze pożyczyć lub ukraść.

Szukałam więc ciekawych osobowości, tak jak pasożyt szuka gospodarza. Była pewna dziewczyna w pierwszej szkole, do której chodziłam. Cała sytuacja skończyła się dość niefortunnie, kiedy powiedziała moim rodzicom, że śledzę ją, gdy wraca do domu ze szkoły, i że czasem siedzę w domku na drzewie naprzeciwko jej okna i ją podglądam. To było niesprawiedliwe. Ja tylko odrabiałam swoją pracę domową. Z ćwiczeniami zadanymi w szkole potrafiłam się uporać podczas krótkiej podróży autobusem ze szkoły do domu. Prawdziwym wysiłkiem było dla mnie uczenie się nawyków koleżanki, analizowanie tego, jak się zachowuje, gdy jest sama, jak wygląda jej pokój, jakiej słuchała muzyki. Potem wracałam do domu i próbowałam naśladować wszystkie te cechy i zwyczaje – kupowałam te same płyty, te same ubrania.

Zostałam przeniesiona do innej szkoły po spotkaniu z dyrektorką. A potem do następnej, kiedy w nowej szkole zdarzyło się to samo.

– Och – westchnęłam niefrasobliwie podczas rozmowy wstępnej. – Tatę często przenoszono w pracy, więc przeprowadzaliśmy się tam gdzie on. – Kobieta rzuciła mi nieprzekonane spojrzenie, ale tak jak się spodziewałam, moje osiągnięcia w nauce przyćmiewały wszelkie obawy.

Mirandę poznałam w świetlicy pierwszego rocznika. Wydawała się świecić wewnętrznym blaskiem. Była całkowicie pewna tego, kim jest. Piła piwo z jakimiś chłopakami i grała z nimi w bilard, ale po jakimś czasie gra

się jej znudziła – a może znudził ją służalczy podziw, z jakim na nią patrzyli. I wtedy o dziwo jej wzrok wylądował na mnie.

Usiadła na krześle przy moim stoliku.

– Cześć, jak ci poszły rozmowy?

Byłam tak zaskoczona, że przez chwilę nie mogłam wydusić z siebie słowa. Patrzenie na nią było jak patrzenie bezpośrednio na słońce. Nie chodziło tylko o to, jaka była piękna. Chodziło o to, że tak bardzo była sobą – złożoną, sprzeczną i wielowarstwową, jak miałam się potem dowiedzieć – ale w absolutny, wyjątkowy i dumny sposób. Wydukałam, że sama nie wiem.

– Mam to samo wrażenie – mówi. – To znaczy pierwsza poszła mi, oczywiście, bardzo dobrze. – Nawet teraz pamiętam jej zniewalającą arogancję. – Ale co do drugiej nie jestem pewna. Trafiło mi się jakieś okropne pytanie na temat zastosowania metafor w *Świętych sonetach* Donne’a i totalnie mnie zatkało. Komisja nie była chyba pod wrażeniem. Ale może jakoś się prześlizgnę. Czasem tak jest, prawda?

Pokiwałam głową, choć nie do końca wiedziałam, czy naprawdę mnie pyta. Ale to było bez znaczenia. Nie umiałabym się z nią nie zgodzić.

– Wiesz co? Muszę się napić – powiedziała. – Ale nie piwa. Czegóż mocniejszego. Masz ochotę?

Pokiwałam głową, wciąż oszołomiona tą cudowną niespodzianką. Następnego dnia rano miałyśmy kolejną rozmowę wstępną, ale teraz to się wydawało kompletnie nieistotne.

Przyniosła nam dwa jim beamy z colą, co w tamtym czasie wydawało mi się najbardziej wyrafinowanym drinkiem na świecie: podstępne, lepkie ciepło bourbonu pod słodczą napojem. Miranda piła swojego drinka przez słomkę, co w jej wykonaniu wyglądało bardzo stylowo. Czekałam, aż w końcu naprawdę mnie dostrzeże, a raczej brak mnie, wewnętrzną pustkę. Będzie oburzona, będzie obrzydzona – zda sobie sprawę ze swojej pomyłki i zniknie z kimś innym, bardziej do niej podobnym. Ale tak się nie stało. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że Miranda jest – była – kimś, kto poświęca własnej osobie tak dużo czasu, że nie starcza go na dostrzeżenie

kogokolwiek innego. Na dostrzeżenie jakiejś niespójności czy braku. Było mi to na rękę. A dodatkowo Miranda zawsze lubiła brać sierotki pod swoje skrzydła. Nie przepadała za rzeczami przewidywalnymi. Ma eklektyczny gust i na swój sposób też jest kolekcjonerką. Była to nasza pierwsza wspólna cecha, po której pojawiły się kolejne.

To, co mówiłam, a raczej czego nie mówiłam, nie miało dla Mirandy większego znaczenia, kiedy siedziałam naprzeciw niej, kompletnie oczarowana. Była zadowolona z tego, że ma lustro, płytę akustyczną.

Od razu sprawiła, że wszystkie wcześniejsze dziewczyny, które przysporzyły mi tyle bólu i wstydu, wydały się jak wycięte z papieru ludziki. W końcu znalazłam kogoś do naśladowania. W końcu znalazłam prawdziwe wyzwanie, warte wszystkich moich starań i uwagi. Lub jak powiedzieliby inni ludzie, normalni ludzie, w końcu znalazłam kogoś, z kim mogłabym się zaprzyjaźnić.

Poszliśmy potańczyć do klubu, o którym dowiedziała się od studenta trzeciego roku, który miał się nami opiekować, ale spędził większość wieczoru, próbując ją wyrwać. Kiedy tylko weszliśmy do środka, splawiła go, przewracając oczami, i wzięła mnie za rękę. Tańczyliśmy na małym, wielokolorowym parkiecie, który lepił się od rozlanych drinków. Chociaż raz nie myślałam o tym, jaka jestem gruba, jaka jestem dziwna ani że jestem pusta w środku, bo odbijałam jej światło. Ona była słońcem, a ja księżycem i takie było moje przeznaczenie.

Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś ją zobaczę, gdy zaczną się studia. Byłoby wspaniale, ale przywykłam do tego, że rzadko dostaję to, czego chcę. Zresztą, mimo całej wyjątkowości Mirandy, nie byłam pewna, czy jest wystarczająco inteligentna – w oksfordzkim sensie – żeby się tu dostać. Ale zobaczyłam ją podczas rejestracji. Moją przyszłą najlepszą przyjaciółkę. Moją inspirację, mój niedościgniony wzór. Źródło, z którego chciałam czerpać, by skonstruować własną osobowość.

Stałam w kolejce i czekałam, aż mnie zauważy. Ten moment nadejście, muszę być tylko cierpliwa. Niemożliwe, by mogła mnie przeoczyć, przecież tak między nami zaiskrzyło. Najlepsze przyjaciółki od pierwszego wejrzenia. Wyobrażałam sobie w najmniejszych szczegółach, jak to się stanie. Będzie stała pochylona w rzędzie niewyroblonych i niezręcznych pierwszoroczników, wyglądając, jak gdyby była tu od lat, jakby była u siebie. Z włosami jak lśniąca płachta złota, ze skórzaną torbą pełną jeszcze niezniszczonych książek, z jedwabnym szalem prawie dotykającym ziemi. Olśniewająca. I wtedy przystanie i odwróci się, gdy zauważy mnie kątem oka. „To ty! Dzięki Bogu! Nie ma tu ani jednej osoby, z którą chciałabym porozmawiać. Masz ochotę na kawę?”

A wszyscy stojący w kolejce, którzy do tej pory widzieli tylko grubą okularnicę, wydmuszkę prawdziwego człowieka, nagle dostrzegą kogoś innego – kogoś, kto jest wart uwagi tej bogini. Czekałam na tę chwilę, jak ksiądz czeka na zstąpienie Ducha Świętego, czując ciarki podekscytowania. Miranda odwróciła się, szła w moją stronę, leniwie przerzucając jedwabny szalik przez ramię. Prawie drżałam, tak bardzo nie mogąc się jej doczekać. Przez moment byłam tak przejęta, że zacisnęłam powieki, przeciągle mrugnęłam. I kiedy otworzyłam oczy, już jej nie było. Odwróciłam się z niedowierzaniem. Przeszła obok mnie. Nie zatrzymała się ani nie przywitała.

Zobaczyłam, jak odwraca się, żeby powiedzieć coś do dziewczyny, która szła za nią: ciemnowłosa, wychudzoną, zaniedbaną. Jej ubrania były wręcz ostentacyjnie niemodne, kontrastujące z szykownym stylem Mirandy. I wtedy coś do mnie dotarło. Ona już ma swoją sierotkę, swój beznadziejny przypadek, który wymaga pomocy. Ta dziewczyna, kimkolwiek była, mnie wygryzła.

Ale nie traciłam nadziei. Czekałam, aż Miranda mnie zauważy. Chodziłam do świetlicy pierwszego rocznika, siadłam przy tym samym stoliku i obserwowałam ją, jak siedzi przy barze i pije jim beama z colą. Siadałam przy niej na tyle blisko, że mogłam podsłuchać wszystkie jej rozmowy. Usłyszałam kiedyś, że nie lubi jedzenia z naszej stołówki, ale

sama nie umie gotować, więc jest na nie skazana. To wtedy nauczyłam się gotować. Spędzałam godziny w kuchni na jej korytarzu w akademiku, przygotowując skomplikowane posiłki, których nie powstydzilyby się najlepsze restauracje w Oksfordzie. Czekałam, aż przejdzie obok, zatrzyma się pod drzwiami i powie coś w stylu: „Co tak nieziemsko pachnie?”. A wtedy ja podzielę się z nią posiłkiem – choć oczywiście cały był tylko dla niej – usiądziemy wspólnie, zjemy i zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami. I wtedy znów będę mogła odbijać jej światło.

Ale to się nigdy nie zdarzyło, nigdy mnie nie zauważyła. Kilka razy przeszła obok mnie, ale była zbyt zajęta pisaniem SMS-ów albo rozmowami z tą swoją okropną przyjaciółką, a potem rozmowami z równie okropnym chłopakiem. Katie i Julien byli sobie warci, ale nigdy nie zasługiwali na Mirandę.

Myślę o tej smutnej, samotnej dziewczynie, która kiedyś siedziała sześć rzędów za nią na wykładach – która pamiętała pierwszy dzień, gdy ta weszła na salę wykładową. Podobnie jak w przypadku pozostałych dziewczyn, nie mogłam zdecydować, czego pragnę bardziej – stać się nią czy tylko być blisko niej. Ale niemal od razu wiedziałam, że żadna z tych opcji nie będzie możliwa. Jej przyjaciele byli zupełnie inni niż ja, roztaczali wokół siebie aurę luzaków i imprezowiczów – nawet niezdarne Katie o włosach jak strąki zaczynała wyglądać przy nich atrakcyjnie. Odrzuciliby mnie jak ciało obce.

Zaczął do mnie docierać, że nie wywarłam na jej życie żadnego wpływu. Za to ona nadała kształt moim minionym miesiącom, odkąd tylko spotkałyśmy się na rozmowach wstępnych. Zaczęłam więc wszędzie za nią chodzić. Ona nazywała to „stalkingiem”. Ja traktowałam to jako bliską obserwację. A kiedy to przestało mnie satysfakcjonować, zaczęłam przywłaszczać sobie różne rzeczy. Czasem takie, które, jak podejrzewałam, miały wartość sentymentalną. Innymi czasy rzeczy, które miały duże znaczenie – na przykład splagiatowany esej albo kolczyki, które ukradła.

Przez tydzień nosiłam w uszach te malowane papużki. Kiedy zwisały z moich uszu, czułam się trochę bardziej jak ona i trochę mniej jak ja, jak gdyby były nasycone jej mocą, jej osobowością. Uśmiechałam się do baristów w kawiarniach, ośmieliłam się spóźnić z oddaniem eseju o cały dzień i siadywałam nad rzeką, żeby opalić nogi. Czekałam, aż zauważy, aż mnie o nie zapyta. Ale to się nigdy nie stało. Raz zobaczyłam, jak dostrzega je kątem oka i staje jak wryta. Jej usta ułożyły się w małe, zaskoczone „o”. Pokręciła głową, jak gdyby za coś się ganiła, i poszła dalej. Zrozumiałam wtedy, że Miranda zobaczyła tylko kolczyki. Mnie nie.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że mogę ją zmusić, by była bardziej czujna. Mogłam zacząć odsyłać jej własności. Mogłam dać jej znać, że niczego sobie nie wyobraża i że wcale nie stała się bardziej roztargniona. Ale niektóre przedmioty, te najbardziej wyjątkowe, zachowywałam dla siebie. To były moje talizmany, moje święte relikwie. Kiedy je ze sobą miałam, czułam się odmieniona. Tak stałam się jej aniołem stróżem.

Miranda była taka niedbała. Może miała tyle ładnych rzeczy, że nie znaczyły dla niej aż tak wiele. Kaszmirowy sweter porzucony na skraju parkietu, opaska wystająca z torebki, którą zostawiła na stoliku w kawiarni, kiedy poszła do toalety, albo jeden z pary sandałków na obcasie, które ściągnęła podczas tańców, a potem była zbyt pijana, by sobie przypomnieć, gdzie je zostawiła. Byłam jej cichą wielbicielką. Każdy z przedmiotów zwracałam jej z uważnie przemyślanym liścikiem. Fantazjowałam o tym, że przechodzi ją dreszczyk, gdy wyobraża sobie, że ktoś się w niej w sekrecie kocha. Że dla tych liścików warto gubić swoje rzeczy.

Zaczęłam się ubierać jak ona. Przeszłam na dietę, ufarbowałam i wyprostowałam włosy. Czasem, kiedy przypadkiem spojrzałam na siebie w sklepowej wystawie, czułam się prawie, jakby to była ona, a nie ja. Ukończyłam studia z drugim wynikiem, a nie pierwszym, jak przewidywali moi wykładowcy. Z obserwowania Mirandy i stawania się nią miałam za to najwyższe oceny.

Przeprowadziłam się za nią do Londynu. Wiedziałam, gdzie lubi pić z przyjaciółmi. W podłej speluncie przy głównej ulicy, a potem w jeszcze podlejszym klubie przy Clapham High Street o nazwie Inferno. I właśnie tam, kiedy sączyłam lemoniadę, podszedł do mnie Mark.

Oczywiście, że wiedziałam, kim jest. Na początku byłam przerażona. Myślałam, że przyszedł, żeby się ze mną skonfrontować, zapytać mnie, co robię. Ale on zaproponował, że postawi mi drinka, i w ten sposób otworzyło się przede mną całe nowe spektrum możliwości. Zdałam sobie sprawę, że on nie postrzega mnie jako świrniętą Emmeline Padgett. Dostrzegł we mnie atrakcyjną kobietę, którą poznał w klubie, ubraną w skórzaną spódnicę i jedwabną bluzkę jak z garderoby Mirandy. Więc kiedy zapytał mnie o imię, przedstawiłam się jako Emma. Jak moja ulubiona bohaterka z powieści Jane Austen, którą Miranda zawsze trochę mi przypominała.

To było coś magicznego. Jako Emma stałam się kimś nowym. Grałam ją i znajdowałam się w tym samym stanie cudownego oddzielenia od samej siebie, jak kiedy występowałam w licealnym teatrze i na krótki czas przyjmowałam rolę kogoś zupełnie innego. Emma, którą wymyśliłam, była inteligentna i wyluzowana, seksowna i mądra, ale nie za bardzo, nie na tyle, by odstraszać tym ludzi. Była towarzyska, nieskomplikowana, bez mrocznej strony. Była wszystkim tym, czym ja nie byłam.

I miała dobry powód, by przebywać w towarzystwie Mirandy. Mogła się nawet uważać za jej przyjaciółkę.

To przekłete zdjęcie. Wiele razy o nim myślałam. Oczywiście wiedziałam, że tam jest. Mam encyklopedyczną wiedzę na temat konta Mirandy na Facebooku. Ale to nie było moje zdjęcie, nawet nie znałam chłopaka, który je zamieścił, więc nie mogłam nic zrobić. Mogłam się z nim skontaktować i poprosić go, żeby je usunął, ale Miranda go znała, a taki ruch mógłby tylko przyciągnąć jej uwagę... Już lepiej było nic w tej sprawie nie robić. Nie byłam oznaczona na zdjęciu – przecież nikt nie

wiedział, kim jestem. I wyglądałam zupełnie inaczej. Trzeba by było się bardzo dobrze przyjrzeć i wiedzieć, czego się szuka. Z jakiego powodu ktoś miałby analizować zdjęcie sprzed czternastu lat, tysiące fotek wstecz? Myślałam, że jestem bezpieczna. Byłam bezpieczna.

– To ty – mówi. – Zawsze miałam pamięć do twarzy. – Kręci głową, jak gdyby próbowała oczyścić myśli. – Wszystko się teraz składa. O rany, ale się zmieniłaś. Schudłaś. Ufarbowałaś włosy. Ale to na pewno ty.

– Nie – odpowiadam. – Pomyliłaś się. To nie mogłam być ja. Przecież studiowałam w Bath. – Zawsze szczyliłam się tym, jak dobrze umiem blefować i grać, ale nagle wszystko, co mówię, brzmi fałszywie, jak kłamstwo, którym jest. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam była tego mówić. Powinnam była powiedzieć, że nie wiem, o co jej chodzi. Odpierając jej oskarżenie potwierdziłam, że ma rację.

Podejmuję jeszcze jedną próbę, by się ocalić.

– Wiesz co? Może akurat wpadłam na weekend. Miałam przyjaciół w Oksfordzie.

Ale jest już za późno. Słyszę to w tle niczym grecki chór: kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo.

Nie ma to większego znaczenia. Miranda wygląda tak, jak gdyby w ogóle mnie nie słyszała.

– Teraz już wszystko rozumiem. Stalker przestał mnie dręczyć mniej więcej w tym samym okresie, w którym ty i Mark zaczęliście się spotykać. Przez jakiś czas myślałam, że to on, nawet ostatnio. Zawsze trochę się we mnie podkochał, ale podejrzewam, że o tym wiesz. Teraz rozumiem. – Po chwili zawahania mówi: – Wiesz, że kiedyś ci współczułam? Myślałam, że Mark cię wykorzystuje, bo jesteś do mnie minimalnie podobna. Katie to kiedyś zauważyła. Ja nigdy bym na to nie wpadła. Ale było zupełnie na odwrót, prawda?

– Ja tylko chcę być twoją przyjaciółką. – Wiem, jak to brzmi. Desperacko... żałościwie. Ale nie ma sensu kłamać. Ona już wie. Równie

dobrze mogę powiedzieć jej wszystko.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

– Jak ona wyglądała? – pytam. – Jesteś pewien, że to była kobieta?

Iain pociera oczy. Zrobił się bardzo blady. Mam nadzieję, że to wszystko z powodu bólu, nie utraty krwi, choć podejrzewam, że to to drugie. Za często widziałam, jak ludzie umierali w karetce od niewiele gorszych obrażeń.

– Iain, jak ona wyglądała?

– Normalna kobieta – mówi. – Dwie kobiety.

– Na pewno widziałeś coś więcej. Jakiego koloru miała włosy? Ta morderczyni?

– Nie wiem – odpowiada i znów stęka. – Chyba jasne. Może blond. Nie jestem pewien. Trudno było dobrze zobaczyć. Ale na pewno nie ciemne. – Wygląda, jakby był tego pewny. Dwie z pozostałych kobiet – Samira i Katie – są zdecydowanie ciemnowłose. Może Iain nie zna się na kolorach, ale ich głów na pewno nie da się opisać jako „jasnych”.

I wtedy uświadamiam sobie coś jeszcze.

– Iain, mówiłeś prawdę, kiedy nam powiedziałeś, że nie zabrałeś strzelby?

– A dlaczego miałbym kłamać – stęka. – O wszystkim już wiecie. Dlaczego miałbym kłamać?

Nie jest bez racji. Ale nie chcę, żeby to była prawda. Bo jeśli tak, to ona ma tę strzelbę. A my, przychodząc tu, popełniliśmy wielki błąd.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ
NOWY ROK 2019 ROKU

MIRANDA

Popycham drzwi i wybiegam z domku. Słyszę za sobą tupot stóp Emmy.

– Mirando, proszę. Proszę, posłuchaj mnie. Nie chciałam cię zdenerwować.

Nie odpowiadam. Nie mogę na nią spojrzeć ani z nią rozmawiać. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Nie do swojego domku, nie do chaty myśliwskiej. Zdaję sobie sprawę, że biegnę w stronę ścieżki otaczającej jezioro. Przez chwilę przychodzi mi na myśl, że mogę pójść na stację i poczekać na pociąg. O której Heather powiedziała, że odjeżdża? O szóstej. To już pewnie niedługo. Zdaję sobie sprawę, że wciąż jestem pijana – bardziej pijana, niż mi się zdawało, i wiem, że ten plan jest niedoskonały przynajmniej na kilka sposobów, ale za bardzo szumi mi w głowie, żebym mogła o tym myśleć. Będę się martwić, kiedy tam dotrę. Na razie muszę tylko uciec.

Wbiegam między drzewa. Jest tu ciemniej, ale światło księżyca przenika pomiędzy gałęzie i świeci na mnie jak reflektor. *Do stacji jest daleko*, podpowiada mi trzeźwy głosik w mojej głowie, wydobywający się z głębokich zakamarków mózgu. Tłumię go. Mogłabym tak biec w nieskończoność. Kiedy jest się pijanym, nic nie boli.

Jedyną przeszkodą, którą przed sobą widzę, jest most nad wodospadem. Będę musiała na nim uważać.

I wtedy na ścieżce przed sobą widzę zacienioną postać. To mężczyzna. Wygląda jak wycięty z tkaniny nocy. Na głowie ma kaptur niczym uosobienie śmierci. Widzę pod nim biały błysk jego oczu. Zaczyna przede

mną uciekać w górę zbocza, między drzewa, i znika w małym budyneczku, który się wśród nich kryje.

Przez chwilę waham się, stojąc na skraju mostu. Czy on tu wróci i mnie zaatakuje? Nie spodobało mu się, że ktoś go zobaczył. Tego jestem pewna. Nagle czuję się dużo bardziej trzeźwa niż jeszcze przed chwilą.

– Mando.

Odwracam się. Cholera. Emma wyłania się właśnie zza zakrętu. Moje wahanie dało jej szansę na to, by mnie dogonić.

– Mando – dyszy, idąc do mnie. – Ja tylko chciałam być twoją przyjaciółką. Czy to takie straszne?

EMMA

– Nigdy nie byłaś moją przyjaciółką – mówi teraz. – Przyjaciółki nie robią sobie takich rzeczy.

– Nie mów tak.

– Znałyśmy się tylko przez Marka. Sama nigdy bym się z tobą nie zaprzyjaźniła. Szczerze mówiąc, zawsze wydawałaś mi się nieco nudna. Zawsze uważałam, że brakuje ci głębi. I zawsze za bardzo się starałaś. Teraz to wszystko ma sens.

Czuję potworny ból pod klatką piersiową, jak gdyby Miranda włożyła w nią swoje gołe ręce i zaczęła ścisnąć, miażdżyć.

– Wcale tak nie myślisz – mówię.

– Nie? – odpowiada. – Właśnie, że tak. – Uśmiecha się. Jej twarz jest piękna i okrutna. – Wolę cię w takiej wersji. Jest dużo ciekawsza. Nawet jeśli masz świra.

To boli.

– Nie mów o mnie tak.

– Jak? – Brzmi teraz jak wredne dziecko z placu zabaw. – Że masz świra?

Wspomnienia wyłaniają się z jakiegoś mrocznego, dawno pogrzebanego miejsca. Sala lekcyjna, najbardziej lubiana dziewczynka w klasie, która wygląda – teraz to dostrzegam – trochę jak Miranda. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dwie twarze: ta ze wspomnienia i ta przede mną zdają się na siebie nakładać. Wtedy szturchnęłam tamtą dziewczynkę – mocno, w sam mostek – a ona wpadła do piaskownicy.

– Boże – mówi Miranda. – Nazywamy siebie paczką. Najlepszymi przyjaciółmi – my się utrzymaliśmy, gdy inni odpadli. Ale ci inni mieli więcej rozsądku. Zobaczyli, że jedyną rzeczą, która nas ze sobą trzyma, są jakieś wątle wspomnienia. Ale ja wsiądę do pociągu i rozpocznę nowe

życie, w którym nie będę musiała oglądać żadnego z was. A zwłaszcza ciebie.

– Nie mów tak, Mando.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie masz prawa. Możesz zejść z mostu? Chyba nie powinny na nim stać dwie osoby naraz.

Nie ruszam się.

– Na pewno tak nie myślisz, Mirando. Jedyne, czego w życiu pragnęłam, to być blisko ciebie, być częścią twojego życia.

Wystawia przed siebie dłonie, jak gdyby próbowała powstrzymać kolejne słowa.

– Po prostu zostaw mnie w spokoju, ty pojebana psychopatko.

To straszne słowo. Działam instynktownie. Wyciągam ręce i chwytam ją za szyję. Jest wyższa ode mnie i silniejsza – pewnie od chodzenia na siłownię i pilatesu. Ale ja wykorzystałam element zaskoczenia. Zaatakowałam pierwsza.

Nie mam żadnego konkretnego planu. Chcę tylko, żeby przestała mówić, przestała wypowiadać te straszne rzeczy, których na pewno nie ma na myśli. Jestem nią taka rozczarowana. Jak to możliwe, żeby postrzegala te małe podarki – te przemyślane liściki – jako dzieło psychopatki?

Ona jest taka jak oni, jak dorośli, którzy wiele lat temu próbowali mnie zdiagnozować. Tak naprawdę nie jestem psychopatką. Mam zaburzenia osobowości. Taka jest oficjalna nazwa tego, co ponoć mi dolega.

Ale znam prawdziwą definicję. Uczucie podszywające wszystkie te starania. Wszystkie te małe kradzieże i zwroty, wysiłek, by ją znaleźć, by sprawić, żeby Mark mnie polubił, żeby stała się częścią paczki.

Miłość. Nic więcej.

Nie wiem, w którym momencie zdałam sobie sprawę, że Miranda nie wydaje już z siebie żadnego dźwięku. Stała się dziwnie ciężka, bezwładna w moich rękach. Osunęła się na mnie i teraz trzymam cały jej ciężar. Odpycham ją od siebie z jakimś bezwiednym przerażeniem, co wymaga dużo siły. Tak jak kiedyś popchnęłam tamtą dziewczynkę w pierwszej szkole – tę, która uwzięła się na mnie za to, że ubierałam się jak ona

i chodziłam za nią do domu. Nic się jej nie stało, tylko obięła sobie łokieć. Ale to wystarczyło, żeby dyrektorka wezwała do siebie moich rodziców i żeby zdążyli ją poinformować, że zmieniam szkołę, zanim w ogóle zdołała wymówić słowo „wydalenie”. Lepiej będzie dla reputacji wszystkich, jeśli nie zrobi się przy tym zbyt dużego zamieszania.

Tylko że tamtym razem ona wpadła do piaskownicy.

Zapomniałam. Przysięgam. Zapomniałam, że stoimy na skraju mostu, jakieś dwanaście metrów nad zamarznętym wodospadem. Kiedy upadła, jej głowa odskoczyła do tyłu, a nogi były bezwładne jak u szmacianej lalki – przyjęły niemal komiczną pozę, jak wiatrak. Potem rozplynęła się w powietrzu i nastąpiła długa cisza.

– Mando? – zawołałam delikatnie. Ale chyba już wtedy wiedziałam, że nie ma szans, by mnie usłyszała. – Mando?

Tylko cisza.

Jest tam, kiedy spoglądam. Równie dobrze mogłaby spać. Tylko że jej nogi leżą pod dziwnym kątem, rozkraczone, a moja Miranda ma przecież tyle gracji. Jest też czerwień w miejscu, w którym uderzyła głową o kamień – gwiazdzista aureola, kometa czerwieni – i coś jeszcze, coś bladego, mieszającego się z krwią, o czym nie chcę nawet myśleć.

Rozglądam się dookoła. Czy ktoś mnie widział? Teren wydaje się kompletnie opustoszały. Nikogo tu nie ma. Nie podoba mi się widok małej szopy przycupniętej po drugiej stronie wodospadu. Ale oczywiście nikogo tam nie ma – wygląda dokładnie tak samo jak przez cały nasz pobyt: ciemne okna niczym czarne oczy.

Śnieg pada dalej jak kurtyna zapadająca po ostatnim akcie. Albo biały całun, który zakrywa piękne, połamane ciało w wodospadzie poniżej. Zakrywa moje ślady, wypełniając je, gdy odchodzę, jak gdyby nigdy mnie tu nie było.

Zaczynam płakać. Nad nią, nad sobą, nad tym, co straciłam.

TERAZ
2 STYCZNIA 2019 ROKU

HEATHER

– Doug – mówię. – Muszę wracać do chaty myśliwskiej. Zostań tu i dopilnuj, żeby nic mu się nie stało.

– Nie ma szans – odpowiada. – Nie pozwolę ci po raz drugi uciec, żebyś znów spróbowała się zabić. Idziemy razem.

Jego dobór słów zwraca moją uwagę. Zabić się. Przywołuje to pomysł, który krążył gdzieś po peryferiach mojego umysłu. Bo kiedy postanowiłam pójść do starej chaty myśliwskiej, wiedziałam, że będę w niebezpieczeństwie. Byłam wtedy dość przekonana, że Iain ma broń. Wiedziałam, że istnieje szansa, że zostanę zabita. Ale podjęłam ryzyko. Prawie jakbym zdecydowała się na misję samobójczą. I nie, nie chcę się zbyt intensywnie zastanawiać nad tym, co to oznacza.

Doug pomaga mi wstać. Nagły ruch sprawia, że wszystko przechyla się na boki – zapomniałam o urazie głowy – i padam na niego. Obejmuje mnie ramieniem, żeby mnie podtrzymać. Czuję ciepło jego ciała nawet przez ubrania. Robię krok w tył.

– Co z nim zrobimy? – Pokazuję na Iaina.

– Nic mu nie będzie. Zostawmy go tu, żeby zastanowił się nad tym, co zrobił.

– On nie wygląda najlepiej, Doug. – To prawda, choć rzeczywiście nie wygląda też dużo gorzej. Krwotok został w dużej mierze zatrzymany prowizorycznym opatrunkiem zrobionym przez Douga.

– Właśnie – mówi Iain. – I nie najlepiej się też czuję. Weźcie mnie ze sobą.

– Gdyby było z tobą tak kiepsko – brutalnie mówi Doug – to już pół godziny temu straciłbyś przytomność. Możesz tu zostać i pilnować swojego cennego towaru. Potem po ciebie wrócimy.

Nagle uświadamiam sobie, że może będziemy w stanie złapać tu zasięg. Od czasu do czasu objawia się wyżej na szczytach. Wyciągam komórkę, macham nią w powietrzu, włączam i wyłączam tryb samolotowy, aż w końcu łapię jedną kreskę, na co wyrywa mi się triumfalny okrzyk.

– Do kogo dzwonisz? – pyta Doug.

– Na policję.

Iain się wzdryga, jak gdyby ktoś szturchnął go w postrzelone ramię.

Zauważyłam, że odkąd się tu znaleźliśmy, śnieg przestał padać. Teraz może do nas dolecieć helikopter. Ale policja nie zdaje sobie sprawy, jaka nagła jest sytuacja.

– Proszę mnie połączyć z nadkomisarzem Johnem MacBride'em – mówię do operatorki. – Mam mu coś ważnego do przekazania.

EMMA

Kto zabrał strzelbę z magazynku? No jasne, że ja!

Przez lata nabrałam dużej wprawy w zauważaniu różnych rzeczy. I mam pamięć, którą można by uznać za fotograficzną. Przechowywałam ten kod w małej, uporządkowanej szafce na dokumenty w odmętach mojego umysłu od chwili, kiedy ten prostak, łowczy, wybrał go na klawiaturze.

Poważnie, co Miranda w nim widziała? Zawsze miała fatalny gust co do mężczyzn.

W gabinecie po drugiej stronie korytarza prowadzącego do salonu nieustannie dzwoni telefon.

– Dlaczego ona nie odbiera? – pyta Mark. – Albo on? To może być coś ważnego. Może dzwonić policja.

Czekamy i dzwonięcie ustaje, ale po minucie znów się zaczyna.

– Pójdę sprawdzić, co się dzieje – mówię.

Reszta chaty myśliwskiej wydaje się dziwnie cicha. Tak brzmi pustka. Jeszcze zanim otworzę drzwi do biura, wiem, że pukanie jest zbędne. Nie ma ich tu. Nie ma Heather ani tego osła, łowczego. Telefon leży na biurku i wciąż dzwoni. Jego dźwięk jest tak głośny, że zdaje się wibrować w ciszy.

Podnoszę słuchawkę.

– Halo?

– Czy rozmawiam z Heather Macintyre? – Głos po drugiej stronie brzmi, jakby jeszcze nie przeszedł mutacji. – Nadkomisarz John MacBride kazał mi się z panią skontaktować. Próbowaliśmy też na komórkę, ale od razu włącza się poczta.

Jakiś instynkt podpowiada mi, by powiedzieć, z charakterystycznym edynburskim „r” (mówiłam, że zawsze byłam dobrą aktorką):

– Tak, tu Heather. W czym mogę pomóc?

– Nadkomisarz już leci helikopterem. – Nie da się przeoczyć emocji w jego głosie, gdy wypowiada te słowa, jak gdyby to wszystko bardzo go ekscytowało.

– W końcu – odpowiadam. – To doskonała wiadomość. – Wydaje mi się, że nie mają jak tego połączyć ze mną. Nawet jeśli zaczną odczyniać cuda z badaniem DNA i włókien na miejscu zbrodni, to byłam ubrana w kurtkę Marka, a zresztą każdy z nas ma na sobie DNA pozostałych. Nie będzie niczym dziwnym, że na ciele Mirandy znajdą się płatki mojej skóry albo włosy. Jechałyśmy razem pociągiem, jadłyśmy posiłki, tańczyłyśmy i przytulałyśmy przez kilka ostatnich dni. Jestem winna Mirandzie, żeby nie dać się złapać. Bo nadal mogę ją pomścić.

– Powiedział też... – Dyspozytor kaszle. Przysięgam, słyszę pisk w jego głosie, jak gdyby wchodził w wiek dojrzewania (Boże, jeśli zatrudniają dzieci do obsługi telefonów, to naprawdę nie mam się czym przejmować). – Powiedział też, żeby starać się nie spłoszyć... podejrzaney.

– Podejrzaney?

– Tak... no tak. – Teraz mówi szybciej, z podenerwowaniem, jak gdyby wiedział, że popełnił błąd. – Nie zostanie oficjalnie uznana za podejrzaną, dopóki nie oszacujemy sytuacji. Chodzi mi o tę, która była tej nocy widziana z ofiarą.

Ona.

Chcę go poprosić, żeby powtórzył, co powiedział, żeby mieć pewność... mimo że wiem, co usłyszałam. Ale w ten sposób wzbudziłabym podejrzenia.

Tylko że nikt mnie nie widział. W ostatniej chwili powstrzymuję się, by tego nie powiedzieć. Moje zaskoczenie powoduje chwilową utratę kontroli. Możliwe, że mówią o Katie. Tak, to o nią musi chodzić. Może Julien na nią doniósł, żeby uratować własny tyłek, czy z innych powodów...

Tylko że nie mogę sobie pozwolić, by myśleć w ten sposób.

To nie więzienia się boję. Zasłużyłam na to, by zapłacić za swój czyn. Choć żadna kara nie będzie gorsza niż ta, którą już ponoszę – utrata Mirandy, mojej idolki, mojej gwiazdy przewodniej. Boję się tego, że nie będę mieć okazji zemścić się w jej imieniu. Chyba będę musiała wszystko przyspieszyć.

KATIE

– Katie? – mówi do mnie Emma. – Możemy zamienić słowo na zewnątrz? – W jej głosie pobrzmiwa zaniepokojenie. Ciekawe, czego dotyczył ten telefon, który przed chwilą odebrała. O dziwo, śmierć Mirandy wstrząsnęła nią najmocniej z nas wszystkich. To pewnie dlatego, że Julien i ja mamy poczucie winy, z którym musimy się uporać, a to wiele komplikuje. Jak dotąd nie byłam w stanie ustalić, co odczuwam mocniej: rozpacz po stracie czy nienawiść wobec samej siebie. Mam poczucie, że to wszystko nasza wina. Ale Emma przez cały dzisiejszy dzień wpatrywała się w podłogę i prawie nic nie mówiła. Pobiegła odebrać ten telefon, jak gdyby miała nadzieję, że dzwoni do nas ktoś z wiadomością, że doszło do potwornego nieporozumienia: że jednak Mirandę znaleziono żywą i wszystko to jedna wielka pomyłka.

– Proszę – mówi. – To coś ważnego.

– Okej. – Wstaję i wychodzę za nią. Prowadzi mnie korytarzem do drzwi chaty myśliwskiej. Gdy wychodzimy na zewnątrz, dostrzegam, że przed jeziorem leży nieskazitelnie biały śnieg, który wygląda niczym puchowa kołdra. Przestało też padać, a to chyba dobra wiadomość.

– Z kim rozmawiałaś przez telefon? – pytam Emmę. – Z policją?

– Tak. Okazuje się, że mają podejrzanego.

– Kogo?

– Podejź tu. – Jej twarz wykrzywiają jakieś silne emocje, których nie potrafię rozszyfrować. Przywołuje mnie skinieniem ręki. – Nie chcę, żeby inni nas usłyszeli.

To może oznaczać tylko jedną rzecz. To któreś z nas. *Mark*. Wiem, że to nie może być Julien – kiedy obudziłam się z niespokojnego snu, leżał obok

mnie na kanapie, z otwartymi ustami. Aż musiałam się upewnić, że żyje. To musi być Mark. O Boże, to tłumaczy dziwną minę Emmy.

– Emmo, czy to jest osoba, o której myślę? On zawsze miał obsesję na jej punkcie. Ostrzegałam Mirandę, ale ona nigdy nie brała tego poważnie. Zawsze uważała, że umie się o siebie zatroszczyć.

Teraz Emma robi coś dziwnego. Nachyla się i przejeżdża dłonią przez śnieg, jak gdyby czegoś szukała.

– Co ty robisz? – pytam.

Kiedy się prostuje, trzyma coś w ręce. Mija chwila, zanim dociera do mnie, co to jest. Moje ciało reaguje szybciej niż głowa – nagle nie mogę ruszyć nogami, moje plecy sztywnieją.

– Emmo, co masz zamiar z tym zrobić?

Zdaje się nie słyszeć mojego pytania. Jej cała twarz jest odmieniona. Wygląda jak ktoś obcy, nie osoba, którą znałam od trzech lat.

– To twoja wina – syczy. – Wszystko, co jej się przydarzyło. Gdyby się nie dowiedziała o was i waszym ohydny romansie, to nie byłaby taka wytracona z równowagi. Nie powiedziałyby tych wszystkich okropnych rzeczy. To nie była ani jej wina, ani moja, tylko wasza.

Próbuję się odezwać, ale jestem w stanie tylko bezgłośnie poruszać wargami, z których wydostaje się samo powietrze. Słyszę dziwny, gromki hałas, oszałamiająco głośny, który rozlega się wszędzie dookoła nas – bębniące łup, łup, łup, jak bicie ogromnego serca. Nie widzę niczego, co nadałoby temu sens. Może to tylko krew pulsująca mi w uszach.

– Nie rozumiem, Emmo. Nie rozumiem tego, co mówisz.

– Oczywiście, że nie. Bo jesteś za głupia – cedzi ostatnie słowo. – Nigdy nie zasługiwałaś na taką przyjaciółkę.

Widzę, jak w jej wyrazie twarzy coś się zmienia – to spazm bólu. Rozumiem.

– To ty – mówię.

Nie odpowiada. Tylko unosi brwi i robi coś ze strzelbą, co powoduje złowieszcze kliknięcie. Lufa jest wycelowana prosto w mój mostek.

Nie strzelaj w głowę, niemal słyszę słowa łowczego. Strzelaj w ciało, gdzie ściśnięte są wszystkie organy wewnętrzne. Większe szanse, że taki strzał okaże się śmiertelny.

Widzę twarz Emmy jak wtedy, gdy zastrzeliła jelenia, namaszczonej posoką, naznaczonej jako morderczyni.

Nie mam czasu nic zrobić, nim usłyszę wystrzał, który już znam. Coś uderza mnie w bok z okropną siłą. Kiedy padam na ziemię, wszystko staje się czarne.

DOUG

Chata myśliwska wydaje się teraz bardzo odległa. O dziwo, zejście zajmuje im więcej czasu niż wejście pod górę. Pod śniegiem znajduje się splątany wrzos, który czepia się ich nogawek, jakby z każdym krokiem chciał je rozerwać. Ale mają też teraz nową wiedzę, nowe pojęcie o tym, jak niebezpieczna może być sytuacja w chacie myśliwskiej. Popełnili wielki błąd, pozostawiając gości samym sobie. Ale myśląc o tym, co Iain mógł zrobić Heather, Doug nie ma wyrzutów z powodu dokonanego wyboru.

W końcu wkraczają na ścieżkę prowadzącą do chaty myśliwskiej. I wtedy spomiędzy chmur zaczyna się wyłaniać ogromny metalowy ptak. Łopaty śmigła wirują z ogłuszającym pulsowaniem. Na moment Doug cofa się w czasie o dziewięć lat do miejsca pełnego strachu i ciemności, mimo oślepiającego słońca pustyni, i helikopter staje się narzędziem wojny, śmigłowcem szturmowym krążącym nad głowami, namierzającym pozycje wroga. Przypomina sobie, że to policja, że to pomoc. Szkoockie sosny tracą swoje śnieżne czapy i uginają się pod naporem wiatru wywołanego przez śmigło.

Wtedy Heather wydaje z siebie przerażony krzyk i przyspiesza kroku. Teraz to on nie może za nią nadążyć. Po chwili dostrzega to, co ona. Dwie kobiety, jedna blondynka, druga ciemnowłosa, stoją przed chatą myśliwską zwrócone do siebie. Blondynka schyla się i wyciąga coś ze śniegu. Doug wie, co to jest, zanim zobaczy to w jej dłoni. Długa, elegancka lufa, niebezpieczna, gdy mierzy się z niej z odległości. Ale z trzech metrów, które dzielą dwie postaci, strzelba to pewna śmierć.

W końcu dotarli na równinę. I zanim Doug zdąży ją powstrzymać, Heather zrywa się biegiem w stronę kobiet. Żadna z nich jej nie widzi, tak intensywnie się w siebie wpatrują. On też biegnie – do tej ze strzelbą. Nie

zdąży. Gdy rozlega się huk, Heather rzuca się w stronę ciemnowłosej kobiety, spychając ją z linii strzału.

Doug widzi wybuch, potworny moment w tamtym odległym miejscu. Żołnierzy – swoich przyjaciół, którzy zginęli, bo się zawahał. Wrywa się ze wspomnień do rzeczywistości. Rzuca się na ziemię obok niej, tam gdzie śnieg obryzgany jest jej krwią.

EPILOG

HEATHER

Kiedy wybudziłam się z narkotycznego snu, nie wiedziałam, kim jestem, nie mówiąc o tym, gdzie. Pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był Doug.

– Cześć – powiedział. – Mam nadzieję, nie masz nic przeciwko, że tu jestem.

Zanim pielęgniarka wyszła z pokoju, powiedziała:

– Trafił się pani wspaniały mężczyzna. Siedział tu cały czas, kiedy miała pani operację, a potem się wybudzał.

Spojrzałam na Douga. Wydawał się zażenowany, jak gdyby na czymś go przyłapano.

– Musiałem im powiedzieć, że jesteśmy parą – powiedział pod nosem. – Inaczej nie daliby mi tu zostać. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Jego dłoń leżała na prześcieradle tylko kilka centymetrów od mojej. Z wysiłkiem uniosłam moją i położyłam na jego. Wydała mi się cudownie ciepła i żywa. To był pierwszy raz od dawna, kiedy w jakiś znaczący sposób dotknęłam drugiego człowieka.

Po kilku godzinach zjawili się tu wszyscy moi bliscy z Edynburga: przyjaciele, których szczęścia i spełnienia unikałam przez ostatni rok, i oczywiście moja rodzina, w tym mama, która cały czas powtarzała:

– Wiedziałam, że w tym miejscu tkwi coś złego.

Zdałam sobie wtedy sprawę, że jestem kochana. I kocham. Straciłam wielką miłość, która przez lata mnie definiowała, aż stała się częścią tego,

kim jestem. Do tego stopnia, że kiedy zniknęła, byłam przekonana, że nie ma we mnie nic, co mogłabym ocalić.

Nie jestem pewna, co skłoniło mnie do tego, by zrobić to, co zrobiłam. Zobaczyłam, co się dzieje, jak gdyby w zwolnionym tempie. Zdałam sobie sprawę, że jeszcze mam szansę, i zadziałałam z zaskoczenia. Mogłam coś zrobić. Nie myślałam o zagrożeniu wobec mnie samej, bo nie było na to czasu. Przyszło mi to na myśl dopiero wtedy, kiedy kula przebiła mój brzuch – dopiero gdy bez tchu padłam na ziemię i poczułam napływ tak dotkliwego bólu, że byłam przekonana, że umieram. Ale teraz zastanawiam się, czy nie skłoniło mnie do tego wspomnienie o tym, że Jamie zawsze przedkładał życie obcych ludzi nad swoje własne.

Iainowi nic nie jest. Podobno jest nawet na tym samym oddziale. Oczywiście z obstawą policyjną. Doug mówił, że gdy przyprowadził policję do starej chaty myśliwskiej, Iain był w takim bólu, że płakał, składając zeznania. Okazało się, że był trybikiem w dużo większej maszynie: narkotyki pochodziły z laboratorium na Islandii. Ingvar i Kristin? Oczywiście nie były to ich prawdziwe imiona. Te plecaki były wypełnione czymś dużo cenniejszym niż sprzęt górski. Zawiadowca na stacji kolejowej dostał grubo ponad dwukrotność swojej pensji, żeby przymknąć oko na kilka nieszkodliwie wyglądających walizek wyładowanych na końcu trasy, dla członków prywatnego klubu naszego szefa. Okres noworoczny to na to najlepsza pora – wszyscy są rozkojarzeni, służby ratunkowe mają ręce pełne roboty.

Jednym z trybików w tej maszynie był oczywiście mój szef. Okazało się, że on i Iain znają się od bardzo dawna. W młodości Iain odsiedział długi wyrok w więzieniu za kradzież aut i kiedy wyszedł, nie miał zbyt wielu możliwości. W końcu udało mu się znaleźć pracę jako ochroniarz dość ekskluzywnego klubu w Londynie. Właściciel złożył mu propozycję – łatwa robota, lepsza płaca, nowy początek. Okazało się, że narkotyki przez cały ten czas były głównym źródłem dochodów szefa. Nie ekskluzywny klub, nie chata myśliwska – choć oba te miejsca stanowiły dobrą przykrywkę i były ważnymi punktami przy przerzucaniu towaru z Islandii

do zamożnych konsumentów. Złapali go, kiedy popijał sok pomarańczowy w saloniku pierwszej klasy na Heathrow, gotowy do ucieczki z kraju.

Na komisariacie policji w Fort William mieli ręce pełne roboty. Morderstwo i likwidacja narkotykowej szajki, a to wszystko w spokojnej szkockiej dziczy. Dziczy, która jak postanowiłam (nie tylko z powodu morderstwa i szajki narkotykowej), nie jest dla mnie. Będę tęsknić za porannymi kąpielami w jeziorze. I co więcej – to zaskoczenie nawet dla mnie – będę tęsknić za moim małomównym kolegą z pracy. Doug zgodził się przyjechać do mnie na weekend, kiedy już z powrotem zadomowię się w Edynburgu. Kupiłam rozkładaną kanapę dla gości, która może będzie używana, a może nie. On ma swoje problemy, z którymi musi się najpierw uporać, swoją własną podróż do odbycia. Oboje uciekamy od śmierci i tym samym kryjemy się przed innymi. Nadeszła pora, żeby zmierzyć się z życiem.

KATIE

Rodzę za kilka tygodni. Istniała obawa, że stracę dziecko po tym, jak z taką siłą powalono mnie na ziemię, ale nic się jej nie stało. Jej – będę mieć córeczkę. Postanowiłam pracować aż do rozwiązania. Ciężko haruję, biorę nadgodziny i śpię mniej, niż powinnam w swoim stanie. Ale to pomaga mi nie myśleć. Cała moja ciąża przebiegła pod znakiem żałoby po Mirandzie. Tak, żałoby. Wiem, że może trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, jaką okropną byłam dla niej ostatnio przyjaciółką. I to, jak potrafiła się wobec mnie zachowywać. To prawda, że nie zawsze lubiłam Mirandę. Czasem jej wręcz nienawidziłam. Ale naprawdę ją kochałam. Tak to czasem jest, kiedy zna się kogoś od tylu lat. Widzisz wady tej osoby, ale znasz też jej najlepsze cechy – a Miranda miała ich bardzo wiele. Nikt nie potrafił rozkręcić imprezy jak ona. Nikt nie oddałby komuś innemu swojej najlepszej sukienki, nawet nie mrugnawszy okiem. I nie ma zbyt wielu trzynastolatek, które postawią na szali całą swoją szkolną popularność, by uratować outsiderkę. Na pewien sposób była absolutnie wyjątkowa. Nikt nie był twoim większym sprzymierzeńcem. I owszem, nikt nie był straszniejszym wrogiem.

Może z wyjątkiem jednej osoby.

Emma dała na procesie wielki popis. Była bardzo skruszona, bardzo pogrążona w żalu i bardzo – ale nie *za bardzo* – dobrze ubrana. Zniknęło podobieństwo do Mirandy – uwodzicielskiej blondynki, *femme fatale*. Bo to chyba nie najlepsza stylówka, kiedy jest się oskarżonym o zabójstwo. Przefarbowwała włosy na bardzo skromny, mysi kolor, ubrała się w bardzo konserwatywną bluzkę z wysoką stójką obszytą falbanką – wyglądała jak połączenie dziewczynki z kościelnego chóru z nauczycielką. Płakała, gdy tłumaczyła, jak Miranda szydziła z jej przypadłości, choć ona bardzo starała

się jej wszystko wytłumaczyć. Powiedziała, że wcale nie chciała udusić Mirandy. Owszem, doszło między nimi do szamotaniny po tym, jak Miranda powiedziała jej pewne straszne – niewybaczalne rzeczy. To była samoobrona. Miranda była pijana, żądna zemsty i zaciekła. Emma ją odepchnęła, ale zdając sobie sprawę, czym to się skończy, próbowała uratować Mirandę, chwytając ją za to, co było w zasięgu... za szyję.

Moim zdaniem nie brzmi to wiarygodnie i oskarżyciele też tak uważali. To powinno być zakazane – nie skazać kogoś przy takiej ilości obciążających dowodów. Ale żyjemy w świecie postprawdy. Ława przysięgłych to łyknęła. Wprost nie mogli skazać jej za zabójstwo. Nie tę elokwentną, cichą, pokorną osobę, która wyglądała jak córka znajomej albo koleżanka, którą pamiętali ze szkoły. Ludzie tacy jak ona nie zabijają – nie celowo. Im zdarzają się tylko niefortunne wypadki.

Gazety porównały tę sprawę do innej sprawy sprzed kilku lat, kiedy to absolwentka Oksfordu zadźgała swojego chłopaka nożem do chleba. Ludzie tacy jak oni po prostu nie idą do więzienia. W międzyczasie obrońcy z ochotą kreślili portret Mirandy jako kobiety nieszczęśliwej: kogoś, kogo życie się rozpada, mimo że z wierzchu wygląda idealnie. Kogoś ze skłonnością do alkoholu i prochów – koniec końców to od niej pochodziły narkotyki, które część z nas wzięła tamtego pierwszego wieczoru. Emma wstrzymała się od wzięcia czegokolwiek. A Miranda, jak twierdziła obrona, lubiła wchodzić w rolę prześladowcy – w końcu zmusiła Marka do wypicia szampana, a mnie do kąpieli w lodowatym jeziorze. Miała kontrolującą, maniacką, niestabilną osobowość – przecież chodziła do terapeuty, zgadza się?

Nieumyślne spowodowanie śmierci – taki ostatecznie postawiono zarzut. Kara czterech lat więzienia. Kobieta, która zepchnęła z mostu moją najstarszą przyjaciółkę i która próbowała mnie zabić, wyjdzie za cztery lata. Staram się o tym nie myśleć.

Jeśli chodzi o pozostałych – oczywiście z wyjątkiem Nicka i Bo – słusznie podejrzewałam, że nie mamy ze sobą już nic wspólnego. Łączyła nas Miranda. I może wspólna przeszłość. Można to chyba wytłumaczyć

wygodnictwem. Nie próbuję oczyścić się z winy. Nie zachowywałam się lepiej od nich, a w niektórych przypadkach nawet gorzej. Ale czy to właśnie nie stanowi części problemu? Dawni przyjaciele nie mobilizują nas do zmiany swoich wad. Nie byłam dobrym człowiekiem. Potrzebowałam czegoś, co mi to uświadomi. Żałuję jedynie, że nie było to coś innego.

Nasza paczka się z hukiem rozpadła. Nie ma już jej centrum, jej arcykapłanki. Samira i Giles są zapewne bardzo szczęśliwi w Balham, otoczeni przyjaciółmi, którzy też są rodzicami i nie biorą narkotyków, nie wypijają na raz butelek szampana, nie mówiąc już o tym, że nikogo nie zabijają.

Nick i Bo przeprowadzają się do Nowego Jorku. Mark zdołał już poznać u siebie w pracy nową „prawie-Mirandę”, która niby wygląda jak ona, choć nie do końca. Nie wiem, jak to interpretować. Ścieżka Julienna wydaje się najbardziej radykalna. Wyjechał na miesięczny detoks do Goa – choć z instruktorką jogi z siłowni w City, do której chodził, więc może w tej podróży chodzi o coś więcej niż chęć stania się mistrzem zen. Powiedział, że wróci na mój poród. Niezbyt mnie to cieszy. Gdybym mogła mieć to dziecko i jednocześnie nie musieć go już nigdy więcej oglądać, to wcale bym nie narzekała. Już na zawsze będę z nim związana. To ojciec mojej córki. Nie odetnę się od niego, tak jak bym tego chciała, a tym samym od pozostałych. Ale przynajmniej już nigdy nie będę musiała jechać z nimi na wakacje.

Teraz chciałabym poznać ludzi, którzy będą mnie lubić taką, jaka jestem, a nie jaka byłam. Którzy nie będą ode mnie oczekiwać, że wcielę się w dawną rolę, która już mi nie leży. Którzy nie będą przyjaźnić się ze mną z litości... którzy będą mnie postrzegać jako w pełni uformowaną osobę.

W zeszłym tygodniu, kiedy zamknęłam kolejną sprawę w firmie, postanowiłam pójść z kolegami i koleżankami z pracy na drinka (dla mnie napój z białego bzu). Szczerze mówiąc, wcale nie są tacy źli – może się wręcz okazać, że poza biurem, kiedy nie uwijają się nad umowami jak chomiki w kółeczkach, to całkiem normalni ludzie. Jeden z nich, Tom

z zespołu postępowań sądowych, nie wygląda najgorzej bez pamiątki biurowej marynarki, okularów i przerażenia w oczach.

Może czas znaleźć sobie nowych przyjaciół.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Ałowi – za to, że zabrał mnie w miejsce, które stało się inspiracją dla tej powieści, i za to, że chodził ze mną na spacer, podczas których układałam fabułę, a wieczorami czytał... Zdecydowanie zasłużył na dwadzieścia procent!

Na wielkie podziękowania zasługuje też Hoge – dziękuję za Twój czas i cenne rady edytorskie. Ta książka nie byłaby bez Ciebie taka sama!

Dziękuję moim cudownym agentkom Cath Summerhayes i Alexandrze Machinist, które bardzo mnie wspierały podczas przejścia na czarną stronę mocy! Jestem też bardzo wdzięczna Luke'owi Speedowi, Melissie Pimentel i Irene Magrelli.

Ogromne wyrazy wdzięczności dla Kim Yoing, jedynej w swoim rodzaju redaktorki, i jej niebywałego zespołu w HarperCollins, który tworzą Charlotte Brabbin, Emilie Chambeyron, Jaime Frost, Ann Bissell, Abbie Salter i Eloisa Clegg. Dziękuję za waszą pasję i wyobraźnię, którą wnieśliście w publikację tej książki.

Dziękuję Katherine Nintzel i jej boskiej ekipie z agencji William Morrow za oceanem. Są to: Vedika Khanna, Liate Stehlik, Lynn Grady, Nyamekye Waliyaya, Stephanie Vallejo, Aryana Hendrawan, Eliza Rosenberry i Katherine Turro.

Ogromne podziękowania dla Jamiego Laurensa i Patricka Waltersa z See-Saw. Jestem taka podekscytowana waszą wizją mojej powieści na ekranie!

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

HEATHER

EMMA

KATIE

DOUG

HEATHER

MIRANDA

EMMA

KATIE

HEATHER

MIRANDA

EMMA

DOUG

HEATHER

EMMA

MIRANDA

KATIE

DOUG

HEATHER

KATIE

MIRANDA

DOUG
HEATHER
EMMA
MIRANDA
KATIE
HEATHER
MIRANDA
KATIE
DOUG
EMMA
HEATHER
KATIE
EMMA
MIRANDA
DOUG
HEATHER
EMMA
MIRANDA
HEATHER
MIRANDA
KATIE
MIRANDA
HEATHER
KATIE
DOUG
HEATHER
KATIE
HEATHER
MIRANDA

HEATHER

MIRANDA

EMMA

HEATHER

MIRANDA

EMMA

HEATHER

EMMA

KATIE

DOUG

HEATHER

KATIE

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: The Hunting Party

Copyright © 2019 by Lost and Found Books Ltd
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: © Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: © Steele Burrow / Aurora Photos

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-968-8

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl